

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLII.

ROK XI.

TOM II. — ZESZYT III.

Kwiecień.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Kwietnia 1886 r.



ERNEST RENAN.

I.

Bretania, północno-zachodnia część Francyi, przechowała do dni dzisiejszych liczne, sobie tylko właściwe piętna. Starożytną Armorykę przez kilka celtyckich plemion zamieszkiwaną, zalała w w. V i VI ery naszéj fala przybyszów z Wielkiéj Brytanii, którzy przed najazdem Anglów i Saksonów ojczystą wyspę swą opuszczali. Odtąd kraj ten nosić zaczął imię Bretanii i długo jeszcze niezależny, burzliwy, wojujący, w wieku XVI-m zaledwie nierozerwalnym węzłem połączył się z Francyą.

Z zachodu wodami Atlantyku, a z północy kanałem La Manche oblana, z klimatem wilgotnym i mglistym, z gruntem urodzajnym, lecz na szerokich przestrzeniach pokrytym lasami, bagniskami, sitowiem i jałowemi zaroślami, Bretania jest krajem ubogim, otoczonym grozą i wspaniałością morza, owianym melancholią swéj mglistéj i smętnéj natury. Wśród takiéj natury, z połączenia łagodnéj i marzycielskiéj rasy celtyckiéj, z surowém i twardém plemieniem Bretonów, powstała ludność pracowita, cicha, cierpliwa, nieco ponura. Fizycznie silni i w sąsiedztwie morza do żeglarskich trudów i niebezpieczeństw zahartowani, Bretonowie dostarczają Francyi dzielnych żeglarzy, niestrudzonych rybaków i cierpliwych, pracowitych rolników. Z innéj strony, umysłowo ociężali a zarazem do poetycznych i religijnych marzeń skłonni, odznaczają się oni zachowawczością, rzadko już gdzieindziéj napotykaną, a która kraj ich daleko za współczesną cywilizacyą pozostawia. Niższe warstwy ludowe, dziś jeszcze mówią tam tym samym językiem, jakiego używali Celtowie, którzy na pół wieku przed początkiem ery chrześciańskiéj toczyli wojny z rzymskim Juliuszem Cezarem. Dziś jeszcze idee monarchiczne budzą tam cześć i miłość taką, że napotkać można wieśnia-

ków, wylewających łzy nad męczeńskim zgonem Ludwika XVI-go i śpiewających o nim rzewne balady; prace zarobkowe, z wyjątkiem żeglarskiéj, rybackiéj i rolniczéj, nietylko za poniżenie, lecz za grzech uchodzą; szlachta otrzymuje od mieszczan i chłopów oznaki i dowody głębokiego uszanowania, bagniska nie wysychają, trzciny i paprocie okrywają szerokie przestrzenie, drogi publiczne pozostają w zaniedbaniu, które przed niedawnym jeszcze czasem, czyniło je dla podróżujących niebezpiecznemi, albo i całkiém niedostępnemi. Lecz najwybitniéj i w najwyższym już stopniu swego natężenia ta zachowawczość Bretonów ukazuje się na punkcie wiary we wszelką nadprzyrodzoność Pod tym względem żyją oni nie już nawet w wieku XIII lub XII-m, ale w IV lub V-m ery naszéj, to jest w wiekach, w których religia jedynobóstwa wielce cienką warstwę swych pojęć kładła na gruby pokład bałwochwalstwa, prowadząc z niém walkę trudną i starym jego przyzwyczajeniom i czciom, czyniąc niejednokrotne ustępstwa. Cała powierzchnia tego kraju usypana jest pomnikami dwóch różnych lecz prastarych okresów jego dziejowego żywota. Z jednéj strony isnieją tam liczne zabytki przedchrześciańskiéj epoki, przedstawiające się pod postacią kamieni w rozmaity sposób układanych, tak zwanych *menhirów*, *dolmenów*, *kromlechów*, *galgalów*, które niegdyś stanowiły pogańskie ołtarze, grobowce, zagrody otaczające miejsca poświęcone. Z innéj strony, na szczytach wszystkich wzgórz i w głębi wszystkich dolin, na zakrętach wszystkich dróg i w cieniu wszystkich gajów, w najbliższych sąsiedztwach wiosek i miast i w najtajniejszych samotniach nieuprawianych pól, wznoszą się kaplice, kapliczki, nisze,— miejsca najrozmaitszych wielkości i kształtów, poświęcone czci najrozmaitszych świętych. Nad Bretanią panuje tłum świętych, z pośród których wielu jest dla ogółu chrześciaństwa całkiem nieznanych. Są to święci miejscowi, patronowie nietylko prowincyi całéj, ale każdéj z jej okolic, każdego ze stanów składających jéj ludność, każdego z gatunków zajęć, którym się ona oddaje. Jest-to w pełném tego słowa znaczeniu kult geniuszów opiekuńczych, bogów-larów i bogów dróg rozstajnych starożytnego pogaństwa, pomnożony tém wszystkiém, co przyniósł z sobą chrześcianizm. Towarzyszy mu rój legend wdzięcznych lub groźnych, naiwnych lub ponurych, które napełniając umysły Bretonów i egzaltując ich wyobraźnię tłumią w nich chęć i zdolność rozbioru pojęć i krytyki zjawisk. Towarzyszą mu także niezliczone upostaciowania przedmiotów czci powszechnéj, które grubą swą plastycznością wywierają na zmysły prostacze urok upajający. Głębie kaplic, kapliczek, przydrożnych nisz napełnione są posągami, w większéj części wyrzeźbionemi z drzewa, bardzo staremi, niekunsztow-

nemi, lecz którym ręce nieznanych artystów, natchnione wiarą bez granic, nadały przejmujące wyrazy męczeństwa lub grozy. Każde z tych grubych lecz wymownych upostaciowań świętości łączy się z pojęciem cudotwórstwa. Na staropogańskim, a w całéj sile swéj trwającym podkładzie wiary w gusła i czarodziejstwa, legła tu, żadném światłem krytyki nieprzeniknione warstwa wiary w cuda. Do świętych posągów swoich lud bretoński udaje się o ratunek i pomoc we wszelkich cierpieniach swych i potrzebach, a wyrażane przed niemi żądania i prośby posiadają częstokroć treść i przybierają formę. właściwą tylko najpierwotniejszym stanom ludzkości. Jedną z najwybitniejszych postaci mitologii bretońskiéj, jest św. Iwon, patron uciśnionych. Ktokolwiek przed wrogiem swym obronić się nie może, na pomoc sobie przyzywa tego świętego następującemi słowy: „Byłeś sprawiedliwym za życia, złóżże dowód, żeś takim i teraz!“ Jeżeli świętemu podoba się cud uczynić, wróg umrzéć musi przed upływem roku, od dnia wymówienia modlitwy, któréj treścią istotną było żądanie jego śmierci. Kowal, mający dziecię chore na febrę, przynosi je do stóp świętego, którego specyalnością jest leczenie od téj właśnie choroby i ze sztabą żelaza w rękach zbliżając się do posągu, woła rozkazującym głosem: Wylecz mi zaraz dziecię to od febry, bo jeżeli tego nie uczynisz, jak koniowi, podkuję ci obie nogi.“ Manie religijne bywają tam częste. Znano tam ludzi, którzy po całonocnéj nieobecności wracali do domów zniemożeni, potém oblani, z rękami zakrwawionemi w jakiejś ciężkiéj i tajemniczéj pracy. Dowiadywano się potém, że celem ich nocnych wycieczek były przydrożne, albo w samotnych miejscach stojące kapliczki i nisze, w których zdjęci rozdzierającém współczuciem, zdejmowali oni z krzyżów postacie Chrystusa i wyjmowali strzały z piersi męczenników. Tak na całéj przestrzeni kraju dzieje się po wsiach. Miasta i miasteczka pełne są katedr wspaniałych, kościołów, z których każdy posiada swe cudotwórcze ołtarze; klasztorów, których stare i wysokie mury głęboki cień rzucają na mizerne i nieliczne domostwa ubogiego i nieprzemyślnego mieszczaństwa. Koniec ośmnastego wieku na krótko tylko wstrząsnął tym stanem rzeczy, który w całéj swéj dawnéj pełni wrócił i rozkwitł, wnet po przeminięciu rewolucyjnéj burzy. Aż do czasów najświeższych miasta i miasteczka Bretanii zamieszkane były przez ogromną ludność zakonników i zakonnic reguł wszelkich, a wychowanie młodych pokoleń całkowicie spoczywało w rękach świeckiego i klasztornego duchowieństwa.

W jednem z takich bretońskich miasteczek, w malutkiém, zblisko z Atlantykiem sąsiadującém Tréguier, w małomieszczańskiéj, ubogiéj rodzinie, pochodzącéj ze starożytnego i od wieków rybołó-

stwem trudniącego się klanu Renonów czyli Renanów, przed laty kilkudziesięciu (r. 1820 czy 1821) urodziło się dziecię. Przyszło ono na świat tak wątłe i słabe, że zwątpiono o możności zachowania go przy życiu. Na szczęście urodzinom jego obecną była stara bretonka, doświadczona w sztuce czarów i przepowiedni. Schwyciła ona koszulkę nowonarodzonego i pędem strzały puściła się ku pobliskiéj rzece. Niebawem, rozpromieniona radością, wróciła. Koszulka na fale rzeczne rzucona wzdęła się, a wiatr unosił w górę malutkie jéj kończyny: był to nieomylny znak, że dziecię żyć chce i będzie. W niewiele lat późniéj, po zgonie ojca téj rodziny, matka w żałobie wiodła kilkoletniego chłopaczka do kościoła św. Iwona i tam, na klęczkach, osierocone dziecię swe oddawała w opiekę patronowi skrzywdzonych i uciśnionych.

Dzieckiem, które przyszło na świat w kraju religijnych legend i męczeńską krwią ociekających posągów i którego kolebkę ocieniały zczerniałe mury katedry i klasztoru; chłopięciem, któremu życie wywróżyły gusła czarownicy i które matka powierzała opiece cudotwórczego ołtarza — był Ernest Renan.

Poważném i w sobie skupioném, lecz mroczném i ciasném musiało być wszelkie życie w tém miasteczku, którego jądrem był wielki gmach biskupstwa a jedyną ozdobą stara gotycka katedra, którego ulice z obu stron ocieniały wysokie i długie mury klasztorów, a nad niskiemi domostwami garstki mieszkańców świeckich, panowały z wysoka ozdobne domy prałatów. Poważném i czystém, ale mroczném i ciasném było wychowanie, którego w tém miejscu udzielała swym uczniom szkoła duchowna. Pojęcia jéj o naturze świata i człowieka pozostały takiemi, jakie panowały w wiekach V-m i VI-m; nauka i piśmiennictwo zastygły w takich formach, jakie im nadał wiek XVI. Łaciny uczono tam sposobem dawnym, używanym w wieku XV, bez metody, prawie bez gramatyki, a Racina poczytywano za ostatniego francuskiego poetę. Było to rzeczą umówioną i o któréj nikt nie wątpił, że wszystko cokolwiek po tym klasyku napisano we Francyi, nie zasługiwało na nazwę piśmiennictwa. Nawet gorliwi w wierze pisarze wyroku tego nie unikali. Milczano o prawowiernym Chateaubriandzie dla tego, że pisał rzeczy światowe, takie, jak René i Attala, a o pobożnym Lamartinie dla tego, że domyślano się w nim raczéj niż spostrzegano, pewne drobne zboczenia od zupełnie prostéj linii prawowierności. Toż samo z historyą. Nauczano jéj z podręcznika napisanego w wieku XVI, a srogi legitymizm nauczycieli, rozkazywał im nic wcale nie wiedzieć o wszystkiém, cokolwiek działo się i stało od śmierci Ludwika XVI. O wielkiéj rewolucyi i Napoleonie nigdy tam żadnéj wzmianki nie było, a imię tego ostatniego

dochodziło do uszu dorastających chłopiąt wypadkiem z ust odźwiernego szkoły, starego napoleońskiego żołnierza. O naukach przyrodniczych i filozofii mowy być nie mogło. Co zaś do XIX wieku i wszelkich jego czynów i pojęć, były to już rzeczy nauczycielom obce i nienawistne, a uczniom całkowicie nieznane. Trudnoby spotkać na świecie zjawisko tak zupełnie od współczesności odosobnione i tak szczelnie przed nią zamknięte. Przy schyłku 1-éj połowy bieżącego wieku szkoła ta była taką, jaką przed 200-tu laty znaleść by można za murami najsroższéj klauzury; opuszczając ją młodzież znajdowała się w tym stanie umysłowości, któryby w wieku XVII otrzymał nazwę najbardziéj zacofanego.

Wychowanie to w najwyższym stopniu niebezpieczne dla umysłów, których też wiele zwęzić albo i unicestwić na zawsze musiało, nie było jednak pozbawioném dobrych i użytecznych wpływów na charaktery. Ograniczeni w wiadomościach swych i wyobrażeniach, skamienieli w przedwiekowych formach bytu i myślenia, księża ci byli ludźmi uczciwymi i działającymi w dobréj wierze, życzliwymi dla uczniów swych, surowymi dla siebie, w obyczajach swych i intencyach bardzo czystymi. Wyższe duchowieństwo zamieszkiwało wspaniały gmach biskupi i piękne domy kanoników i prałatów, ale księża, pod których bezpośrednim wpływem zostawała szkoła, żyli skromnie, prawie ubogo, dając z siebie przykład powściągliwości i powagi życia, bezinteresownego oddawania się zajęciom, których celem nie był obfity zarobek lecz pożytek duchowy taki, jaki poczytywali sami za wzniosły i dla ludzkości dobroczynny. Jednało to im pośród młodzieży szacunek i ufność bez granic. Ufność ta sprawiała, że jak bez cienia wątpliwości wierzono temu, co w ich mniemaniu było jedyną prawdą dla umysłu, tak bez chwili wahania, stosowano się do tego, co przedstawiali oni jako jedyne prawo dla sumienia. „Czystość obyczajów—pisze we wspomnieniach swych Renan—była tą stroną moralności ludzkiéj, na którą ci dobrzy księża nalegali najsilniéj, a dawała im do tego prawo, niepokalaność własnego ich życia. Wrażenie, które sprawiały na mnie nauki ich w tym względzie, było tak silne, że calą młodość moję zachowało w skromności. Miały one w sobie uroczystość wprawiającą w zdumienie naiwny umysł dziecka. Czasem, mowa tam była o Jonatanie, który umarł skosztowawszy miodu. Dawało mi to do myślenia. Czémże mógł być ten miód trujący? Innym razem cytowano tekst Jeremiasza, o śmierci wchodzącéj przez okno.... albo słowa jakiegoś świętego z odległych wieków, który kobietę porównywał do broni palnéj, raniącéj zdaleka.. Mowca wypowiadał to wszystko z czołem zmarszczoném i wzrokiem wzniesionym ku niebu... Były to zapewne świętobliwe niedo-

rzeczności, ale w ustach osób, którym ufałem bez granic, nabywały powagi przenikającéj aż do saméj głębi mojéj istoty. Wrażenie to trwa dziś jeszcze, w przekwitłéj duszy mojéj... Pojęcia moje pod tym względem przeżyły me religijne wierzenia... Zresztą, ci pierwsi mistrze moi nauczyli mię szczerości, szacunku dla ducha ludzkiego, powagi życia. I są to rzeczy, które nigdy we mnie nie uległy zmianie. Z rąk ich wyszedłem tak czysty i tak wrogo przeciw niskości wszelkiéj usposobiony, że cała płochość paryskiego życia, depcąc po tym moim klejnocie wewnętrznym, zniszczyć go nie mogła.“

Zobaczymy daléj, jakie starcia i walki sprowadzić miała w przyszłości młodego bretona, ta ciasna ograniczoność, w któréj zamknięto jego umysł i ta prawość i czystość, któremi do głębi zaprawiono jego charakter; zobaczymy także, jak silnie moralne jego przymioty popchnęły go na tę drogę, na któréj ci właśnie, którym je zawdzięczał, najmniéj-by widziéć go chcieli. Tymczasem przedstawia się wyobraźni naszéj wdzięczny, a ze względu na oczekującą go przyszłość, ciekawy obraz podrastającego chłopięcia, rozmarzonego mitologią swego ludu i kraju, przejętego do głębi bezwarunkową religijnością swéj szkoły, w chwilach spoczynku błądzącego pod murami klasztorów lub zapatrzonego w strzeliste linie i cieniste wnętrze gotyckiéj katedry. Blady, wątły, przez matkę i siostrę czule kochany, przez mistrzów swych za chlubę szkoły uważany, skromny i nieśmiały tak, że współtowarzysze nazywali go „panienką“, a on sam najchętniéj przestawać lubił z gronem małych dziewcząt, miewał chwilami przebłysk swych świetnych przeznaczeń, myślał niekiedy, że będzie pisał książki. Najpewniéj książki te miały być podobne do podań o św. Tudwalu, Iltudzie, Kadoku... Niemniéj ogarniały go już przeczucia rzeczy wielkich. Z miłością i entuzyazmem myślał o świętych czynach i męczeńskich bólach; myślał, że gdy zostanie kapłanem téj religii, w któréj nadprzyrodzoność i boskość wierzył całą siłą swéj istoty, wróci do Tréguier i będzie żył tak święcie i tak gorliwie nauczał, jak żyli i nauczali teraz jego mistrze. O tém, że księdzem zostanie, ani matka jego, ani nauczyciele, ani on sam na chwilę nie wątpił. Było to rzeczą prostą, naturalnie wskazaną, prawie nakazaną. Wszyscy młodzi Bretonowie, którzy nie mieli ziemi do uprawiania, a żeglarzami być nie chcieli lub nie mogli, kształcili się dla tego, aby zostać księżmi. Ażeby zdolnego, pobożnego, ubogiego chłopca do celu tego przybliżyć, księża z Tréguier zażądali przyjęcia jego w charakterze stypendysty do paryskiego małego seminaryum św. Mikołaja z Chardonnet.

Z najzapadlejszego miasteczka zapadłéj prowincyi, przeniesienie się do Paryża było tém samém, co przejście z podziemia oświe-

tlonego dymną pochodnią, na przestrzeń kipiącą życiem i oblaną słoneczném światłem. Miał wtedy lat 16-cie i nieprzerwanie żył dotąd w czasach śś. Tudwala, Iltuda, Kadoka, w atmosferze niemniéj przesiąkłéj mitologią, jak ta, która panuje w indyjskich okolicach Benaresu i Jagernautu. „Tak, żaden budyjski lama lub muzułmański fakir, w mgnieniu oka z głębi Azyi na bulwary paryskie przeniesiony, nie doświadczyłby takiego zdziwienia, jakiém było moje zdziwienie, na widok zjawisk tak niezmiernie różnych ze światem moich starych, bretońskich księży, tych głów czcigodnych, całkowicie zdrewniałych czy skamieniałych, podobnych do owych ozirysowych kolosów, które późniéj podziwiać miałem w Egipcie, gdy długiemi szeregi stanęły przedemną, wspaniałe w swym ubłogosławionym spokoju... Mój chrześcianizm bretoński, tak mało był podobnym do religii, która tu panowała, jak mało podobném jest do perkalu, płótno mające twardość i grubość deski... Starzy księża moi, w swych ciężkich kościelnych kapach, wyglądali mi na magów, posiadających słowo zagadki wieczności; to, co podawano mi teraz, było religią z muślinu i perkaliku, pobożnością uperfumowaną, ustrojoną we wstążki, świeczki, dzbaneczki na kwiaty...“

Przewodnikiem małego seminaryum ś-tego Mikołaja był wykwintny, światowy, wysoko w arystokratycznych kołach postawiony, więcéj literacko niż teologicznie wykształcony, sam obdarzony pięknym pisarskim talentem, przyszły Orleański biskup, wówczas młody jeszcze ks. Dupanloup. Z bezwarunkową i żarliwą wiarą religijną, łączył on zręczność w wynajdywaniu narzędzi i sposobów mogących ją uświetnić, przyozdobić i niejako ułatwić dla tych, którzyby już całéj jéj surowości i bezwzględności przyjąć nie chcieli, albo nie mogli. Dążnością tą kierowany sposobił on uczniów swych na takich księży, którzyby znając i rozumiejąc świat dzisiejszy, umieli na ruchomym jego gruncie zasadzać i ochraniać drzewo religijności. Sposobił on ich na księży oświeconych i światowych, nie ustępujących światu ani jednego atomu z tego, co stanowi istotę katolicyzmu, lecz pociągających świat wytwornością powierzchni, lekkiem rozluźnieniem form, tym niejako pobłażliwym uśmiechem, który przybiera surowe oblicze cnoty, gdy nie chce na zawsze odstraszyć od siebie grzesznéj lecz wdzięcznéj płochości. Ztąd pochodziły te wstążki, świeczki, dzbaneczki do kwiatów Panowała tu w gruncie rzeczy i we wszystkich swych szczegółach wiara ta sama, co u owych bretońskich księży w Tréguier, tylko że ostrość jéj kantów była przysłonięta a kolczaste dla ludzi światowych głębie z lekka wywatowane. U wytwornych kierowników ś-go Mikołaja „słowa zagadki wieczności“ były temi samemi, co u „zdrewniałych magów bretońskich,“

tylko tu, wypowiadano je innym dźwiękiem głosu niż tam; skamieniałość, którą tam ukazywano jawnie i nago, tu owijano girlandami ze świeżych kwiatów. Takich kwiatów, dostarczyć miało uczniom ks. Dupanloup, dla przyszłéj ich w świecie działalności, naprzód, niezmiernie staranne literackie wykształcenie, następnie, umiejętność nadawania przedmiotom religijnym w mowie i piśmie formy poetycznéj i ponętnéj, nakoniec, otworzenie na oścież drzwi i okien seminaryum, przed wszystkiemi zjawiskami współczesnego świata, ażeby przebywający w niém młodzieńcy, zaznajamiać się z niemi mogli, lecz zaznajamiać się wtedy jeszcze, gdy zostawali pod bezpośrednim wpływem swych duchownych kierowników, to jest, oglądać je ich oczami i sądzić je ich sumieniem. Ale zacne w swojéj bezwzględnéj szczerości i nieruchome w swym ubłogosławionym spokoju „ozirysowe kolosy" z Tréguier, ani wyobrażenia mieć nie mogły, ile trudów i jakiéj zręczności używać musieli ci, którzy w tym nowożytnym Babilonie, w tym Paryżu zgorszenia i zepsucia, zmuszeni byli dla pożytku téj saméj idei, twardą ich deskę rozcieńczać na miękki muślin, a z podzwrotnikowéj bujności ich mitologii, wydobywać harmonią barw i delikatność woni. Trzeba było na to dłoni giętkich i delikatnych, z dotknięciem łagodném lecz pewném, z uściskiem miękkim ale silnym. Takie właśnie dłonie posiadał ks. Dupanloup, w giętkie, delikatne, arystokratyczne palce ujmował dusze swych wychowańców i zatapiał je w morzu kipiącéj światowości; lecz kiedy młoda dusza, zachwycona nowemi dla siebie widokami, drgała ruchem zapowiadającym ucieczkę, niemylném dotknięciem przyciskał najczulszą jéj strunę i miękko, ciepło, silnie zatrzymywał ją w swéj dłoni. Zbyt mądrym był i przenikliwym, aby módz nie spostrzegać niebezpieczeństwa swego wychowawczego systemu; ale wiedział, że po młodych sercach umiał grać jak artysta po strunach instrumentu. Wychowańcy seminaryum ś-go Mikołaja przepadali za swym wykwintnym, wymownym, w miarę surowym i w miarę poufałym przewodnikiem. Posiadał on sztukę budzenia w nich ruchów myśli, a następnie, prawie nieznacznego prowadzenia ich po wytkniętych przez siebie samego liniach. Wdzięczni, że przywołał do życia najbardziéj ludzką część ich istoty, nie spostrzegali, że czynił z niéj potém wszystko, czego pragnął. Każdego z 400-set uczniów swoich znał nazwisko i imię; wtajemniczał się w rodzinne uczucia i okoliczności każdego z nich; jakże bystre i głębokie spojrzenia zapuszczać umiał w zdolności ich umysłów, w słabości i siły ich woli i charakterów! Czarującym wpływom tego wytwornego człowieka, utalentowanego mówcy i pisarza i w swoim kierunku genialnego wychowawcy, uległo także smutne i nieśmiałe dziecię z rodzinnego swego podziemia

na świat ruchliwy i jasny, nagle przerzucone. Inny uczeń ks. Dupanloup, który naukom i kierunkowi jego na zawsze pozostał wiernym, utalentowany i wysokie miejsce w kościele dziś zajmujący ks. Cognat, w książce swéj p. t. „Pan Renan w przeszłości i teraźniejszości“ (*M-eur Renan hier et aujourd'hui*), skreślił portret ówczesnego bretońskiego chłopca. „Blady i szczupły, na wątłém swém ciele nosił głowę dużą, ze spuszczonemi prawie zawsze oczami... Nieśmiały aż do niezgrabności, zamyślony aż do niemoty, nie przyjmował udziału w grach rówieśników, rozmawiał mało i tylko z nielicznem kółkiem przyjaciół. Do wszystkich przykrości, które usposobienia takie sprowadzać mu musiały, przyłączyły się wspomnienia o rodzinnéj stronie, tęsknota za matką, niejednokrotne w otoczeniu nowém zranienie miłości własnéj. Popadł on w ciężką nostalgią, z którejby umarł, gdyby go był nie uratował ks. Dupanloup.“

Ks. Dupanloup, oprócz bladéj twarzy i wątłéj, nieśmiałéj postaci, bystrém swém okiem spostrzegł zapewne wielkie zdolności, zamknięte w téj dużéj czaszce i płomienie zapału, kryjące się za temi spuszczonemi powiekami. Ulitował się może nad cierpieniami tego dziecka, lecz wiedział téż zapewne, że takie dusze najtrudniéj zatrzymać w dłoni, bo mają one skrzydła, przycisnął więc najczulszą jéj strunę, mówił z nim o jego matce, wychwalał miłość jego dla niéj... wszakże sam miał matkę, która po Bogu pierwsze miejsce w jego sercu zajmowała. Odtąd, zjednany, wdzięczny i ośmielony miał on dla nowego mistrza swego tak bezwarunkową ufność i tak czułe przywiązanie, jakiemi napełniali go mistrze dawni. Przytém, widoki i pojęcia, z któremi spotykał się tutaj, rozbudzały w nim namiętną ciekawość. Nie przywiózł z sobą z Bretanii najlżejszego wyobrażenia o wielu rzeczach najprostszych. „Przybywając do Paryża, byłem moralnie wykształconym lecz umysłowo ciemnym do ostatnich granic możliwości. Wszystko mi było odkryciem. Ze zdumieniem dowiedziałem się o tém, że są na świecie ludzie świeccy, poważni i uczeni; spostrzegłem, że istnieje coś więcéj nad starożytność i kościół, szczególniéj zaś, że jest godne uwagi piśmiennictwo współczesne. Śmierć Ludwika XIV przestała być dla mnie końcem świata. Zjawiły się pojęcia, uczucia, które ani w starożytności ani w w. XVII-m nie istniały... Niedostateczne z wielu względów nauczanie u ś-go Mikołaja było bardzo wykwintném, bardzo literackiém... Romantyzm napływał do zakładu ze stron wszystkich; o niczém nie rozprawiano tu więcéj, jak o Lamartinie i Wiktorze Hugo. Przełożony nasz mieszał się sam do tych rozpraw i przez rok cały, w godzinach czytań duchownych, o tém tylko nam mówił. Powaga kościelna czyniła tu wprawdzie zastrzeżenia liczne, którym jednak czy-

niono częste ustępstwa. Tym sposobem poznałem walki wieku... Lekcye historyi sprawiały mi także budzenie się pełne zadziwień... Gdy tylko nauczyciel czytać zaczynał historyą Francyi Michelet'a, stawałem się niezdolnym do robienia notat; harmonia jakaś pochłaniała mię i upajała. Duch wieku przybywał ku mnie przez wszystkie szczeliny źle spojonego cementu... Spoczywające we mnie zarody zostały zapłodnionemi. Z wielu powodów, źle do natury mojéj przypadające, nauczanie u ś-go Mikołaja było przecież siłą, która wszystko we mnie wprawiła w życie i rozkwit. O ile religijna wiara moja nie czuła się zadowoloną, o tyle umysł mój chciwie pochłaniał, podany mu świeży napój. W czasie przechadzek i rekreacyi wieczornych, wiedliśmy między sobą rozprawy nieskończone. Potém, nie podobna mi było usnąć: Lamartine i Hugo napełniali mi głowę. Pojąłem wtedy, czém jest sława. Objawiły mi się rzeczy całkiem nieznane: talent, rozgłos, blaski rzucane przez wielkie imiona... Wpłynąłem na morze, o które uderzały wszystkie burze i prądy wieku... Głębokie wpływy te działały na mnie przez trzy lata i przekształcały do głębi moję wewnętrzną istotę. Ks. Dupanloup dosłownie mię przeistoczył. W biedném dziecku z zakąta, najciaśniéj upowitem w grubą skórę, obudził on rozum otwarty i czynny... Chrześcianizm mój uległ niejakim zmianom; nie było przecież w umyśle moim nic wcale, coby nazwać się mogło chociażby cieniem zwątpienia..."

Że częściowe zapoznanie się z historyą, literaturą i prądami czasu, nie sprowadziło do umysłu młodego bretona najlżejszego jeszcze cienia religijnych wątpliwości, tłómaczy się to jasno trzema przyczynami. Przedewszystkiém, był on bretonem; w plemiennéın więc przyrodzeniu swém posiadał wielką skłonność do wiary w nadprzyrodzoność, skłonność, którą pierwsze otoczenie i wychowanie wzmogły w nim i utrwaliły. Następnie, serdeczne i na wzajemném zaufaniu oparte stosunki z ks. Dupanloup oddziaływały znakomicie przeciw wszelkim zboczeniom od ścisłéj prawowierności, od któréj przełożony szkoły ś-go Mikołaja, pomimo swych oportunistycznych ustępstw dla ducha i potrzeb wieku, na najcieńszą linią nie odstępował. I w tém to właśnie oddziaływaniu, wywieraném przez wpływy mistrza, przeciw umyślnie tu dopuszczonéj światowości, spoczywała wielka kunsztowność tego na pozór ze sprzecznych żywiołów złożonego, lecz w gruncie rzeczy, doskonale dla celów swych zorganizowanego wychowania. Ale daleko głębszą i więcéj stanowczą przyczyną od dwóch pierwszych, była natura umysłu Renana, która nie pozwalała mu wznosić gmachów wielkich, na gruncie lekkim. Ani wielce częściowa i jednostronna nauka historyi, ani uroki poezyi, ani blaski sławy, ani szumy światowych uciech i walk, nie mogły rzucić

cienia na jego dotychczasowy ideał; nie było w nich siły i powagi, któraby wystąpiła do równego boju, z jego powagą i siłą. Co więcéj, po chwilowém olśnieniu i zachwyceniu, po chciwém wchłonięciu w siebie mnóstwa nieznanych przedtém zjawisk i wiadomości, uczul on płytkość tego nauczania i niejedną próżnię, którą pozostawialo ono w jego umyśle. W kapliczce ubranéj we wstążki, świeczki i dzbaneczki z kwiatami, zatęsknił do poważnéj i wielkiéj świątyni. Uczuł, że tu nie szukają prawdy i nie budują firmamentów dla tego, co poczytywał za rzecz najświętszą. Uczul tu nieszczerość, naturze swojéj wstrętną. Rozumiał, że ten, któremu przypadnie w udziale piastować śród ludzkości ideał religijnych wierzeń i uczuć, powinien zdobyć dla tego ideału rozumowe i naukowe oręże. Z pierwiastków rozumu i wiedzy, chciał zbudować podstawy dla ideału swego. Nie wiedział i nie myślal, że te właśnie pierwiastki i tylko one, zdolnemi były obudzić śpiącą w nim dotąd zdolność wątpienia. To czego zdziałać nie mogły ani wdzięki poezyi, ani blaski sławy, ani gwary świata, dokonały nauki filozoficzne, znajomość nieniczyzny i hebrajszczyzny, studya biblijne, które znalazł w wielkiéj i surowéj Akademii duchownéj ś-go Sulpicyusza.

Uczony i przenikliwy antropolog francuzki, Delaunay, gromadząc dla swych spostrzeżeń znaczne ilości czaszek ludzkich, uczynil spostrzeżenie, że czaszki wychowańców duchownego zakładu ś-go Sulpicyusza posiadają rozmiary znacznie mniejsze, niż te, które należały do uczniów wyższych szkół świeckich. Wiadomo powszechnie, że stosunek rozwoju umysłowego do objętości mózgu i względnie, do wielkości zawierającéj go czaszki, dowiedzionym nie jest i pozostaje dotąd w stanie naukowéj hypotezy. Niemniéj, w tym wypadku, owa czaszkowa niższość, tłómaczoną być może, przez określenie jednego z myślicieli francuzkich (Michelet'a), który zjednoczenie się w jednych celach jezuitów i Sulpicyanów, nazwał: „małżeństwem śmierci z próżnią." Renan dodaje, że zbliska widziana, próżnia ta miała w sobie coś rozrzewniającego, bo była wynikiem umyślnego pognębienia rozumu na rzecz wiary i świadomego siebie zaparcia się własnéj indywidualności, na rzecz uznanych powag. Z mistrzami tego zakładu, działo się wcale inaczéj niż z poczciwymi nauczycielami z Tréguier, albo wykwintnym przełożonym szkoły ś-go Mikołaja Tamci, nie walczyli z niczém i nie wyrzekali się niczego, bo nigdy nie spoglądali w oblicze wiedzy i wieku, a miara dozwolonego im wzrostu, była ich własną miarą. Ks. Dupanloup, znowu, teolog słaby, lecz znakomity literat, rozwijał do możliwych granic świetne talenty swoje i swych uczniów, bez skrupułów, owszem, z silną ufnością w ich pożyteczność dla sprawy religii. Ale sulpicya-

nie stali na gruncie wytworzonym przez dwie zupełnie sprzeczne z sobą konieczności. Z jednéj strony, kształcąc dorosłą już młodzież, musieli być oni biegłymi w naukach teologicznych, o które ocierają się zbliska i w które nawet głęboko czasem wnikają innostronne strumienie myśli i wiedzy ludzkiéj. Chcąc niechcąc więc byli oni ludźmi uczonymi, pełnymi wiadomości nietylko o rzeczach wiary, ale o wszystkiém, cokolwiek z niemi miało najdalszy, choćby przychylny lub nieprzychylny stosunek. Przedstawiało to pole wiedzy i umiejętności bardzo obszerne i nawet różnostronne. Przytém umieszczeni na czele niejako nauki i cywilizacyi kościelnéj, przeznaczeni na duchownych przewodników przyszłych kapłanów religii i sług kościoła, wybieranymi bywali z pomiędzy ludzi obdarzonych najsilniejszemi charakterami i najwybitniejszemi zdolnościami, posiadali częstokroć zarody wielkich talentów naukowych i pisarskich. Tak było z jednéj strony; z drugiéj reguła, któréj zakład ten podlegał, zawierała się w słowach Pawła: „Ten jest chrześcianinem, kto umarł w Chrystusie.“ Założyciel téj instytucyi, Ollier, w śmierci za życia, widział ideał chrześciańskiéj doskonałości. Dzieło napisane przez niego w w. XVII stanowiło najwyższe i nieprzekraczalne prawo sulpicyan. W niém znajdują się następujące określenia idealnego stanu, do którego sulpicyanin dążyć powinien. „Czem jest stan śmierci? (za życia). Jest to stan, który czyni serce niesposobném do wszelkich wzruszeń i odbiera mu wszelką możność ruchu i pragnienia... Umarły może być popychanym z zewnątrz i w ciele swém doświadczać zewnętrznych pobudek do ruchu; ale popchnięcia te nie pochodzą z wnętrza, które pozostaje bez życia, bez ochoty, bez siły. Dusza umarła może otrzymywać ciosy od zewnętrznego świata, ale sama w sobie zostaje umarłą i nieczułą na wszystko, cokolwiek się przed nią zjawia.“

Lecz i téj wewnętrznéj zmartwiałości jeszcze za mało. Dla dosięgnięcia ideału nietylko umrzéć trzeba, ale i być pogrzebionym. „Umarły zachowuje jeszcze pozory świata i ciała; umarły wydaje się jeszcze częścią Adama; czasem jeszcze poruszanym bywa: czasem jeszcze przyjemność jakąś światu sprawić może. Ale o pogrzebanym nikt już nie mówi; wyszedł już on z szeregów ludzkich; śmierdzi, wstręt budzi, nie ma nic z tego, co podobać się może; depcą go na cmentarzu i nikt nie dziwi się temu, bo wszyscy wiedzą, że jest już niczém i że niema go pomiędzy ludźmi.“

Z obowiązku i zadania, które im spełniać wypadło, uczeni, energiczni, częstokroć utalentowani sulpicyanie musieli zarazem umierać za życia, martwieć wewnętrznie, śmierdziéć, wstręt budzić, wychodzić

z szeregów ludzkich, być niczém. Co za sprzeczność dwóch niemożliwych do pogodzenia konieczności! Jaka przerażająca otchłań walk! Walczyli. Usiłowali nie myśléć wcale, dla tego ażeby nie myśleć źle. Jedni z nich, kto wié po jakich trudach i bólach, kamienieli w błogosławionym spokoju i jak monolitowe kolosy stali u wrót swéj świątyni; inni złorzecząc rozumowi i światu zanurzali się namiętnie w upajające nurty mistycyzmu; na innych jeszcze znać było niepokój niedokończonych walk, rozdrażnienie wciąż poskramianych buntów myśli i woli. Tacy w pewnych chwilach jadowicie drwili z nauki i rozumu, a w innych, porwani czarem niezmożonym, stawali się w obec swych uczniów wymownymi ich tłómaczami. Byli tacy, którzy umierali młodo, nie już śmiercią moralną, jak zalecał Ollier, ale fizyczną, przedwczesną, tragiczną w tajemniczości swych przyczyn niewypowiedzianych nigdy. Niektórzy rzucali się ku naukom na pozór suchym, ściśle z teologią związanym hebraizowali i w swych filologicznych badaniach dosięgli wysokiego stopnia biegłości, prowadzącéj ich nieraz ku odkryciom, od których śpiesznie odwracali oczy, ukrywając je o ile było można, ale nie mogąc zupełnie ukryć, ani przed sobą, ani przed najbystrzejszymi ze swych uczni. Niektórzy jeszcze poddając się niezwalczonym pierwiastkom swéj natury chwytali za pióro. Pisali, ale pisząc nie tracili z pamięci rozkazów swéj reguły i wykonywając akt najwyższy, na jaki zdobyć się może życie, t. j. myśląc, usiłowali jeszcze umierać. Usiłowali, posiadając talent, pisać bez talentu, gasić starannie wszelki blask stylu, zacierać pilnie wszelkie piętno indywidualności, aby wydając z siebie to, co wzdymało ich dusze, nie dawać światu ani cząstki swéj duszy i od obowiązującéj ich reguły odstępować jak najmniéj. Ze wszystkich tych sprzeczności i z tych poruszeń ducha, kipiących pod skorupą usilnie wytwarzanéj zmartwiałości, powstawała w seminaryum zatęchłość przenikana świeżemi strugami powietrza, ciemność przerzynana skąpemi smugami światła. Możnaby rzec, że powietrze i światło wnikały tu sposobem kontrabandy, wbrew woli mistrzów i bez wiedzy uczniów. Wnikały jednak i spływając czasem na grunt odpowiedni, zapładniały tajemnie spoczywające w nim ziarna.

W duchowym ustroju Renana ziarnem takiém była tajemna dotąd dla niego i dla wszystkich zdolność do krytycyzmu. Widać, że dusza ludzka nie jest materyałem surowym i giętkim, któremuby wychowanie nadać mogło wszelkie, zamierzone z góry kierunki i kształty. W téj mianowicie duszy wszystko sprzyjało celom, do których zmierzało wychowanie. Była w niéj po przodkach odziedziczona i pierwszém otoczeniem wzmocniona skłonność do nadziemskich wierzeń i marzeń; była miękkość i słodycz charakteru,

chylące się raczéj ku ślepemu posłuszeństwu, niż ku zuchwałym buntom; była wrodzona poetyczność i miłość harmonii i ciszy, dla których życie na łonie religii i kościoła przedstawiało obfite źródło zadowoleń i miejsce bezpiecznéj przystani; było nakoniec zżycie się z myślą o przyszłém kapłaństwie tak ścisle, że każde inne przeznaczenie nie tylko wydawało się niemożliwém, ale nawet wprost nie nasuwało się wyobraźni. Jednak, w tym niezmiernie skomplikowanym instrumencie, jakim jest duchowa organizacya człowieka wyższego, wystarczyło odezwanie się jednéj struny, ażeby zmienić brzmienie całego akordu. Pod jakim naciskiem budzić się zaczął do życia ten pierwiastek z pomiędzy wszystkich innych składników téj organizacyi wyosobniony, jak rósł i potężniał, przedstawia to dla psychologa widok niesłychanie ciekawy i nauczający.

Ze świetnéj, literackiéj szkoły św. Mikołaja przybywał on do wielkiéj akademii duchownéj, spragniony poważnéj, gruntownéj nauki i odrazu, z nieporównaną chciwością pić zaczął z tego jéj źródła, które stanęło przed nim otworem. „Bez cienia skrupułu oddałem się cały memu zamiłowaniu do nauki. Byłem zupełnie samotny. Paryża nie widziałem przez dwa lata, nie bawiłem się nigdy, godziny rekreacyjne spędzałem w oddalonym zakącie parku, z książką w ręku, w postawie siedzącéj, przed chłodem chroniąc się potrójną odzieżą. Czyniono mi uwagi, że taki sposób życia szkodliwym być może memu zdrowiu. Tylko co rość przestałem, a już plecy garbić mi się zaczynały. Ale namiętność moja przezwyciężała wszystkie względy. Oddawałem się jéj z tém większym spokojem, że poczytywałem ją za rzecz dobrą i prawą. Był to zresztą rodzaj szału i mógłżem przypuszczać, ze w zapale do myślenia zawiera się coś nagannego, mogącego sprowadzić dla mnie wyniki, od których broniłbym się wszystkiemi siłami, gdybym je mógł był choć najmniéj przewidzieć?“

Przedewszystkiém studyował filozofią, naturalnie filozofią scholastyczną, z całą drobiazgową subtelnością jéj wywodów i rozumowań i z niéj to najpierw zaczerpnął naukę budowania założeń i ich zbijanie, loicznego wywodzenia konsekwencyi, rozdzielania kategoryi, argumentowania. Odpowiadało to wybornie nieznanéj dotąd jego zdolności do rozbierania i krytykowania przedmiotów myśli, a zarazem budziło w niéj ruchy samodzielne. Samodzielność tę wywoływał szczególniéj pewien proceder filozofii scholastycznéj, na tém polegający, że obok każdéj tezy stawionéj przez prawowierność, mieści się rubryka zawierająca wszystkie zarzuty czynione jéj ze strony inaczéj myślących. Nazywa się to *solvuntur objecta*. Zarzuty owe są z kolei zbijane, lecz nieraz w sposób niedostateczny i pozo-

stawiający im całą ich siłę. Wielu nie spostrzega względnéj słabości tych obron, ale Renan ją spostrzegł i z bezgranicznego zdumienia, którém go zrazu spostrzeżenie to napełniło, wychylać dlań się zaczął pierwszy kolec sceptycyzmu. Dotąd jednak szło tylko o stare walki pierwotnego chrześciańastwa z gnostycyzmem i innemi sektami, które go zaraz, u początku drogi rozłamywać zaczęły; o rozprawy, które przed wiekami z sobą staczali, pierwsi założyciele kościoła z twórcami pierwszych herezyi. Wnet jednak przybyły i spory współczesne. W ścianach św. Sulpicyusza, utwory filozofii nowożytnéj ściśle wzbronionemi były, a jednak wchodziły w nie dwoma drogami. Pierwsza z nich była tém samém, co scholastyczne rubryki *solvuntur objecta.* Niedawano wychowańcom akademii pism nowożytnych filozofów, ale dawano książki, za pomocą których obrońcy kościoła zwalczali ich myśli i zdania. Wszelka obrona obejść się nie może bez przedstawienia planu i argumentów, bez dosłownego nieraz powtarzania słów przeciwnika. Jak starych sekciarzy uczniowie sulpicyanów poznawali przez pisma współczesnych im ojców kościoła, tak nowożytnych myślicieli przedstawiały im dzieła dzisiejszych stróżów prawowierności. Ale współcześni filozofowie, dla współczesnéj młodzieży posiadali czasem wymowę nieprzezwyciężoną. Mistrze imiona ich okrywali hańbą, a myśli piętnowali bezwarunkowém potępieniem; uczniowie wyjątków z ich dzieł, z przeciwnych im książek zaczerpniętych, uczyli się na pamięć. Polemika z heterodoksyą, którą sama ortodoksya wkładała w ręce swych uczniów, zaciekawiała młode umysły, pobudzała je do rozmów i rozpraw nieskończonych, namiętnych, kołyszących myśl w strony różne wtedy, gdy celem wychowania było zwracać ją wyłącznie i bezwarunkowo w stronę jedną. Drugą drogę dla przybywania nowych prądów myśli tworzyli ci z pomiędzy wychowańców św. Sulpicyusza, którzy przybywali tu w wieku nieco późniejszym, po odbyciu jakichś innostronnych studyów, po pewnym już czasie przebywania wśród świata, w charakterze ludzi świeckich. Rozpowiadali oni o tém, co kędyś słyszeli i czego się nauczyli. Jeden z takich, po ukończeniu filozoficznego kursu w uniwersytecie, powtarzał w ścianach św. Sulpicyusza treść lekcyi wymownego eklektyka Cousin'a; inny, historyk, zapoznawał współtowarzyszy swych z Augustynem Thierry, historyografem pierwszych wewnętrznych rozdarć i walk kościoła; inny jeszcze przyniósł z sobą odblask wymowny Montalambert'a i Lacordair'a i zarazem tchnienie neo-katolicyzmu, czyli katolicyzmu poprawionego, o którym marzyli ci więcéj szlachetni, aniżeli konsekwentni, lecz zawsze duchem nowatorstwa zarażeni ludzie. Wszystko to sprawiało wrażenie wielkie, ale nierówne sprowadzało następstwa. Większość,

po chwilowém zwróceniu oblicza w inną stronę, korniéj jeszcze niż wprzódy, bo ze skruchą i trwogą, na zawsze już pochylała je przed nieomylnością swych powag; inni, daleko mniéj liczni, nigdy więcéj odzyskać nie mieli swéj pierwotnéj, nieskazitelnéj wiary. Zależało to od mniejszych lub większych zdolności krytycznych, od większéj lub mniejszéj szczerości charakteru, téj szczerości, która człowiekowi czyni niepodobném wkładanie na własną, wewnętrzną istotę ochrończych i uspakajających masek. Był w zakładzie nauczyciel, który daremnie walczył z samym sobą i posiadaną przez się nauką, orężem mistycyzmu i zaparcia się samych nawet pozorów ludzkiéj dostojności. Wierzył we wszystkie wizye, mniemał że sam ich doświadcza: gromił uczniów za zbyteczny zapał do nauki; usiłował być wstrętnym; oburkliwy, szorstki, zaniedbujący najprostszą czystość ciała, nosił odzież podartą i brudną, połom swej sukni nadawał czynności ścierki. I gdyby zadaniem jego nie było kształcenie młodzieży, najpewniéj stałby się nietylko umarłym, ale i pogrzebanym za życia ascetą. Lecz właśnie przypadło mu w udziale nauczać matematyki i nauk przyrodniczych, a wszelkie usiłowania zabicia własnych zdolności sprawić nie mogły, aby nie widział więcéj, niż widziéć mu było wolno. Z siebie samego i z posiadanych przez się wiadomości ukrywał wiele; wszystkiego przed umysłami bystremi i chciwemi wiedzy ukryć nie mógł. „To, czego Pinault nauczył mię o historyi naturalnéj i fizyologii, wtajemniczyło mię w prawa rządzące życiem. Byłby on moim prawdziwym mistrzem, gdyby najdziwniejszym z procesów ludzkiego ducha, nie dążył z rodzajem wściekłości do ukrycia i wykrzywienia najpiękniejszych stron swego geniuszu. Jednak rozumiałem go lepiéj i więcéj niż tego domyślał się i niżby tego żądał. Zacząłem spostrzegać niedostateczność tego, co nazywa się spirytualizmem; kartezyuszowskie dowody istnienia duszy oddzielnéj od ciała wydawały mi się niedostatecznemi, traciłem ufność w abstrakcyjną metafizykę, która rości pretensye do stanowienia nauki po za granicami wszystkich nauk i sama jedna podejmuje się rozwiązywać wszystkie najwyższe zagadki ludzkości.... Wieczne *fieri*, czyli stawanie się, przemiana bez końca, zamajaczyła przedemną w postaci prawa rządzącego światem. Przyroda objawiła mi się jako wielka całość, bez oddzielnych aktów stwarzania i w któréj wszystko ulega prawu przemiany...“ Tak... Budowa przez lat tyle na przyjaznym gruncie wznoszona zachwiała się w swych najtajniejszych podstawach; ale ten, który na poły z rozkoszą, na poły z męczarnią chwianie się to czuł w sobie, jeszcze nie wiedział czego właściwie było ono początkiem i zapowiedzią. Wyjaśnił mu to jeden z najprzenikliwszych, a zarazem najsurowszych przewodników zakładu. „P. Got-

tofrey rozmawiał zemną bardzo rzadko, ale przypatrywał mi się widocznie z wielką ciekawością. Łacińskie argumentacye moje, a szczególniéj stanowczość i przejęcie się, z jakiemi je czyniłem, zadziwiały go i niepokoiły. Raz, gdy z większą niż kiedykolwiek mocą stawiałem zarzuty, a słabość udzielanych mi odpowiedzi wywołała kilka uśmiechów na twarze mych współtowarzyszy, Gottofrey przerwał lekcyą, a wieczorem wziął mię na stronę i długo, wymownie mówił mi o tém, jak bardzo ufność pokładana w rozumie przeciwną jest chrześcianizmowi i jakie krzywdy racyonalizm wyrządza wierze. Uniósł się i ostro wyrzucać mi zaczął zamiłowanie moje do nauki. Na co się zdało badanie? Rzeczy najważniejsze są już poznane. Nie przez naukę wcale dusza zbawioną być może. Nakoniec, unosząc się coraz bardziéj, rzekł mi namiętnie: „Nie jesteś chrześcianinem.“

W głowę i serce młodzieńca słowa te wpadły gromem i napełniły go takim przestrachem, że opuszczając celę nauczyciela swego, chwiał się na nogach. Noc całą spędził w dręczącym niepokoju, a nazajutrz z rana trwogę swą i żałość powierzył spowiednikowi swemu, będącemu także jednym z przewodników zakładu. Ten był człowiekiem łagodnym, gładkim, pobłażliwszym od innych, a zarazem niezachwianie ufającym w potęgę węzłów, wiążących z wiarą te serca ludzkie, które ją raz poznały. Mniemał, że węzłów tych rozluźnić ani tembardziéj zerwać nie mogą drobne i jak mniemał przemijające wątpliwości. Pocieszył on i uspokoił swego ucznia i penitenta, nie tail przed nim nawet, że postępek Gottofreya wydał mu się niewłaściwym i nieostrożnym, doradził nie zastanawiać się wcale nad niektóremi ruchami myśli, których przyczyną była młodość, a które najpewniéj znikną bez śladu w wieku dojrzalszym, wśród powagi i zajęć kapłańskiego życia. Znacznie pocieszony Renan rozmawiał jeszcze o tym przedmiocie z innym swym nauczycielem, który także żywo zalecił mu nie myśléć o tém, co się przytrafiło i prawdziwości swéj wiary nie mierzyć drobnemi i cząstkowemi zarzutami. To go już uspokoiło tém łatwiéj, że we własném swém wnętrzu czuł niezmierną miłość dla idei, na któréj łonie spłynęły mu dzieciństwo i młodość i niezmierne pragnienie pozostania jéj wiernym. „Jakim sposobem scholastyka i chrześcianizm nie ustępowały z mego umysłu, w obec dość już jasnych pojęć o filozofii pozytywnéj? Młody byłem, niekonsekwentny i nie posiadałem jeszcze najważniejszych narzędzi krytyki. Uspakajał mię także przykład wielu wielkich umysłów, które, głęboko patrząc w naturę, nie przestawały być chrześciańskiemi. Myślałem szczególniéj o Malebranche'u, który przez całe swe życie odprawiał msze, mając o ogólnym porządku wszechświata wyobrażenia nie wiele różniące się z temi, do których ja te-

raz dochodzić zacząłem... Istotnie też twierdzić mogę, że chrześciańska wiara moja nie była nadwerężoną... Nie stawiałem przed sobą nigdy zasadniczéj kwestyi o prawdziwości dogmatów chrześciańskich i Biblii. Jak Leibnitz i Malebranche wierzyłem w objawienie, w znaczeniu jego ogólnikowém. Wprawdzie moja filozofia *stawania się* była najczystszą herezyą, lecz strzegłem się jeszcze wyprowadzania z niéj wniosków... Oprócz wszystkiego innego, powściągało mię na téj drodze uczucie skromności.." Spokojnie więc znowu i bez wahania, po dwóch latach filozoficznych studyów, przeszedł na wyższy wydział akademii, w którym wykładano właściwą teologią. Tu nauka hebrajszczyzny i rozbiór Biblii, oko w oko już postawiły go z objawieniem, a badania samych źródeł chrześcianizmu podały mu te najważniejsze narzędzia krytyki, o których braku wprzódy wspominał. Krytyka historyczna dokonała dzieła, przygotowanego przez literaturę, a rozpoczętego przez filozofią. „W księdze boskiéj wszystko ma być prawdziwém, a ponieważ dwie sprzeczności nie mogą być zarazem prawdziwemi, nie powinna ona zawierać żadnéj sprzeczności. Otóż uważne badanie Biblii, odkrywając przedemną historyczne i estetyczne skarby, przekonywało mię, że księga ta, na równi ze wszystkiemi księgami starożytności, nie jest wolną od przeciwieństw, wypadkowości, błędów. Są tam bajki, legendy i wyraźne ślady ludzkiéj kompozycyi. Niepodobném stało się utrzymywać, że druga część Izajasza pochodzi od Izajasza. Księga Daniela, którą prawowierność przypisuje epoce niewoli babilońskiéj, jest fałszywoimiennym utworem z 169 czy 170 roku przed nar. Chr. Księga Judyty przedstawia historyczną niemożliwość. Poczytywać Pięcioksiąg za dzieło Mojżesza jest niepodobieństwem, a wobec zaprzeczenia temu, że pewne części Genezy mają charakter mitów, za prawdziwe uważać należy, opowiadanie takie, jak o raju, jabłku i arce Noego. Zaś, ktokolwiek zbacza od jednego chociażby z tych punktów, przestaje być katolikiem.... Prawowierność rozkazuje wierzyć, że wszystkie biblijne księgi są utworami tych, którym przypisują je ich tytuły. Najumiarkowańsze doktryny katolickie nie pozwalają przypuszczać znajdowania się w księdze świętéj jakiegokolwiek błędu, jakiejkolwiek sprzeczności, nawet w tych jéj ustępach, które nie mają związku z wiarą lub moralnością. Otóż, przypuszczając nawet, że wśród tysięcy sporów, które na różnych punktach mniemanego świętego pisma staczają się pomiędzy krytyką a prawowiernością, znajdują się takie, w których wbrew pozorom prawowierność ma za sobą słuszność, niepodobném jest przecież, aby miała ona słuszność po wiele tysięcy razy; zaś jeżeli raz jeden tylko nie ma słuszności, cała teza natchnienia z góry upada.... W kategoryi sprzeczności naprzy-

kład. każdy umysł wolny od teologicznych uprzedzeń przyznać musi, że sprzeczności niepodobne do pogodzenia zachodzą pomiędzy trzema pierwszemi Ewangeliami a Ewangelią czwartą, jako téż w porównaniu pomiędzy trzema pierwszemi. Dla racyonalistów nie posiada to wielkiego znaczenia, ale prawowiernego obowiązek dowodzenia. że księga jego nie może zawierać błędu, oplątuje siecią nieskończonych subtelności. Sylwester de Saçy zajmował się specyalnie cytatami ze Starego Testamentu, znajdującemi się w Nowym i tak mu było trudno usprawiedliwić ich skrzywienia, że skończył na przyjęciu zasady następującéj: oba testamenty są nieomylne, ale Nowy Testament przestaje być nieomylnym wtedy, gdy czyni przytoczenia ze Starego. Podobnie rozpaczliwym pomysłom ten tylko dziwić się może, kto zbliska nie zna spraw religii. Lecz ktokolwiek doświadczył rozbicia wiary. téj wiary, z któréj uczynił ognisko i moc swego życia, wié dobrze, iż tonący, chwyta się najniemożliwszych środków ratunkowych, byle tylko nie stracić wszystkiego. co kocha i czci...."

Jego rozbicie było historyą długą, bolesną, pełną nieposkromionych buntów myśli i pokornych skruszonych powrotów. Krwawemi łzami opłakiwał to, co tracił i rozżalone swe serce rzucał do stóp Jezusa, wołając: „Przyjm mię takim, jakim jestem, opuszczać cię nie chcę!" Jezus. który przepowiadał, że przyjdzie czas, gdy ludzie nie będą czcić Boga w żadnéj świątyni i na żadném wzgórzu, ale w sercach swoich, ujrzałby pewno w tém sercu szczerém i w ideałach rozkochaném swoję świątynię. Ale sam nawet kościół, pomimo kwestyi o drugiéj części Izajasza, księdze Judyty, raju, jabłku, arce i t. p. zwątpień duszę tę dręczących, a wcale przed nim nie ukrywanych. przyjąć go pragnął takim, jakim był. Naturalnie, postradanie téj wielkiéj zdolności albo zachowanie jéj w łonie kościoła, było rzeczą nie małéj wagi. Przytém charakter buntownika, surowy dla siebie, a miękki i słodki dla innych, zapowiadał jednego z tych kapłanów, którzy w nieskazitelnych i dobroczynnych dłoniach wysoko wznoszą sztandar swéj religii. Więc spowiednik Renana, nie ten już co pierwéj, lecz równie ujmujący i pobłażliwy, usilnie go pociągał, ku przyjęciu pierwszych święceń kapłańskich. „Co? — mówił — pokusy przeciw wierze! Ależ nie zważaj na to! Idź prosto przed siebie. To przeminie. Pokusy te poczytuj za umartwienie takie jak wszelkie inne. Wiedz, że nie znałem nikogo, ktoby ich nie doświadczał. Trzeba tylko mieć cierpliwość. Trzeba tylko tym podszeptom nie odpowiadać, udawać nawet, że się nie słyszy głosu nieprzyjaciela. Niech sobie, ile chce, puka do drzwi, nie trzeba nawet zapytywać: kto tam?"

Późniéj, ludzie przeciwnych przekonań krwawy zarzut czynili mu z tego, że uległ tym ujmującym i pobłażliwym namowom. Jak

śmiał przestąpić pierwszy próg kościoła, wiedząc już o tém, że jest wyrodnym jego synem? Dla czego, nie wierząc już, dokonał najwyższego aktu wiary? Niejednokrotnie powiedziano mu potém, że w owéj chwili był on oszustem i złodziejem rzeczy świętych. Jednak ci, którzy go przez próg ten przeprowadzili i owego aktu na nim dokonali, wiedzieli jakim był nietylko na równi z nim, ale zapewne lepiéj od niego samego; bo najtrudniejszym jest do spełnienia w całéj swéj rozciągłości, filozoficzny przepis: znaj samego siebie! Ale znać go musieli ludzie doświadczeni i biegli, którzy przez lat kilka trzymali pod swém okiem i roztrząsali w konfesyonale jego sumienie. Ufali oni w przyszłość, w dojrzałość, we wpływy czynnego i od książek oderwanego życia, - może téż w siłę korporacyi, w uczucie obowiązku, we względy na dostojność kapłańskiéj szaty i srogość ludzkich opinii. Ale i on także posiadał wyobrażenia, które go od wszelkiéj obłudy broniły. Kiedy wkładając kapłańską suknię, wymawiał przepisane słowa: „Cząstką dziedzictwa mego i kielicha mego jest Pan. Ty jesteś, który mi powrócisz dziedzictwo moje!“ myślał o poświęceniu swego życia sprawom ludzkiego ducha, myśli, wiedzy, pracy, i o zasłużeniu sobie tym sposobem na część dziedzictwa i część kielicha w krainie ideału. W myśli jego brzmiało gorące *Ascendam*! *Ascendam*! wyżéj i wyżéj! Przyszłość okazać miała, czy i jak spełnił tę swoję wewnętrzną przysięgę.

Tymczasem, było to już ostatnie zawahanie się jego na drżącym mu pod stopami gruncie. W ojczystéj swéj Bretanii, do któréj przybył na wakacyjne miesiące, sam na sam znalazł się ze swém sumieniem i do reszty siebie samego zrozumiał. Zrozumiał, że z sieci jego dawnéj wiary, ani jedne oko całém nie pozostało i że uległa ona nie przed jedném rozumowaniem, któreby można było wyrzucić z mózgu, lecz przed tysiącem rozumowań, które się stały samą istotą jego umysłu. Wtedy rozegrał się w jego wnętrzu dramat rozdzierający. Wszystkie jego przyzwyczajenia, uczucia, interesy własne i rodzinne wystąpiły w nim do walki z jedną tylko uczciwością. Żadna inna pobudka nie popychała go do uczynienia strasznego kroku i dla tego właśnie był on dlań strasznym. Z utratą wiary religijnéj dzieje się rozmaicie; w różnych ustrojach ludzkich dokonywa się ona wskutek wpływów różnych i różne po sobie w sumieniu i życiu pozostawia ślady. Są ludzie, którzy rodzą się niezdolnymi do zrozumienia i umiłowania wszelkiéj abstrakcyi i wszelkiego ideału: ci, narzuconą im w dzieciństwie wiarę tracą niepostrzeżenie, bezwiednie, jak coś sztucznie w naturę ich wstawionego i obchodzą się bez niéj potém z łatwością, jak bez czegoś, co im zupełnie było niepotrzebném. Inni, najniżsi, umyślnie wiarę tę usuwając z swéj drogi, goto-

wi są nawet deptać ją ze wściekłością, dla tego, aby moralne jéj przepisy nie przeszkadzały im czynić zadość własnym ich interesom lub namiętnościom. Inni jeszcze, najwyżsi i najszczęśliwsi posiadają już w chwili jéj utracenia w zastępstwie życiowych podstaw, których ona udzielić może, inne podstawy, w zastępstwie dróg, które ona wskazuje, drogi równie dostojne i pewne, którym przewodniczy inna, już przez nich poznana i ukochana idea. Do żadnéj z tych kategoryi nie należał Renan. Natura jego do najwyższego stopnia religijną była w tém znaczeniu, że niby ptak w czystém powietrzu, mogła żyć i oddychać tylko w świecie abstrakcyi i ideałów; z pomiędzy zaś tych ostatnich, ten, który mu od dzieciństwa przyświecał, odpowiadał wybornie uczuciowéj stronie jego charakteru. Żadna namiętność i żaden interes, nie skłaniały go w stronę przeciwną. Ci nawet, którzy potém żywili względem niego najżarliwszą nienawiść, nie zdołali odkryć, wśród rządzących nim wtedy pobudek, téj pospolitéj w takich razach sprężyny, którą Francuzi określają słowami: *cherchez la femme*; co zaś do interesów, nic bardziéj obrażać ich nie mogło, jak rozstanie się z przyszłością, już dlań utorowaną przez długoletnie nauki, któréj nad wszystko pragnęła, gorąco przezeń ukochana matka, w któréj, oczekiwały go cisza i spokój, tak ponętne dla jego skromności i nieśmiałości, zajęcia, tak stosowne dla jego chęci oddania się sprawom ducha, pewność materyalnego bytu tymczasem, a potém zapewne, należne wyższym jego zdolnościom zaszczyty i dostojeństwa. Nic jeszcze nie posiadał, coby zastąpić mu mogło to, co tracił. Ubogi, nieznający świata i ludzi, bez stosunków i poparcia, bez wszelkiego określonego zawodu, bo jakkolwiek był uczonym, do wstąpienia na jakąkolwiek drogę publicznych czynności stosownych praw nie posiadał; w 24-m roku życia miał zaczynać życie tak zupełnie, jakby dotąd wcale jeszcze nie żył. W dodatku, wiedział, że jednem słowem swém trwogą i rozpaczą napełni serce nad wszystko mu drogie, serce matki... słowo to, zerwać téż miało stosunki jego z nauczycielami i współtowarzyszami, zgruchotać wszystkie dotychczasowe przywiązania, pozrywać przyjaźni, wytrącić go z atmosfery rodzinnéj w świat zupełnie obcy, który zrazu przynajmniéj, powitać go musiał podejrzeniami, przyganami i pośmiewiskiem, ścigającemi zawsze podobnych mu dezerterów...

Ażeby tych wszystkich wstrząśnień, boleści i trosk uniknąć, co należało mu uczynić? Nic, tylko na duchowe oblicze swoje włożyć maskę, nawet pół maski, bo dla instytucyi kościoła zachowywał jeszcze głęboki szacunek, a samo źródło chrześciańskiéj religii, Jezusa, tak czcił i kochał, że teraz, gdy na pozór miał go opuścić, cześć ta i miłość stanowiły najsroższą z mnóstwa jego męczarni... Więc, tyl-

ko pół maski, tylko o tém i owém przemilczéć, tylko to i owo w głębinach ducha przed wszelkim wzrokiem zamknąć, dalszy rozwój swéj myśli silną wolą wstrzymać, a z tém. coby tam jeszcze gwałtem wdzierało się do rozumu, przyjazne i tajemne kompromisy zawrzéć. Nic, tylko to. Trochę obłudy i trochę dobrowolnéj ślepoty i głuchoty, trochę oszustwa i trochę samobójstwa...

Ale on tego nie chciał. Ani oszukiwać innych, ani w samym sobie najwyższego wykwitu człowieczéj istoty zabijać nie chciał. Kochał prawdę i miał cześć dla powszechnéj myśli ludzkiéj, któréj myśl jego była objawem i cząstką. Zasiew uczciwości i surowego zapatrywania się na życie, rzucony w jego duszę, przez uczciwych i surowych księży w Tréguier, miał teraz wydać plony i—zwrócić ich wychowańca przeciw temu, co oni poczytywali za jedyne źródło uczciwości i cnoty... Tak wiatry polne odnoszą w przeciwną stronę ziarno [rzucone] ręką rolnika; lecz tu lub gdzieindziéj wydaje ono kłos żywiący i zdrowy. Ironia, śmiejąca się na dnie wszelkich spraw ludzkich, nie jest czém inném, jak niepodobieństwem, w jakiém znajdują się ludzie, przewidzenia i rozpoznania wszystkich wyników, które kiedyś skrzyżują się z ich zamiarami i łańcuch przyczyn i następstw ułożą w sposób dla nich niespodziany.

Są ludzie, którzy umieją płakać tylko nad mogiłami drogich im ludzi; czém zaś jest składać do grobu uczucia albo idee, nie wiedzą. Lecz dla organizacyi innych, to w co wierzyli i to co wielbili staje się samém jądrem ich istoty, którego zamieranie wstrząsa do głębi ich życiem. Takiemu wstrząśnieniu uległ Renan, gdy jasno i ostatecznie ujrzał w sobie umieranie dotychczasowych uczuć swych i wierzeń. Wraz z tém jasném spojrzeniem w siebie, powziął postanowienie stanowcze. Doskonała uczciwość nie może długo walczyć z pokusami. Tu zaś, głos wewnętrzny rozkazująco mu powtarzał: „Nie jesteś już katolikiem. Suknia twoja jest kłamstwem. Zrzuć ją co prędzéj.“ Katolikiem już nie był, ale czyż przez to wszystko już było straconém? Jak tonący kruchą gałęź, tak on chwytał myśl, że przecież chrześcianinem pozostał. Czyliż nie kochał Jezusa i nie pragnął w swém życiu iść za naukami tego, którego dotąd za mistrza mistrzów uważał? „Gdybym był skłonnym do wierzenia w wizye, ujrzałbym pewno Jezusa, przemawiającego do mnie: „Opuść mię, aby pozostać moim uczniem!“ Bo on przecież niezmiennie pozostał dla mnie mistrzem, a gdy kosztem wszelkich ofiar chciałem trwać przy tém, co miałem za prawdę, byłem przekonany, że postępuję za nim i pełnię najważniejsze jego przykazanie.“ Lecz i ten punkt oparcia, wkrótce skruszył się w jego dłoni.

Jeden ze szkolnych współtowarzyszy jego, najczulszą przyjaźnią od dzieciństwa z nim związany, ks. Cognat, niedawno ogłosił drukiem listy, które podówczas od niego otrzymywał i przyznać trzeba, że jakkolwiek to uczynił w celu zupełnie przeciwnym, oddał tém dawnemu przyjacielowi swemu przysługę znakomitą. W listach tych. przedstawia się jeden z najwspanialszych obrazów téj ziemi: dusza ludzka wśród niewymownych cierpień, ważąca się na krok, mający uratować jéj dostojność i prawość „Wybór, który mam do zrobienia, przedstawił mi się bardzo jasno; nie mogę wrócić do katolicyzmu inaczéj, jak przez amputacyą dokonaną na jednéj z władz mego umysłu, przez ostateczne przytłumienie mego rozumu i rozkazanie mu, aby milczał pokornie, aby milczał zupełnie i zawsze. Tak, gdybym wrócił, musiałbym wyrzec się życia nauki i rozbioru, a żyć życiem mistycznem... bo co do życia płochego i nizkiego, od tego, mniemam, że Bóg mię zawsze chronić będzie. Katolicyzm zadawalnia we mnie wszystko, prócz méj zdolności krytycznéj; trzeba więc wyrzec się jednego, lub amputować drugą. Ostatnia ta operacya byłaby trudną i bolesną, ale wierz mi, że dokonałbym jéj bez wahania, gdyby mi tego sumienie moje nie wzbraniało, gdybym mógł wierzyć, że jest to rozkazem Boga. Wierzaj mi także, iż musiałem strasznie cierpiéć, jeżeli mogłem nawet rzecz taką przypuścić, bo wydaje mi się ona sroższą od śmierci.“

W innem miejscu pisze.

„Szczęśliwe dzieci, które śpią i marzą i nie myślą wchodzić w tę walkę z Bogiem! Widzę dokoła siebie ludzi czystych i cnotliwych, którym chrześcianizm wystarcza do szczęścia i cnoty. O! niechże Bóg ich broni od przebudzenia się téj bolesnéj zdolności, téj krytyki niezmożonéj, która tak nieprzezwyciężenie upomina się o swe prawa! Nie wahałbym się wykroić ją z siebie, gdybym to uważał za możebne i godziwe. Wiem, że prawowierny powinien ten stan mój przypisywać méj własnéj winie. Nie będę się o to sprzeczał; nikt nie wie, czy zasługuję na miłość albo nienawiść. Lecz możnaż czynić lepiéj, jak złożyć się w ofierze temu, co się poczytuje za prawdę?“

„Wzgardzić opinią ludzką, która mi będzie bardzo surową, przebyć długie lata ciężkiego życia i kto wie, nigdy może żadnego celu nie osięgnąć, to jeszcze za mało cierpienia. Zmuszony jestem własną ręką przebić to serce, na które spłynęła cała tkliwość mego. Miłość synowska zastępowała mi dotąd wszystkie miłości inne, a pomiędzy mną i moją matką zadzierzgnęło się tysiąc węzłów, z okoliczności naszego życia powstałych. Otóż tu jest moja najcięższa ofiara. Boże mój! co to będzie? co to będzie? Pieszczoty jéj mię dręczą, od marzeń jéj, o których mi mówi ciągle, serce me łzami na-

brzmiewa. Ach, gdyby ona wiedziała! poświęciłbym dla niéj wszystko, oprócz obowiązku i sumienia mego.“ ... „A w życiu praktyczném cóż będę czynił? Z niewymowną trwogą widzę zbliżający się koniec wakacyi a wraz z nim, chwilę, w któréj będę musiał stan mojéj duszy wyrazić czynami. Troski powszednie życia męczą mię i nudzą... Nie jestem stworzonym na rycerza przemysłu. Wiem, że; ludzie śmiać się będą z méj prostoty i wezmą mię za głupca. Gdybym jeszcze był pewnym samego siebie! Lecz, jeżeli w zetknięciu z powszedniością utracę czystość mojego serca i moje pojęcia o życiu! A któż znając siebie, może nie lękać się słabości własnéj?.. Często myślę o tobie, dobry mój przyjacielu, jak bardzo jesteś szczęśliwy. Przyszłość pomyślna i stale określona otwiera się przed tobą; widzisz dobrze swój cel i masz wszystkie sposoby dążenia ku niemu. Posiadasz potężne oparcie: ściśle zamknięty dogmat. Wprawdzie zachowasz pewno na zawsze swoję szerokość myśli i uczuć; obyś nigdy nie odkrył żadnéj niezgody, pomiędzy potrzebami serca i pragnieniami umysłu swego... Jakiekolwiek wyobrażenie poweźmiesz o mém położeniu obecném i stanie méj duszy, nie odbieraj mi swéj przyjaźni. Omyłki i nawet błędy, zerwać jéj przecież nie powinny. Zresztą, powtarzam, ufam w szerokość twéj duszy i niech mię Bóg broni, abym ci miał dowodzić, że nie jest ona prawowierną, bo pragnę, abyś ją zachował i zarazem, abyś prawowiernym pozostał. Tobie jednemu powierzam najtajniejsze myśli moje. Na Boga! bądź mi pobłażliwym i nie przestawaj nazywać mię swym bratem.“

W październiku 1845-go roku ze schodów seminaryum ś-go Sulpicyusza, zstępował młody człowiek w sukni kapłańskiéj, którą zdjąć miał za chwilę. Po długich rozmowach, stoczonych z tymi, których dotąd był uczniem, na zawsze opuszczał on te ściany i smutny, nieśmiały, samotny, wchodził w hałaśliwy, świetny i tłumny świat Paryża.

Zrazu napastowały go nędze życia srogie i pospolite. Siostra, o któréj tyle tylko wiemy, że „rozumem swym przyświecała mu w najtrudniejszych chwilach, nakształt płomienistego drogoskazu,“ przybiegała mu i z materyalną pomocą. Z głębi Polski, któréj przez czas jakiś była mieszkanką, przysłała mu 1200 franków, które musiały wystarczyć mu na długo, bo jakkolwiek wtedy już był najbieglejszym we Francyi hebraistą, stopnia naukowego nie posiadał i ograniczać się musiał, niezmiernie skromną i wcale prawie nie opłacaną czynnością korepetytora niższych klas w jedném z najmniejszych liceów paryskich. Czynność ta pogrążając go w materyalnym niedostatku, pozostawiała mu wiele wolnego czasu. Spędzał go w samotności i nad nauką. Sposobił się do zdania egzaminów w uniwersytecie

i zarazem wstąpił na drogę piśmiennictwa kilku małemi rozprawami, drukowanemi w dziennikach paryskich, za które zrazu żadnych honoraryów nie otrzymywał dla tego, że nie przyszło mu nawet na myśl dopominać się za pracę umysłową o jakąkolwiek zapłatę. Ale przyniosły mu one korzyść nieocenioną, bo zwróciły na niego uwagę ludzi stojących na czele francuskiéj nauki. Wkrótce wielcy i słynni uczeni, tacy jak Eugeniusz Burnouf, oryentalista, i Augustyn Thierry, historyk pierwszych wieków po Chr. gorąco zajęli się tak umysłem jego jak losem. W zastępstwie ks. Cognat, który wnet po ostateczném rozstaniu się jego z kościołem, w sposób gwałtowny i boleśny zerwał z nim stosunki, zdobył sobie najserdeczniejszego przyjaciela, w osobie słynnego potém naturalisty Berthelot'a. Jeden z najmożniejszych wydawców paryskich, niewzywany i całkiem mu nawet nieznany, zjawił się dnia pewnego w ubogiéj jego izdebce i w zamian prawa drukowania wszystkiego, co kiedy napisze, ofiarował mu sumę, mającą go już na zawsze ochronić przed niedostatkiem. Potém suma ta wzrastać miała, w miarę wzrastania jego pisarskiéj sławy. Nakoniec, tę rozwijającą się coraz pomyślność uwieńczyło przywrócenie spokoju i szczęścia zranionemu a tak bardzo drogiemu dlań sercu matki. Widząc, że syn jéj pozostaje dla niéj takim, jakim był wprzódy i że ze zmianą stanu, uczuciowa i moralna jego istota zmianie nie uległa, zrozumiała: „że na sposób różny kapłanem być można.“ Dach jego chronił ostatnie jéj lata od wszelkich smutków i niedostatków, a kiedy zbliżający się koniec życia obarczył ją fizycznemi cierpieniami, syn jéj dojrzały już wtedy, sławny, wzięty, poszukiwany, długie godziny odrywał od prac swych i towarzyskich stosunków, aby obecnością swą i rozmową kołysać jéj bóle i rozpromieniać ostatnie dni życia. W cichym pokoju, do którego wnikało tylko czerwonawe światło ulicznéj latarni, gdy za oknami Paryż wrzał, huczał i wzywał ku sobie tego, który dziś już był jedną z chwał jego, oni, we dwoje, przez długie wieczory rozmawiali z sobą o smętnéj Bretanii, o morzu, które z łoskotem oblewa jéj brzegi, o prastarych jéj patronach, o dawnych jéj mieszkańcach, o ciężkich przebytych chwilach i téj niezmiernéj dobroci, któréj pełnym jest wszechświat, a która sprawia, że ci co szukają prawdy, z łona burz i porożnień wchodzą w atmosferę pokoju i zgody. Potém, gdy ta szanowna i ukochana postać z pomiędzy ścian jego zniknęła, dom jego nie pozostał już pustym. Augustyn Thierry, który wprowadził go był w świat towarzyski Paryża, zapoznał go też z rodziną Szefferów, z pośród któréj wziął sobie żonę. Wkrótce też miał córkę, którą nazwał biblijném imieniem Noemi. Odbywał liczne podróże po Europie, na wschód i do Grecyi; otrzymał od swéj ojczyzny wszystkie możliwe

zaszczyty; został członkiem akademii i mnóstwa uczonych towarzystw, dyrektorem instytutu nauk, najbliższym przyjacielem ludzi najsłynniejszych. Miał także i nieprzyjaciół licznych i żarliwych. Jednym z nich był dawny przełożony małego seminaryum św. Mikołaja, ks. Dupanloup. Zrazu, wnet po zdjęciu z siebie przez Renana sukni księżéj, ufny zapewne w swą umiejętność jednania, okazywał mu on wiele słodyczy i wspaniałomyślności; potém przecież, gdy stało się niewątpliwém że rzecz była nieodwołalną, okazywał mu jawnie swe wrogie usposobienie. Do jednego z poufnych swoich pisał: „Istnieje na świecie człowiek, który nie ośmieli się spojrzéć mi w oczy. Jest nim Ernest Renan!“ Kiedy potém autora *Historyi języków semickich* i *Historyi początków chrześcıaństwa*, przedstawiono jako kandydata na wakujące krzesło w akademii 40-stu nieśmiertelnych, biskup orleański oświadczył, że opuści zgromadzenie to w chwili, w któréj Renan wejdzie doń w charakterze jednego z jego członków. O kilka lat przez to spóźniona, kandydatura ta została jednak przyjętą. Renan wszedł do akademii, ks. Dupanloup jéj nie opuścił; spojrzeli sobie w oczy. Najmilszego przyjaciela swéj młodości, księdza Cognat, nie widział przez lat 30. Po upływie dopiero czasu tego, obaj już siwiejący, ujrzeli się poraz pierwszy od burzliwego swego rozstania, na pogrzebie Littré'go. W pogrzebowym orszaku tego wielkiego myśliciela, którego ostatnie chwile są i na zawsze może pozostaną boleśną tajemnicą, szli obaj w doktorskich biretach: Renan w charakterze dyrektora Instytutu nauk, Cognat, proboszcza jednéj z największych parafii Paryża. Szli zdala od siebie, rozdzieleni przepaścią pojęć i spełnionych na świecie czynności. „Nie mogliśmy z sobą rozmawiać!“ — krótko i ze smutkiem o chwili téj pisze Renan. Jakaś ręka nieprzyjazna i dziwnie wytrwała, od lat wielu i każdego prawie miesiąca przysyła mu list, w którym te tylko i zawsze te same znajdują się wyrazy: „A jeżeli jest piekło?“ U końca swych *Wspomnień z dzieciństwa i młodości*, Renan na pytanie to odpowiada w sposób następujący:

„Zapewne osoba pobożna, która mi wciąż tę jednę myśl nasuwa, dba o zbawienie méj duszy. Wdzięczny jéj za to jestem. Ale naprzód, piekło jest hipotezą, nie zgadzającą się wcale z pojęciem o dobroci Boga, a potém, gdyby i istniało, z ręką na sumieniu wyznaję, że nie myślę, abym sobie na nie zasłużył... Nieskończona dobroć, którą znalazłem na tym świecie, upewnia mię niejako, że wiekuistość napełnioną być musi dobrocią jeszcze większą...“

Ta nieskończona dobroć działała w całém jego życiu.

„Życie mi było bardzo słodkiem i nie myślę, aby w tym stanie samowiedzy, jakiego dosięgła planeta nasza, istnieć mogło wiele istot

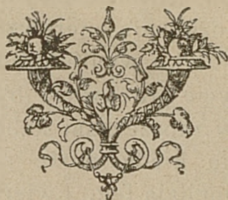
szczęśliwszych nademnie.... Pokój umysłu mego jest zupełny. Od natury i społeczeństwa doświadczyłem wielkiéj dobroci. Szczególnym trafem, który rozciągnął się na całe życie moje, w każdéj trudnéj chwili spotykałem ludzi wybornych. Dobry humor, do zmącenia trudny, będący wynikiem moralnego zdrowia, które znowu pochodzi z równowagi duchowéj i znośnego stanu ciała, utrzymywał mię zawsze na łonie filozofii spokojnéj, tłómaczącéj się bądź pełnym wdzięczności optymizmem, bądź wesołą ironią.... Przypuszczać mógłbym, że los zaściełał nieraz przedemną poduszki, aby mi oszczędzić zbyt bolesnych uderzeń.... A teraz dobrego geniusza, który tyle razy prowadził mię, pocieszał i wspierał, proszę już tylko, aby mi dał w dalszéj lub bliższéj przyszłości śmierć łagodną i prędką. Cierpienia zniżają poziom człowieka, osłabiają go, czynią skłonnym do zapierania się samego siebie.. Nie chciałbym przebywać tego okresu niedołężności, w którym człowiek energiczny i prawy staje się cieniem samego siebie i często, ku wielkiéj radości głupców, obala budowę, którą przez całe życie pracowicie był wznosił. Jeżeli jednak los taki mię spotka, z góry zaprzeczam słabościom, których słowami lub podpisem dopuścić się kiedyś może mózg mój rozmiękły i nieudolny. Niechaj ludzie słuchają tego i wierzą temu, co mówi im teraz Renan na ciele i umyśle zdrowy, a nie ufają temu, co powie on wtedy, gdy do połowy zostanie przez śmierć nadchodzącą zniszczonym i rozłożonym.....“

„...Istnienie, które otrzymałem nie prosząc o nie, uważam za wyświadczone mi dobrodziejstwo. Wiek, w którym żyłem, nie jest zapewne największym z wieków; ale uchodzić nigdy nie przestanie za wielce zajmujący. Jeżeli w ostatnich mych latach nie zaznam zbyt srogich cierpień, to, żegnając życie, będę mógł tylko dziękować przyczynie wszelkiego dobra za śliczną przechadzkę, którą pozwoliła mi ona uczynić śród świata rzeczywistości.“

Najpewniéj człowiek ten posiadał w samym sobie wiele przyczyn, które istnienie jego napełniły słodyczą i pokojem. Wielkie jego zdolności potężnie przed nim torowały drogę, a charakter dopomagał zdolnościom. Ujrzał on tę wielką prawdę, że kędy wiara znika, pozostaje moralność i do niéj stosował swe życie. Zrozumiał także zasadę, która kierować winna wszystkiemi podobnemi mu istnieniami, że „na dwie zarazem wolności pozwalać sobie nie można i wolnomyśliciel nie powinien mieć wolnych obyczajów.“ Czystość życia, surowość przyzwyczajeń, powaga zajęć stawały się dlań źródłem mnóstwa uciech i korzyści. Lecz w dorośnięciu tego umysłu do właściwéj mu miary i w pomyślnym biegu tego istnienia, wielki

udział przypada na chwałę społeczeństwa w którém się one rozwijały. Na chwałę i na szczęście: bo obfitą w nadzieje przyszłość mają przed sobą te kraje, które jak Francya, rozumieją dostojność myśli ludzkiéj i nie pozwalają wielkim zdolnościom swych synów maleć i marnieć w więzach i przeciwnościach. Gdzieindziéj Renan nie znalazłby zapewne ani opiekuńczych geniuszów, ani ochrończych poduszek i może nie domyśliłby się nawet, że świat jest pełen nieskończonéj dobroci....

Eliza Orzeszkowa.





TERESA MANFREDI.

NOWELA

JULIUSZA ZEYERA.

L'étranger, te voyant mourante, échevelée,
Demande: „Quas-tu donc, o femme désolée!"
A. Chénier.

O drogi mistrzu i przyjacielu, z jak rozżalonéin sercem pisze dzisiaj do ciebie. Pióro wypada mi z ręki, lecz muszę powiedziéć wszystko. Obiecałem to tobie i Benedyktowi i obietnicę winienem spełnić. Wiadomości twoje o tryumfach obrazu Benedykta w salonie paryzkim ranią mnie, jakby uderzenia sztyletu. Kto wie, czy nie będzie to ostatnie jego dzieło? Kto nam da pewność, że wyzdrowieje z ciężkiéj choroby duchowéj, w którą wtrąciły go wypadki, ściśle z tym obrazem związane? Jeżeli umrze, lub zwaryuje na dobre, jakże prędko przeminie młoda jego sława!... Dziesięć, dwanaście lat dalszéj działalności, a imię Benedykta zapisało by się może na wieki w dziejach sztuki—jeśli nie wyzdrowieje, za lat kilka zapomną o nim. Choć zresztą cóż mu z tego? Czyliż mniéj boli człowieka serce, gdy sobie zapewni tę odrobinę sławy pogrobowéj? O drogi mój mistrzu, jakżeś dobry, że dom swój i objęcia otwierasz nieszczęsnemu Benedyktowi, nie dbając o to, że spokój i cisza twéj pustelni w Passy przerwane zostaną westchnieniami i wykrzyknikami jego strapionego serca. Daruj, że mówię o dobroci twojéj, nie chcesz nigdy słuchać pochwał dla siebie, milczę już, toć i tak zabrakło by mi wymowy, gdybym słowami chciał ją ocenić. To, co ci dzisiaj piszę o Benedykcie, nie jest ani skargą, ani obroną, lecz prostem opowiadaniem faktów, o tyle przedmiotowém, o ile będę w stanie. Wymawiałeś mi ostatnim razem, że się niekiedy zbyt cierpko o przyjacielu wyrażam.

Nie przeczuwałeś, co się tu w Pradze działo, ja nie mogłem i nie śmiałem ci o tém pisać, podejrzewałeś mnie więc nareszcie, że się we mnie zbudziła jakaś zazdrość artystyczna ku zdolniejszemu Benedyktowi. Krzywda ta bolała mnie. Uznawałem zawsze bez goryczy świetniejsze jego zdolności i wierz mi, że nie żywię żadnéj zawiści. Robię bez pretensyi, co mogę, i byłem przyrodzie zawsze wdzięczny za ten mały dar talentu, którym mnie za mą, poprostu odrażającą twarz wynagrodziła. Dziękuję Bogu i za tę brzydotę, byłbym może mniéj zadowolony z miejsca, które jako artysta zajmuję, gdyby mnie szkarada moja już dawno rezygnacyi nie była nauczyła. Lecz pozwól, że już zacznę me opowiadanie.

Gdym roku zeszłego ze Skandynawii do Pragi powrócił, pierwsza przechadzka moja była, jak się łatwo domyślisz, na Hradczany do Benedykta. Tęskniłem za nim z całego serca, a byłem też ciekawy obejrzéć nową jego pracownię, o któréj mi w listach cuda opowiadał. Zaiste, miejscowość zasługiwała na jego natchnione pochwały. Pracownia znajdowała się w dawnym, dziś opuszczonym pałacu. Przez długą, ciemną bramę wjazdową wszedłem na podwórzec malowany sgrafito, który teraźniejszy właściciel w filisterskiéj swojéj głupocie „czysto“ pobielić kazał, tak, że tylko miejscami dawna arystokratyczna sława z pod mieszczańskiéj banalności ku słońcu się wydobywała, a na środku w bujnéj trawie płakała rozbita fontanna kroplistemi łzami na upokorzoną pychę czasów minionych. Przez piękny portyk kamienny dostałem się na wązkie schody, których wysokie stopnie z tak twardego kamienia wyciosane były, że wandalizm kilku stuleci zdrowo przetrwały. Może krew się po nich kiedyś potokami lała, może w ciemnéj téj klatce grzmiał dziki ryk boju? Kto wie? Cyniczny brud ich nie opowiadał o niczém. Wiodły mnie strasznie wysoko, wysoko, aż do samych drzwi drogiego przyjaciela. Miejscowość, którą sobie Benedykt na pracownię przetworzył, miała cechy o wiele późniejszych czasów. Cała ta masa maskaronów, girland i festonów z owoców i kwiatów, wszystkie te muszle, amory i biusty cezarów i bogiń świadczyły jasno w malowniczości swéj o dobie Ludwika XV. Ogromne okno, wybite w zupełnie zniszczonéj malaturze stropu, wpuszczało do pracowni łunę północnego światła, a ciężka opona naprzeciw wejścia zdawała się zakrywać drugie okno. Po pierwszém przywitaniu obejrzałem wszystko dokładnie, a podczas gdy Benedykt udzielał mi spostrzeżenia, że jego pracownia najprędzéj służyła kiedyś za teatr domowy, odsunąłem oponę. Zgadłem. Stałem przed oknem sięgającém do saméj podłogi, a trudno sobie wyobrazić piękniejszy widok nad ten, jaki otwierał się tu na labirynt zczerniałych dachów, pysznych wież i majestatycznych kopuł, z dziw-

nie powabném tłem porosłego drzewami Petrzyna i dyamentowym połyskiem rzeki w oddali. Spojrzenie na Pragę budzi zawsze we mnie natchnienie, a czarowny ten obraz nie traci nigdy nic ze swéj nowości. Chciałem stanąć na szerokim gzymsie przed oknem, aby użyć jeszcze szerszego widoku, Benedykt z przerażeniem w tył mnie pociągnął.

— Jesteś nienasycony! powiedział mi.

— Człowiek włóczy się w pocie czoła po fiordach—zadeklamowałem—wytrząsa niemiłosiernie ubogie swe ciało na tych strasznych wózkach, które dobrzy Norwegowie (niepiękną rzecz niepięknėm słowem) stoikärren nazywają, a coś takiego jak ten obraz nie zwraca niczyjéj uwagi!

— Czy nie myślisz śpiewać tu u mnie swéj niemożliwéj pieśni o tematach obcych!—przestraszył się Benedykt a ja waryat jeszcze wstrzymuję cię, byś z okna nie wyleciał, zamiast po przyjacielsku pomódz ci dostać się na dół. Schowaj sobie, mój drogi, to przyjemne kazanie na jaką herbatkę estetycką, a opowiedz lepiéj o swoich podróżach, przygodach...

Teraz ja śmiać się zacząłem.

— Więc ty wierzysz jeszcze w tę fantastyczną rzecz, która się nazywa przygodą? To może wierzysz także w istnienie jednorożca, co?

Tymczasem Benedykt rozwinął mój karton, który przyniosłem z sobą i rzuciłem gdzieś, na jakieś krzesło, które się pod rękę nawinęło.

— Mój ty Boże!—zawołał z rzeczywistym zapałem—zkąd wziąłeś to studyum?

Spojrzałem. Był to naprędce naszkicowany widok miejscowości. oddalonéj o kilka mil od Jönköpingu: miał prawdziwy szwedzki charakter: wielkie torfowisko gdzieniegdzie porośnięte jałowcem, po niem rozrzucone łomy siwego granitu, w głębi las brzozowy, a nad całym krajobrazem niezmierzony widnokrąg, rozciągający się w dal bezgraniczną. Wieczór się zbliżał, torfowisko parowało i modre dymy pełzały po niem ku lasowi, jak cienie ossyaniczne. W mgnieniu oka zapomniałem o Pradze jaśniejącéj przedemną w blaskach słońca i zatęskniłem znów całą duszą do szwedzkiéj pustyni; westchnąłem głęboko.

— Aha, zdaje się, żeś miał jednak jakąś przygodę—drażnił mnie Benedykt—ta miejscowość była niewątpliwie sceną najdziwniejszego w świecie wypadku...

— Doprawdy, byłbym zapomniał—odrzekłem—istotnie, stało się coś, gdym ten szkic malował.

— Opowiedz!—nalegał Benedykt.

— Łudzisz się, mój drogi, nie była to żadna przygoda, jeno zwykłe spotkanie, ale i ty masz w tém pewien udział. Poznajomiłem się bardzo blizko i dobrze tu, właśnie naprzeciw tego lasu, z zapalonym dyletantem. Malujący i rysujący dyletanci są, obok gromad podróżników angielskich—najcięższą klęską wieku naszego. Mój dyletant był hrabią i rodakiem, nie znał niewątpliwie „drugiego języka krajowego,“ wogóle wszakże porządny to chłopak. Oto masz jego bilet. Szliśmy razem z Jönköpingu do Habo piechotą; trwało to dzień cały, ponieważ robiliśmy po drodze szkice niektórych grup drzewnych. Hrabia podziwiał mię naiwnie i szczerze, choć przyznał mi się, że nie rozumie dobrze, na co podróżuję po Szwecyi. Jego ściągnęły tutaj stosunki rodzinne, lecz zawiódł się, wyobrażał sobie Szwecyą zupełnie inaczéj, nie znalazł tam jak mówił—ani jednego motywu do porządnego obrazu. Pokazał mi swą tekę, same studya ze Szwajcaryi, same Alpy w różanych świtach z modremi, jak śliwy cieniami. Lodowce jego wyglądały jak puddyngi migdałowe, polane sokiem poziomkowym. Zresztą, jak ci mówię, dobry, tęgi chłopiec. Ma tu w Pradze narzeczoną, która mieszka z ojcem swym w jego pałacu. Przyszły teść jego, szlachcic czeski z nazwiskiem włoskiém, nie ma podobno żadnego majątku, matka narzeczonéj była córką jakiegoś mieszczanina. Hrabia nie mieszka nigdy w Pradze i wynajął księciu, przyszłemu teściowi, swój pałac. Jeśli chcesz, pójdziemy jutro do księcia.“

— My?—zadziwił się Benedykt—a to na co?

— Hrabia powiedział mi, że są podobno w jego pałacu jakieś stare, uszkodzone freski. Życzy sobie, abyśmy je obejrzeli, a ty—bo mówiłem mu o tobie—masz je podobno restaurować. Hrabia tak cię—tymczasem tylko na wiarę słów moich, nieograniczenie uwielbia, że pragnie, abyś mu robił portret jego narzeczonéj. Pisał już do księcia, który nas oczekuje; wyprawiałem sam list do niego w Chrystianii, gdzieśmy się z hrabią rozstali. Dałem mu też słowo, że zaraz po przyjeździe księżniczkę, jego narzeczoną, odwiedzę i pokażę jéj swoje studya. Podobno tak samo zapalona do sztuki, jak on. Szczerze mówiąc, obietnica ta wcale nie robi mi przyjemności. Nie jestem nieprzyjacielem arystokracyi rodowéj, przeciwnie, uważam ją za prawdziwy ideał w porównaniu z naszą głupio nadętą burżuazyą i ze śmieszną zarozumiałością naszych mniemanych wielkości, ale nie czuję się jednak swobodnym w jéj towarzystwie. Nasza szlachta nie ma polotu ani poczucia piękna, nie rozumie sztuki, jednêm słowem, nie jest arystokracyą z epoki odrodzenia. Niewątpliwie, nam także daleko do artystów owoczesnych, to też—mówiąc bezstronnie

upadły obie arystokracye: i rodu i ducha równie nizko. *A propos*, znasz pałac hrabiego?

— Znam—odrzekł Benedykt i przystąpił do wielkiego okna.— Widzisz tam tę wysoką fasadę? Jest to tylko o kilka domów ztąd, człowiek mógłby po tych śpiczastych, krętych szczytach dachów dostać się aż do pałacu, gdyby naturalnie był tak lekki, jak gołąb, lub przynajmniéj tak zgrabny, jak kot. Widzisz, jak się ta droga zawraca, jak robi zakręty aż tam do tarasu za klasztorem Barnabitek, potém biegnie prosto do pałacu. Nieraz myślałem o tém, że narażając życie, może udałoby się dopełznąć aż na ten taras w przybytku świętych dziewic.

Benedykt zaśmiał się na całe gardło; w téj chwili zadzwonił ktoś, naprzód nieśmiało, a zaraz potém bardzo gwałtownie. Otworzyłem—i wysoka, smukła dziewczyna w prostéj, lecz gustownéj odzieży jak cień wsunęła się do pracowni. Piękność jéj nie miała nic wspólnego z ideałem greckim, ale przypominała mocno egipskie boginie, tak misternemi konturami rysowane na murach świątyń i grobowców. Profil jéj z tém nizkiem, spokojném czołem, z delikatnym, na końcu nieco zagiętym nosem, z pełnemi ustami i krótką, silną, pięknie zaokrągloną brodą, był tak czysty, jakby go rysował najlepszy artysta z najświetniejszéj epoki tebańskiéj. W wyrazie szczególnéj jéj twarzy było coś dziecinnego a przecież poważnego, uderzała na pierwszy rzut oka, ale olśniewająca piękność jéj wtedy dopiero w pełném okazała się świetle, gdy podniosła spuszczone źrenice. Pod czarnemi, nad nosem prawie zbiegającemi się brwiami świeciły namiętnie ciemnosiwe oczy podłużnego kształtu i szczególnego, zagadkowego czaru. Były głębokie jak niebo. W całéj postaci jéj przebijała się spokojna jakaś dystynkcya, a ruchy jéj były pełne wdzięku, jak kwiaty chwiejące się pod tchnieniem wiatru.

— Czego pani sobie życzy?—spytał Benedykt z owym trochę cynicznym uśmiechem, który tak często szpecił piękną twarz jego.

— Dowiedziałam się, że potrzebujesz pan modelu, myślałam tedy... jąkała się, blada twarz jéj stała się jeszcze bledszą, a uśmiech jego jeszcze obelżywszym.

Była to dla mnie scena tak niemiła, żem porwał za kapelusz.

— Benedykcie,—rzekłem—zdaje mi się, że panienka mnie się żenuje, pójdę do kawiarni, nie jadłem jeszcze śniadania, tam będę czekał na ciebie.

Zdawało mi się, że jéj ulżyło. Skłoniłem jéj się, podziękowała mi wdzięczném nieledwie spojrzeniem ciemnosiwych oczu. Zbiegałem ze spadzistych schodów tak szybko, jak na to moje długie, niezgrabne nogi pozwalały, i nie wiem, czemu westchnąłem wspominaw-

szy mimowolnie o brzydocie mego oblicza; było to coś niezgodnego z moją zwykłą niedbałością o swoję piękność. Znalazłszy się na podwórzu, przypomniałem sobie, że nie powiedziałem Benedyktowi, do któréj pójdę kawiarni. Wracać nie chciałem, oparłem się tedy o wpółrozwaloną fontannę, zamierzając poczekać tu na przyjaciela. W głębi serca przyznałem sobie, że poczekam chętnie—wabiła mię pewność, że zobaczę znowu te szczególne, namiętne, poważne a jednak tak dziecięce oczy. Zacząłem o ich siwym blasku rozmyślać, marzyć... I zdało mi się naraz, że zniszczone sgrafito w całéj harmonii pięknych linii na ścianach wystąpiło, że srebrny strumień fontanny wzbił się wysoko między szeleszczące korony nieobecnych już drzew, z okien domu wyjrzał rój paziów złotowłosych, dawno zamarłe dźwięki mandolin zabrzmiały słodko z wysoko sklepionych sal i galeryi, a z pod wysmukłéj kolumnady wyszła z cichą powagą wysoka postać... Jedwabny tren jéj szumiał po gładkich płytach kamiennych, miękkie jéj włosy połyskiwały w słońcu, na łabędziéj, białéj szyi wisiały drogocenne perły, a pod czarnemi, nad zgrabnym nosem prawie schodzącemi się brwiami świeciły jasno a głęboko siwe jéj oczy...

Nie wiem, jak długo trwał mój sen, wyrwały mię z niego pośpieszne, lekkie kroki, które ozwały się za mną na spadzistych schodach, i w chwilę potém przebiegło koło mnie dziewczę, o którém marzyłem. Była zmięszana i nie widziała mnie. Śpieszyła się. Przebiegła szybko podwórze, zatonęła w mroku ciemnego przejazdu, potém raz jeszcze kontur wysmukłéj jéj postaci z przedziwną czystością zarysował się na złotem tle blasków słonecznych przed domem—i znikła. Miałże-m biedz za nią? I po co? Zanim zdążyłem odpowiedzieć sobie na te pytania, usłyszałem i ujrzałem już Benedykta na schodach. Był wesół jak zwykle i pogwizdywał sobie.

— Co się stało? Co jest temu dziewczęciu? —spytałem szybko.

— Nic się nie stało—uśmiechnął się Benedykt pokręcając spokojnie wąsa.—Młoda ta dama ofiarowała mi swoję miłość, a ja ją odrzuciłem.

-- Ofiarowała ci swoję miłość—powtórzyłem za nim powoli, zdumiony i z ciężarem jakimś na sercu, potém dodałem nieco ostrym tonem:—A tyś ją odrzucił! Nie bywałeś przecie nigdy nieczułym, o, chyba przeciwnie.

— Prawda—zaśmiał się Benedykt,—i nie jestem nim dotąd. Poczekaj, aż zobaczysz piękną Wiolantę. Od chwili, gdy ją kocham, żadna inna kobieta nie wydaje mi się piękną. Rubens nie namalował nigdy tak pełnych kształtów, tak różanéj płci, tak złotych włosów, nie namalował nigdy piersi...

— Dość, dość już tych hymnów pochwalnych, wiesz, że mnie Rubensowskie piękności nigdy rozgrzać nie mogły.

— Tak, przypominam sobie, dla ciebie istnieją tylko święte dziewice Fiezolego z białemi prawie całkiem oczyma, w których maleńkie źrenice jakby z obowiązku tylko są zaznaczone, lub almee, z oczyma pełnemi mistycznéj rozkoszy wschodu lub namiętnego żaru Hiszpanii. Podziwiam tylko, jak te ostateczności zarówno kochać potrafisz.

— Kocham takie oczy, jak te, co świeciły pod ciemnemi brwiami dziewczyny, która ci *podobno* ofiarowała swoję miłość—rzekłem więcéj do siebie niż do Benedykta.

Ten klasnął w ręce.

— Zazdrościsz!—zaśmiał się głośno.—Jak szczególny nacisk kładziesz na swe powątpiewające *podobno*! Oczarowała cię ta dziewczyna? Rzecz doprawdy nie warta gniewu, będzie ci bardzo łatwo pozyskać jéj miłość. Posłuchaj, jakem się z nią zapoznał. Nie wiem już, jak dawno, poszedłem na Petrzyn na przechadzkę. Było tam pusto i cicho, jak zazwyczaj, a ja szedłem w złym humorze, ponieważ Wiolanta na dwa dni wyjechała z Pragi; podejrzewałem, że pojechała nie sama. Zabawiłem się nieco w nieszczęśliwego kochanka, wzdychałem, spoglądałem sentymentalnie na ozłocone słońcem obłoczki, przysłuchiwałem się szelestom drzew, jedném słowem z rozwiniętemi wszystkiemi żaglami płynąłem po morzu liryzmu. W tém słyszę ciche westchnienie i spostrzegam dziewczę siedzące pod drzewem na nizkiéj ławeczce. Nie mogłem rozpoznać dokładnie rysów jéj twarzy, ale wydała mi się młodą i piękną... Zemścić się nad Wiolantą za jéj niewierność, sprzeniewierzając się jéj znowu, zdało mi się pomysłem równie szczęśliwym, jak logicznym. Dziewczyna była sama, przystępuję do niéj i głosem tak głębokim i drżącym, jak ja to tylko potrafię, wołam: „Nakoniec, ach nakoniec znalazłem cię! Darmo szukałem, nikt mi nie mógł powiedzieć, kto jesteś! Jak długo wzdychałem do téj chwili, w któréj wolno mi będzie wykrzyknąć—kocham cię, kocham niezłomną siłą młodzieńczéj swéj duszy, kocham...“ Tu o mało-m nie wybuchnął śmiechem; jeżeli dziewczyna ta—pomyślałem, choć raz w życiu była w teatrze, jestem zgubiony, rozśmieje mi się w oczy. W téj chwili głos jakiś ozwał się od blizkiego kościołka, pod wezwaniem nie wiem jakiego świętego. Zapomniałem, jakie imię kobiece głos ten wymówił, ale dziewczyna zerwała się jak ze snu zbudzona. Usunąłem się prędko w cień, a stary jakiś pan przystąpił do ławeczki. „Już otwarty,“ rzekł i dziewczyna milcząc, wsparła się na jego ramieniu. Poprowadził ją do kościoła, którego drzwi ktoś właśnie otwierał. Dziewczyna już mnie daléj nie

zajmowała, choć obejście jéj uderzyło mię trochę, było coś niezwykłego w jéj ruchu. Odszedłem i po półgodzinie zapomniałem o całéj téj śmiesznéj scenie. Dopiero dziś przypomniałem sobie znowu tę małą komedyą, podczas odwiedzin téj dziewczyny, która mnie nudzi, a ciebie zajmuje. Nie poznałem jéj w pierwszéj chwili, choć wydała mi się nieco znajomą, ale gdy zaczęła: „Oto, ja byłam szczęśliwszą, niż pan, znalazłam pana,“ wiedziałem już o co idzie. „Chciałam pisać do pana,“ ciągnęła daléj dziewczyna, ale wolałam przyjść sama, chciałam widzieć zdumienie pana!“ Usiłowałem tedy otworzeniem ust zaznaczyć to oczekiwane zdumienie, ale najprędzéj wyglądało to bardzo głupio. Dziewczyna jednak nie zauważyła tego. „Powtórz, powtórz te słowa,“ szeptała i znów na wpół zamknęła oczy, jak wtedy na Petrzynie. Nie mogłem dłużéj wstrzymać się od śmiechu. „Te słowa zapomniałem już dawno, szalona główko,“ rzekłem biorąc ją trochę po ojcowsku za brodę. „Więc panienka wzięła to za prawdę! Szkoda, że kocham inną. Naiwność taka, jak panienki, zasługiwałaby na szacunek i na nagrodę. Zresztą moja kochanka miewa kaprysy, gniewa się czasem na mnie, a wtedy nie mam nic przeciwko temu, żeby kochać inną. Ale nie radziłbym panience spotkać się z nią tutaj. Proszę mi dać swój adres, jesteś panienka—na mój honor—pięknie zbudowana...“ Wziąłem ją za rękę...

— Co za brutalność!—zawołałem rozgniewany.

— Ależ jak się jéj pozbyć, jeżeli nie w ten sposób!—śmiał się Benedykt.—Zresztą myślę, żem się jéj jeszcze na dobre nie pozbył. Nie jest wcale tak naiwna, jak udaje. Przyjdzie z pewnością znowu jutro, a wtedy poślę ją do ciebie. Wiolanta jest zazdrosna, nie pozwala mi miéć innego modelu oprócz własnéj pięknéj osoby. Zresztą nie mógłbym do swéj „Bachantki“ znaleść piękniejszego od niéj modelu. Ach, jak ją zobaczysz!

— Któż, u wszystkich djabłów, jest ta Wiolanta?

— Nie wiesz tego?—zadziwił się.—Jest to obraz Rubensa obdarzony życiem. Wiolanta będzie śpiewaczką. Ma głos szkaradny i wie to sama, ale wydziera się mimo to do teatru, najlepsza to droga do zostania znaną i poszukiwaną. Być znaną i poszukiwaną to wszystko, czego chce Wiolanta. Znalazła już niezmiernie bogatego mecenasa, tak głupiego, że wierzy w jéj powołanie artystyczne i zdolności, i że jéj miłość dla artystów jako miłość dla sztuki sobie tłómaczy. Mecenas ma zazdrosną żonę i nie może Wiolanty strzedz dostatecznie, jest sam strzeżony nazbyt dobrze. Możesz sobie wyobrazić, jak się zeń z Wiolantą wyśmiewamy. Jestem tak szczęśliwy, że mnie kocha namiętnie. Imię „Wiolanta“ wyszukałem dla niéj ja, teraz jest powszechnie przyjęte, nawet przez mecenasa. Nie powiem ci nad to

nic więcéj. Przyjdź dziś do mnie na wieczór, a zobaczysz ją, zaprosiła kilku z naszych przyjaciół na małą zabawę do méj pracowni, a jako mego przyjaciela z pewnością radośnie cię powita.

Obiecałem mu, że przyjdę, i rozeszliśmy się.

Znienawidziłem tę Wiolantę zanim jeszcze ją zobaczyłem, znienawidziłem ją za wpływ, który wywierała na Benedykta. Nie powiedziałem ci jeszcze, drogi mistrzu, ani słowa o pracy, którą dzisiaj rano w pracowni Benedykta widziałem; malował bachantkę, a Wiolanta była mu nie tylko modelem, lecz i natchnieniem do całego tego obrazu. Zląkłem się tego malowidła. Gdzie się podziała elegancya kształtów, gdzie polot, który zawsze podziwiałem u Benedykta? Benedykt nie pojmował już nagiego ciała, nie umiał go malować, nie był już nawet w stanie należycie na nie patrzéć; nagość nie była dlań już cudnym i wzniosłym hymnem piękna, nie mówiła nawet do zmysłów, nagość téj bachantki była wcieloną pospolitością!

To ciało jędrne a miękkie, bez harmonii, bez gracyi, pełne a różowe, bez ducha, bez duszy, było wstrętne w swoim bezwstydzie, przypominało ów muł wilgotny, z którego podług tradycyi biblijnéj Bóg stworzył człowieka, — i ta kobieta była podług słów jego tą sławną Wiolantą, o któréj marzył stale!

Postanowiłem na wieczór do Benedykta nie pójść, potém wszakże przypomniałem sobie, że to by go obraziło — i poszedłem.

Było już kolo jedenastéj, gdym się znalazł przy rozwalonéj fontannie naprzeciw spadzistych schodów, śmiech i krzyki biesiadników dochodziły słabo aż na pusty, światłem księżyca zalany podwórzec. Wszedłszy powoli na górę, zatrzymałem się niepostrzeżony w cieniu, obok drzwi, zkąd obejrzéć mogłem całą, dziś w salę godową zamienioną pracownię. W pośrodku stał niski, długi stół, na którym gorzało kilka mosiężnych rzymskich lamp trójpłomiennych; światło ich padało na biały obrus, igrało w błyszczących puharach i konwiach i oświecało resztki uczty, stosy owoców, wielkie bukiety w wazonach kryształowych, pozostawiając resztę wielkiéj sali w mroku głębokim. Nad stołem unosiła się lekka, szara chmurka od dymiących się lamp, przetkana błękitnemi dymami cygaret. Od stropu zwisały piękne festony ze świeżych, różnobarwnych kwiatów, sięgające od filaru do filaru, a suche palmy i osty, rozwieszone po ścianach, wydawały się wspaniałemi ornamentami bronzowemi; blade maskarony potwornie wykrzywiały się w cieniu, tu i owdzie rozstawione, malowane studya naturalnéj wielkości, tajemniczo wynurzały z ciemni zmysłową swą nagość, a przez otworzone wielkie okno błękitniała noc księżycowa, rozpościerając srebrną swoję oponę nad masą szczytów, dachów, załomów i wież. W sali panował hałas. Wiolanta le-

żała na improwizowanym tronie, okrytym kawałem starego gobelinu odziana w bogate, lecz niegustowne szaty. Była pełna, różowa, bezwstydna, bez gracyi, jak bachantka Benedykta. Miała piękne złote włosy, były rozpuszczone i przeplecione wieńcem z bluszczu. Piła wino z wielkiéj szklanicy, śmiała się jak mężczyzna i paliła nie cygaretę, lecz papieros. Była wstrętna Goście bawili się właśnie tém, że rzucali w nią cukierkami i migdałami z deseru, a Wiolanta odpłacała im się grubszą kanonadą z całych pomarańcz i pluskała na najbliższych napastników winem.

— Wymyślcie sobie coś nowego, to mnie już nie bawi! — krzyczała chrapliwym głosem.

— Tak, coś pięknego! — zawołał Benedykt.

— Mam coś pięknego, przyszło to z daleka — powiedział ze śmiechem młody jeden rzeźbiarz i wskazał na mnie, dojrzał mnie koło drzwi. Wszyscy zwrócili się ku mnie—i na widok méj szkaradnéj twarzy śmiech powstał homeryczny.

— Ach, ach!—wołała Wiolanta—to się udało, umrę od śmiechu!

Śmiałem się ze wszystkimi. Powitali mię i przedstawili Wiolancie. Na pierwszy rzut oka poznała Wiolanta, jak mało ją podziwiam i przestała się śmiać.

— Opowiadaj coś widział, jak ci się powodziło, ileś razy się zakochał! — wołano ze wszystkich stron.

— Wymyślcie dla niego jaką karę — proponował ktoś — za to, że tak późno przyszedł!

— Niech trzy razy pocałuje Wiolantę— projektował ktoś drugi, zauważywszy naszę wzajemną antypatyą.

— Oho!— broniła się Wiolanta z ironicznym uśmiechem i groźnie podniosła pomarańczę.

— Ja wiem co! — zaproponował młody rzeźbiarz, który przedtém rozśmieszył całe towarzystwo.—Nasz późno przychodzący przyjaciel narysuje naprędce, zanim my jaką pieśń prześpiewamy, wizerunek téj, o któréj zamyślił się tak mocno, że o nas zapomniał. Jeżeli nie będzie dość piękna, wtedy dopiero wymyślimy niesłychane jakie męki.

Projekt został przyjęty jednogłośnie. Napięto trzy wielkie arkusze papieru na próżny blejtram, podano mi węgiel i zaczęto śpiewać. Wzdragałem się, ale musiałem w końcu uledz. Nie wiem, jak się to stało, dość że przypomniałem sobie pewną rycinę, którą zapewne także znasz; zdjęta jest z wypukłorzeźby, znajdującéj się na murze jakiejś ruiny w Gebel-Silsileh i przedstawia piękną grupę, pełną gracyi i słodyczy: bogini Hathor, karmiąca młodego króla Horusa, nie wiem z któréj dynastyi. Dałem bogini czysty młodociany profil owéj

młodéj dziewczyny, którą rano widziałem w pracowni i starałem się, o ile możności gibkie, dziewicze, wysmukłe jéj ciało w konturze odwzorować. Zdaje mi się, że mi się to udało, bo rozpustna pieśń umilkła i pojedyńcze wykrzyki zadziwienia zabrzmiały za mną. Zapatrzyłem się sam w twarz swego obrazu. wtém zaszumiało mi coś koło głowy, uderzyło w sam środek twarzy Hathory i rozdarło mój obraz. Wiolanta rzuciła weń pomarańczą. Ogłosiła kobietę karmiącą za szczyt nieprzyzwoitości. Powstał niezmierny krzyk i śmiech.

— To było zabójstwo! — wołano — Wiolanta zamordowała egipską madonnę!

— Krwią swoją to zapłaci!

— Śmierć, śmierć Wiolancie!

— Tak, Wiolanta będzie ścięta — krzyczał na całe gardło mój młody rzeźbiarz — a ty będziesz jéj katem, zwrócił się do mnie.

Wiolanta zatykała uszy, nie chciała o tém słyszéć, ale ściągnięto ją z tronu i mocno zawiązano oczy.

— Połóż głowę na tę poduszkę, piękna grzesznico — rozkazał Benedykt, a sam ci przeczytam wyrok, potém damy ci pięć minut czasu na krótką modlitwę i głowa twoja spadnie!

Podczas jego mowy poczęły już lampy na dany znak gasnąć, Wiolanta — szeptali mi — była nadzwyczaj bojaźliwa; jeden po drugim miał szybko wynieść się z ciemnego pokoju; gdy Wiolanta zerwie chustkę, zobaczy, że jest sama w ciemności.

— Teraz cicho — rozkazał Benedykt.

Wszyscy zamilkli, a Benedykt improwizował wyrok; podczas jego mowy wyszli wszyscy po cichu z pokoju, paliła się jeszcze tylko jedna lampa, a tę ja miałem wynieść, jako ostatni. Benedykt zawołał teraz głuchym głosem:

— Jeszcze pięć minut i cios padnie — poczem wyszedł także.

Wziąłem lampę, pragnąłem skończyć tę niezgrabną komedyą. Stałem właśnie naprzeciw otworzonego okna i wzrok mój padł tam mimowolnie.. Zachwiałem się tak, że o mało nie upuściłem lampy: tam w łunie zielonawego światła stał gibki cień dziewczyny, o któréj myślałem dzień cały. Lekka, biała szata otulała wysoką jéj postać, ciemnoblond włosy przytrzymywała czarna wstążka, aby nie rozsypały się, białe, niskie czoło świeciło jak marmur, a siwe, szczególne jéj oczy były na wpół zamknięte. Ręce miała na krzyż na piersiach złożone, a delikatne zgięcia ich obejmowały złote naramienniki. Unosiła się jak biały obłok, stała na gzymsie przed oknem i wznosiła blade, smutne oblicze ku niebu, właśnie tak, jak wówczas na Petrzynie pod drzewami, gdy jéj Benedykt tak nierozważnie miłość wyznał. Tu, gdzie hałas orgii umilkł na chwilę, w dymach cygaret

i lamp kopcących stała szlachetna, jak uosobiona poezya nocy księżycowéj. Było to przecież niemożliwe, musiałem się mylić! Jakże by tu przyszła, jakże by mogła stać na tym gzymsie nad przepaścią bez zawrotu głowy! Zamknąłem oczy—gdy je otwarłem, widmo było tam jeszcze!

— To niepodobna!—szepnąłem znowu, ale w tejże chwili padła Wiolanta, jak śmierć blada, u stóp moich; zdjęła chustkę z oczów, wzrok jéj padł na okno, widziała tam téż blade widmo. Podniosłem ją i położyłem cicho na gobelin, pokrywający jéj tron; jednocześnie otworzyły się drzwi i towarzystwo, żdziwione długiém milczeniem, wróciło do sali. Szybko spojrzałem na okno—widmo znikło.

— Precz ztąd, precz! — krzyczała Wiolanta, opamiętawszy się.

— Na Boga, mów, co się stało? — pytał Benedykt, widząc jéj bladość.

— Zasłońcie to okno! To było straszne!—lamentowała. — Widziałam ducha. Tak, tam coś stało, była to kobieta blada jak śmierć i miała szklane oczy!

Śmiech powstał bez końca, ja tymczasem przemknąłem się do okna. Patrzałem na dwór, w świętą. uroczystą ciszę nocy, w powietrzu było tak sennie, tak cicho! A w dali, za wysokim szczytem sąsiedniego domu, unosiło się coś jak biały, przezroczysty cień i znikło wkrótce. Zasunąłem okno kotarą i wróciłem do stołu. Wiolanta płakała, że jéj nikt nie chciał wierzyć.

— Widziałam to zupełnie dokładnie—zapewniała—idźmy ztąd, idźmy! Umarłabym ze strachu.

Schwyciła bogate swe włosy i pchała je pod śmiesznie maleńki kapelusik, potém wsparła się na ramieniu Benedykta, który ją odprowadzał. Zostałem jeszcze chwilę z resztą towarzystwa.

— Co mówisz o Wiolancie? — pytali mnie.

Ruszyłem ramionami

— Myślę, że ją twoja piękność przy świetle księżycowém tak przestraszyła — zaśmiał się ktoś.

Potém zaczęto mówić o czém inném. Wyszedłem. Było to coś dziwnego, musiało tam jednak coś być w oknie, skoro i Wiolanta to widziała...... W zamyśleniu zstępowałem ze spadzistych schodów. Śmiech biesiadników brzmiał za mną aż do oblanego miesięczném światłem podwórza i nie wiem, czemu przyszła mi tym razem na myśl koło rozwalonéj fontanny owa przerażająca, niezapomniana scena z „Lukrecyi Borgii“ Wiktora Hugo, gdzie straszne „de profundis“ mnichów miesza się z wesołym śmiechem skazanych na śmierć kawalerów. Jakie to dziwne myśli!...

Upłynęło dni kilka, nie miałem czasu do odwiedzin i nie widziałem Benedykta. Wyjeżdżając do Skandynawii, opuściłem swoję pracownię i szukałem teraz innéj. Znaleść odpowiednią miejscowość na *atelier* malarskie jest w Pradze rzeczą dość trudną. Udało mi się nakoniec po długiém szukaniu, ale powiedziano mi, że mogę się tam przenieść dopiero za dwa lub trzy tygodnie. Benedykt zaproponował mi, abym tymczasem pracował u niego; jego pracownia była tak wielka, żeśmy w niéj jeden drugiemu przeszkadzać nie potrzebowali; przyjąłem propozycyą z wdzięcznością. Przyprowadziliśmy w pracowni wszystko do porządku, wyszukałem sobie kąt, który mi dogadzał, i postanowiłem, że nazajutrz zacznę pracować.

— Dziś odbędziemy jeszcze wizytę u księcia Manfredi — rzekłem do Benedykta — a potém już sobie pracy przerywać nie będziemy.

— Co to za książę?

— Zapomniałeś już? Jest to przyszły teść hrabiego-dyletanta, z którym zaznajomiłem się w Szwecyi.

— Ach, przypominam sobie. Pójdźmy więc. Niedaleko to.

Wziąłem swój karton i poszliśmy.

Książę Manfredi przyjął nas bardzo gorąco, dostał — jak mówił—wczoraj znowu list od hrabiego, chciał mnie dziś sam wyszukać i dziękował mi, żem przyszedł i drogi mu oszczędził. Narzekał, że mu nogi już nie służą. Starał się nastroić do jakiegoś zapału dla sztuki, ale to mu się nie udawało, za to jednak mówił z wielką i prawdziwą miłością o swoich kwiatach. Pokój, w którym nas przyjął, sąsiadował z ogrodem zimowym, drzwi były otwarte i wilgotne powietrze oraz ciepłe jakieś wonie płynęły ku nam ztamtąd. Noce były już bardzo zimne i palmy, drzewa kameliowe, oraz wszelkie inne kwiaty, których nazwisk nie znam, stały już na swych miejscach w zimowym ogrodzie. Książę wprowadził nas do tego sztucznego gaju zwrotnikowego, dla którego widne przez ścianę szklaną dziwaczne załomy hradczańskie i małostrańskie szczególne tło tworzyły. W masie szpiczastych dachów poznałem w dali i barokowo przystrojoną mansardę naszéj pracowni.

— Poproś księżniczkę Teresę — rzekł książę do starego sługi, zajętego w oranżeryi, poczém ciągnął daléj wykład o właściwościach swoich mimoz, begonii i paproci. Mówił jeszcze, gdy usłyszałem za nami lekki szmer sukni Książę obejrzał się.

— Moja córka — rzekł i przedstawił nas księżniczce.

Była-ż to halucynacya? Przed nami stało blade dziewczę w jasnéj, lekkiéj odzieży, bogate, ciemno-kasztanowate włosy podtrzymywała nad niskiem czołem czarna wstążka, aby się nie rozsypały, a si-

we oczy smutne i zadziwione patrzały na nas z pod ciemnych, prawie zrosłych brwi. To była dziewczyna, która przed kilku dniami ofiarowała Benedyktowi swą miłość, to było blade zjawisko, które przestraszyło Wiolantę. Niepodobna wątpić.

Benedykt zrobił, jakby strwożony, dwa kroki w tył i mimowoli chwycił mię za ramię. Byliśmy obaj niemi, zdawało mi się, że śnię, a głos księcia, który opowiadał córce, że jestem owym malarzem, z którym się narzeczony jéj zaznajomił w Norwegii, brzmiał mi, jakby przychodził zkądciś z daleka, z pod ziemi. Wszystko dokoła przybierało jakiś charakter fantastyczny. Nakoniec wspomniał książę także i o tém, że Benedykt na wyraźne życzenie narzeczonego, co najprędzéj zacznie malować portret księżniczki, i zaproponował jéj, aby się z Benedyktem co do kostiumu i wszelkich szczegółów porozumiała.

Księżniczka Teresa Manfredi nie przemówiła jeszcze ani słowa, utkwiła swoje szczególne, wpół-dziecinne oczy w Benedykcie, podniosła powoli rękę, na któréj zgięciu błyszczał ten sam złoty naramiennik, który wówczas w pracowni dostrzegłem przy księżycu, chwyciła się długiéj gałęzi bliskiéj palmy i przyciągnęła ją ku sobie. Trzymała się gałęzi, a ta w ręce księżniczki ani zadrgnęła. Cała postać młodéj dziewczyny miała cechę dziwnéj energii. Zwróciła się na wpół do ojca i na chwilę lekki rumieniec przebiegł twarz jéj marmurową.

— Mówisz ciągle o moim narzeczonym—rzekła do ojca z lodowatym spokojem — a ja nie mam żadnego narzeczonego.

Książę patrzał na nią wielce zdumiony.

— Aleksander.... — począł z zadziwieniem.

Księżniczka wzruszyła ramionami. Potém obróciła się do Benedykta, puściła gałąź palmy, która teraz chwiała się nad jéj głową, podniosła powoli rękę i wskazała na niego palcem.

— Tu stoi mąż, którego jedynie kochałam — mówiła jak przez sen bezdźwięcznym głosem. — Miłość moja była religią; przyznałam się temu mężowi, ale on odrzucił moję miłość. Wygnał mię od siebie obelżywie. Nie mogę już nigdy do innego należéć. Dziś rano oznajmiłam Aleksandrowi, że idę do klasztoru.

Książę zbladł jak ściana i zatoczył się ku bliskiemu fotelowi, w który padł, nie będąc w stanie słowa jednego przemówić. Księżniczka Teresa stała chwilkę ze spuszczonemi oczami, założyła ręce na krzyż na piersiach, jako wówczas, gdy mi się w nocy ukazała. Było tyle bolesnéj rezygnacyi w tym prostym ruchu, że mnie to głęboko wzruszyło. Za chwilę obróciła się do wyjścia. Benedykt padł przed nią na kolana. — „Przebaczenia!“ szeptał. Nie zważała nań

i szła daléj, schwycił za lekką, jasną jéj suknię, nie dbał, że książę był obecny. Zresztą zdawało się, że książę nie widzi, nie słyszy, pił wodę ze szklanki, którą podałem mu ze stołu, gdzie stała przypadkiem.

— Czemu wszedłeś mi pan w drogę — ozwała się księżniczka Teresa cichym drżącym teraz głosem. — Byłabym bez pana szczęśliwie żyła i szczęśliwie umarła. Nie, nie byłabym nigdy wiedziała, co jest szczęście! Tak, raniłeś mię pan głęboko, tak głęboko, że nawet nie wyobrażasz sobie, jednak dziękuję panu za jedyną chwilę prawdziwego, nieskończonego szczęścia.... Wiesz pan, wtedy na Petrzynie?... Żyłam spokojnie w starym naszym domu, myślałam, że żyć to znaczy haftować i czytać poezye, czasami tylko odzywało się we mnie coś zagadkowego, jakby wątpliwość i wtedy wzrok mój odbiegał od książki i haftu za kraty małego okna w pawilonie ogrodowym, gdziem tak chętnie siadywała. Kochałam tę wąską, cichą uliczkę pod oknem, niema tam domów, a nad niskiemi murami przeciwległych ogrodów widnokrąg rozpływa się w niedojrzanéj dali.... Dal, nieskończoność! Jak niejasne marzenia budzą pojęcia te w drzemiącéj duszy, jaki zawrót głowy sprowadzają! Nieskończoność, dal— to coś pokrewnego z miłością, która także sprawia zawrót głowy....

Umilkła na krótką chwilę, poczém mówiła daléj:

— Pewnego razu, gdy dusza moja z krainy widzeń ku książce, a wzrok z bezgranicznego niebios sklepienia do murawy uliczki wąskiéj wróciły, ujrzałam pana przed oknem. Słońce świeciło i w ciepłem powietrzu migały setki białych motyli. Stałeś pan naprzeciwko okna, i zdawało mi się, że patrzysz na mnie z wyrazem uwielbienia. Było mi tak dziwnie. Szalona! Pan najprędzéj nie widziałeś mnie nawet za gęstą kratą i zachwycałeś się w artystycznym zapale staremi rzeźbami pawilonu. Byłam szczęśliwa. Zaręczono mnie już dawniéj i kochałam hrabiego tak, jak swe książki i hafty. Od owego dnia wszakże myślałam już tylko o panu. Nie widziałam pana potém długo, chyba we śnie, myślałam o panu jak o cudnym kwiecie lub gwieździe. Jednego razu zdarzyło się, że ojciec poprowadził mnie wieczorem na Petrzyn. Przyszła mi chęć obejrzéć tam mały kościołek, którego nie znałam, i ojciec poszedł gdzieś po klucze. Nie wiem, dla czego wówczas o zmroku więcéj i żywiéj rozmyślałam o panu niż kiedykolwiek—nagle stanąłeś pan przedemną.... Mówiłeś mi o miłości i długo tłumiona namiętność wybuchła we mnie jak wulkan..... Płakałam wtedy w kościołku ze zbytku szczęścia... upadłam na twarz i długo leżałam przed ołtarzem ... ach, co za boleść....

Księżniczka Teresa przestała mówić, zakryła twarz obiema rękami, a całe ciało jéj drżało konwulsyjnie. Benedykt podniósł ku niéj ręce, wołając:

— Łaski, łaski! O ja cię kocham niewymownie! Dusza twoja rozwarła się przedemną, jako kwiat mistyczny, upajam się niebiańską jego wonią! O przeklęta ślepoto moja!

Książę, który słuchając, szlochał głośno, zerwał się teraz gwałtownie: — Pan śmiesz! krzyknął, lecz księżniczka Teresa skinieniem prosiła go, aby przestał; gdy ręce odjęła od twarzy, widziałem, że oczy jéj były suche, nieszczęśliwa nie mogła płakać, czułem ciężar jéj bólu tak żywo, żem się o ścianę oprzeć musiał. Teraz otworzyła usta i straszliwy, gorzki, chociaż słaby i cichy śmiech zabrzmiał z drżących jéj warg.

— Pan *mnie* teraz kochasz? — spytała z dumnym uśmiechem— nie, dźwięk tylko mego znakomitego nazwiska łechce pańską zarozumiałość, to pana miłość. Co za przygoda miłosna, być kochanym przez księżniczkę, co za tryumf, widzieć ją u nóg swoich żebrzącą o miłość, dla miłości téj zapominającą o wszystkiém, nawet o godności kobiecéj! Ale mylisz się pan, nie kocham już pana, ja pana nienawidzę! Wszystko, com panu powiedziała, powiedziałam tylko przez szacunek dla własnéj swojéj osoby. Nie byłbyś się pan nigdy dowiedział, kim jestem i jak pana kochałam, chciałam cicho, bez ostentacyi, bez objaśnień zniknąć z pańskiego widnokręgu. Los pana tu sprowadził. Nie mogłam postąpić inaczéj, jak postąpiłam. Zbłądziłam, ale nie wstydzę się błędu swego. Nie moja wina, że nie jesteś pan tém, czém mi się wydawałeś i nie pańska — żeś mię pan nie mógł kochać. Zwiodłeś mię pan dla żartu wówczas na Petrzynie, ale usprawiedliwiam pana, bo nie byłbyś sobie téj zabawki pozwolił, gdybyś wiedział, że jestem księżniczką. Kara moja zresztą jest zasłużona—nie można bożyszczom się kłaniać!

Benedykt chciał mówić, nie słuchała go, zimno i dumnie, jak była przyszła, wyszła teraz z zimowego ogrodu. Za to wszakże odzyskał książę dar słowa. Chciałem skończyć przykrą tę scenę, zadzwoniłem prędko i oddałem księcia, który się na mnie wspierał, staremu słudze, śpieszącemu na moje dzwonienie, poczém porwałem szybko karton i wziąwszy za ramię opierającego się Benedykta, wyprowadziłem go bez dalszych przygód na ulicę.

Przez drogę nie przemówiliśmy ani słowa, a w pracowni siedliśmy każdy przed swoją pracą, ale żaden z nas nie ruszył pędzla. Naraz porwał Benedykt swoję paletę i w mgnieniu oka bachantka jego była pokryta wszystkiemi barwami tęczy; praca kilku miesięcy została w jednéj minucie zniszczona.

— Przeklęta Wiolanta! — krzyknął Benedykt— patrzy na mnie z każdego rysu twarzy, z każdéj cząsteczki tego bezwstydnego ciała! Gdyby nie ta kobieta, nie byłbym nigdy tak ślepy; to wstrętne jéj mięso stłumiło we mnie każdą iskrę ducha, uczucia, rozumu....

Rzucił się na sofę, a po chwili chodził znowu wielkiemi krokami po pokoju.

— I księżniczkę Teresę nienawidzę także! — zawołał — nie zapomnę jéj nigdy tego pogardliwego tonu, spojrzenia i słów obrażających....

I zaczął płakać i przysięgać, że ją kocha. Pod koniec tak był zmęczony wzruszeniem, że poradziłem mu, aby się położył; odprowadziłem go do jego mieszkania; posłuchał méj rady. Siedziałem u niego, dopóki nie wpadł w jakiś pół-sen niespokojny. Potém chodziłem po ulicach jak bez duszy, a gdy mnie jeden znajomy spotkał i począł namawiać, abym z nim szedł do teatru, dałem się prowadzić bez oporu. Nie wiedziałem, co grają, nie spostrzegłem, jak skończyli; gdy teatr był już prawie pusty, wyszedłem także. Chodziłem znowu po pustych ulicach niespokojny, nie wiedząc sam co z sobą począć. Naraz słyszę głośny śmiech kobiecy nieprzyjemnego brzmienia, spotkałem Wiolantę — z Benedyktem.

— Wstałeś? — pytam się zadziwiony.

— Jak widzisz! — odpowiedział bełkocząc językiem, i dostrzegłem, że się zataczał. — Nie potrafię być długo sentymentalnym, ale za to potrafię wynagrodzić sobie jedno szczęście drugiem.... Niech żyje rozkosz!

Poszli daléj, a wspólny ich śmiech brzmiał za mną przez całą ciemną ulicę.

Na drugi dzień zjawił się Benedykt późno w pracowni, był blady, oczy miał zaczerwienione. Siadł na ziemi na kawale perskiego kobierca i nie zapalił nawet jak zwykle cygarety. Milczeliśmy. Patrzał na to, jakem pracował i wzdychał głęboko. Żal mi go było. Rozmyślałem, o czém by tu zawiązać jaką rozmowę. Nim mi co przyszło na myśl, sam zaczął.

— To próżna rzecz — rzekł, patrząc uparcie przed siebie.

— Co jest próżna rzecz? — spytałem, odkładając pędzel.

— No, chcieć zgłuszyć w sobie boleść — odpowiedział. — Przepędziłem dziś noc tak szaloną, jak nigdy jeszcze w życiu.... Nie mogę ci powiedzieć, com wyprawiał, a rezultatu żadnego.... chyba ten jedyny....

— No, jakiż?

— Żem sobie na dobre i na zawsze obrzydził Wiolantę i wszystkie tego rodzaju kobiety.

Patrzyłem nań pytająco. Słaby rumieniec wstydu przebiegł mu twarz, patrzał uparcie na mój zaczęty krajobraz, unikając mego wzroku.

— Postąpiłem wczoraj strasznie brutalnie — przyznał się po chwili cichym głosem. — Wiolanta po wczorajszéj nocy stała mi się tak wstrętną, uczułem taki wstyd, taką rozpacz zbudziwszy się w objęciach tego stworzenia... żem... żem ją niemiłosiernie —zbił!

— Fi! — wyrwało mi się z ust.

Benedykt nie obraził się, kiwnął tylko głową i milczał.

Od tego dnia Benedykt zmienił się zupełnie. Zawładnęła nim głęboka melancholia, czuł niezapełnioną próżnię w sercu. Nie pracował i mówił mało. Pisywał długie listy do księżniczki i darł je znowu; jeżeli który posłał, na drugi dzień zwracano mu go przez pocztę, a gdy już znano w pałacu jego rękę, listy przychodziły nazad nierozpieczętowane. Chodził koło pałacu, stawał całemi godzinami przed pawilonem ogrodowym w cichéj, trawą zarosłéj ulicy, ale księżniczka nie ukazywała się w żadném oknie i nie wychodziła nigdzie. Wkrótce zauważyłem, że i wyraz jego twarzy się zmienił. Był blady, a oczy jego niegdyś tak wesołe świeciły gorączkowym niepokojem; przy najmniejszém poruszeniu, od najbłahszéj przyczyny drgały mu muskuły twarzy, a nozdrza rozdymały mu się bezustannie. Benedykt wyglądał teraz daleko bardziéj interesująco niż dawniéj, twarz jego była znacznie więcéj uduchowiona niż przedtem. Gdyby był pracował, miałyby z pewnością jego dzieła tę samę cechę podniosłego polotu duchowego, ale Benedykt siedział wciąż z założonemi rękami i sto razy na dzień szeptał do siebie: „Kocham ją! Musi być moją!“ Nie czuł tego, że myśli na głos. Zdawało mi się czasem, że nawet nie myślał, iż usta jego mechanicznie te słowa powtarzały. Miłość jego dla księżniczki przeszła w jakąś *idée fixe*, w jakieś uporczywe zaślepienie.

Jednego dnia rzekł do mnie: „Czuję bezustannie, jakby mię ktoś kłuł rozpalonym nożem, i nie prędzéj będę spokojny, aż znużę się całowaniem siwych oczu.... Kocham ją całą duszą, ale téż całym ogniem zmysłów. Nie rozumiem innéj miłości. Pragnę téj dziewczyny z tak gwałtowną namiętnością, że umrę, jeżeli jéj nie zaspokoję.... Może księżniczka Teresa obrzydnie mi potém, jak Wiolanta, może ją potém jak tamtą—odepchnę!“— Nie miał odwagi powiedzieć „zbiję.“

Zerwałem się na te słowa, drżąc z gniewu całem ciałem i zaciskając pięści. Przemówiliśmy się i tego samego jeszcze dnia wyprowadziłem się z jego pracowni.

Nie wychodziłem z domu cały tydzień, pracowałem usilnie, a pracując wyrzucałem sobie ciągle, żem się uniósł w rozmowie z Benedyktem. Czyż miałem prawo tak wielką wagę przykładać do słów, które wymówił w rozdrażnieniu? Cóż mię właściwie obchodziła ta dziewczyna? Żałowałem jéj, ale koniec końców nie była ona dla mnie

niczem, niczem. Na tę myśl, że nie była dla mnie niczem, czułem mróz w sercu. Nie mogłem wytrzymać dłużéj w spokoju i wybiegłem na ulicę. Nogi zaniosły mię do Benedykta, zanim ostatecznie postanowiłem, że go odwiedzę. Znalazłem go u otwartego okna „nad przepaścią“, jakeśmy je kiedyś nazywali. Uśmiech przebiegł mu twarz, gdy mnie zobaczył, podał mi rękę.

— Gdzie tak uparcie patrzysz?—spytałem go po prostu, aby coś powiedziéć.

Wskazał na dach z wieżyczką.

— To jest klasztor Barnabitek, jeżeli się nie mylę.

Skinął głową i podał mi gazetę, którą trzymał w ręku. Przeczytałem w niéj wiadomość, że księżniczka Teresa Manfredi, posłuszna swemu powołaniu, wstąpiła do nowicyatu u Barnabitek. Choć wiadomości téj oczekiwałem już dawno, zgnębiła mnie przecież tak, jak i Benedykta. Mimo to starałem się go pocieszać. Benedykt wszakże gorliwiéj niż przedtém zajmował się układaniem najszaleńszych planów. Był przekonany, że będzie mógł dostać się do klasztoru i porwać Teresę. Nie chciałem się z nim znowu pogniewać, nie przeczyłem mu tedy. Benedykt opowiadał mi, że nie wychodzi już wcale ze swéj pracowni; w wielkiéj framudze miał stare łóżko z epoki odrodzenia, kupił je kiedyś — jak mi się zdaje— w Paryżu i sypiał teraz na tym drogocennym meblu. Rozsunąwszy w nocy pięknie tkaną kotarę, która z wykładanego cyną gzymsu między toczonemi zwisała filarami, widział z łóżka swego przez niezasłonięte okno klasztor i mógł — jak mówił — aż do zaśnięcia marzyć o Teresie i wyobrażać sobie, że ją widzi za którém z zakratowanych okien cel klasztornych.

Obawiałem się teraz już naprawdę, żeby miłość Benedykta nie stała się zupełną monomanią, i postanowiłem naradzić się co do tego z jakim rozumnym lekarzem.

W tym czasie przyjechał do Pragi były narzeczony księżniczki Teresy i odwiedził mnie. Nie zauważyłem na nim żadnego głębszego wrażenia, powiedział mi, że już dawno spostrzegł u swéj narzeczonéj jakąś skłonność do mistycyzmu i że go jéj postępek wcale tak bardzo nie zadziwił. Przekonałem się wkrótce, że nie przeczuwał nawet najmniejszego szczegółu z naszego dramatu. Pytał zupełnie obojętnym głosem o Benedykta i chciał go też odwiedzić w jego pracowni. Lękałem się tego spotkania i odpowiadałem wymijająco, a gdy mi hrabia mimochodem zaproponował, abym z nim na wieś pojechał dla stanowczego określenia, czyjego pędzla być może jakiś stary obraz, znaleziony w małym kościołku w jego dobrach, zgodziłem się natychmiast i udając wielką ciekawość względem owego za-

gadkowego malowidła, nalegałem na prędki wyjazd. Wiedziałem, że hrabia ma manię przeczuwania w każdéj staréj mazaninie jakiegoś nieznanego Pawła Veronese, powiedziałem mu tedy, że—według jego opisu—obraz ów prawie napewno uznać można za wyszły z pod pędzla sławnego tego mistrza. Tego było dość dla hrabiego — i odjechaliśmy pierwszym pociągiem, który nam się nadarzył.

Po kilku dniach wróciłem sam do Pragi; krótki pobyt na wsi dobroczynnie na mnie wpłynął, trochę téj jesiennéj jasności powietrza przeszło w pierś moję, chorobliwe myśli, które trapiły mnie w ostatnich czasach, rozwiały się jak mgły pod uśmiechem słońca, oświecającego szerokie rozorane pola i prawie bezlistne już lasy. Nie znam lepszego lekarstwa na swoje nerwy nad silną woń ziemi, a żadna poezya nie przemawia tak potężnie do duszy méj, jak poezya jesieni.

Jak tylko wszakże wjechałem do miasta, powrócił i stary niepokój. Zdawało mi się, że się z pewnością coś strasznego stało z Benedyktem lub z księżniczką Teresą.

Popędziłem do pracowni na Hradczany. Znalazłem Benedykta z paletą w ręce, pracującego. Byłem mile ździwiony, przystąpiłem szybko do sztalug—i zadziwienie moje zmieniło się w uwielbienie. Ujrzałem przed sobą wielki obraz, w głównych zarysach już całkiem podmalowany, a w niektórych szczegółach już zupełnie gotowy. Obraz przedstawiał celę pogrążoną w Rembrandtowskim cieniu, tu i owdzie odznaczały się wyraźniéj ciężkie meble renesansowe, stosownie do tego jak padał na nie prąd zielonawego światła księżycowego, wdzierającego się silnie przez wielkie otwarte okno do celi. Za oknem bięknitniała i zieleniała jasna noc pełna świtów srebrnych; niejasne zarysy starych dachów gotyckich i wieżyc półmaurytańskich tworzyły w dalekiéj perspektywie tło czarujące, a w pobliżu okna w falach jasności księżycowéj wznosiła się na wpół blada mniszka. Twarz jéj uderzała swym wyrazem głębokiego mistycyzmu, rysy oblicza jéj były wiernym portretem księżniczki Teresy. Był to ten sam obraz w zaczątkach, który teraz w salonie paryzkim pod nazwiskiem „Ekstazy św. Teresy" według doniesień twych, drogi mistrzu—tak wielkie odnosi tryumfy.

Uścisnąłem gorąco Benedykta, nigdy jeszcze nie namalował tak uduchowionéj twarzy. Byłem głęboko wzruszony, bo właśnie w takiéj postaci, jak teraz św. Teresę, widziałem księżniczkę Manfredi wówczas, gdy Wiolanta zemdlała u nóg mych, wołając, że duch jéj się ukazał. Czyżby Benedykt także widział to zjawisko?

— Co za prawda w twym ideale? rzekłem do niego.—Doprawdy tak, jakbyś zjawisko to nie tylko duchowym. lecz i cielesnym wzrokiem widział!"

Obserwowałem go bacznie przy tych słowach, wyraz jego twarzy stał się tajemniczym.

— Tobie mogę się zwierzyć—rzekł po chwili w zamyśleniu. Ty mnie z pewnością nie wyśmiejesz. Przypominasz sobie może miejsce w Pliniuszu, gdzie ten autor mówi o jakimś Hermotymie z Klazomeny? Podobno ten Hermotym umiał tak robić, żeby dusza jego—kiedy mu się spodobało—wychodziła z ciała i po świecie błądziła, a potém znowu wracała. I Apolloniusz z Tyany miał podobno moc taką. Dotychczas uważałem podobne opowiadania za bajki; toć my spółcześni w swéj nieskończonéj zarozumiałości uważamy połowę przynajmniéj starożytnych pisarzy za naiwnych i niezręcznych bajarzy. No, teraz widzę, że Pliniusz i Filostrat mieli słuszność. Księżniczka Teresa ma także owę moc tajemniczą: dusza jéj mnie nawiedziła.

Nie kryłem swego zdziwienia, zdawało mi się, że Benedykt majaczy w gorączce, ale on ciągnął daléj zupełnie spokojnie:

— Tegoż wieczora, gdyś odjechał z hrabią, siedziałem ot tam na łożu, zasłony były rozsunięte i okno otwarte. Nie spałem, jak zwykle, ale nie myślałem o Teresie, myślałem zupełnie spokojnie o tobie i o tém, czém się teraz właśnie zajmujesz. Nagle zaciemniło się w otwartém oknie i—o dziwo! —stało tam smukłe zjawisko ubóstwianéj dziewicy. Na wpół przymknięte oczy zwracały się ku niebu, jak wówczas na Petrzynie, ręce były naprzód wyciągnięte, jakby widmo w ciemnościach drogi szukało, żaden muskuł marmurowego oblicza ani drgnął, a wietrzyk wiejący nie igrał z czarną szatą, ani z przejrzystym welonem. Powstałem cicho z łoża, włosy mi się jeżyły, kląkłem na ziemi, gdzie drzemał blask księżycowy i spuściwszy głowę na piersi wyciągnąłem do widziadła złożone ręce, jak do świętéj. Chwilę pozostałem tak pogrążony w niemej boleści; gdy podniosłem oczy, Teresa znikła. Przystąpiłem do okna, nie było jéj nigdzie ani śladu, na dworze panowała cisza uroczysta, tylko wietrzyk szeptał coś daléj nad uśpioną Pragą... Nie zasnąłem już. Byłem pewny, że Teresa umarła, i byłem jak zgruchotany. Rano śpieszę do klasztoru, pytam się o nią pod jakimś pozorem i odchodzę z zapewnieniem, że żyje i że zdrowa... No, cóż powiesz o téj powiastce? Spałem i wszystko mi się tylko zdawało? Halucynacya? No zacznij-że raz swój wykład trzeźwo-naukowy! Powiedz-że mi, że to było tylko złudzenie podrażnionéj wyobraźni!

— Myślę, że to nie było ani złudzenie, ani sen, odrzekłem.—Nie umiem sobie tego wytłómaczyć, ale i ja widziałem księżniczkę Teresę, czy jéj cień, właśnie na tém samém miejscu przed oknem. Było

to podczas uczty, kiedy to Wiolanta omdlała ze strachu i krzyczała, że widziała ducha. Wiolanta widziała ją także.

Benedykt pobladł cały, przysiadł się do mnie bliżéj.

— Więc i ty także?—spytał, biorąc mnie za rękę.

— Tak, unosiła się w modrozielonéj jasności księżyca piękna, blada, szlachetna jak twoja święta, a za nią rysowały się niejasno wieże i kopuły miasta w srebrnéj mgle nocy księżycowéj...

Zamilkłem nagle i przystąpiłem do okna, myśl błysła mi w duszy.

— Dla czego milczysz, gdzie patrzysz? pytał Benedykt.

— Patrz, zacząłem z tryumfującą dumą filozofa, który znalazł długo ukrytą prawdę, —patrz, Benedykcie mój, na gmatwaninę tych dachów. Ztąd od szerokiego gzymsu przed oknem rozbiegają się połamane szczyty dachów, jak sto krętych strumieni aż ku klasztorowi, i daléj jeszcze, ku pałacowi, gdzie księżniczka dawniéj mieszkała. Jest to zupełną niemożebnością dla człowieka normalnego zrobić choć trzy kroki po spadzistéj téj drodze—dla człowieka normalnego, powtarzam—cóż wszakże, gdyby księżniczka Manfredi była lunatyczką?... Przypomnij sobie, że i ty, i ja widzieliśmy jéj widmo, jéj cień w morzu intensywnego światła księżycowego...

Odblask tryumfu na twarzy méj zgasł nagle, bo na twarzy przyjaciela zabłysnął teraz uśmiech zwycięski, ale tak zagadkowy, tak szkaradny, żem się zląkł, nie wiedząc sam, dla czego. Byłbym w téj chwili nie wiem co za to dał, żebym był tego słowa „lunatyczka“ nie wymówił. Uczułem ulgę, gdy Benedykt po chwili niedowierzająco głową pokręcił. Był—jak mówił—zupełnie przekonany, że po tych dachach nawet lunatyk chodzić by nie potrafił, a zresztą—dodał— niepodobném było do uwierzenia, aby Teresa z klasztoru na dach dostać się mogła. Był pewny, że to była jéj dusza, i powoływał się znów na Pliniusza. Wypisał mi potém nazwiska niektórych autorów, którzy pisali o magii i spirytyzmie, i prosił, żebym w jakiéj księgarni o dzieła ich zapytał, kwestya ta, jak mówił—zajęła go nagle i chciał ją bliżéj wystudyować.

Odszedłem prawie zupełnie uspokojony, lecz w domu znowu napadły mię dzikie jakieś myśli. Czułem strach jakiś nieokreślony, coś popychało mnie, aby pójść do klasztoru i poprosić o chwilę rozmowy z księżniczką. Potém wydało mi się to szaleństwem. Cóż bym jéj powiedział? Potém znowu zacząłem rozmyślać o Apolloniuszu z Tyany i jego cudach, to miałem go za wielkiego maga, to za szarlatana,— i znowu wspominałem o księżniczce Teresie. Tak przepędziłem dzień, pod wieczór pobiegłem do Benedykta, ale nie znalazłem go ani w domu, ani w pracowni. Długo stukałem i dzwoniłem napróż-

no i chodziłem potém w złym humorze po ulicach. Przechodziłem koło jednéj winiarni—i tam nareszcie spotrzegłem Benedykta.

Był dość wesół, ale ci, z którymi tam siedział, byli dla mnie tak wstrętni, że nie wszedłem. Wróciłem do domu i znużony położyłem się wcześnie. Wkrótce jednak zbudziłem się z pierwszego snu i nie zasnąłem już noc całą.

Księżyc świecił jak rybie oko, zasłony były spuszczone, ale przez rozdarcie w jednéj z nich wdzierały się do pokoju promienie księżycowe i tworzyły na podłodze okrągłą, srebrną plamę, jakby kałużę po deszczu. Nie mogłem oczu odwrócić od téj kałuży światła, i wkrótce wydała mi się ona jeziorem, przejrzystą, głęboką, bezdenną wodą, w którój topiła się księżniczka Teresa. Rozpaczne spojrzenie jéj oczu zbudziło mnie ze snu, w który zapadłem na chwilę. Siadłem na łóżku, serce biło mi z niepokoju, trzymałem głowę obiema rękami, jakby mi opadała pod ciężkim ciosem.

Gdy rozedniało, narzuciłem pośpiesznie odzież na siebie i nie zważając na to, że Benedykt najpewniéj jeszcze śpi, udałem się do niego. Dom był już otwarty, znalazłem przyjaciela siedzącego na schodach przed samym progiem pracowni. Miał kapelusz na głowie i twarz w dłoniach ukrytą. Usłyszawszy kroki moje po schodach, podniósł głowę—i przestraszyłem się go. Był cały siny. Podał mi drżącą rękę—była skrwawiona.

Coś mnie w gardle ścisnęło.

— Chciałem iść właśnie do ciebie—po radę szepnął Benedykt. Przeląkłem się i uczułem, że blednę.

— Na Boga, tyś spełnił morderstwo? wyrzekłem z wysileniem. Skinął głową, a potém dodał cicho: „Gorzéj jeszcze.“ Położył palec na ustach na znak, abym milczał, potém wciągnął mnie ostrożnie za sobą do pracowni i zamknął drzwi na dwa spusty. Pracownia wyglądała jak po walce niedawnéj, poprzewracane stołki leżały na podłodze, długa zasłona renesansowego łoża była w połowie zdarta, a sztylet z mosiężną rękojeścią, wykładaną masą perłową, który kiedyś przywiozłem Benedyktowi z Wenecyi, błyszczał bez pochwy, jak gad, niedaleko okna na ziemi.

Na łożu leżał ktoś bez ruchu. Odsunąłem kotarę i krew zastygła mi w lód, serce bić przestało i mgła jakaś zasłoniła mi oczy:— księżniczka Teresa Manfredi w czarnym habicie mniszki leżała na łożu z oczami słupem stojącemi, otwartemi ustami, zerwaną zasłoną i dziko rozrzuconemi włosami. Ręce i nogi jéj były mocno związane. Skoczyłem do okna, chwyciłem sztylet wenecki, jednóm cięciem przerznąłem więzy nieszczęśliwéj dziewczyny—potém chwilę myślałem, czy by nie wbić sztyletu we własne serce lub w piersi Benedyk-

ta. Westchnienie z bladych, drżących ust zwróciło nagle uwagę moją na księżniczkę. Nie poruszyła się, ale ręce jéj, uwolnione z więzów, opadły jakby same przez się na oba boki. Wziąłem ją za rękę, była jak lód. Nogi zadrżały pode mną, zabrakło mi siły i padłem przy łóżku na kolana, zanurzywszy twarz w fałdy kobierca, pokrywające go łoże. Tak zostałem bez ruchu, długo, długo. Głos Benedykta szeptem ozwał się koło mojego ucha.

— Zgadłeś, jest lunatyczką... Wczoraj w nocy przyszła znowu do okna... Czyhałem na nią w cieniu, jak morderca, jak dziki zwierz... Miłość taka, jaką czułem, równa się nienawiści... Padałem z otchłani w otchłań i w kilka chwil znalazłem się na dnie piekła... Nie byłem zwierzem, byłem diabłem... Schwyciłem za jéj wyciągniętą rękę, nie rozumiem, że się nie przebudziła, słyszałem chrapliwy swój oddech... Uśmiechała się i szeptała moje imię... To mnie nie wzruszyło! Widzisz więc, żem potępiony na wieki... Zbudziła się w mych objęciach...

Zamilkł, a zęby mu szczękały.

— Nędzniku! zgrzytnąłem zębami i podniosłem sztylet.

Benedykt schylił głowę przed obelgą, ale nie cofnął się przed sztyletem. Teresa poruszyła się na łożu i nóż mój opadł. Szept Benedykta znowu ozwał się za mną.

— Tym nożem chciała się przebić, gdym jéj go wyrwał, chciała z okna się rzucić... Walczyliśmy z sobą, raniła mnie, a ja ją związałem, aby ją uratować...

— Uratować! zaśmiałem się gorzko.

— Co teraz począć? co począć? wyrzekał cicho Benedykt.

— Tak, co począć? powtórzyłem z rozpaczą; byliśmy obaj przygnębieni i bezradni.

Nagle księżniczka Teresa siadła na łóżku—i niezapomnę nigdy jéj pół-obłąkanego, rozpaczliwego wzroku, którym błądziła po pracowni. Na dworze było jasno, słońce się śmiało, a powietrze pełne było wesołego szczebiotania wróbli. Jak nieprawdziwém, bajeczném wydało mi się to nasze położenie, oczekiwałem co chwila, że przebudzę się z ciężkiego snu do rzeczywistości..

Księżniczka Manfredi zakryła sobie twarz obiema rękami i pozostała tak długą chwilę bez ruchu, naraz zwróciła bladą twarz swoję ku mnie i wlepiła oczy w próżnię. Zaczęła mówić cichym głosem, jakby sama do siebie.

„Za lat dziecięcych byłam lunatyczką... Myślałam, żem już dawno wyleczona, wszyscy w domu tomyśleli. Widzę teraz, jak-eśmy się mylili. Teraz jasném mi jest wszystko, co się ze mną stało... Panie, połóż pan ten sztylet... Jestem także winna... Gdybym nie by-

ła ciągle o nim myślała... „Podniosła palec i wskazała w stronę, gdzie stał Benedykt, „gdyby dusza moja nie była tak przepełniona jego obrazem, gdybym nie marzyła o nim dalej w klasztorze tak, jak poprzednio w domu ojca swego, nie byłyby mnie we śnie nogi do niego niosły... Wszystko jest mi teraz jasném... wszystko, wszystko, wszystko..."

Głowa jéj opadła, ale przez twarz Benedykta przeleciał jak błyskawica wyraz błogiéj nadziei, przystąpił do niej bliżéj.

— O gdyby to było możliwe, gdybyś mi przebaczyła, dziewczyno... zawołał.

Teresa zadrżała.

— Nigdy! a kiedy się jeszcze przybliżał, zeskoczyła z łoża, chwyciła się mego ramienia i całym ciężarem zawisła na moich piersiach. Serce zabiło mi gwałtownie, szukała u mnie schronienia, jak ptaszę strwożone. Zgroza, która dotąd jakby kamiennemi rękami serce me ściskała, znikła, głębokie wzruszenie zajęło jéj miejsce, łzy gorące kapały mi z oczu na białe, zhańbione, a przecież czyste jéj czoło. Czuła je i zwróciła ku mnie swój boski, nawpół dziecięcy wzrok, coś jak uśmiech wdzięczności zaigrało na jéj ustach, jeszcze mocniéj przytuliła się do mnie.

— Wyprowadź mnie pan, wyprowadź,—prosiła słodkim dziecięcym głosem.

— Ale dokąd, dokąd? wykrzyknął Benedykt z niepokojem.

— Do klasztoru! odpowiedziała z prostotą, i dziwna energia odbiła się w całéj jéj postaci. Zdawała się prawie spokojną, a głos jéj brzmiał jasno, lecz jakoś nienaturalnie i obco, gdy dodała: „Wyznam wszystko, co mi się przytrafiło. Może mnie poprostu przywiążą w nocy do łóżka, lub zamkną w celi. Może mnie zabiją, a może wypędzą haniebnie. Ich rzeczą—działać, moją przyjmować wszystko, co Bóg na mnie ześle. Jestem rzeczą, nie jestem już człowiekiem. Wszystko mi obojętne. Proszę, wyprowadź mnie pan!

Miała słuszność, cóż jéj pozostawało innego. jak wrócić do klasztoru. Obejrzałem się po pracowni, szukając czegoś, czem by nieszczęśliwa klasztorny swój habit osłonić mogła, aby na ulicy nie zwracać na siebie uwagi. W kącie pracowni wisiał jakiś rodzaj płaszczyka z kapturem. Wiolanta przyniosła go tu raz i zapomniała. Benedykt odgadł, czego szukam, i przyniósł płaszcz. Chciał go podać księżniczce. Krzyknęła głucho, gdy się zbliżył, i uciekła do mnie. Narzuciłem na nią płaszcz. Czułem, jakiéj profanacyi dopuszczam się, odziewając nieszczęśliwą dziewczynę w jedwabny, kokieteryjnie strojny łachman bezwstydnéj zalotnicy. Podałem jéj ramię, aby się wesprzéć mogła. nie chciała; trzymała się ściany i tak zataczając się

szła przez pracownię, ze schodów i przez trawą zarosłe podwórze. Benedykt ze schodów patrzał za nami.

Teresa nie przemówiła ani słowa podczas krótkiéj drogi, dopiero pod samym klasztorem spytała nagle drżącym głosem: „Panie, gdybym wyznała wszystko, rozumiesz pan, wszystko... czy miałoby to złe skutki dla... dla... — nie mogła mówić daléj.

— Miałoby,—odrzekłem krótko i w tejże chwili podeszliśmy do furty. Zadzwoniłem.

— Dziękuję—rzekła dziewczyna i padła bez zmysłów na progu. Usłyszałem krzyk przestrachu w korytarzu klasztornym, otworzyła się furta i w mroku ciemna jakaś postać kobieca pochyliła się nad omdlałą Teresą. Nie czekałem dłużéj i rzuciwszy pożegnalne spojrzenie na marmurową jéj twarz, uciekłem z klasztoru.

Minęło trzy miesiące. Nie pytaj, drogi mistrzu, jak przez ten czas żyłem, co cierpiał Benedykt. Co księżniczka powiedziała w klasztorze, jak daleko posunęła swoje wyznanie, co się z nią działo, to pozostanie na zawsze tajemnicą. Jednego rana wszakże, niespodzianie uderzyła nas wiadomość w jakimś dzienniku klerykalnym, że dla księżniczki Teresy Manfredi termin nowicyatu został skrócony, że na przyszły tydzień złoży ostateczne śluby zakonne, że tęskni za spokojem, poznawszy nicość świata i jego rozkoszy itd. Te frazesy gazeciarskie wzruszyły mnie bardziéj, niż którabądź z tragedyi Ajschila. Wyszukałem Benedykta, z którym przez cały ten czas mało-m się widywał. Nie mówiliśmy nigdy o straszliwéj nocnéj przygodzie, a imię księżniczki Manfredi podczas krótkich naszych rozmów nigdy nie przeszło przez nasze usta. Benedykt wykończał obraz św. Teresy, zawsze ze łzami w oczach, ale czy to że rozpacz go przemogła,—malował obraz drugi, straszny, nigdy nieukończony... Przedstawiał mniszkę, rozpaczającą na łożu w swéj celi, z któréj barbarzyński jakiś żołdak uciekał właśnie ze śmiechem. Przez okno celi, wdzierał się dym płonącego klasztoru; żołnierz miał twarz Benedykta, a mniszka wpół-obłąkane, rozpaczliwe spojrzenie nieszczęsnéj księżniczki Manfredi, powracającéj po swém nieszczęściu do zmysłów...

Benedykt siedział przy oknie, oczekiwał moich odwiedzin. Pierwszy raz po strasznym tym wypadku mówiliśmy o księżniczce. Płakaliśmy obaj i umówiliśmy się, że pójdziemy na ceremonię do kościoła. Widzieć ją raz jeszcze, raz ostatni, było dla nas taką samą potrzebą, jak słońce, powietrze.

Fatalny dzień nadszedł. Wstęp do kościoła był za biletami. Nie wiem, zkąd Benedykt je wydostał. W kościołku była zgromadzona cała tak zwana śmietanka towarzystwa praskiego, ja i Benedykt byliśmy jedynymi intruzami z klasy plebejuszów. Staliśmy z boku i myśleliśmy, że nas od ołtarza widać nie będzie.

Nie żądaj, drogi mistrzu mój, abym ci to opisywał szczegółowo. Nic nie wiem na pewno, co się działo, wszystko to było jak sen przelotny. Widziałem księżniczkę Teresę Manfredi w białéj, długiéj, jedwabnéj szacie, w blasku złota i drogich kamieni, widziałem blade, marmurowe jéj oblicze, siwe jéj oczy, takie marzące, że z niczém pod słońcem porównać ich niepodobna, widziałem wszystko, ale wszystko przez mgłę łez swoich. Patrzałem na nią, jak ją tu i owdzie prowadzali, mówili coś, ale co—nie wiem. Teresa nie rzuciła ani jednego spojrzenia na publiczność. Gdy mówiła, słyszałem tylko słodką muzykę jéj głosu, nie będąc w stanie zrozumiéć słów wymawianych. Czasami wydawał mi się jasny, energiczny głos ten tak nienaturalnym, jak wówczas w pracowni Benedykta. Nieszczęsny Benedykt trzymał mnie za ramię, czułem, jak ściskał mi je coraz to silniéj i silniéj, a oddech jego był tak ciężki i głośny, że musiano go słyszéć w całym kościołku. Teraz przyszła chwila, gdy Teresa według przepisanego obrzędu na ziemię legła, a zakonnice przystąpiły do niéj z całunem, aby ją przykryć... Szeptały jéj coś, postąpiła wbrew przepisom, mianowicie podniosła nagle głowę i po raz pierwszy przez cały czas ceremonii wlepiła spokojnie oczy w otaczającą ją publiczność. Spostrzegła natychmiast Benedykta, jakby poprzednio wiedziała, gdzie go szukać. Oczy jéj były nadnaturalnie wielkie i zatapiały się w twarzy Benedykta, opierającego się prawie bez zmysłów o ścianę. Napominano księżniczkę Teresę już głośniéj, i śród publiczności ozwał się szept. Teresa nie zważała na to, piersi jéj wznosiły się, w siwém oku zabłysła wielka łza—jedyna, którą widziałem u téj nieszczęśliwéj dziewczyny... Przy ołtarzu zniecierpliwiono się, całun padł na nią. Powinna była pod nim cicho leżéć, tak chciały przepisy obrzędu, ale całun zadrżał dwa razy i dwa razy wznosiły się pod nim słabo ramiona dziewczęcia... Potém ciężka materya została bez ruchu, lecz z pod czarnych fałdów ozwało się słabe charczenie. W kościele powstał hałas, kobiety bladły, mężczyzni stawali się niespokojnymi, tylko przed ołtarzem szło wszystko według przepisów... Teresa leżała cicho, a Benedykt, jak dziecko, oparł twarz o moje ramię. Teraz podniesiono całun, Teresa powinna była wstać—nie poruszyła się. W kościele zabrzmiały krzyki, jedna z dam podawała swój flakon. Podniesiono Teresę, i zrobił się hałas jeszcze większy. Pewien lekarz „fashionable" był obecny, przystąpił do niéj i wziął ją za rękę.

— Nie żyje... rzekł po chwili.

A łza błyszczała dotąd w zagasłém siwém oku...

Jakeśmy się z Benedyktem do domu dostali, nie wiem. Benedykt chorował długo. Myślałem, że oszaleje. Rozpaczliwy wzrok

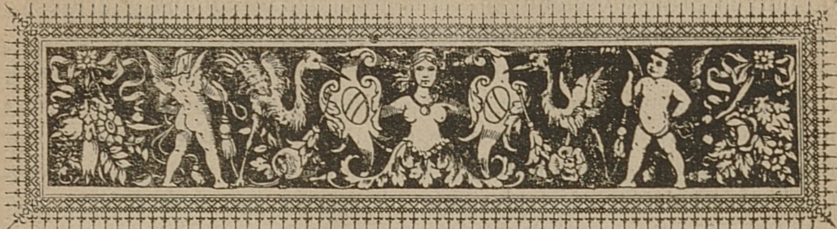
mniszki, który zaczął malować, prześladował go we dnie i w nocy. Nie umiał sobie Teresy inaczéj wyobrazić, jak związaną, leżącą z wpół-obłąkaném okiem za ciemną kotarą renesansowego łoża. Siła jego na długo znękana. Lekarz radzi zmianę miejsca pobytu. Nikt nie wywiera tak dobroczynnego wpływu na Benedykta, jak ty. drogi nasz mistrzu. Ty jeden zdołasz odegrać eumenidy, potrząsające żmijami swych warkoczy nad głową rozpaczającego nieszczęśnika. Zgodził się wreszcie, że pojedzie do ciebie do Passy. Długiego czasu potrzebowałem, aby go zbudzić ze strasznego letargu.

— Skądże ja wezmę sił—rzekł do mnie,—aby opowiedziéć historyą swą naszemu drogiemu mistrzowi? Opisz ty mu wszystko, wszystko. Nie szczędź mnie. Napisz mu całą prawdę.

Zrobiłem, o co mnie prosił.. Nigdy i nikomu więcéj nie będę opowiadał o księżniczce Manfredi. Pojadę na Wschód, bo i ja potrzebuję odpoczynku, i ja potrzebuję zmiany powietrza i zapomnienia. Zapomnienia! Jak próżne to słowo... O mistrzu, drogi mistrzu mój, czemuż nie mam ci tego wyznać, toć sam już pewnie to zgadłeś... I ja kochałem tę kobietę...

Z czeskiego przełożył *Miriam*.





KOTLINA PRYPECI I BŁOTA PIŃSKIE

POD WZGLĘDEM PRZYRODNICZYM.

Słynne błota pińskie, zalegające ogromne obszary ziem, po obu brzegach rzeki Prypeci położonych i wypełniające większą prawie część wołyńskiego i litewskiego Polesia zwróciły już oddawna na siebie uwagę zarówno badaczów rzeczy ojczystych, jak i zagranicznych uczonych. Ale nie tylko z powodu zjawiska, nazwą błot pińskich oznaczonego, zasługuje ta kraina na uwagę; położona prawie w samym środku Europy, na granicach dwóch odmiennych światów, polarnego i stepowego, obfituje ona w szczegóły po części dotąd nieznane, po części niedostatecznie ocenione, które pozwalają wejrzéć w fizyczne dzieje naszéj ziemi i mogą przyczynić się do rozwiązania wielu najciekawszych zagadnień z dziedziny przyrodoznawstwa. Jest to nadto ziemia dziewicza, w któréj przyroda, gwałcona w krajach ościennych bezustannie postępami cywilizacyi, przechowała po dziś dzień swój pierwotny charakter, a dokładniejsze jéj poznanie i rozbiór jéj właściwości, oparty na samodzielném badaniu, powinien by być w téj chwili tém więcéj na czasie, ile że prace, podjęte od niewielu lat w celach ekonomicznych, nagłe czynią postępy, a zmieniając przyrodnicze warunki miejscowości, zmienią niebawem nie tylko jéj powierzchowność, lecz wpłyną także niezawodnie na zatracenie wielu ciekawych szczegółów przyrodniczych, których napróżno szukalibyśmy w innych krajach Europy, a które przechowały się tutaj po dziś-dzień, dzięki niedostępności téj krainy.

Ażeby ocenić dostatecznie powody, które wpłynęły na zabagnienie naszego Polesia i nadały mu piętno tak odrębnéj samodzielności, musimy poznać wpierw własności jego gleby i stosunek jego

do innych krajów ościennych, musimy poznać choćby w grubszych zarysach ogólną budowę lądu europejskiego.

Powierzchnia Europy odznacza się pod względem postaci wielką rozmaitością, bo gdy jedne jéj części obniżyły się pod poziom oceanów, to drugie wzniosły się na wiele tysięcy metrów w górę i tworzą niebotyczne wierzchołki, wiecznemi lodami pokryte. Wogóle trzeba powiedzieć, że wzniesienia na nazwę gór zasługujące, czyli tak zwany wyż europejski, zajmują zachodnią, zaś niziny, czyli niż europejski, wschodnią połowę téj części ziemi. Rozmiary i wzajemny stosunek tych dwóch formacyi uwidoczniłyby się nam, gdyby wody oceanów, okalających Europę, podniosły się przynajmniéj na 400 metrów w górę, bo wówczas część Europy wschodnia, zamknięta między Uralem i Karpatami w jednym, a górami Skandynawii i Kaukazem w drugim kierunku, zamieniłaby się w dno morskie, a na ogromnym tym obszarze, zajmującym prawie dwie trzecie części dzisiejszéj Europy, nie byłoby ani piędzi ziemi, którаby nad powierzchnię wody sterczała. To morze, pokrywające niż europejski, byłoby od strony zachodniéj zamknięte pięcioma wyniosłemi wyspami, odpowiadającemi pięciu górskim krainom, a mianowicie: krainie alpejskiéj, z gałęziami półwyspów bałkańskiego i apenińskiego, wyżynie iberyjskiéj z Pirenejami, wyżynie środkowéj Francyi, grupie wysp Wielkiéj Brytanii i wyżynie skandynawskiéj. Wyspa alpejska i skandynawska przewyższyłyby wszystkie inne swemi rozmiarami, ale rozdzielałoby je ramie morskie, co najmniéj na 1000 kilometrów szerokie, odpowiadające nizinie północnych Niemiec i mórz ościennych, które z tego powodu za przedłużenie wschodnio-europejskiego niżu uważane być muszą.

Obecnie zajmuje nas przedewszystkiém ten wschodnio-europejski niż, nazywany także niżem sarmackim, prawie wyłączna siedziba plemion słowiańskich. Na nazwę niżu zasługuje on jedynie, gdy go uważamy jako przeciwstawienie górzystéj Europy, ale nie jest on równiną, bo powierzchnia jego obejmująca 90 tysięcy mil kwadratowych czyli sześć milionów takichże kilometrów, wznosi się nad poziom morza do przeszło 300 metrów wysokości i budzi potrzebę dalszego rozróżnienia wzniesień i zapadłości, czyli grzbietów i nizin właściwych.

Zoryentowanie się w krainie niskiéj jest wogóle trudniejsze, niż w krainie górzystéj (1). Geografowie dawniejsi łączyli nabrzmiałości,

---

(1) Bardzo dobre wyobrażenie o budowie zachodniéj części europejskiego niżu, a zatém obszaru między Karpatami i Bałtykiem położonego, daje hypsometryczna mapa środkowéj Europy Steinhausera, wydana u Artarii w Wiedniu w 1877 r. Dla wschodniéj

wznoszące się na niżu europejskim. w dwa systemy, jakoż rozróżniano do niedawna jeszcze grzbiet baltycko-uralski, który biegnąc od brzegów morza baltyckiego, dochodził pod góry uralskie i przecinał w poprzek północną Rosyą, a następnie grzbiet karpacko-uralski prawie równoległy od pierwszego, który przecinał południową Rosyą i łączył Karpaty z Uralem. Oba te grzbiety miały się obniżać dość nagle ku północy i ku południowi, a w pośrodku pomiędzy niemi miała się znajdować jednostajna wielka zapadłość, odpowiadająca kotlinie Dniepru, Donu i Wołgi (1). W ten sposób przedstawiano sobie w grubszych zarysach budowę wschodnio-europejskiego niżu. Ale nowsze badania geograficzne dostarczyły materyałów, w obec których pogląd ten ostać się nie może. Rozróżnienie dwóch samodzielnych grzbietów okazało się bezzasadném, bo łączą się one z sobą w wieloraki sposób. Bezpośredni związek między niemi istnieje przedewszystkiém na całym obszarze ziem między Dnieprem i Wołgą położonych; środkowa Rosya nie jest zapadłością, lecz wyżyną, która wzniesieniem swém stoi na równi z owemi wrzekomemi grzbietami i spada dość nagle ku Wołdze i Dnieprowi. Kulminacya téj wyżyny przypada na okolicę, pomiędzy miastami Orłem i Kurskiem położoną, skąd dopływy rzek Dniepru, Donu i Wołgi w kierunku promieni na wszystkie rozchodzą się strony. Środkiem téj wyżyny spływają ku południowi wody Donu, którego koryto jest znacznie wyżéj od koryta Dniepru i Wołgi położoném, który nie posiada własnéj kotliny i z tego powodu za rzekę wyżynową uważanym być musi. Daléj na zachodzie istnieje inne połączenie owych grzbietów, tworzące dział wodny między Prypecią i Wisłą, a jeszcze daléj inne dzieli dorzecze Wisły od dorzecza Odry.

W obec tego wszystkiego niż wschodniéj Europy przedstawia nam się jako obszerna wyżyna, wznosząca się miejscami do 300 metrów nad poziom mórz ościennych, a kotliny rzek Wołgi, Dniepru i Wisły są miejscowemi zagłębieniami tejże wyżyny. Zagłębienia

---

części niżu możemy polecić jedynie mapę Rosyi Iljina, wydaną w języku niemieckim, bez daty, w Petersburgu. Obie są opatrzone liniami równych wzniesień (isohypsy), pierwsza w odstępach 33, 100, 200, 300, 400, 500, 700 i t. d. metrów, druga w odstępach 100, 300, 500, 700, 1000, 2000, 4000 stóp, i nadają się doskonale do studyowania terenu. Mapa Steinhausera jest najlepszą pracą kartograficzną, jaka się w tym rodzaju dotąd ukazała. Mapa Iljina, również bardzo starannie opracowana, ma tę wadę, że granice powiatów i rzeki zostały zbyt szeroko naznaczone, wskutek czego linie równosiężne straciły wiele na wyrazistości, a związek pomiędzy niemi jest w niektórych razach trudny do odgadnienia.

(1) W. Pol: Północny wschód Europy pod względem natury. (Lwów, 1875), str. 14 i nast.

te rozwinęły się o wiele silniéj na wschodzie i są tam daleko obszerniejsze, co jest prostem następstwem większego rozpościerania się niżu we wschodnim kierunku. Ten pogląd zmienia i pojęcie o rozwoju europejskiego niżu. Kotliny rzek tutejszych, uważane przez dawniejszych geografów za zapadłości, są dziełem erozyi, powstały przez działanie wody, przez wymulenie i uniesienie cząsteczek ziemnych do morza, są dziełem rzek tutejszych; przeciwnie wyniosłości, dzielące te rzeki od siebie, o których dawniejsi geografowie przypuszczali, iż powstały przez pofałdowanie powierzchni ziemi, są w rzeczywistości resztkami wyżyny, które wskutek położenia swego mniéj były na działanie wody narażone i wskutek tego mało co dotąd ze swéj pierwotnéj utraciły wysokości.

Przemawia zatém najsilniéj geologiczna budowa gleby téj części Europy. Nierówności na powierzchni ziemi, nazwą gór oznaczane, powstały wogóle wskutek kurczenia się ziemi, powodowanego jéj bezustannóm stygnięciem. Ponieważ stwardniała skorupa ziemska utraciła już zupełnie swoję podajność, przeto skutki kurczenia się ziemi objawiają się na niéj w ten sposób, że ulega bezustannemu pofałdowaniu, wskutek czego jedne jéj części wznoszą się w górę, inne obniżają się, poziomy układ warstw przechodzi w ukośny, warstwy ulegają pogięciu, przyczém powstają nierzadko szczeliny, przez które wydobywa się na zewnątrz lawa, wypełniająca wnętrze ziemi, a stygnąc na jéj powierzchni, daje początek skałom krystalicznym, które potrzeba dobrze odróżnić od skał powstałych jako osad ziemny na dnie wód oceanicznych. W górzystych częściach Europy na każdym kroku można widziéć ślady przewrotów, jakie odbywały się w różnych czasach na powierzchni ziemi. Ale niż wschodniéj Europy pozostał dotąd prawie przez nie nietknięty. Jest to olbrzymia kotlina, prawdziwa zapadłość, wypełniona skałami osadowemi różnego wieku i różnéj przyrody, których pokłady leżą po dziś-dzień w kierunku poziomym tak, jak osiadły na dnie morza, jakie do niedawna jeszcze tę kotlinę wypełniało. Mało jest miejscowości na powierzchni ziemi, gdzieby skały osadowe, odpowiadające różnym epokom w rozwoju ziemi, od najstarszych do najmłodszych spoczywały jedne na drugich w takim porządku i tworzyły tak jednostajny łańcuch, jak w wielkiéj kotlinie rosyjskiéj. Podstawę tych utworów daje granit (skała pierwotna, krystaliczna), który przegląda w wielu miejscach na jéj obwodzie, szczególniéj na północy, gdzie tworzy olbrzymią płytę, odpowiadającą całéj Finlandyi i przechodzącą w wyżynę półwyspu skandynawskiego i na południu, gdzie przykryty niezbyt grubym pokładem skał osadowych młodszego wieku, wystąpił na jaw w dolinach rzek na całym obszarze między Dniestrem i Bo-

hem i po wzniesieniach czarnomorskich, a zatém tam, gdzie miękkie skały młodszych osadów przez wodę zniszczone i uniesione zostały. Granit tworzy bezwątpienia i rdzeń gór uralskich, bo po wschodnich ich stokach, od strony Syberyi, wystąpił na znacznych obszarach, w czystéj typowéj postaci (1).

Na tym granicie leżą mniéj albo więcéj rozwinięte pokłady skał wszystkich formacyi osadowych, od sylurskiéj do trzeciorzędnych. W środkowéj i południowéj części kotliny skały najmłodsze, trzeciorzędne, tworzą wszędzie powierzchnię ziemi; ale na północy, od strony Finlandyi a po części i od strony Uralu wyszły na jaw skały starszych formacyi, a mianowicie: sylurskiéj, dewońskiéj, permskiéj, triasowéj i jurajskiéj, postępując od obwodu kotliny ku jéj środkowi w naturalnym porządku i zajmują tam tak znaczne obszary na powierzchni ziemi, iż wypada przypuścić, że dno starego morza podnosiło się tutaj stopniowo, w różnych epokach geologicznych, wskutek czego i rozwój młodszych formacyi do skutku nie przyszedł.

Nie trudno po tém wszystkiém zrozumieć geologiczny rozwój wschodnio-europejskiego niżu. Jest to prastare zagłębienie na powierzchni ziemi, które jeszcze w najmłodszych epokach geologicznych było zalane wodą, a powstało wskutek stopniowego podnoszenia się gleby na jego obwodzie. To podnoszenie się rozpoczęło się najprzód na północy, od strony wschodniéj i zachodniéj: tam wyszło ono od gór uralskich, tu od półwyspu skandynawskiego i posuwało się ku południowi, gdzie spotkało się ze wzniesieniami Karpat i krymsko-kaukaskiego wału. Zakłócenie pierwotnego układu warstw nastąpiło tylko tam, gdzie wzniesienie odbywało się nagléj. Na całéj linii Uralu od strony Syberyi, po obu stronach Karpat, w Krymie i na półwyspie tamańskim, nie tylko warstwy nowszych pokładów uległy pogięciu, lecz powstały nadto liczne, głębokie szczeliny w skorupie ziemskiéj, przez które wydobyła się płynna lawa różnéj gęstości, a zastygłszy, dała początek młodszym skałom wybuchowym t. zw. trachytom, bazaltom, diorytom i t. d. Sam środek kotliny pozostał wolnym od takich zaburzeń; wody oceaniczne ustąpiły z niego stosunkowo najpóźniéj, a skały osadowe przechowały do dziś-dnia pierwotny poziomy układ warstw (2).

Dopiero po ustąpieniu wód téj kotliny rozpoczęło się właściwe modelowanie powierzchni ziemi, a zostało dokonane wyłącznie przez

---

(1) Porównaj mapę geologiczną Rosyi Helmersena: Geołogiczeskaja karta Rossii sostawlena 1845 godu Murszisonom, Wernelem i Kejserlingom, isprawlena i dopołniena w Fiebrale 1870 goda Gr. Gelmersenom.

(2) Skała wybuchowa młodszego pochodzenia, t. z. anamerit, została na właściwym niżu tylko w jedném miejscu, nad Horyniem około Berestowca odkrytą, o czém niżéj.

wody atmosferyczne, spadające bezpośrednio z powietrza na obnażoną jéj powierzchnię i spływające po niéj w postaci rzek i potoków. Kierunek głównych rzek i ich dopływów był z góry wyznaczony nierównościami dna morskiego. Bo chociaż w oceanach dno jest prawie zupełnie równe, a powierzchnia jego zachowuje z podziwienia godną stałością kierunek zupełnie poziomy, to w morzach zamkniętych, mniejszych rozmiarów, otoczonych wyniosłościami, dno przedstawia zawsze płaszczyznę falistą, pogiętą. Chociażby spadek tych nierówności był jak najmniejszy, to wody deszczowe korzystają z nich bezwarunkowo, spływają po pochyłościach a gromadzą się po zagłębieniach, skąd siłą torują sobie drogi ku morzu. Wody deszczowe spływając po glebie nagiéj, niepokrytéj roślinnością, zabierają cząstki ziemi i unoszą je do rzek, a z niemi do morza; wskutek ubytku gleby, spowodowanego bezustannem jéj opłukiwaniem, ulegają pierwotne niziny pogłębieniu, powstają kotliny i doliny rzek, których rozwój i postać zależy wyłącznie od ilości opadu wodnego i od twardości skał glebę tworzących. Jeżeli boki dolin i kotlin mają spadek znaczny, to wody deszczowe, ściekające po nich, poruszają się ze znaczną siłą, rozrywają glebę tworzą jary i zagłębienia, kótre okolicy pierwotnie równéj, o układzie warstw poziomym mogą nadać charakter górski. W ten sposób powstały wszystkie nierówności na niżu wschodniéj Europy i z tego powodu do szeregu utworów erozyjnych zaliczane być muszą. Obnażenie gleby (denudacya) może zajść tak daleko, że pokłady młodsze ulegną zupełnemu zniszczeniu i znikną, a ich miejsce zajmą utwory spodnie, a zatém do starszych formacyi geologicznych należące.

Rzeka Prypeć, która przy pomocy licznych dopływów odwadnia błota pińskie, wpada do Dniepru a z nim do morza Czarnego. Dolina Prypeci przedstawia obszerną kotlinę, któréj środek jest prawie zupełnie równy i z lekka tylko, jednostajnie ku wschodowi pochylony, bo spadek Prypeci między Pińskiem (140^{m}) a jéj ujściem do Dniepru (103^{m}) (1), to jest na przestrzeni w prostéj linii prawie 400 kilometrów długiéj, wynosi tylko 37 metrów; kotlina ta podnosi się dopiero na swym obwodzie ku otaczającym ją wyżynom, a jeśli średni jéj poziom przyjmiemy na 120 metrów, to najwyższe wierzchołki na północy i na południu przewyższają ją jeszcze 200 do 250 metrów.

Od północy zamyka kotlinę Prypeci system wzniesień, obecnie nazwą grzbietu baltyckiego, albo z powodu wielkiéj ilości jezior, ja-

(1) W. Choroszewski: Poszukiwania geologiczne, dokonane w ostatnich latach na Polesiu, w „Pamiętniku Fizyograficznym“, Tom. I, str. 128.

kiemi jest pokryta, pojezierzem baltyckiém nazywany. To pojezierze bierze początek na południu od jeziora Ładogi, we wzniesieniu wałdajskiém, skąd źródła Dźwiny, Wołgi i Wołchowa w różne rozchodzą się strony, a gdzie Popowa góra, 351 metrów wysoka, jest najwyższém wzniesieniem w całym systemie. Od Wałdaju biegnie ten grzbiet ku zachodowi, a trzymając się bezustannie brzegów morza baltyckiego, dochodzi przez Litwę, Prusy królewskie, Pomorze, Meklemburg do południowéj Danii, gdzie obniża się prawie do poziomu morza. Rzeki Dźwina, Niemen, Wisła i Odra, które mają swe źródła na południu a uchodzą do Baltyku, przerywają ten grzbiet w poprzek i dzielą go na kilka naturalnych całości. Część jego przecięta Niemnem a zamykająca naszą kotlinę od północy, bywa nazywana grzbietem litewskim, a Święta góra nad Mińskiem, na któréj Niemen bierze początek, wznosi się na 341 metrów nad poziom morza i jest najwyższym punktem na północ od Prypeci.

Od strony południowéj podnosi się kotlina Prypeci ku owéj wielkiéj wyżynie, która od stóp Karpat galicyjsko-węgierskich rozpościera się ku północy i ku południowemu wschodowi, tworząc glebę Podola, Wołynia i przed dnieprowéj Ukrainy, a za Dnieprem łączy się z nabrzmieniem środkowéj Rosyi. Najwyżéj wzniósł się na téj wyżynie grzbiet biegnący od Lwowa na Krzemieniec do Ostroga i rozdzielający dopływy Prypeci, a zatem Dniepru od dopływów Dniestru i Bohu, a najwyższe miejsca na tym grzbiecie dochodzą do 400 metrów nad poziom morza (wzniesienia na zachód od Dubna 324 m., Krzemieniec 400 m.). Od strony wschodniéj tworzy granicę naszéj kotliny rzeka Dniepr, bo po lewéj, wschodniéj jego stronie podnosi się gleba dość nagle ku wyżynie środkowéj Rosyi, jakoż już między Dnieprem i Desną, uchodzącą do niego pod Kijowem, mamy wzniesienia dosięgające do 165 metrów, a zatém przewyższające poziom téj rzeki o całe 60 metrów. Wyżyna środkowéj Rosyi jest wogóle o wiele niższą od nabrzmiałości, tworzących południową i północną granicę kotliny Prypeci, bo w miejscach najbardziéj nad poziom morza wzniesionych, w gubernii Kurskiéj, dochodzi zaledwie do 270 metrów, ale łączy się ona ściśle z systemem południowym i zamyka kotlinę górnego Dniepru w ten sposób, że dolina jego nagle się zwęża, przybiera miejscami charakter jaru, który powstał wskutek działania wody i jeszcze bezustannie się pogłębia. Za początek tego przełomu dnieprowego wypada uważać okolicę Kijowa, bo gdy wody Dniepru poruszają się tutaj w poziomie 90 metrów, to wzniesienia już w najbliższéj okolicy miasta, od zachodu, ku Irpieniowi położone, dochodzą do 170 metrów.

Tak tedy od północy, wschodu i południa kotlina Prypeci jest zamknięta znacznemi wyniosłościami a granice jéj z téj strony są wyraźne, nawet w naturze nie trudne do wyśledzenia. Inaczéj ma się rzecz z granicą zachodnią; istnieje i tutaj lekkie wzniesienie, dzielące dopływy Prypeci od dopływów Wisły, ale ten pomost, łączący bezpośrednio grzbiet baltycki z wyżyną podkarpacką jest tak niski i płaski, ze wyznaczenie działu wodnego między Wisłą a Prypecią, linii nader ważnéj, bo oddzielającéj dorzecze Baltyku od dorzecza morza Czarnego, pozostawia zawsze pewne wątpliwości. W skutek tego i połączenie obu rzek w celach ekonomicznych za pomocą kanału, nazwanego obecnie Dnieprowsko-Bugskim (1) zostało tu z łatwością dokonane; łączy on Pinę, źródłową rzekę Prypeci, z Muchawcem, uchodzącym pod Brześciem litewskim do Bugu a z nim do Wisły a spadek gleby, po której ten kanał został poprowadzonym, jest na obie strony tak łagodnym, iż wzniesienie jego nad poziom morza w miejscu najwyższém, gdzie jego wody na dwie rozchodzą się strony, wynosi tylko 147 (2) metrów, co znaczy, że jest zaledwie na 7 metrów nad poziom Prypeci pod Pińskiem wzniesiony (3). Z téj téż przyczyny i wody Puszczy Białowieskiéj, zajmującéj sam środek tego wzniesienia, rozchodzą się w trzy strony świata i płyną po części do Wisły i Niemna a z niemi do Baltyku, po części zaś do Prypeci, z którą uchodzą do morza Czarnego. Puszcza Białowieska ma niepospolite znaczenie geograficzne, bo łączy kotlinę Wisły z kotliną Prypeci, jakoż równiny mazowieckie przechodzą tu bezpośrednio w równiny Polesia i pod orograficznym względem jedną nierozdzielną z niemi tworzą całość.

Nie trudno zrozumiéć, że wyniosłości, zamykające kotlinę Prypeci od północy i od południa a przewyższające glebę Polesia o 200 do 250 metrów, muszą się pod względem krajobrazowym odznaczać sobie właściwym charakterem i muszą na umyśle mieszkańca równéj, zapadłéj, moczarowatéj krainy, jaką jest całe Polesie, szczególne robić wrażenie. Ale wyniosłe okolice Litwy i Wołynia mają nie tylko dla polesiuka wiele uroku; są tam miejscowości, mogące zająć i doświadczonego turystę. Pierwszeństwo pod tym względem należy się wołyńskim stronom, bo tu i wzniesienia wyższe i rozmaitość skał

(1) Myśl połączenia Baltyku z morzem Czarném za pośrednictwem Wisły i Dniepru powstała jeszcze za czasów Władysława IV-go. Kanał wykończony i otwarty w 1775 r. nosił z początku nazwę „kanału Rzeczypospolitéj“ późniéj „Królewskiego“ albo „Muchawieckiego.“

(2) Atlas Stielera, tab. 52.

(3) Wysokość Pińska jest na téj saméj mapie na 144 metrów podana, ale miasto leży na pagórku, co najmniéj na 3 albo 4 metry nad poziom Prypeci wzniesionym.

w skład gleby wchodzących większa. Sam grzbiet wołyński przedstawia od Brodów, gdzie przekracza granicę galicyjską, aż po Ostróg nad Horyniem, gdzie ginie w nizinie poleskiéj, wzniesienie silnie pogięte, tu i owdzie zaokrąglonym, nad całą okolicą panującym pagórkiem przerwane, a gdzie spadek jego jest naglejszy, jak np. między Lwowem a Brodami a ztąd ku Krzemieńcowi, tam widziany zdali robi nawet wrażenie miernie rozwiniętego pasma górskiego. Najważniejsze z południowych dopływów Prypeci mają swe źródła na tym grzbiecie. Styr w Galicyi, po jego północnéj stronie, Horyń zaś i Słucz na Wołyniu, po południowéj i płyną zrazu ku wschodowi, ale zbaczają Horyń od Sławuty a Słucz od Lubaru dość nagle ku północy i dążą prosto ku Prypeci. Płyną one z początku zwolna po pochyłościach wołyńskiego wzniesienia, w lekkich zagłębieniach w postaci strug, łączących niezliczone prawie stawy, które przyczyniają się nie mało do urozmaicenia okolicy. Powoli jednakże poziom ich wód się obniża, doliny pogłębiają a zamknięte wyniosłemi spadzistemi wzgórzami, zasiane wioskami i sadami, w pośród których prześwieca tu i owdzie powierzchnia stawów, przedstawiają nader miły widok. Tym samym charakterem odznaczają się i dopływy tych rzek, ale doliny ich są węższe i głębsze a po bokach dolin sterczą nieraz lite skały, lub tworzą malownicze grupy po wierzchołkach wzniesień nad doliną panujących. Mniejsze potoki płyną tu nieraz głębokiemi, wąskiemi jarami, których ściany bezustannie się obsuwają, pozostawiając na dnie potoku zwały olbrzymich głazów, których rozmycie i usunięcie przez wodę dłuższego wymaga czasu.

Kto przywykł patrzéć na okolicę badawczém okiem i zastanawiać się nad jéj rozwojem i nad przeobrażeniem, jakiemu z biegiem czasu uledz może, ten z łatwością przychodzi do tego przekonania, że wszyskie te doliny, jary, wąwozy i strome uskoki powstały przez działanie wód po powierzchni ziemi ściekających, że zostały przez wodę wyżłobione, są dziełem tak zwanéj erozyi. Postać wołyńskiego grzbietu była w chwili, gdy on się wyłonił nad powierzchnię wód oceanicznych, zupełnie odmienną od dzisiejszéj. Wysokość jego była o wiele większą a powierzchnia jego, słabo tylko nachylona, była zupełnie jednostajną. Wszystkie nierówności, jakie na nim dziś widzimy, są dziełem wód atmosferycznych. Wody te nie tylko poszarpały i rozryły jego boki i odsłoniły w głębi jarów skały starszych formacyi, lecz zniweczyły na jego powierzchni całe pokłady osadów młodszych, obniżyły jego wysokość a materyał ze zniszczenia skał pochodzący uniosły w odległe strony; jakoż znaczną jego ilość spotkamy jeszcze na nizinach Polesia, w postaci piasków i żwirów, niziny te pokrywających.

Badanie rozwoju powierzchni ziemi czyli morfologii gleby, na podstawie geologicznéj, jest zasługą najnowszych czasów. Ożywiło ono i urozmaiciło nieco suchy i nużący temat umiejętności i połączyło nierozerwalnym węzłem geologią z geografią. Grzbiet wołyński nadaje się szczególniéj do takich studyów, bo ziemia tutejsza nie tylko na swéj powierzchni przedstawia wielką rozmaitość form, lecz i we wnętrzu swém kryje nie mniejsze bogactwo utworów z różnych epok geologicznych i ułatwia ocenienie związku, jaki zachodzi między zewnętrzną postacią gleby a jéj budową geologiczną.

Podstawę całego wołyńskiego wzniesienia tworzy granit (1), z którym łączy się najściśléj gneis, skała krystaliczna, różniąca się od granitu nie tyle częściami składowemi, ile układem warstwowym i odłamem łupkowym. Granity i gneisy występują obficie na jaw we wschodniéj części Wołynia, gdzie zajmują najniższy poziom, tworząc malownicze grupy skał nad rzekami, szczególniéj nad Bohem, Teterowem, Kamionką, Słuczą i Uszą, a ciągnąc się ztąd w południowo-wschodnim kierunku, zachodzą aż po morze Azowskie i tworzą pas przeszło na 800 wiorst długi. W północnéj stronie można je widzieć jeszcze na samym brzegu błot Polesia, w okolicach Rokitna (Kręta Słobudka) i Owrucza, gdzie tworzą skały nad rzeką Norynięm; podchodzą one pod wielkie błota pińskie i tworzą we wschodniéj stronie ich naturalną podłogę. W kilku miejscach został granit przebity przez syenit, w innych przez porfir, skałę wybuchową, tworzącą w nim żyły i pokłady i sterczącą nad powierzchnią ziemi w postaci odosobnionych kopuł. Za utwór wybuchowy uważa Osowski także labradoryt, skałę ciemnéj barwy, towarzyszącą w wielu miejscach granitowi, która po wygładzeniu i wypolerowaniu odznacza się niezwykłą żywością barw, w tęczowych odcieniach, i z tego powodu nie jest obojętną dla przemysłu. Z innych minerałów, złączonych ściśle z formacyą tutejszych granitów, zasługuje na wzmiankę grafit, opale, zbliżone niekiedy własnościami do szlachetnych, daléj granaty i ziemia porcelanowa, która powstała przez rozkład feldspatowych części granitu i dała początek słynnym swego czasu fabrykom porcelany w Korcu i Baranówce.

Bezpośrednio na granitach leżą utwory azoiczne, stare, twarde łupki, w różnych odmianach, w których nie znaleziono dotąd żadnych skamieniałości i które osiadły na dnie starego morza, zanim

---

(1) Wyborny przegląd geologicznych stosunków całéj téj krainy daje „Mapa geologiczna Wołynia G. Ossowskiego" wydana w Paryżu w 1882 r. nakładem Działowskiego. Uwagi nad tą mapą St. Kontkiewicza znajdzie czytelnik w 1-szym tomie „Pamiętnika fizyograficznego" str. 173 i n.

życie organiczne obudziło się na ziemi. Łupki te zajmują cały obszar formacyi granitowéj od linii idącéj na Ostropol i Ludwipol aż po Dniepr i pokrywają ją tak. że granit tylko w najbliższém sąsiedztwie rzek, po jarach i dolinach przez wodę wymulonych, na jaw wystąpił. Do formacyi azoicznéj zaliczył Ossowski i kwarcyty na południowych brzegach błot pińskich, około Owrucza i Rokitna napotykane: lecz w kwarcytach tych znaleziono w ostatnich czasach odciski roślin trzeciorzędnych, w skutek czego skały te do formacyi trzeciorzędnych zaliczone być muszą (1).

Na łupkach azoicznych leżą utwory prastarych formacyi osadowych sylurskiéj i dewońskiéj. ale przykryte wszędzie grubemi pokładami nowszego wieku, wystąpiły na jaw tylko tam, gdzie rzeki wryły się głębiéj w ziemię i odsłoniły jéj wnętrze, jak to widzimy nad Dniestrem i jego dopływami. Tutaj należy skała szarą waką nazywana, twardy zlepieniec, z tych samych co i granit minerałów złożony i z postaci bardzo niekiedy do niego zbliżony, daléj łupki iłowe i ciemne twarde, zbite wapienie; te ostatnie tworzą strome skały, zamykające malowniczy jar Smotrycza pod Kamieńcem Podolskim i dostarczają bardzo pięknych odmian marmuru. Utwory tych formacyi obfitują w charakterystyczne skamieniałości, między innemi znane powszechnie trylobity, należące do typu raków, oddawna zaginionego. Pozostałości tych zwierząt można widziéć często w wyrobach marmurowych, z okolicy Kamieńca Podolskiego pochodzących. Ale dalszy rozwój starszych formacyi został tutaj nagle i na długo przerwanym, bo z tego wszystkiego, co następuje po dewonie (formacya węglowa, permska, tryjas i jura) na wołyńsko-podolskiém wzniesieniu zaledwie w nielicznych i odosobnionych przypadkach słabe odkryć zdołano ślady. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że już w owych czasach, pod koniec syulrskiéj epoki, gdy jeszcze ani Karpat ani Alp nie było, wyłonił się tutaj z głębi morza ląd stały, który przetrwał długie wieki; przedstawienie jego rozwoju byłoby jednakże w téj chwili, dla braku materyałów i przedwczesném i chybioném. Szereg utworów nowszego wieku rozpoczyna dopiero formacya krédowa, która rozwinęła się potężnie na całym środkowym obszarze wschodnio-europejskiego niżu. Kréda w postaci białych albo szarawych margli, obfitujących w buły krzemienne a odznaczających się bogactwem nader charakterystycznych skamieniałości, otacza ze wszech stron kotlinę Dniepru; tworzy ona glebę na wyżynie środkowéj Rosyi i na Wołyniu, zkąd przechodzi w Lubelskie, a lokalnie na dziale wodnym między Wisłą i Prype-

(1) Według Kontkiewicza, Pamiętnik fizyogr. Tom I.

cią oraz na Litwie. W południowéj części Wołynia jest ona w zasadzie pokrytą utworami trzeciorzędnemi, ale przegląda w wielu miejscach nad brzegami rzek, w głębi jarów i po obrywach. Na północ jednak od linii przecinającéj Krzemieniec, Klewań i Międzyrzecz-Korecki jest ona formacyą panującą, chociaż gleba w téj części kraju jest wszędzie pokryta utworami aluwialnemi, które krédę tutejszą czynią niewidzialną.

Nie mniéj potężnie rozwinęły się na Wołyniu utwory formacyi trzeciorzędnych w postaci zbitych, plastycznych, różnobarwnych iłów, twardych gruboziarnistych piaskowców i kwarcytów, w postaci wapieni, luźnych piasków i gipsu. Wszystkie te utwory odznaczają się bogactwem skamieniałości, których morski charakter pozwala wnosić, że wymienione skały osadzały się na dnie wód słonych, oceanicznych. Ale znaleziono tu także utwory słodkowodne, wapienie ze skorupami muszli i resztkami roślin, których żywot jest przywiązany do wody słodkiéj; z czego można wnosić, że podnoszenie się gleby tutejszéj rozpoczęło się ponownie w epoce trzeciorzędnéj i odbywało się powoli, stopniowo; ląd ukazywał się zrazu w postaci wysp, na których wody atmosferyczne gromadziły się po zagłębieniach i tworzyły jeziora, na dnie których osadziły się owe słodkowodne wapienie. Przemawia zatém najsilniéj i istnienie węgla brunatnego, którego mniéj albo więcéj bogate pokłady zostały wykryte w kilku miejscach na Wołyniu, a który z przeobrażenia roślin lądowych powstał (1). Znajdują się w trzeciorzędnych piaskach tutejszéj okolicy i liczne, zupełnie skrzemieniałe pnie drzew z owéj pochodzących epoki i bryły bursztynu, który jest stwardniałą żywicą drzew szyszkowych i razem z piaskami trzeciorzędnemi przez wody na niziny Polesia uniesionym został.

Skały formacyi trzeciorzędnych przechodzą z Galicyi na Wołyń i zajmują tylko wschodnio-południową część téj prowincyi. Ale i tutaj nie tworzą jednostajnéj podłogi geologicznéj, lecz występują w postaci licznych wysp, spoczywających na krédzie. Ponieważ granice tych wysp odpowiadają kierunkowi wód bieżących, przeto widoczną jest rzeczą, że utwory formacyi trzeciorzędnych zostały na Wołyniu przez wody poszarpane i porozrywane. Można uważać za rzecz pewną, że sięgały one znacznie daléj ku północy, że kréda, leżąca pod aluwiami w północnéj części Wołynia, była niemi pokryta lecz że i tutaj przez wody zniszczone zostały, a zniszczenie to było w téj części kraju, na nizinach, o wiele silniejsze skoro roztarte i roz-

(1) Porównaj J. Trejdosiewicza „Kilka słów o budowie geologicznéj i pokładach węgla brunatnego najbliższéj okolicy Krzemieńca.“ „Pamiętnik fizyograficzny“, tom V.

myte skały formacyi trzeciorzędnych znikły zupełnie z powierzchni ziemi. Kwarcyty stron wschodnich, z okolicy Owrucza i Rokitna, oparły się temu zniszczeniu jedynie wskutek swéj większéj twardości.

Na utworach trzeciorzędnych leżą na Wołyniu po części ruchome piaski, które powstały z rozmycia pokładów trzeciorzędnych, a po części glina, obfitująca w skorupki ślimaków lądowych i w kości zaginionych zwierząt lądowych. Glina taka, obecnie powszechnie gliną mamutową albo loessem nazywana, pokrywa prawie bez wyjątku kredę i starsze formacye, gdzie te na powierzchnię ziemi się wydostały, i leży nie tylko po bokach wzgórz, lecz pokrywa w wielu miejscach najwyższe wzniesienia wołyńsko-podolskiéj wyniosłości. Różni się ona lekkością i właściwą budową od glin, jakie zdarzają się tu miejscami po dolinach i nizinach, a jeszcze donioślejsza różnica leży w rozwoju tych utworów, bo gdy gliny po dolinach są osadem wodnym, to loess jest utworem powietrznym, osiadł na powierzchni ziemi z pyłu gliniastego, przyniesionego za pośrednictwem wiatrów z odległości. Dawniejsze przypuszczenie, jakoby wszystkie gliny były osadem wodnym, okazało się bezzasadném, bo w loessie ani budowy właściwéj utworom wodnym ani pozostałości po zwierzętach wodnych dotąd nie znaleziono.

Grzbiet baltycki, zamykający kotlinę Prypeci od północy, nie może ani pod krajobrazowym ani pod geologicznym względem iść w porównanie z jéj południową granicą. Różnica w wysokości nie jest tak wielka, bo jak widzieliśmy, góry około Mińska dochodzą do 340 metrów, ale nierówności gleby, nadające okolicy jéj właściwy charakter, są tutaj o wiele słabsze, całe wzniesienie porusza się w jednostajniejszym poziomie i robi raczéj wrażenie z lekka pofałdowanéj płaszczyzny. Doliny rzek w ogóle szersze i otwartsze, a wskutek tego miejscami silnie zabagnione, rzadko tylko ulegają zwężeniu a jeszcze rzadziéj tworzą naglejsze skręty, na których brzegi nieco strome i więcéj do siebie zbliżone zdołają zająć widza swemi kształtami. Głębokich jarów, wązkich parowów, zawalonych odłamami skał rozmytych przez wody i stromych uskoków, jakich pełno na południu, nie masz tu prawie nigdzie. Miękkie skały formacyi kredowéj, wydobywające się tu i owdzie po stromszych pochyłościach, ulegają łatwo zwietrzeniu, tracą pod wpływem opadów atmosferycznych swoję wyrazistość i nikną w krótkim przeciągu czasu z powierzchni ziemi.

Dlatego téż wędrowiec przebywa nieraz na litewskim grzbiecie znaczne przestrzenie, nie domyślając się bynajmniéj wysokości w jakiéj się znajduje, a jeżeli przybywa z południa, z Wołynia albo Po-

dola i porównywa z sobą te odlegle strony, to grzbiet litewski robi na nim wrażenie jednostajności. Ale jednostajność ta jest względną, bo dla mieszkańca równin ma i ta okolica wiele uroku, a Litwini zachwycają się niektóremi miejscowościami nad Niemnem i Wilią.

Przyczyniają się do urozmaicenia krajobrazu litewskiego liczne jeziora, nadające baltyckiemu grzbietowi szczególną cechę, ale jeziora te, pokrywające w niezliczonej prawie ilości wzniesienia Pomorza, Prus królewskich i Inflant, na Litwie trzymają się strony morza i zaczynają się dopiero na północ od Narwi i Wilii, po za linią Grodno-Wilno. Charakter i powstanie tych jezior są zupełnie odmienne od stawów Wołynia i Podola. Tam trzymają się stawy rzek i potoków i ciągną się na dnie dolin, tworząc pojedyncze szeregi, gdy tymczasem jeziora grzbietu baltyckiego leżą na wierzchowinie i tworzą grupy, w których pojedyncze zwierciadła wody są połączone z sobą ruchomemi strugami. Stawy wołyńskie osiadły w zagłębieniach wymulonych przez wody płynące, zaś jeziora nadbaltyckie powstały na grzbiecie wzniesienia, a byt swój zawdzięczają zupełnie innym czynnikom.

Nie mniéj monotonną jest gleba na północy i pod geologicznym względem. Z owych starych formacyi, które dostarczyły niespożytych granitów i gneisów, twardych kwarcytów, wapieni i piaskowców i których trwałości okolice Wołynia zawdzięczają swój urok krajobrazowy, nie ma tu ani śladu. Najstarszą formacyą na Litwie jest kréda; tworzy ona podłogę geologiczną całego kraju, lecz schowana pod innemi utworami, prześwieca zaledwie w kilku nielicznych miejscowościach. Trzeciorzędne formacye grzbietu baltyckiego składają się ze znacznych pokładów piasku, obfitującego w bursztyn, na których leżą warstwy iłów, poprzegradzane miejscami warstwami węgla brunatnego. Bursztyn, który, jak wiadomo, jest żywicą drzew szyszkowych, zawiera w swém wnętrzu znakomicie przechowane okazy much, chrząszczy, pająków i stonogów z owéj epoki. Węgiel brunatny, którego ślady u nas już wykryto, bywa w Niemczech od wielu lat wydobywany. Tak skały krédowe jak i trzeciorzędne są tu pokryte utworami najmłodszemi, dyluwialnemi, które zajmują całą północno-zachodnią część europejskiego niżu i tworzą w wielu miejscach pokłady na kilkadziesiąt metrów grube. Dyluwium po dolinach i nizinach składa się z ułożonych na przemian pokładów różnobarwnych glin i piasków, które nie zawierają śladów jestestw organicznych, lecz za to liczne odłamy skał, należących do formacyi, na Litwie zupełnie nie napotykanych. Dyluwium po wyniosłościach tworzą prawie wyłącznie piaski. Tych postać może być różna. Na powierzchni ziemi leży zazwyczaj piasek czysty o drobném zaokrąglo-

ném ziarnie, biały, ruchomy, lekki. pochwycony wiatrem przenosi on się z miejsca na miejsce, tworząc ruchome pagórki, nazwą wydm oznaczane. Piasek wydobyty z głębin ziemi odznacza się nierównéni ziarném, ciemniejszém zabarwieniem i pewnym stopniem spoistości. ale szczególną jego cechę tworzy wielka ilość obcych kamieni i łodyg zwierzokrzewów morskich. Piaski te leżą przeważnie na glinach różnobarwnych obfitujących również w gruzy skał egzotycznych. Rozmiary kamieni mogą być rozmaite, bo gdy w jednych miejscowościach przeważają kamienie drobne, a piasek przepełniony niemi przybiera postać zwiru czyli szutru, to gdzieindziéj dochodzą one do rozmiarów kilku metrów kubicznych. Eichwald wspomina o głazie granitowym, wydobytym z piasku w Popielanach, objętości 6 sążni sześciennych (1). Większe głazy mają kanty zaokrąglone, a boki ich są niekiedy porysowane albo wygładzone. Wszystkie te kamienie należą przeważnie do gatunków skał, które dla formacyi geologicznych Litwy są zupełnie obce. Przeważają w nich skały krystaliczne, a zatém granity, trachyty, porfiry, dyoryty, dyabasy i inne (2), ale zdarzają się nie rzadko i okruchy skał formacyi sylurskiéj i dewońskiéj z bardzo pięknie przechowanemi skamieniałościami. Ponieważ formacye te nie znajdują się nigdzie na Litwie, przeto można uważać za rzecz pewną, że skały, o których mowa, przybyłe skąd inąd, pochodzą z północy, ze Skandynawii, gdzie jest najbliższe ich sąsiedztwo i gdzie się w wielkiéj znajdują obfitości i z tego powodu cała ta formacya obecnie nazwą dyluwium północnego oznaczaną bywa.

Jaka siła ruszyła te głazy z miejsca i rozniosła je po całéj północnéj Europie, w jaki sposób osiadły one na grzbiecie baltyckim, w kotlinach Wisły i Prypeci i u podnóża Karpat — oto pytanie, które widok tych utworów obudził odrazu i którém obecnie bardzo skrzętnie zajmują się badacze przyrody. Widok gór lodowych, które odrywają się każdego lata od lodowców Szpicbergów, Nowéj Ziemi i Laponii, ujęte prądami morskiemi zapuszczają się daleko, bo aż po 40-ty stopień szerokości geograficznéj na Atlantyk, a topniejąc, osadzają na dnie morskiém skały i zwir z tamtych stron przyniesiony, wprowadził na domysł, że i nasze głazy narzutowe w ten sam sposób, a zatém przy pomocy lodów pływających, z dalekiéj do nas przybyły północy. Ale dokładniejsze badanie powierzchni naszego kraju obaliło wkrótce to przypuszczenie, bo zupełny brak u nas najnow-

---

(1) Eichwald: Naturhistorische Skizze von Lithauen, Wolhynien u. Podolien. Wilno 1830, str. 98.

(2) Dokładną wiadomość o tym przedmiocie znajdzie czytelnik w cennéj pracy J. Siemiradzkiego: „Nasze głazy narzutowe“ w Pam. fizyogr. T. II.

szych utworów morskich, a jeszcze więcej ta okoliczność, iż dyluwium północne spoczywa na zniszczonéj powierzchni starszych formacyi, trzeciorzędnéj albo kredowéj, wykazał, że utwory dyluwialne nie osiadły na dnie morza, lecz na suchéj glebie, że w epoce, w któréj do nas przybyły, gleba kraju naszego była już przeważnie lądem stałym.

Równocześnie porównanie żwirów i glin dyluwialnych z materyałem osadzającym się w Alpach po brzegach lodowców, z tak zwanemi morenami, wykazało, że istnieje między temi utworami wielkie podobieństwo, że głazy dyluwium naszego porywane i wygładzone, mogły otrzymać swą postać jedynie w ten sposób, iż odbyły daleką drogę pod silném ciśnieniem. Gdy nadto najsumienniejsze badania nad budową gór środkowéj Europy dokonane przez Heima, Pencka i innych wykazały, iż była w rozwoju téj części ziemi chwila, w któréj lodowce górskie były o wiele potężniéj rozwinięte, niż to ma miejsce dzisiaj, bo nie tylko wypełniały doliny, lecz i na wyżyny u stóp gór leżące daleko zachodziły, pozostawiając wszędzie materyał morenowy, do dyluwium północnego postacią bardzo zbliżony, teorya lodów przybywających z prądami morskiemi z północy, i tak już silnie zachwiana, straciła zupełnie wiarę, a na jéj miejsce ustaliło się przekonanie, że klimat północnéj półkuli uległ pod koniec epok trzeciorzędnych silnemu oziębieniu, wskutek czego lodowce w górach środkowéj Europy i na wyżynie Skandynawskiéj doszły do niezwykłéj grubości, a obsuwając się po pochyłościach ówczesnego lądu oddalały się daleko od swego źródła, zabierając z sobą skały i kamienie. Przedewszystkiém lody na półwyspie skandynawskim, wraz z Laponią i Finlandyą musiały dojść do olbrzymich rozmiarów, bo rozwojowi ich sprzyjało tu północne położenie kraju i jego wyniosłość; sunąc bezustannie ku południowi pokryły one cały obszar północnych Niemiec i Polski i zatrzymały się dopiero u stóp Karpat, Sudetów i innych średnich gór niemieckich. Znikły one dopiero, gdy po długim przeciągu czasu klimat Europy znowu się ocieplił; woda ze stopionych lodów spłynęła do morza baltyckiego i północnego, ale skały i żwiry, piaski i gliny, które spoczywały na powierzchni lodowca i wypełniały jego wnętrze osiadły po zniknięciu lodów na powierzchni ziemi i wytworzyły osady dziś, i to słusznie, nazwą północnego dyluwium oznaczane. Pogląd ten tłómaczy nam zarazem zniszczenie i usunięcie starszych warstw formacyi trzeciorzędnych i kredowéj, po których lody się posuwały, a geologowie odnoszą początek jezior na grzbiecie litewskim do owéj epoki, przypuszczając, że zagłębienia, zalane dziś wodą, przez wody z bezustannego topnienia lodowca północnego pochodzące wyżłobione zostały.

Jest jeszcze jedna i to nader doniosła różnica między wzniesieniami, zamykającemi kotlinę Prypeci od południa i od północy. Wzniesienie południowe, t. z. grzbiet wołyński, tworzy dział wodny między dopływami Prypeci z jednéj a Dniestru i Bohu z drugiéj strony, a granica ta jest tak silnie rozwiniętą, że połączenie Prypeci z którąkolwiek z rzek południowych znalazłoby w postaci gleby prawie nieprzezwyciężone przeszkody. Tymczasem grzbiet litewski działu takiego nie tworzy, bo rzeka Niemen, powstająca na północnéj krawędzi Polesia, przerywa go na całéj jego szerokości. Dział wodny leży tu na błotach litewskiego Polesia. Obszar błot nazwą Pogoni oznaczony, okalający ze wszech stron jeziora Bobrowieckie i Wygonoszcz, pochyla się po części ku południowi, a wody jego spływające w tym kierunku dostają się z Jasiołdą i Bobrykiem do Prypeci, po części zaś ku północy zlewając część swych wód do Hrywdy i Szczary, które po swém połączeniu przedzierają się przez znaczną część litewskiego grzbietu i uchodzą do Niemna. Z tego też powodu i połączenie Prypeci z Niemnem przy pomocy kanału Ogińskiego, łączącego Jasiołdę ze Szczarą, zostało tu z łatwością dokonane. Podobny związek między Niemnem i Prypecią istnieje i daléj na wschodzie, na błotach aleksińskich, na północ od Słucka położonych, których wody spływają po części ku północnemu zachodowi do Łoszy, a z nią do Niemna, po części zaś ku południowemu wschodowi do Słuczy (północnéj) i Ptyczy, a z niemi do Prypeci.

Wskutek tego wielki dział wodny europejski, granica między dopływami Baltyku i morza Czarnego, zamiast biedz po wierzchowinie baltyckiego grzbietu, zbacza z puszczy Białowieskiéj ku wschodowi i przecina błota litewskiego Polesia. Fakt ten, że wody naturalnéj zapadłości, zamiast iść za spadkiem gleby i spływać ku południowi, zbaczają ku północy i przerywają wzniesienie, które z natury rzeczy granicę ich biegu tworzyć powinno, jest dziwnym i trudnym do wytłómaczenia, a dla rozwoju téj części Europy nabiera tém większego znaczenia, że nie jest odosobnionym; bo i Wisła i Odra zamiast korzystać z zapadłości północnych Niemiec i zmierzać prosto ku nizinom Holandyi, zbaczają całkiem nagle ku północy i przerywają również w nienaturalny prawie sposób grzbiet baltycki. Dziwne to zjawisko jest od kilku lat przedmiotem skrzętnych badań ze strony geografów niemieckich, którzy wykazali, że rzeki północnych Niemiec i Polski zmieniały niejednokrotnie swój kierunek i tworzyły sobie nowe łożyska, że był rzeczywiście czas, w którym wody Wisły i Odry nie uchodziły do Baltyku, lecz zmierzały w prostym kierunku ku zachodowi, łączyły się z Elbą i uchodziły do morza Niemieckiego, jak niemniéj, że zmiany kierunku tych rzek przypadają na epokę

lodową i w ścisłym związku z jéj przebiegiem pozostają. Ponieważ rozbiór tego tematu odwiódłby nas zbyt daleko od naszego celu, przeto ograniczamy się tym razem do zaznaczenia jego ważności, odsélając ciekawych do prac geografów niemieckich, przedewszystkiém do Delitscha (1), Berendta (2), Hellanda (3), Berghausa (4), Girarda (5) i Löwla (6).

(1) Deutschlands Oberflächenform str. 14 i n.

(2) Gletschertheorie oder Drift-theorie in Norddeutschland, Zeitschr. d. deutsch. geol. Ges. 1879.

(3) Über die glacialen Bildungen d. nordeuropaischen Ebene. Tamże, str. 1 — 5.

(4) Die frühere Oberflächengestaltung d. Mark Brandenburg. Gaea 1877. str. 289.

(5) Die norddeutsche Ebene, str. 15.

(6) Über Thalbildung, str. 109.

(*d. n.*) *Dr. Antoni Rehman.*





PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA.

III. WOLA.

Wola do niedawna jeszcze należała do najtrudniejszych zagadnień psychologicznych. Napotykane w jéj badaniu trudności wypływały nie z natury jéj objawów, ale stąd, że psychologia spirytualistyczna, podsuwając pod dane wewnętrznéj obserwacyi podkład metafizyczny, zasnuła wszystkie objawy życia umysłowego w taką siatkę subtelności scholastycznych, że prosta logika nie posiadała środków do wywikłania ich z niéj i ukazania prawdziwéj ich natury. Powstałe skutkiem tego zagadnienia rozstrzygano za pomocą najdowolniejszych przypuszczeń, które ze swéj strony stwarzały nowe kwestye, trudniejsze nieraz do rozwiązania od zagadnień głównych.

Jedném z takich zagadnień czysto sztucznych, pochodzących z fałszywego stanowiska, na jakiem oparła się dawniejsza psychologia, było zagadnienie o wolnéj woli. Chodziło tu mianowicie o to, czy wola ludzka w swym wyborze i postanowieniu zależy od bodźców i pobudek, czy téż jest całkiem od nich wolną? Spirytualiści, powołując się na świadectwo indywidualnéj świadomości, utrzymywali, że wola posiada moc wyzwolenia się z pod wpływu pragnień i zapanowania nad niemi, że od niéj zależy działać w kierunku pragnień, albo téż im się oprzeć i powziąć postanowienia, od nich niezależne. Podług tego poglądu, wola jest pierwszą i ostateczną przyczyną wszelkich czynności, jest władzą w swém ognisku niezależną, w sobie saméj czerpiącą wskazówki do działania, jest samorzutnym ruchem duszy, nadającym kierunek wszystkim jéj czynnościom. Pojęta w ten sposób wola przestaje być oddzielną władzą duszy, lecz staje się jéj istotą. Jakoż do takiego wniosku musieli przyjść niektórzy filozofowie, konsekwentnie myślący. Nasuwało się przytém pytanie: czemże są wobec niéj myślenie i uczucie? Jeżeli myślenie i uczucie należą również do istoty duszy, to muszą one przecież od-

działywać o tyleż na współrzędną sobie wolę, o ile ta na nie oddziaływa, jeżeli zaś do istoty duszy nie należą, zatém są tylko jéj przypadłościami. Ale w takim razie tak istota duszy, jak i wola, która ją wyraża, stają się głuchemi abstrakcyami, trudnemi do pojęcia. Czém jest ta wola, a względnie dusza, która niezależnie od uczuć i poznania wie, co ma w danym razie począć i jaki kierunek nadać swemu postępowaniu? Na to pytanie nie masz innéj odpowiedzi, jak ta, którą daje mistycyzm. Podług niego dusza posiada władzę bezpośredniego oglądania prawdy bezwzględnéj. Jest-to intuicya, natchnienie, będące źródłem poznania, niezależném od myślenia, będące stanem duszy, niezależnym od uczuć. Na nieszczęście, chociaż mistycyzm rozwiązywał pozornie powyższe trudności, o tyle przynajmniéj, że godził sprzeczności, za to sam stwarzał nowe, wywołując pytania, na które nie dawał odpowiedzi.

Kant, który wziął sobie za zadanie zburzyć dogmatyzm filozoficzny i zastąpić go krytycyzmem, uznał świadectwo obserwacyi wewnętrznéj za złudzenie i oparł swe badania nad umysłem ludzkim na faktach obserwacyi zewnętrznéj. Fakty te dowodzą niezaprzeczenie, że wola, o ile o niéj można wnosić z jéj objawów, działa pod wpływem pobudek, że zatém zależna jest od pragnień, chęci, skłonności i popędów. Wola więc w swych objawach nie jest wolną. Nie przeszkadza to jednakże do przyznania jéj wolności w téj sferze jéj istnienia, która leży poza objawami jéj, która jest niedostępna ludzkiemu poznaniu, ale którą bez dowodu potrzeba przyjąć, jako postulat moralnego postępowania. Że ten czysto formalny sposób załatwienia kwestyi nie rozwiązuje zagadnienia, każdy się zgodzi, kto zważy, że ów cień wolnéj woli, zawieszony nad ludzkiem postępowaniem, jest czczym wyrazem, pozbawionym wszelkiego znaczenia, jest zbytecznym dodatkiem, mogącym służyć ku ozdobie, ale nie dającym się użyć do zadań praktycznych.

Psychologia empiryczna, nie wdając się w rozstrzyganie zawiłości, w jakie metafizyka wplątała zagadnienia woli, unikając wszelkiéj z nią polemiki co do tego, że wola czém inném jest w swych objawach, a czém innéni w istocie swojéj—przystąpiła do ścisłego zbadania wszystkich jéj objawów, tak tych, które są dostępne obserwacyi zewnętrznéj, jak i tych, o których wiemy za pomocą obserwacyi wewnętrznéj. Usunąwszy na bok metafizykę, ograniczyła się w swém badaniu do tego tylko, co jest dostępném doświadczeniu i opartemu na niem rozumowaniu, wychodząc z tego założenia, że istota rzeczy nie dostępna ludzkiemu poznaniu, że zatém cokolwiek byśmy o niéj twierdzili, będzie tylko domysłem, przypuszczeniem do sprawdzenia którego nie posiadamy żadnych środków.

Do jakich wyników doszła psychologia doświadczalna w swych badaniach nad wolą, obznajamia dokładnie Sully w swém dziele, z którego właśnie zdaję sprawę.

W trzeciéj części swego dzieła, poświęconéj woli, autor zaczynając od najprostszych jéj form i przechodząc pokolei do coraz wyższych i bardziéj złożonych, wykazuje, że wola w swych objawach najwyższych, jakiemi są wybór i postanowienie, składa się z tych samych czynników, co i niższe jéj objawy, tylko że te czynniki w wyższych objawach występują w formie bardziéj zawiłéj i niezawsze dostępnéj dla analizy, gdy tymczasem w niższych są one proste i łatwe do wykrycia.

Zagadnieniem wolnéj woli autor wcale nie zajmuje się. Analiza bowiem składowych jéj pierwiastków czyni to zagadnienie zbytecznóm.

Wyraz wola oznacza czynne sprawy umysłu. Przez czynne zaś sprawy rozumiemy nie tylko działania zewnętrzne, czyli ruchy, lecz także działania wewnętrzne takie, jak: skupienie myśli, pragnienie, namysł i postanowienie.

Z pomiędzy wszystkich tych objawów woli najważniejszemi bez wątpienia są ruchy zewnętrzne. W ten sposób wola zostaje w ścisłym związku z czynną stroną układu nerwowego. Głos, członki ciała itd. są narzędziami woli.

Z tém wszystkiém, chociaż ruchy należą do zakresu woli, nie wszystkie jednakże są dowolnemi. Zmrużenie oczu, gdy im coś zagraża, jest przykładem ruchu mimowolnego. Niektóre z nich zaledwie można zaliczyć do spraw umysłowych, gdyż towarzyszy im bardzo słaba świadomość. Innym znowu, jakkolwiek dokonywają się z całą świadomością, brakuje świadomości celu, do którego są skierowane. Dla tego téż dowolną czynnością nazywamy taką, która świadomie jest skierowaną ku pewnemu celowi.

Stosunek woli do poznania i uczucia przedstawia się dwojako: z jednéj strony wszelka czynność dowolna musi zawierać w sobie pierwiastki poznania i uczucia; pobudką bowiem téj czynności, celem jéj, jest zadośćuczynienie pewnemu uczuciu, które to zadośćuczynienie wymaga znajomości stosunku, jaki zachodzi między czynnością a celem. Z drugiéj jednakże strony uzewnętrznianie się umysłu w czynności, wymagające pobudzenia, inerwacyi nerwów ruchowych, jest wręcz przeciwném stosunkowo biernemu stanowi umysłu, oraz spokojnemu zachowaniu się ciała, które są koniecznym warunkiem obserwacyi i myślenia. Stąd człowiek energiczny niezdolnym jest zbyt długo namyślać się i rozważać. Podobnyż stosunek zachodzi między uczuciem a działaniem. Człowiekiem silnéj woli na-

zy amy tego, który umie panować nad sobą i zawładnąć najgwałtowniejszém wzruszeniem.

Dowolną czynnością nazwaliśmy działanie świadome, skierowane ku pewnemu celowi. Cóż stanowi istotę tego działania? Co jest zasadniczym pierwiastkiem woli? Zasadniczym pierwiastkiem dowolnego działania, czyli woli, jest chęć, pragnienie, pożądanie bądź w formie dodatniéj, jako pragnienie tego, co jest przyjemném, bądź w formie ujemnéj, jak wstręt od tego, co jest przykrem. Doświadczenie uczy człowieka, co dlań jest przyjemném, a co przykrém, oraz jakie to są czynności, które mogą zapewnić jedne, a zabezpieczyć lub usunąć drugie. Co się tyczy popędu, skłaniającego do szukania rzeczy przyjemnych, a unikania przykrych, jest on wrodzonym, czyli instynktowym.

Gdy więc pragnienie jest zasadniczym czynnikiem woli, musimy przedewszystkiém zająć się jego zbadaniem.

Rozebrawszy stan umysłu, znany, jako pragnienie, wykrywamy w nim najprzód pierwiastek rozumowy—wyobrażenie. Pragnąc czegośkolwiek, mamy w umyśle dokładne przedstawienie tego, co stanowi przedmiot naszego pragnienia. Stąd pragnienie zostaje w ścisłéj zależności od poznania—i, co za tém idzie, od doświadczenia. W miarę, jak doświadczenie wzrasta, poznanie się rozszerza, mnożą się i wzmagają pragnienia. Gdzie nie masz doświadczenia i poznania, tam i pragnień być nie może.

Nie każde wszakże wyobrażenie zdolne jest rozbudzić pragnienie. Liczne wyobrażenia i pojęcia powstają w umyśle, nie pociągając za sobą odpowiednich pragnień. Ażeby te mogły się obudzić, potrzeba, żeby wyobrażenie lub pojęcie odnosiło się do czegoś, co jest przyjemném.

Nie dość tego, potrzeba, żeby samo już wyobrażenie zawierało w sobie pewną przyjemność. W wyobrażeniu np. pięknego widoku lub melodyi musi zawierać się idealny przedsmak, że tak powiem, rzeczywistéj przyjemności. Zwykle idealny pierwiastek bywa niższym od rzeczywistego i jest uznawanym za taki. I właśnie z tą świadomością jego niższości łączy się bezpośrednio pragnienie. Świadomość braku, powstająca wraz z wyobrażeniem czegoś przyjemnego, co w danéj chwili nie jest rzeczywistém, stanowi całą siłę pragnienia. Gdy poczucie różnicy między stanem obecnym, a nieobecnym, między idealném, a rzeczywistém zniknie, pragnienie ustaje. Dzieje się tak mianowicie w ekstazie, w marzeniu, w przejęciu się głębokiém treścią czytanych utworów poetycznych. Pragnienie ustępuje tu miejsca chwilowemu zadowoleniu, poczuciu rzeczywistości.

Pragnienie urzeczywistnione, czyli doznana przyjemność budzi nowe pragnienie—przedłużenia i wzmożenia doznawanéj przyjemności. To samo ma się rozumieć i o przykrości tak rzeczywistéj, jako téż wyobrażanéj. Ponieważ istotę każdego pragnienia stanowi poczucie braku, jest ono więc przykrém. Dla tego pragnienie musimy uważać, jako stan umysłu mieszany, w którym pierwiastek przyjemny, towarzyszący wyobrażeniu, uciera się ciągle z pierwiastkiem przykrym—z uczuciem braku.

Pomimo ścisłego związku z poznaniem i uczuciem, pragnienie różni się od nich tém, że jest objawem umysłu czynnym. Umysł pragnąc, znajduje się w stanie czynnego napięcia, czynnéj dążności ku urzeczywistnieniu uczucia, które w danéj chwili jest tylko wyobrażaném. Ten czynny pierwiastek działa w pragnieniu w dwóch kierunkach: jako czynność czysto umysłowa objawia się on w uwadze, w skupieniu myśli. Wyobrażenie rzeczy upragnionéj pochłania naszą uwagę. Jako czynność cielesna, objawia się w ruchach mięśniowych. Jak wiemy, każde uczucie oddziaływa na nerwy ruchowe. Oddziaływanie to staje się tém dzielniejszém w pragnieniu, szczególniéj, gdy doświadczenie nauczyło, jakiego rodzaju ruchy wiodą do zaspokojenia pragnienia. W każdym razie trzeba przypuścić, że między pragnieniem, a ruchami mięśniowemi zachodzi stosunek ściślejszy, polegający na wrodzonéj ich współzależności. Ta to właśnie pierwotna, poprzedzająca doświadczenie, czynna strona pragnienia stanowi to, co nazywamy popędem.

Zaznaczyć jeszcze potrzeba stosunek pragnienia do wiary. Chodzi tu o to, czy wiara w osiągnięcie pożądanego przedmiotu towarzyszy zawsze pragnieniu? Na to wystarczy odpowiedź, że jakkolwiek nie we wszystkich wypadkach występuje ona wyraźnie i z zupełną świadomością, brak jéj całkowity, przekonanie o tém, że rzecz pożądana nie da się osiągnąć, paraliżuje i tłumi pragnienie.

Kontrast, jaki zachodzi w sferze uczuć między przyjemnością, a przykrością powtarza się i w zakresie działania. Wyobrażenie rzeczy przyjemnych budzi pragnienie, rzeczy zaś przykrych—wstręt. Dążymy do tego, co nam przyjemność zapewnia, unikamy zaś tego, co nam przykrość przynosi. Pragnienie zwraca się zawsze do tego, co jest nieobecném, nieurzeczywistnioném—tymczasem wstręt może miéć za przedmiot tak rzecz obecną, istniejącą, jako téż samo tylko wyobrażenie rzeczy przykréj.

Pragnienie, a wraz z niém czynny popęd, mają różne stopnie natężenia. Różnice pod tym względem objawiają się w różny sposób. Silne pragnienie odznacza się zwykle czynnością wytrwałą i ener-

giczną. Świadczyć o niéj może także suma przykrości doznawanéj wskutek niezaspokojonego pragnienia.

Głównym warunkiem, od którego zależy natężenie pragnienia, jest wielkość przyjemności wyobrażanéj. Należy wszakże pamiętać, że przyjemność wyobrażana nie zawsze odpowiada przyjemności rzeczywistéj. Przyjemność zbyt oddalona mniéj posiada siły przyciągającéj niż bliska. Nadto umysł niezawsze jest usposobionym w jednakim stopniu do działania. Zależy to od sumy energii, posiadanéj w pewnéj chwili przez organy ruchowe. Ważną także rolę odgrywa przyzwyczajenie. Gdy pewne wyobrażenie lub pojęcie stawszy się przedmiotem pragnienia, zbyt często powtarza się, wytwarza się wtedy skłonność do pragnienia i działania w tym kierunku, która to skłonność przemienia się z czasem w nałóg.

3. Taka jest natura pragnienia, będącego głównym czynnikiem woli. Pragnienie atoli i dążność do jego zaspokojenia nie stanowią jeszcze woli. Potrzebnym jest dla jéj ustanowienia inny prócz tego czynnik. Jest nim mianowicie wyobrażenie o czynności, jaka jest w danym wypadku niezbędna dla zaspokojenia pragnienia. Rzecz naturalna, że wyobrażenie to urabia się powoli drogą doświadczenia i kojarzenia. Uznaniu przyczynowego stosunku między czynnością a jéj wynikiem musi towarzyszyć wiara w skuteczność działania. Działanie skierowane ku osiągnięciu przedmiotu pragnienia stanowi ostatni moment woli—i jest *czynem*; pragnienie zaś, które go poprzedza, jest *pobudką*, oraz ostatecznym *celem* działania. Samo zaś działanie jest tylko *środkiem* do osiągnięcia celu.

Wola w ostatniém swém stadyum, jako działanie, przedstawia dwie strony: zewnętrzną—ruch mięśniowy, i wewnętrzną—skupienie uwagi. Obie te strony zostają w ścisłéj od siebie zależności. Jak uwaga potrzebuje pewnéj sumy inerwacyi ruchowéj i mięśniowéj czynności, tak znowu żadne działanie czyli ruch dowolny nie może obejść się bez uwagi.

Poznawszy wszystkie czynniki woli i proces jéj działania, możemy teraz zastanowić się nad jéj rozwojem. Ograniczamy się tym razem do zewnętrznéj tylko strony woli. O skupienie uwagi w odniesieniu do działania będzie mowa późniéj.

Wola, podobnie jak poznanie i uczucie, wzrasta i rozwija się, zaczynając od form prostych i przechodząc do bardziéj złożonych. W miarę zaś, jak wzrasta jéj złożoność, staje się też bardziéj umysłową, t. j. zdolną do działania pod wpływem pobudek więcéj oddalonych i umysłowych. W najniższém stadyum swego rozwoju kieruje się ona pobudkami zmysłowemi, w dalszych—wyobrażeniami, pojęciami i t. d. Wyższe stopnie rozwoju woli odznaczają się jeszcze tém, że proces psychiczny, poprzedzający działanie, jest skom-

plikowany. Objawia się on, jako namysł, wybór i postanowienie. Nareszcie na najwyższym stopniu objawia się wola, jako działanie czysto wewnętrzne, jako kontrola nad ruchami, uczuciami i myślami. Rozwój woli dokonywa się pod wpływem instynktowych usposobień, oraz doświadczenia i kojarzenia. Pierwotne popędy woli dopiero przez doświadczenie nabierają określony kierunek i ustalają się.

4. Wola na najniższym stopniu swego rozwoju nie jest niczém więcéj, jak ruchem cielesnym. Pierwszém więc pytaniem, jakie się nastręcza w naszych badaniach nad wolą, jest: w jaki sposób człowiek przychodzi do władzy nad swemi mięśniami i organami i czyni z nich narzędzie swych pragnień i zamiarów?

Ażeby odpowiedziéć na to pytanie, potrzeba nam wprzód poznać wszystkie rodzaje ruchów.

Do ruchów najwcześniejszych, poprzedzających dowolne, należą ruchy samorzutne, automatyczne, będące objawem wewnętrznéj energii ośrodków ruchowych, ich zdrowia i dzielnego odżywiania się. Nie są one następstwem ani wrażeń zewnętrznych, ani uczuć—i są bezcelowemi. Świadome one są o tyle tylko, o ile wiemy o nich za pośrednictwem czucia mięśniowego.

Od nich różnią się odruchy tém, że będąc odpowiedzią na zewnętrzne bodźce, mają charakter mniéj lub więcéj celowy, jakkolwiek celowość ich nie zawsze wyraźnie występuje.

Ruchy instynktowe, które, podobnie jak i odruchy, są odpowiedzią na bodźce, mają tę właściwość, że są bardzo złożone i że towarzyszy im zawsze pewne uczucie. Przedewszystkiém zaś odznaczają się tém, że celowość ich jest wyraźna. Możnaby przypuścić, że obecną w nich jest świadomość celu, świadomość ta atoli musi być bardzo mętna. Instynktowe ruchy są odziedziczoną dążnością do działania w ten sam sposób, w jaki działały w licznych i powtarzających się wydarzeniach życia poprzedzające pokolenia.

Do powyższych rodzajów ruchu należy jeszcze dodać ruchy, służące do wyrażenia uczuć i ruchy naśladowcze. Pierwsze mają to wspólnego z instynktowemi, że są odziedziczone i towarzyszy im uczucie; różnią się od nich atoli pod tym względem, że są bezcelowe. Co się tyczy ruchów naśladowczych, to jakkolwiek pozbawione są celu, towarzyszy im przecież wyraźne wyobrażenie samego ruchu.

Któryż z wyliczonych powyżéj ruchów służy za punkt wyjścia dla woli?

Bain przypuszcza, że ruchy samorzutne natrafiając przypadkowo na przedmioty, które sprawiają wrażenie przyjemne, po kilkakrotném powtórzeniu stają się celowemi i świadomemi, czyli dowolnemi. Jakkolwiek w tém przypuszczeniu jest cząstka prawdy, nie

wystarcza ono jednakże do wytłómaczenia woli. Ruchy automatyczne są bardzo nieliczne, a tymczasem powstanie ruchów dowolnych wymaga bardzo wielu i bardzo różnych okoliczności.

Tę samę uwagę można zastosować także i do ruchów refleksyjnych czyli odruchów.

Nie pozostaje więc jak zgodzić się, że zawiązkiem ruchów dowolnych są ruchy instynktowe, a to témbardziéj, że między niemi zachodzi pewne podobieństwo. Za przykład tego mogą służyć ruchy, jakie dziecko wykonywa pod wpływem głodu. Ruchy te, w których pierwiastek pragnienia zdaje się być obecnym, jakkolwiek w sposób bardzo niewyraźny, odbywają się tak długo, jak długo trwa samo uczucie głodu — i z tych-to ruchów wyłania się nareszcie ruch potrzebny na to, ażeby usta dziecka zbliżyły się do piersi matczynéj. Ruchy te, powstające pod wpływem popędów, mają w danych wypadkach oznaczony kierunek dzięki odziedziczonym związkom, połączeniom nerwowym.

Tym sposobem w zarodzie ruchów dowolnych dają się wykryć czynniki następujące: najprzód uczucie, np. głodu, budzi czynny popęd; pod wpływem tego popędu powstają ruchy, które w miarę, jak świadomość rozwija się, jak staje się możliwém wyobrażenie przyszłości podobnéj, lub różnéj od obecności, przybierają charakter ruchów dowolnych, t. j. świadomie skierowanych do pewnego celu. Ruchy samorzutne, oraz odruchy dostarczają ze swéj strony doświadczenia, pouczającego, jakie ruchy w danym razie są użyteczne. W końcu ściśle oznaczone instynktowe dążności do wykonywania pewnego rodzaju ruchów w szczególnych okolicznościach i pod naciskiem szczególnych uczuć, przechodzą, bardzo często w sposób dość zagadkowy, w ruchy dowolne.

Instynktowy zawiązek woli urabia się i kształci pod wpływem doświadczenia. Dzięki jemu ruchy stają się wyraźniéj celowemi: nabierają większéj dokładności, wykonywają się łatwiéj i szybciéj. Jednocześnie urabia się w umyśle jasne wyobrażenie o ruchach, potrzebnych w danéj okoliczności. Nie dość na tém. Za pomocą doświadczenia utrwalają się skojarzenia między pewnym celem a odpowiadającemi mu ruchami, tak, że samo postrzeżenie pewnego przedmiotu wystarcza do wywołania wyobrażenia zarazem celu i potrzebnych do jego osiągnięcia ruchów.

Nabyte i ustalone pewne ruchy wiodą do nowych, zastosowanych do nowych okoliczności—i w ten sposób zakres dowolnych ruchów coraz bardziéj rozszerza się. Ruchy w miarę wzrastającego doświadczenia stają się coraz więcéj złożonemi. Złożoność ta nie powstaje przez same tylko łączenie starych pierwiastków z nowemi,

ale i przez ich rozłączanie. Uczący się pisać pomaga sobie ruchami głowy i języka, które w tym razie są zbyteczne i muszą być z czasem usunięte.

Ważną rolę odgrywa w rozwoju woli naśladownictwo. Ruchem naśladowczym nazywamy taki, który wywołanym jest bezpośrednio widokiem ruchu innych osób. Wymaga on pewnego związku między widokiem ruchu a jego wykonaniem za pośrednictwem doświadczenia mięśniowego. Związek ten zdaje się być instynktowym i dziedzicznym, opiera się zaś na nerwowém połączeniu ośrodków wzrokowych z ośrodkami ruchowemi. W każdym razie, naśladownictwo wymaga już pewnego doświadczenia w wykonywaniu ruchów — jakoż objawia się ono nie wcześniéj, jak w drugim roku życia. Pod względem psychicznym wymaga ono silnego skojarzenia wyobrażeń ruchowych ze szczególnemi wrażeniami wzrokowemi, stanowiącemi właśnie widok ruchu, jego wygląd. Czynność ta, ściśle biorąc, nie jest dowolną. Jeżeli kieruje nią jakieś pragnienie, to chyba pragnienie przyjemności, jakiéj się doznaje z samego ruchu; chociaż w wielu wypadkach i tego trudno w niéj dostrzedz. Wykonywa się ona po większéj części natychmiast i bezpośrednio pod wpływem wrażeń wzrokowych bez żadnego udziału rozwagi i pragnienia skutku. Staje się zaś świadomą i dowolną dopiero w późniejszym wieku, kiedy dzieckiem kieruje chęć robienia tego, co inni robią.

Dążność do naśladowania tych, co nas otaczają, przyczynia się do rozwoju woli pod tym względem, że skraca proces nabywania użytecznych ruchów, które inaczéj, drogą osobistego i długiego doświadczenia mogłyby być nabyte.

Pod względem naśladowczych popędów dzieci znacznie się różnią. Zależy to od różnego stopnia siły organów czynnych, od mniejszéj lub większéj uwagi, oraz od temperamentu uczuciowego, który skłonniejszym jest do naśladowania niż temperament czynny.

Z ruchem naśladowczym łączy się ściśle ruch, wywoływany przez wyraz lub inny jakiś znak, z którym został dowolnie skojarzony. Przykładem takiego ruchu jest wszelka czynność wykonywana na rozkaz.

Za pośrednictwem mowy można w ten sposób na szeroką skalę kierować ruchami dziecka i dopomagać mu w nabywaniu coraz większego zarodu ruchów użytecznych.

Wyższy stopień rozwoju osiąga wola, gdy ruchy wykonywają się nie wskutek zewnętrznych bodźców, jakiemi są: wrażenia, postrzeżenia (przedmiotu, ruchu, wyrazu i t. d.), ale pod wpływem wewnętrznéj czynności wyobraźni. Ta władza wewnętrznego wyobrażania ruchu niezależnie od zewnętrznych wrażeń wymaga wielkiéj

łatwości i gotowości w wykonywaniu ruchów. Najsłabsze pragnienie poruszenia jakimś organem powinno tu wystarczyć do wywołania pożądanego ruchu. Za pomocą to właśnie owego wewnętrznego nakazu, wprawiającego w ruch organy czynne, nadają się nowe formy ruchom przedtém nabytym tak pod względem kierunku, jako téż ich złożoności.

5. Wszelka czynność przez częste powtarzanie staje się łatwiejsza. Wytwarza się w ten sposób usposobienie do wykonywania owéj czynności za najlżejszém potrąceniem, nastręczeniem. Ta ustalona przez praktykę skłonność do działania w pewien sposób pod wpływem najsłabszego bodźca, stanowi podstawę nawyknienia, przyzwyczajenia. Nawyknienie zbliża się do ruchów instynktowych, mając z nimi to wspólnego, że jest jednostajném i zbywa mu na wyraźnéj celowości. Opiera się ono na ścisłém skojarzeniu pewnego ruchu z pewném zewnętrzném wrażeniem.

Częste powtarzanie ruchów licznych i połączonych z sobą, jak np. w chodzeniu, tańczeniu, pływaniu i t. d. wzmacnia i utrwala oddzielne ogniwa i ich węzły do tego stopnia, że wykonanie jednego pociąga za sobą następne bez wyraźnego udziału świadomości. Stają się one tym sposobem na wpół świadomemi — i wola występuje w nich wyraźnie tylko na początku, jako postanowienie, zdecydowanie się na pewną czynność. Taki właśnie charakter ma rutyna codziennych naszych zajęć. Że siła przyzwyczajenia opiera się na doskonałéj koordynacyi ośrodków nerwowych, dowodzi tego fakt, że każda przerwa w zwykłém następstwie sprawia przykrość, podobną do téj, jaka towarzyszy wszelkiemu powściągnięciu naturalnych instynktów.

Przyzwyczajenie może mieć różne stopnie natężenia, którego miarą może być szybkość i jednostajność ruchów, oraz siła z jaką ustalone ich następstwo opiera się wszelkiéj zmianie. Warunkami zaś natężenia są: suma użytéj na początku energii czynnéj i uwagi w celu dokładnego wykonania czynności; częste powtarzanie téj czynności, jednostajne jéj wykonywanie w podobnych okolicznościach, a w końcu plastyczność organiczna, która w młodym wieku jest znacznie większą niż w późniejszym. Ten ostatni warunek tłómaczy nam, dla czego w wieku dojrzałym z taką trudnością nabywają się nowe nałogi i przyzwyczajenia. Trudność ta o tyle jest większą, że wytwarzanie się nowego nawyknienia wymaga oduczenia się starego, co bez pewnéj walki dokonać się nie może.

Większa część naszych codziennych zajęć i czynności należy do zakresu nawyknienia i ma charakter na wpół-automatyczny. Wykonywają się one bez czynnego udziału świadomości, która wyraźną

jest tylko na początku. Fakt ten jest wielkiéj doniosłości w życiu ludzkiém, przez to bowiem zaoszczędza się znaczna suma energii nerwowéj, która zatém z tém większą korzyścią może być użyta wtedy, gdy chodzi o przystosowanie się do nowych okoliczności, gdy potrzeba w czynnościach zwyczajnych zaprowadzić pewne zmiany.

6. Zanalizowawszy w powyższy sposób wszystkie rodzaje ruchów, jakiemi wola posługuje się, wykazawszy warunki ich powstawania, przystępuje Sully do rozbioru właściwych objawów woli, jakiemi są działanie, postępowanie. Objawy te tém się różnią od ruchów, chociażby najbardziéj złożonych, że poprzedza je zwykle namysł, zastanowienie, tudzież uczucia nieraz bardzo złożone i skomplikowane, jako pobudki.

Przeobrażanie się czynności popędowéj, nawpół świadoméj w czynność rozumną, jaką jest postępowanie, dokonywa się powoli w miarę, jak się rozszerza zakres doświadczenia i wzrasta władza wyobrażenia. Warunkiem postępowania jest przedewszystkiém zdolność przewidywania. Zrazu wszelka nasza czynność skierowuje się do celów bezpośrednich, a dopiero późniéj, gdy władze rozumowe nabiorą pewnéj siły przez doświadczenie, zmierza ona do celów dalszych, bardziéj odległych w przyszłości. Przez doświadczenie bowiem tylko dowiadujemy się, że czynności nasze mają następstwa bliższe i dalsze, sięgające nieraz w bardzo odległą przyszłość. Rozwój władz rozumowych nie tylko rozszerza zakres naszego działania, wskazując mu coraz to nowe cele, ale jednocześnie wzmacnia wiarę w siebie samych.

.Nie mniéj wpływa na ukształtowanie się woli i rozwój uczuć. Jak wiemy, uczucia, w formie pragnień, stanowią poruszającą siłę woli, są że tak powiem, sprężyną wszelkiego działania. W pierwszych, najwcześniejszych objawach woli czynnemi są wyłącznie czucia zmysłowe, jako bodźce, oraz najprostsze uczucia takie, jak ciekawość, upodobanie w ruchu, popęd naśladowczy itd. Z rozwojem uczuć zwiększa się suma pragnień, a wraz z niemi i pobudek do działania. Ponieważ wyższe uczucia różnią się tém od niższych, że są bardziéj złożone i skojarzone z wyższemi formami myślenia, czyli wyobrażalne, dla tego też i czynności przez nie spowodowane odznaczają się tém, że zawierają w sobie nowy pierwiastek—rozwagę, namysł, za pomocą którego człowiek uregulowuje swe stosunki z ludźmi.

Ostateczném następstwem rozwoju rozumu i uczuć jest rozszerzenie zakresu działania przez to, że człowiek, poznając stałe warunki szczęścia, jakiemi są: zdrowie, wiedza, szacunek itd. działa nie w widokach doraźnéj i chwilowéj przyjemności, ale w celu zapewnienia

sobie stałego dobra. Zarazem dowiaduje się, że są jeszcze inne dobra, oprócz własnego jego szczęścia -interesy rodziny, kraju i całéj ludzkości, i bierze je za cel swych usiłowań. W ten sposób czynności jego stają się ściśle rozumnemi i przybierają charakter jednolitości, jaką się odznacza postępowanie.

Zaznaczyć tu potrzeba, że w tém dążeniu do dobra stałego czynną pobudką jest nie tyle przyjemność, jakiéj spodziewamy się po osiągnięciu tego dobra, ile przyjemność samego działania. Pożądanie rzeczy ustępuje powoli miejsca pożądaniu środków, wiodących do jéj osiągnięcia.

Przykładem tego jest skąpiec, gromadzący pieniądze, które są tylko środkiem, myśliwy, któremu nie chodzi o zwierzynę, ale o wrażenia, jakich doznaje podczas łowów.

7. W miarę, jak człowiek zaczyna ogarniać myślą coraz dalsze następstwa swych czynności, działanie jego staje się bardziéj wyobrażalném i coraz więcéj złożoném. Ulega ono nie pojedyńczéj jakiejś pobudce, skierowującéj ją ku celom najbliższym, ale licznym pobudkom, przedstawieniu umysłowemu wielu rzeczy, które są przedmiotem pragnienia albo téż wstrętu. Pobudki w tym wypadku mogą oddziaływać w dwóch kierunkach: zbieżnym, gdy popychają do jednéj czynności, i rozbieżnym, gdy wymagają kilku czynności niezgodnych, albo nawet wręcz przeciwnych sobie.

Większa część naszych czynności, chociaż na pozór zdaje się słuchać jednéj tylko pobudki, ulega wielom naraz. Pobudki te współczynne i łączące się w widoku jednego celu, nie tylko nie osłabiają działania, ale przeciwnie użyczają mu większéj energii.

Przykładem najciekawszym takiego współdziałania pobudek jest wypadek, kiedy do pierwotnéj pobudki, jaką jest przyjemność, do któréj osiągnienia zmierzamy, przyłącza się pobudka wtórna—przyjemność, jakiéj doznajemy w skutek samego działania.

Antagonizm pobudek, ważny pod względem psychologicznym, nabiera szczególnego interesu z punktu widzenia etycznego. Daje on początek moralnemu postępowaniu, posłuszeństwu prawom.

Charakterystyczną cechę przeciwieństwa pobudek stanowi powstrzymanie działania. Dwie (lub więcéj) pobudki, współcześnie lub w bezpośredniém następstwie występujące i mające przeciwne kierunki, wzajemnie osłabiają się i paraliżują. Skutkiem tego następuje albo chwilowe powstrzymanie działania, czyli odroczenie, albo téż zupełne jego zaniechanie.

O fizyologicznych warunkach powstrzymania czynności pisano wiele ostatniemi czasy. Zagadnienie dotąd nie jest rozwiązaném. Najprawdopodobniéj mamy w tym wypadku ten sam fakt, jaki się do-

strzega w świadomości. Wyraźna świadomość zależy od ześrodkowania nerwowéj energii w pewnych ośrodkach, przy czém musi nastąpić zmniejszenie się jéj w innych. Tak samo pobudzenie jednych ośrodków ruchowych musi oddziaływać w sposób przytłumiający na inne.

Najprostszym przykładem powstrzymanéj czynności jest ten, w którym wiara w skuteczność działania jest zachwianą i na jéj miejsce występuje zwątpienie. Powstrzymanie czynności w tym razie może być albo chwilowém albo zupełném. Zależy to od stopnia natężenia pobudki, od chwilowego usposobienia do działania i od indywidualnego temperamentu. Temperament czynny, posiadający wielką odporność nerwowego systemu i znaczną energią mięśni, mniéj poddaje się zwątpieniu, niż powolny, który działa ostrożnie. Odznacza się on przytém pamięcią przyjemności większą od pamięci przykrości.

Drugim przykładem powstrzymania ruchu jest wypadek, w którym pożądana przyjemność popycha człowieka do działania, ale z drugiéj strony powstrzymuje go od niego wyobrażenie sobie w umyśle przykrości, jakie temu działaniu towarzyszą lub w jego następstwie wynikną. W obu tych razach powstrzymanie ruchu zależném jest od tego, która z tych pobudek—dodatnia, czy ujemna—jest silniejszą. O przewadze zaś jednéj lub drugiéj pobudki stanowi chwilowy stan nerwowego systemu oraz indywidualny temperament.

Trzecim nareszcie przykładem jest współzawodnictwo wielu pobudek. Człowiek może doznawać jednocześnie wielu pragnień. W tym wypadku różnorodne pragnienia, targając umysł w różnych kierunkach, wyczerpują właściwą sobie energią, osłabiają się i tém samém powstrzymują działanie.

Współzawodnictwo pragnień objawia się w wielu formach. Może ono zachodzić między uczuciami rzeczywistemi albo tylko wyobrażanemi, między celem stałym a chwilowym lub téż między celami stałemi.

We wszystkich wypadkach współzawodnictwa pobudek następuje zwykle bądź odroczenie czynności, bądź przychylenie się do jednéj z walczących pobudek. W każdym razie ta targanina pragnień w przeciwnych kierunkach zradza w umyśle stan przykry. I właśnie ta przykrość przyśpiesza rozwiązanie wewnętrznego zatargu. Człowiek, chcąc się uwolnić od owéj przykrości, wybiera jednę z czynnych pobudek i nią się powoduje. Silna skłonność do działania również wpływa na bierne decydowanie się. Ten bierny proces decydowania się ma wiele wspólnego z działaniem kilku sił mechanicznych na jedno i te same ciało.

W dalszym rozwoju woli ten względnie bierny proces decydowania się przeobraża się w czynność, w któréj występuje nowy pierwiastek—usiłowanie woli, polegające na powściągnięciu i kontroli pobudek. Charakterystycznėm znamieniem téj czynności jest namysł, rozwaga (deliberation). Wola na tém stanowisku objawia się nie jako dążność do działania, ale jako powstrzymanie go, odroczenie w celu zastanowienia się nad wszystkiemi okolicznościami. Ten rodzaj czynności jest bardzo trudnym. Wymaga on niejednokrotnego doświadczenia złych skutków pośpiesznego działania i ustalonego tą drogą wstrętu do niego; nadto bacznéj uwagi na następstwa działania najmniéj widoczne i odległe, tudzież pewnéj biegłości w porównywaniu i odrywaniu (abstrahowaniu). A jeżeli powstawanie pobudki, powstrzymującéj od działania, połączone jest z wielu trudnościami, to daleko ich więcéj ma do zwalczenia sam proces powstrzymania. Dla tego, żeby się powstrzymać od działania, do którego prze nas pewne pragnienie, potrzeba umiéć silnie natężyć uwagę i zatrzymać ją przez czas dłuższy na wyobrażeniu, które zdolném jest przeciwważyć pobudkę. Niezbędną jest przytém energia ośrodków mózgowych, a szczególniéj ruchowych, tych mianowicie, które są czynnemi w dowolnéj uwadze.

Przedmiotem namysłu, rozwagi bywają tak okoliczności, dotyczące celu działania i jego skutki, jako też środki do tego celu wiodące. Wynikiem zaś namysłu jest wybór, zdecydowanie się. Po pilném zastanowieniu się nad przyjemnościami i przykrościami, jakie pewne działanie za sobą pociąga, człowiek wybiera z całą świadomością i decyduje się działać albo też nie działać. Wybór ten, szczególniéj w wieku młodym, nie zawsze bywa wolnym od nacisku, jaki wywiera na umysł pragnienie uwolnienia się od przykrości, towarzyszącéj kolizyi pobudek.

Wyższa forma wyboru, wolna od przymusu i—co za tém idzie, od pośpiechu jest przymiotem woli silnéj, która tém głównie odznacza się, że się zastanawia i rozważa spokojnie i wytrwale. Cech tych nabywa ona w długiém doświadczeniu życia. Koniecznemi zaś warunkami téj formy wyboru jest żywa pamięć uczuć, a szczególniéj doświadczonych przykrości, oraz silna skłonność do działania. Samo przez się rozumie się, że niezbędnym jest także w tym wypadku rozsądek, zdolny ocenić praktyczne następstwa działania.

Różni się od wyboru, czyli decydowania się postanowienie, które odnosi się nie do czynności natychmiastowéj, ale późniejszéj, gdy nadarzą się odpowiednie temu okoliczności. Składowemi czynnikami postanowienia są: wyraźna wiara w możność nadarzenia się pożąda-

nych okoliczności, wyczekująca uwaga, będąca przedwstępnym aktem dowolnéj czynności i gotowość do działania w pewnym kierunku, gdy czas nadejdzie. Postanowienie, jako najbardziéj rozwinięta forma psychicznéj sprawy chcenia, należy uważać za typowy objaw woli.

Postanowienie leży w podstawie wszelkiéj dłuższéj czynności, mającéj na widoku odleglejsze cele. I w niém to dopiero ujawnia się siła i stałość woli. Wytrwałość w postanowieniu polega na ciągłém uprzytomnieniu w umyśle ostatecznego wyniku działania i na odsuwaniu wszystkiego, coby mogło wolę sprowadzić z obranéj drogi. Wymaga ono więc ciągłości interesu i stałego utrzymywania uwagi w jednym kierunku.

Że stałość woli, czyli wytrwałość w postępowaniu nie jest tém samém. co decydowanie się, dowodzi tego fakt, że wiele jest osób, którym z trudnością przychodzi zdecydować się na coś, ale które, gdy raz wybór zrobią, zdecydują się, nie cofają się już i trwają stale i niezachwianie w postanowieniu. Stałość, wytrwałość w postanowieniu posunięta do ostateczności staje się uporem, który tém głównie odznacza się, że, zamykając oczy na bezskuteczność swych usiłowań, nie słucha cudzych przestróg i nie korzysta z nowych doświadczeń.

8. Do dalszych objawów rozwiniętéj woli, współrzędnych postanowieniu, należy panowanie nad sobą, nadzór, kontrola nad własnemi czynami, uczuciami i myślami. Panowanie nad sobą polega głównie na dowolném powstrzymaniu się od działania, na powściągnięciu pobudek czynnych. Istotę jego pod względem psychologicznym stanowi wysiłek woli w formie uwagi dowolnéj i przewaga pobudek rozumowych, czyli wyobrażalnych nad zmysłowemi. czyli obecnemi.

Chociaż panowanie nad własnemi czynnościami oznacza przedewszystkiém władzę powściągania dążności do ruchu, wywołanéj przez bodźce zewnętrzne, nie ogranicza się ono przecież na téj ujemnéj formie działania. Ma ono jeszcze stronę dodatnią, która stanowi gotowość do działania, pomimo, że działanie to bądź samo przez się jest nieprzyjemném, bądź nieprzyjemność sprowadza w bezpośredniém następstwie. Najwyższym stopniem panowania nad sobą jest nakaz wewnętrzny, zniewalający do działania wtedy, gdy zewnętrzne okoliczności od niego odstręczają.

Uczucie, jak wiadomo, przechodzi samo przez się w ruch. Panowanie więc nad uczuciami wykonywa się za pośrednictwem panowania nad ruchami, a mianowicie przez powstrzymywanie się od ze-

wnętrznych objawów wzruszeń i namiętności. Jest ono więc późniejszém od panowania nad ruchami i czynnościami i wymaga znacznego doświadczenia, któreby dało poznać smutne następstwa niepowściągnionych namiętności. W czynnéj swéj formie objawia się ono jako zdolność wywoływania w sobie pożądanych wzruszeń. Przykład téj zdolności widzimy w grzeczności, obyczajności, wymagających samodzielnéj uprawy towarzyskich i moralnych uczuć.

Co się tyczy panowania nad myślami wywiera się ono za pomocą dowolnéj uwagi. Jak wiadomo, każde wyobrażenie i pojęcie w chwili swego pojawienia się w umyśle z jednéj strony pociąga ku sobie uwagę, z drugiéj wywołuje inne wyobrażenia i pojęcia, które z niemi w jakikolwiek bądź sposób były skojarzone. Powściągająca czynność woli polega tu na zobojętnieniu owych dwóch dążności, na zwracaniu uwagi dowolnéj na wyobrażenia i pojęcia, które są na razie potrzebne, a usuwaniu innych, na przywoływaniu do pamięci pojęć zapomnianych, a w końcu na odrywaniu się od wrażeń zewnętrznych. Najwyższym objawem panowania nad myślami są: czynność twórczéj wyobraźni i rozumowanie.

Trzy te oddzielne formy panowania nad sobą zostają w ścisłym do siebie stosunku, wynikającym jużto z przeciwieństwa, jakie zachodzi między działaniem, uczuciem i myśleniem, już to ze związku istniejącego między trzema stronami życia umysłowego. Wiadomo, że uczucie, myślenie i działanie są stanami umysłu do pewnego stopnia przeciwnemi sobie i wzajemnie wykluczającemi się, dla tego téż czynność umysłowa, rozpoczęta pod wpływem woli w jednym kierunku, musi paraliżować przeciwne sobie siły. Myśléć z całą swobodą i spokojem może tylko ten, kto ma władzę nad swemi uczuciami; dla zdobycia zaś téj władzy potrzeba wprzód nauczyć się panować nad własnemi czynnościami.

Co się tyczy stosunku, opierającego się na związku trzech stanów umysłu, to ten przedstawia się dwojako: jako zależność uczuć od poznania i jako zależność działania od uczucia i poznania.

Ponieważ każde wzruszenie powstaje w związku z pewną czynnością rozumową, stąd zdolność władania, swemi myślami jest oraz zdolnością panowania nad uczuciami. Jakoż nie inaczéj możemy zapanować nad jakiémś wzruszeniem, jak odwracając myśl od tego, co je wywołało i zwracając na rzeczy wręcz mu przeciwne.

Pobudką wszelkiéj czynności nie jest samo uczucie, ale uczucie skojarzone z myśleniem. Żeby więc można było kierować własnemi czynami, potrzeba wprzód nauczyć się panować nad swemi uczuciami i myślami. Namysł, rozwaga nie na czém innéném polega, jak na

nabytéj własną pracą nad sobą zdolności władania swemi myślami i zależnemi od nich wzruszeniami.

Panowanie nad sobą ma pewne granice. Są silne popędy, gwałtowne namiętności, których żadnym wysiłkiem woli przemódz nie można; są pewne skojarzenia pojęć, które dowolnie nie dadzą się rozerwać.

W panowaniu nad sobą biorą udział ośrodki ruchowe, te mianowicie, które są czynne w dowolnéj uwadze. Ponieważ te ośrodki są najpóźniejszéj formacyi, dla tego są one najsłabsze i najwcześniéj podlegają zaburzeniom we wszystkich zboczeniach umysłowych. Każde osłabienie umysłu, pochodzące bądź z nadzwyczajnéj pracy umysłowéj, bądź z pijaństwa albo téż w skutek patologicznych zmian w mózgu, objawia się przedewszystkiém utratą władzy nad uczuciami, myślami i działaniem.

9. Namysł, rozwaga, zarówno jak i panowanie nad sobą wyrabiają się i utrwalają powoli, drogą wprawy, częstego powtarzania. Stają się one wtedy przyzwyczajeniem. Podobnie jak ruchy ciała, zrazu niepewne i wymagające wysiłku, przez powtarzanie stają się pewnemi i łatwemi; powściąganie bodźców i pobudek oraz zastanawianie się nad niemi, przez doświadczenie stają się pewnemi, dokładnemi i łatwemi, wymagającemi jak najmniéj czasu. W ten sposób pewne pobudki stają się w umyśle panującemi, przeciwne zaś im tracą wszelką siłę. Wypadkiem ustalonéj przewagi wyższych pobudek nad niższemi są zwyczaje moralne.

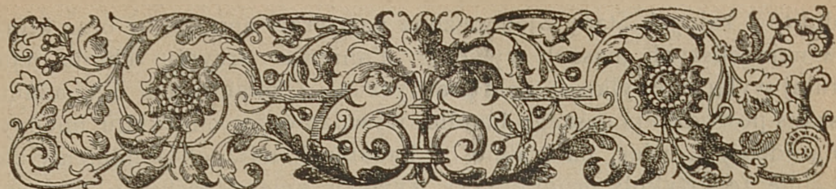
Z moralnemi zwyczajami łączy się ściśle pojęcie charakteru. W zwykłém znaczeniu przez charakter rozumiemy pewne indywidualne różnice pod względem umysłowym, o ile one objawiają się w postępowaniu, w działaniu. W znaczeniu zaś etycznem rozumiemy przez charakter człowieka zacnego, uczciwego, którego wola, uczucia i myśli kierują się zasadami moralnemi i od nich nigdy nie zbaczają. Możnaby więc pojmować charakter moralny, jako sumę nabytych skłonności, czyli przyzwyczajeń, które stanowią to, co nazywami cnotami tak prywatnemi, jak i publicznemi.

Człowiek z charakterem, tj. z ugruntowanemi zwyczajami moralnemi w zwykłych wydarzeniach życia nie potrzebuje długo namyślać się nad tém, co ma począć na razie. Wybór bowiem między pobudkami wyższemi a niższemi, dobremi a złemi dokonywa się w jego umyśle prawie automatycznie, siłą saméj przewagi pobudek dobrych nad złemi. Postanowienie bywa u niego natychmiastowém bez poprzedniéj walki wewnętrznéj, bez żadnego wysilenia. Życie jednakże nie składa się z samych wydarzeń codziennych; z różnorodnych stosunków ludzkich wytwarzają się często sytuacye trudne, okoliczno-

ści nader złożone i zawiłe, w obec których umysł nie może od razu zdać sobie sprawy i nie wie, jak ma wyjść z kolizyi obowiązków. Wtedy to człowiek nawet z najbardziéj ugruntowanemi cnotami musi zastanowić się głęboko nad sprzecznemi pobudkami, musi z wielką rozwagą i namysłem przystępować do postanowienia, ażeby działając pośpiesznie, nie uwłóczyć wyznawanym przez się zasadom. A jakkolwiek w tym razie postąpi, postąpi zawsze w kierunku najmocniejszéj w danéj chwili pobudki.

Władysław Kozłowski.





SIŁY OBECNE I PRZEWIDYWANA PRZYSZŁOŚĆ

ZAMORSKIÉJ KONKURENCYI ZBOŻOWÉJ.

Odpowiedź na punkt 2-gi, 3-ci i 4-ty kwestonaryusza hr. L. Krasińskiego (*), opracowana na żądanie warszawskiego Towarzystwa popierania handlu i przemysłu.

Praktyczne cele, jakie sobie inicyatorowie „Kwestyonaryusza“ w spożytkowaniu zbieranych materyałów zakładają, jak niemniéj nadzwyczaj doniosła dla całego kraju naszego ważność podjętéj sprawy, nakazuje mi w odpowiedzi trzymać się ściśle gruntu faktów i każde swoje zdanie uzasadniać, o ile możności, argumentami, opierającemi się na podstawach zupełnie pewnych, a więc przedewszystkiém na danych liczbowych. Okoliczność ta musi wywołać do pewnego stopnia *przeładowanie* referatu tablicami statystycznemi. Niepodobna jednakże tego uniknąć, raz — z powodu, że tylko ta droga może nas doprowadzić do wyników zgodnych z prawdą, powtóre— że wobec rozpowszechnienia u nas o sprawie, w mowie będącéj, wielu mniemań błędnych, nie jedno zdanie piszącego, nie poparte niezbitemi danemi faktycznemi, mogłoby się spotkać z silném, choć nieusprawiedliwioném zaprzeczeniem.

Przystępując do rozbioru zagadnień, objętych pierwszym z zajmujących nas punktów kwestyonaryusza: „O ile współzawodnictwo Ameryki oddziaływa na targi europejskie i do jakiego minimum obniżyć ona może cenę wywozowych swoich produktów?“ — musimy przedewszystkiém dowiedzieć się, które mianowicie ze swych pro-

---

(*) *Punkt II.* O ile współzawodnictwo Ameryki oddziaływa na targi europejskie i do jakiego minimum obniżyć ona może cenę wywozowych swoich produktów?

Punkt III. Kanał Suezki czy wpłynął na ułatwienie Azyi południowéj i Australii współzawodnictwa na targach europejskich i o ile ono może rozwinąć się w przyszłości?

Punkt IV. Przekopanie międzymorza Panama jaki prawdopodobnie będzie miało wpływ na targi europejskie i na produkcyą wywozową Ameryki północnéj.

duktów rolnych Stany Zjednoczone najszerzéj uprawiają, oraz które w największych masach wywożą? Ponieważ przytém chodzi nam tutaj wyłącznie tylko o cele praktyczne, a mianowicie o zbadanie szans powodzenia naszego handlu wywozowego na rynku międzynarodowym, więc, naturalnie, w badaniach naszych pominiemy zupełnie te artykuły produkcyi i wywozu amerykańskiego, których nasza gleba nie wytwarza, jak np. bawełna, ryż, tytoń i t. p., największą zaś uwagę poświęcimy produkcyi i wywozowi zboża, które stanowi najważniejszy przedmiot naszego handlu eksportowego.

Produkcya i wywóz zboża amerykańskiego poczęły stale wzrastać z niesłychaną szybkością już od roku 1869, w którym to czasie ukończona została budowa głównych linii dróg żelaznych, łączących urodzajne ziemie zachodnie ze wschodnimi portami Stanów Zjednoczonych. Następująca tablica wykaże nam dokładnie całą potęgę tego wzrostu, a zarazem pouczy nas, które mianowicie rodzaje zboża w Stanach Zjednoczonych głównie są uprawiane.

TABLICA I. (*)

Produkcya i wywóz zboża i mąki ze Stanów Zjednocz. w tysiącach buszli.

W roku skarbowym	Pszenica		Żyto		Jęczmień		Owies		Kukurydza		Mąka
	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Produkcya	Wywóz	Wywóz w tysiąc. beczek
1868—69	—	17907	—	96	—	59	—	541	—	7049	2764
1869—70	—	36997	—	496	—	255	—	200	—	1392	3677
1870—71	235885	34791	15474	204	26295	365	247277	153	1094255	9826	3873
1871—72	230722	27000	15365	923	26718	98	255743	263	991898	34492	2915
1872—73	249997	39592	14889	840	26846	501	271747	714	1092719	38542	3002
1873—74	281255	71834	15142	1782	32044	320	270340	813	932274	34435	4588
1874—75	309103	53327	14991	463	32552	91	240369	505	850148	28858	4279
1875—76	292136	55073	17722	544	36909	318	354317	1466	1321069	49494	4297
1876—77	289356	40325	20375	2189	38710	1186	320884	2854	1283827	70861	3799
1877—78	364194	72405	21170	4208	34441	3921	406394	3715	1342558	85461	4387
1878—79	420122	122354	25843	4852	42246	716	413579	5452	1388219	86296	6031
1879—80	448757	153253	23639	2913	40283	1129	363761	766	1547902	98170	6367
1880—81	498550	150565	24541	1928	45165	885	417885	403	1717435	91908	8385
1881—82 (nieurodzaj)	383280	95272	20705	974	41161	206	416481	626	1194916	43185	6210
1882—83	504185	147811	29960	2197	48954	433	488251	461	1617025	41656	—
1883—84	421086	111534	28058	6241	50136	725	571302	1760	1551067	46259	—
1884	512763	—	—	—	—	—	—	—	1795527	—	—

(*) Dane téj tablicy do roku 1881/2 włącznie zaczerpnięte są z Neumanna-Spallarta *Uebersichten über Production, Verkehr und Handel in der Weltwirthschaft.* (Stuttgart 1878 1880, 1881 i 1884); następne 2 daty pochodzą z raportu pisanego, dostarczonego przez biuro statystyczne departamentu rolnictwa Stanów Zjednoczonych konsulatowi warszaw-

Już przy pierwszym rzucie oka na tablicę powyższą uderza nas nadzwyczajna nierównomierność tak w produkcyi, jak zwłaszcza w wywozie rozmaitych gatunków zboża amerykańskiego. Pod względem ilości wytworu pierwsze miejsce zajmuje kukurydza, któréj zbiór w roku 1884 dosięgnął olbrzymiéj cyfry 1,800,000,000 buszli, czyli około 500,000,000 korcy polskich. Daléj idzie pszenica w liczbie przeszło 500,000,000 buszli (140,000,000 korcy) i owies z przybliżenie równą ostatniéj ilością zbioru. Produkcya jęczmienia w liczbie 45,000,000 buszli (12½ mil. korcy) i 20 milionów buszli (5½ mil. korcy) żyta w porównaniu z kolosalnemi cyframi zbioru trzech ziarn poprzednich traci prawie wszelkie znaczenie.

Cyfry wywozu w innym szeregują się porządku. Tu już na pierwszy plan występuje pszenica w ilości 150 milionów buszli (41½ mil. korcy), po niéj dopiero idzie kukurydza, z cyfrą 90 mil. buszli (25 mil. korcy), a następnie owies, żyto i jęczmień w ilościach bardzo zmiennych i stosunkowo nieznacznych.

Dane powyższe wskazują nam, że dowóz zboża amerykańskiego do Europy może wywierać wpływ bezpośredni jedynie na handel pszenicą i kukurydzą. Wynik ten potwierdzają téż ceny zboża z lat ostatnich na rynku międzynarodowym, jak wiadomo bowiem z pomiędzy wszystkich gatunków ziarna najgwałtowniejszy spadek w cenie przedstawia pszenica. Że i ceny innych gatunków zboża podległy również w tym czasie mniéj więcéj znacznéj zniżce, objaśnia się to już oddziaływaniem pośredniém dowozu pszenicy i kukurydzy. Wysokość cen zależy od stosunku podaży do popytu; w miarę więc jak cena pszenicy, skutkiem wzrostu podaży, coraz bardziéj spada, staje się ona dostępną dla wielu ludzi, dla których dawniéj była za wysoką; dzięki téj okoliczności konsumcya tego ziarna wzrasta kosztem zmniejszenia się spożycia innych, gorszych gatunków zboża, tym sposobem zaś popyt na te ostatnie słabnie i cena ich podlega zniżce. Podobny wpływ wywiera również taniość kukurydzy na ceny tych rodzajów ziarna, które ona w spożyciu zastąpić może. Wyjaśniwszy sobie w ten sposób kwestyą spadku cen tych gatunków zboża, których Stany Zjednoczone do Europy nie dowożą, lub do-

---

skiemu, wreszcie cyfry produkcyi pszenicy i kukurydzy w r. 1884 wzlęte są z raportu drukowanego wspomnianego biura statystycznego z miesiąca marca r. b. „*Report on the Distribution and consumption of Corn and Wheat, on consumption of cereals in Europe and on freight rates of transportation companies.* (Report N. 16). Cyfry wywozu pszenicy, żyta i kukurydzy za rok 1882/3 i 1883/4 obejmują już w sobie wywóz mąki, zredukowanéj na ziarno; poprzednie zaś przedstawiają jedynie eksport ziarna nieprzerobionego. Wywóz mąki za te lata podany jest osobno.

wożą w małych ilościach, łatwo zrozumiemy, że ceny tych gatunków ziarna nie zależą od kosztów ich produkcyi w Ameryce, lecz od cen pszenicy i kukurydzy (1). Wobec tego więc warunki produkcyi innych ziarn w Ameryce nie przedstawiają dla nas bliższego interesu; pominiemy je też milczeniem, poprzestając jedynie na podaniu tabelki przeciętnych zbiorów żyta, jęczmienia i owsa z akra ziemi w całych Stanach Zjednoczonych za czas od r. 1875 do 1881:

TABLICA II. (*)

Przeciętny zbiór z 1 akra ziemi	1875	1876	1877	1878	1879	1880	1881 nieurodzaj
Żyta . . . . buszli	13,0	13,8	14,9	15,9	14,5	13,9	11,6
Jęczmienia. . . „	20,6	21,9	21,3	23,6	24,0	24,5	20,9
Owsa . . . . „	29,7	24,0	31,6	31,4	28,7	25,8	24,7

Wziąwszy z tych cyfr przeciętne i zamieniwszy je na miary polskie (2), otrzymamy, że średni zbiór z 1 morga ziemi wynosi w Stanach Zjednoczonych: dla żyta—korcy 5,3, dla jęczmienia—8,5, dla owsa—10,6.

Uprawa kukurydzy w Ameryce koncentruje się głównie w siedmiu stanach środkowych: Ohio, Indiana, Illinois, Jowa, Missouri, Kansas i Nebraska. Stany te wytwarzają tego ziarna blizko dwa razy tyle, ile wszystkie pozostałe razem wzięte. Następujące cyfry zbiorów z ostatnich trzech lat rzecz tę dokładnie nam uwidocznią:

TABLICA III. (**)

Zebrano kukurydzy	w r. 1882 w 1000 buszli	w r. 1883 w 1000 buszli	w r. 1884 w 1000 buszli
W 7-miu wymienionych stanach . . .	955596	978330	1175744
W pozostałych stanach.	661429	572737	619784
Ogółem. . .	1617025	1551067	1795528

(1) Naturalnie, że w całem rozumowaniu powyższem abstrahujemy zupełnie od wszystkich czynników miejscowych, oddziaływających na ceny, i bierzemy pod uwagę jedynie wpływ współzawodnictwa amerykańskiego.

(*) Cyfry wzięte z „Uebersichten“ Neumanna-Spallarta, rocznik za 1880 i 1881/2.

(2) 1 akr = 0,724 morga; 1 buszel = 0,275 korca.

(**) Zaczerpnięta z „*Report on the distribution and consumption of Corn and Wheat.*“ March 1885.

Ziarno to zużywa się w Stanach Zjednoczonych głównie na karm' dla inwentarza. Ten to właśnie fakt wyjaśnia nam tajemnicę tak olbrzymiéj konsumcyi kukurydzy w tym kraju, jaką musieliśmy zauważyć z różnicy pomiędzy produkcyą, a wywozem w tablicy I-széj. Podczas gdy zbiory tego ziarna przewyższają przeszło 3 razy produkcyą pszenicy, wywóz wynosi zaledwie $^{3}/_{5}$ do $^{2}/_{3}$ cyfry jéj eksportu. Podług najnowszych obliczeń, z miejscowéj konsumcyi kukurydzy przypadało około 800 milionów buszli na karm' dla inwentarza opasowego, przeszło 500 mil. dla roboczego, a zaledwie 150 mil. na pokarm dla ludzi. Przeciętne zbiory i ceny tego ziarna w ostatnich latach wynosiły:

TABLICA IV. (*)

	1877	1878	1879	1880	1881
Z 1 akra — buszli ziarna	26,6	26,9	29,2	27.6	18,6
Za 1 buszel (locò ferma) dolarów	0,36	0,32	0,37	0,40	0,64

Obliczony w miarach polskich na podstawie czterech pierwszych cyfr powyższych, gdyż ostatnie zbyt są wyjątkowe, zbiór średni da nam 10,5 korcy z morga, cena zaś jednego korca 3 ruble 63 kopiejki waluty papierowéj (1). Cena ta dzisiaj jest znacznie niższa. Koszta uprawy kukurydzy podaje Rudolf Meyer (2) na 6—8 czyli średnio 7 dolarów na akr ziemi. Przy średnim więc urodzaju 26 buszli z akra otrzymamy jako koszta produkcyi 1 buszla ziarna 27 centów, czyli 1 korca naszego rs. 1,96 kop.

Ponieważ w kraju naszym kukurydza uprawia się w bardzo nieznacznych ilościach, przeto dowóz amerykański tego ziarna do Europy może wywierać wpływ na nasz handel zbożem zaledwie pośrednio, a mianowicie o tyle tylko, o ile wzrost spożycia kukurydzy zmniejszy konsumcyą tych gatunków zboża, które my wywozimy.

Najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla wszystkich europejskich wytwórców zboża, a szczególniéj dla polskich i rosyjskich, przedsta-

(*) Zapożyczona u Neumanna Spallarta z rocznika za rok 1881/2.

(1) Za 1 dolar płaci się średnio 4,25 marek, co przy obecnym kursie waluty niemieckiéj czyni nieco więcéj nad 2 rs. Będziemy więc wszędzie przyjmowali, iż 1 dol. = 2 rub. papierowym.

(2) *Ursachen der amerikanischen Concurrenz*, Berlin, 1883.

wia dowóz pszenicy amerykańskiéj na rynek międzynarodowy, nietylko bowiem zniża on cenę samego tego ziarna, lecz oddziaływa zarazem pośrednio na deprecyacyą innego, mniéj cennego zboża, a nadewszystko mianowicie—żyta, którego kraje, granicami państwa Rosyjskiego objęte, produkują i wywożą najwięcéj ze wszystkich państw świata całego. Rozmiary i szybkość rozwoju produkcyi pszenicy w Stanach Zjednoczonych przechodzą wszystko, co dotąd w tym względzie kiedykolwiek na świecie widziano. Podług tablicy I-wszéj zbiór tego ziarna w roku 1871 wynosił 235 milionów, w 1880 blizko 500 milionów, w ciągu więc lat 10 ilość wytworu wzrosła przeszło wdwójnasób, sam zaś jego przyrost w ciągu tego czasu (biorąc okrągło—265 milionów buszli) dorównywa mniéj więcéj średniéj cyfrze ogólnego zbioru pszenicy w całéj Rosyi.

Jeżeli ludność Stanów Zjednoczonych z roku 1870-go i 1880-go zestawimy z produkcyą pszenicy w tych latach i obliczymy przyrost odsetny jednéj i drugiéj, to otrzymamy wyniki następujące:

TABLICA V. (*)

	1870	1880	Przyrost odsetny
Ludność	38558371	50155783	30%
Zbiór pszenicy w buszlach . .	235885000	498550000	111%

Tak więc podczas gdy ludność w ciągu lat dziesięciu wzrosła tylko o 30%, produkcya pszenicy w tymże czasie zwiększyła się o 111%, czyli wykazała przyrost blizko 4 razy szybszy. Wobec tych cyfr łatwo zrozumiéć dlaczego Ameryka zalewa swém zbożem rynki europejskie i każe drżeć o przyszłość rolnikom naszego lądu. Już z tablicy I-wszéj mogliśmy powziąć niejakie pojęcie o olbrzymich rozmiarach tego zalewu. Cyfry wywozu pszenicy jednakże przedstawiały nam się tam nie dość dokładnie skutkiem tego, że nie obejmowały wywozu mąki pszennéj, któréj eksport podany był w cyfrach ogólnych, zawierających w sobie zarazem mąkę z innych gatunków zboża.

Ażeby sobie dokładnie uzmysłowić całą potęgę handlu pszenicą amerykańską przyjrzyjmy się teraz cyfrom wywozu tego zboża, dopełnionym w ten sposób, iż będą one już zawierały w sobie zara-

(*) Cyfry ludności zaczerpnięte z „*Annuaire de l'Economie politique et de la Statistique* par Maurice Block, 1884.

zem i wywóz mąki pszennéj, zredukowanéj odpowiednio na ziarno (1). Obok tych cyfr, dla zupełności obrazu, podajemy jednocześnie ilość akrów obsianych pszenicą, przeciętną wydajność 1-go akra ziemi w każdym danym roku, ogólny zbiór, oraz przeciętną cenę 1-go buszla ziarna na fermie, czyli cenę *netto* pobieraną przez producenta, i przeciętną cenę eksportową, czyli cenę, po jakiéj kupcy sprzedawali w portach buszel pszenicy na wywóz.

TABLICA VI.

Lata skarbowe od 1 Lipca do 30 Czerwca	Ilość ziemi obsianéj pszenicą, podana w tysiącach akrów	Przeciętny zbiór z 1 akra w buszlach	Zbiór ogólny w tysiącach buszli	Wywóz ogólny pszenicy i mąki zredukowanéj na ziarno w 1000 buszli	Przeciętna cena na fermie w dolar.	Przeciętna cena wywozowa
1871—72	19944	11,5	230722	38996	1,26	—
1872—73	20838	11,9	249997	52015	1,24	—
1873—74	22172	12,7	281255	91510	1,15	1,43
1874—75	24967	12,3	309103	72913	0,94	1,12
1875—76	26382	11.0	292136	74751	1,00	1,24
1876—77 (nieurodzaj)	27627	10,4	289356	57150	1,04	1,67
1877—78	26278	13,9	364194	92142	1,08	1,34
1878—79	32109	13,1	420122	150503	0,78	1,07
1879—80	32546	13,7	448757	180304	1,11	1.24
1880—81	38057	13,1	498550	186321	0,95	1,11
1881—82 (nieurodzaj)	37576	10,2	383280	121892	1,19	1,19
1882—83	—	—	504185	147811	0,79 *	1,13
1883—84	—	—	421086	111534	0,82 *	1,07
1884—85	—	—	512763	—	0,55 *	—

* Ostatnie 3 cyfry cen loco ferma, opatrzone gwiazdką, obliczyliśmy sami na podstawie przeciętnych cen dla ośmiu tylko stanów, zajmujących jedne z pierwszych miejsc w produkcyi i wywozie pszenicy, a mianowicie: Ohio, Illinois, Minnesota, Jowa, Missouri, Kansas, Nebraska i Dakota. Tabelkę, na podstawie któréj dokonaliśmy tego obliczenia, podamy późniéj. Tym sposobem jednak cyfry powyższe nie odpowiadają ściśle poprzedzającym, gdyż nie przedstawiają zupełnie dokładnych przeciętnych dla całych Stanów Zjednoczonych. O ile sądzić możemy z porównania lat poprzednich, są one prawdopodobnie cokolwiek za nizkie. Dane pierwszych czterech rubryk za pierwsze 9 lat wziąłem z R. Meyera „Ursachen..“; wszystkie cyfry pozostałe, z wyjątkiem cen zaznaczonych gwiazdką, wybrałem z czterech roczników „Uebersichten..“ Neumanna-Spallarta.

Rozpatrzywszy się uważnie w tablicy powyższéj, spostrzegamy, że podczas gdy w ciągu całego zeszłego lat dziesiątka zarówno produkcya, jak i wywóz, wzrastały z każdym rokiem w olbrzymich rozmiarach, od r. 1880 rzeczy radykalnie się zmieniają. Z tablicy V-téj widzieliśmy, że ludność Stanów Zjednoczonych w r. 1880 wynosiła

(1) Beczka mąki przyjmuje się średnio za 196 ℔ angielskich; 1 cetnar mąki uważa się za równy 1¼ cetn. ziarna, a 1 buszel pszenicy w ziarnie=60 ℔ amer.

biorąc okrągło, 50 milionów głów i że w ostatnich czasach wzrastała mniéj więcéj o 3% rocznie, dla bieżącego więc dziesiątka lat możemy przyjąć około $1\frac{1}{2}$ miliona głów przyrostu na rok. Otóż ponieważ spożycie pszenicy w Stanach Zjednoczonych w końcu lat 70-tych wynosiło rocznie około 270 milionów buszli, czyli $5\frac{1}{2}$ buszla na głowę, przeto wzrost obecny konsumcyi miejscowéj tego kraju możemy oznaczyć w przybliżeniu na 8 do $8\frac{1}{2}$ milionów buszli na rok (1.500.000 $\times$ $5\frac{1}{2}$ = 8.250.000). Tym sposobem zapotrzebowanie miejscowe na pszenicę w ciągu ostatnich lat czterech zwiększyło się przypuszczalnie o jakie 32 do 35 milionów buszli, ponieważ zaś produkcya utrzymała się mniéj więcéj na tym samym poziomie (w r. 82 i 84-tym cokolwiek wzrosła, lecz za to w 81 i 83-cim znacznie była mniejsza niż w 79 i 80-tym), więc zdolność eksportu tego ziarna ze Stanów Zjednoczonych osłabła. Obliczenie to potwierdzają wymownie cyfry wywozu, które po roku 1880-tym poczęły gwałtownie spadać. Nie biorąc nawet na uwagę roku 1881, jako wyjątkowo nieurodzajnego, widzimy, że podczas gdy w r. 1880 wywóz pszenicy wynosił 186 milionów buszli, w 1882/83 spadł do 147 mil. a w 1883/84 do 111 milionów zaledwie! Wyżéj ze stosunku pomiędzy wzrostem ludności, a produkcyą wypadło nam, że zdolność wywozu pszenicy amerykańskiéj zmniejszyła się o trzydzieści kilka milionów buszli, obecnie zaś widzimy, że wywów rzeczywisty w ciągu ostatnich czterech lat spadł daleko znaczniéj jeszcze: w r. 1882/3 o 40 milionów, w następnym—o 85 milionów buszli. Z porównania tych cyfr jasno wypływa wniosek, że nie osłabnięcie rozwoju produkcyi było przyczyną zmniejszenia się wywozu, lecz odwrotnie—zmniejszone zapotrzebowanie pszenicy na wywóz spowodowało ograniczenie produkcyi tego ziarna. I wreszcie, inaczéj być nie mogło. Wiemy wszakże dobrze o tém, że w Ameryce nie brak dzisiaj jeszcze, ani ziemi zdatnéj do uprawy, ani kapitałów, ani ludzi przedsiębiorczych. Gdyby tylko zaszła tego potrzeba, Stany Zjednoczone mogłyby w bardzo niedługim czasie produkcyą swoję tak znacznie rozszerzyć, żeby mieć do zbycia za granicę dwa razy większą ilość pszenicy, niż mają dzisiaj.

To gwałtowne zmniejszenie się zapotrzebowania zagranicznego na pszenicę amerykańską, o którém mówiliśmy wyżéj, uwidocznia się wybornie w rubryce cen tablicy ostatniéj. Ceny płacone produsentom utrzymywały się ciągle, aż do roku 1881-go na dość wysokim poziomie i zachwiały się znaczniéj raz tylko jeden w r. 1878, gdy nadmiar produkcyi krajowéj po nad potrzebę miejscową wzrósł nagle przeszło $1\frac{1}{2}$ raza (z 92 mil. do 150 mil. buszli), a jednocześnie w Anglii zdarzył się wyjątkowo dobry urodzaj. Gdy jednakże skut-

kiem szczęśliwych pod innymi względami konjunktur na rynku międzynarodowym, cały ten przyrost przez zagranicę pochłonięty został, ośmieleni tém i zachęceni do ryzyka kupcy płacili wciąż przez następne 3 lata ceny dobre, pomimo że zyski ich ciągle się zmniejszały. Dopiero gdy w r. 1881 nieurodzaj w Ameryce podniósł znacznie ceny miejscowe, a przewidywania ich zwyżki na rynkach europejskich fatalnie zawiedzione zostały, zrażeni dotkliwemi stratami pośrednicy poczęli gwałtownie zniżać ceny kupna tak, że w r. 1884 zredukowali je do połowy téj wysokości (55 centów), jaką płacili dawniéj (w r. 1879 dol. 1,11, w 80-tym, 95, w 81-wszym 1,19). Naturalnie, że takie położenie rzeczy nie mogło zachęcać wytwórców do rozszerzania produkcyi, i widzieliśmy téż, że rzeczywiście rozwój jéj po roku 1880-tym uderzająco osłabł, a nawet w stosunku do wzrostu konsumcyi miejscowéj przyrost zbiorów wykazał dość znaczny *minus*.

Ażeby dokładnie poznać ten wpływ potężny, jaki współzawodnictwo Stanów Zjednoczonych wywiera na targi europejskie, musimy teraz obeznać się bliżéj ze stosunkami handlu zbożowego za czas ostatnich lat kilkunastu na tych rynkach, na których wywóz amerykański znajduje główne ujście.

Jeżeli cały eksport wszelkiego zboża i mąki amerykańskiéj w roku 1877/8, 1878/9 i 1879/80, na podstawie panujących w tych latach cen, wyrazimy w dolarach, to otrzymamy następujący obraz jego podziału pomiędzy rozmaite kraje:

TABLICA VII. (*)

	1877/78	1878/79	1879/80
Wielka Brytania i Irlandya dolarów . .	125819463	107092081	154537944
Francya . . . . „ . .	7657563	48701907	60509589
Niemcy . . . . „ . .	1764517	2845123	5828824
Belgia i Holandya . . . „ . .	9362071	15692750	24364046
Inne kraje europejskie . „ . .	5671707	8596700	13225098
Posiadłości angielskie w Ameryce półn.	14675341	11176492	13158210
Meksyk, Ameryka środkowa i połudn.	7996210	7217984	7337616
Indye Zachodnie	6216317	6273253	6813970
Inne kraje	2648515	2794776	2194985
Ogółem .	181811704	210391066	287970282

Tablica powyższa przekonywa nas, że najważniejszym rynkiem zbytu dla zboża amerykańskiego jest—tak samo jak dla rosyjskie-

(*) Wzięta z „Uebersichten...“ Neumanna-Spallarta, rocznik za rok 1881/2.

go—Anglia. W roku 1877/78 pochłonęła ona 69% ogólnéj sumy wywozu ze Stanów Zjednoczonych, w r. 1878/9—51%, w następnym 54%. Jeżeli stosunek wzajemny cyfr absolutnych z r. 1877/8 i 1879/80 porównamy ze stosunkiem odpowiednich cyfr procentowych, musi nas uderzyć okoliczność, że podczas gdy w ostatniem z dwu powyższych lat cyfra absolutna znacznie wzrosła,—procentowa pomimo to w większym jeszcze stosunku spadła. Przełożona z języka liczb na język praktyki życiowéj, okoliczność ta znaczy, że pomimo iż zapotrzebowanie Anglii na zboże amerykańskie w r. 1879/80 w stosunku do roku 1877/8 znacznie wzrosło, zaofiarowanie—daleko bardziéj je jeszcze przewyższyło. Zupełnie analogiczny fakt obserwowaliśmy w zeszłym lat dziesiątku i w samych Stanach Zjednoczonych. To nam też wyjaśnia gwałtowny spadek cen w latach ostatnich i osłabnięcie rozwoju produkcyi w Ameryce.

Przyjrzyjmy się teraz bliżéj stosunkowi sił głównych współzawodników na angielskim rynku zbożowym, oraz kolejnym zmianom, jakim ten stosunek podlegał w ciągu ostatniego 18-tolecia. Weźmiemy na uwagę pszenicę, ponieważ wywóz jéj ma największe znaczenie dla wszystkich prawie krajów rolniczych, a przytém znajduje ona największy i najlepszy odbyt w Anglii. Najważniejszymi jéj dostawcami są obecnie: Stany Zjednoczone, Rosya, Indye Wschodnie i Australia. Jako pośrednik pomiędzy Austro-Węgrami i Polską grają również jeszcze jednę ze znaczniejszych ról Niemcy, których własna produkcya wszakże nie wystarcza już dzisiaj nawet na pokrycie potrzeby miejscowéj. Obok cyfr wwozu, absolutnych i procentowych, z tych 5-ciu krajów podajemy jeszcze przeciętne ceny pszenicy dla każdego roku, licząc w tym razie rok nie kalendarzowy, lecz gospodarczy: od jednego żniwa do następnego.

(*Patrz tablicę VIII na stronnicy następnéj*).

W zestawionych powyżéj cyfrach uderza nas przedewszystkiém upadek dowozu pszenicy z Niemiec. Źródłem tego zjawiska jest w części ograniczenie produkcyi zboża w tym kraju na korzyść uprawy roślin przemysłowych, głównie buraków cukrowych i kartofli na potrzeby przemysłu gorzelnianego, w części zaś niemożność wytrzymania konkurencyi z współzawodnikami. Do roku 1869 Niemcy produkowały jeszcze ogólnie więcéj zboża, niż go same spotrzebowywały, dopiero od r. 1872 począł w nich stale import przeważać nad eksportem. Przeciętna wartość téj przewyżki pomiędzy r. 1872 a 1881 wynosiła rocznie 235 milionów marek (1), jakkolwiek jeszcze do r.

(1) Według Neumanna-Spallarta „Uebersichten d. W."

TABLICA VIII. (*)

Dowóz pszenicy do Anglii z najważniejszych źródeł.

	Cena quartera w szylingach i pensach	W liczbie ton (po 1016 kilogramów)					W procentach ogólnego wwozu				
		Ze Stanów Zjednoczonych	Z Rosyi	Z Niemiec	Z Indyj Wschodnich	Z Australii	Ze Stanów Zjednoczon.	Z Rosyi	Z Niemiec	Z Indyj Wschodnich	Z Australii
1866—1870 przeciętnie.	55.8	362850	524440	289050	5000	11730	22,8	33,0	18,2	0,0	0,7
1871—1875 przeciętnie.	53.3	885160	588360	177720	41500	46840	40,9	27,1	8,2	1,9	2,1
1876	1876/7 55.3	966150	438450	116200	164000	130300	43,5	19,7	5,2	7,4	6,0
1877	1877/8 53.10	1069300	541900	272800	305250	21300	39,3	20,0	10,7	11,3	0,8
1878	1878/9 41.7	1448200	451650	255900	90950	73000	58,2	18,1	10,3	3,6	2,9
1879	1879/80 46.1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
1880	44.4	1839940	146433	80400	164164	215885	65,5	5,2	2,9	5,8	7,6
1881	1/I. 43.4 1/VII 45.4	1834484	205731	68050	372739	150929	63,3	7,0	2,4	12,8	5,1
1882	1/I 44.3 1/VII 46.11	1782417	486588	—	430992	126165	54,8	14,9	—	13,1	3,8
1883	1/I 40.11	1325185	675827	—	571605	136841	40,5	20,7	—	17,6	4,3
1884	32 do 38	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—

1875 wywóz jednéj pszenicy przewyższał czasem nieznacznie jéj dowóz. Od r. 1878 położenie rolnictwa niemieckiego o tyle się jeszcze pogorszyło, że w zbiorach przejawił się uderzający ruch wsteczny. Podług danych urzędowych, przytoczonych przez Rudolfa Meyera (1), zebrano w Niemczech wszelkich gatunków zboża ogółem w roku 1878—17,5 milionów ton, w 1879—14,7 m. t., w 1880—14.3, a w 1881

(*) Dane téj tablicy do r. 1878 włącznie wzięte są z pracy d-ra Hermanna Paasche'go „*Ueber die wachsende Konkurrenz Nord-Amerikas für die Produkte der mitteleuropäischen Landwirthschaft*" zamieszczonéj w *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik* Conrada (tom 33). Cyfry późniejsze dla Niemiec, pochodzą od Neumanna Spallarta („*Uebersichten...*" z r. 1884), dla innych krajów—z *Zeitung des Vereins Deutscher Eisenbahn-Verwaltungen* (N. 19 z r. 1885). Rubrykę cen ułożyliśmy do roku 1877 włącznie z danych d-ra Paaschego, dla lat późniejszych z „*Uebersichten der Weltwirthschaft*" za wyjątkiem roku 1880 i 1884, które zaczerpnęliśmy z broszury „*Ein Beitrag zur Beurtheilung der österr. Agrarfrage*" von Alfred Skene jun. II vermehrte Auflage, Wien, 1885. (Dane za dwa pierwsze pięciolecia przedstawiają cyfry przeciętne, roczne).

(1) P. „Der Emancipationskampf des vierten Standes," tom I. str. 465, wyd. II.

już tylko 13,9 mil. ton. Upadek ten rolnictwa niemieckiego po r. 1878 przejawia się wyraźnie i na naszéj tablicy.

Dowóz pszenicy australskiéj do Anglii nie przedstawia się dotąd zbyt groźnie i ciągłym podlega wahaniom. Natomiast niesłychanie szybki i stały wzrost cyfr dowozu z Indyj Wschodnich musi już dziś budzić poważne obawy w krajach współzawodniczących z niemi. Podczas gdy jeszcze pomiędzy rokiem 1871 a 1875 import angielski pszenicy indyjskiéj wynosił zaledwie 1/14 część ilości dowiezionéj z Rosyi, a mniéj niż 1/20 wwozu ze Stanów Zjednoczonych, już w r. 1883, a więc w ciągu 8 lat zrównał się prawie z cyfrą pszenicy rosyjskiéj i dosięgnął blizko połowy ilości dowozu ziarna amerykańskiego. Najpotężniejszym jednak dotąd ze wszystkich współzawodników są jeszcze ciągle Stany Zjednoczone. One to głównie dyktują ceny na międzynarodowym rynku zbożowym. Nadmierny dowóz z tego kraju sprawił, iż cena pszenicy w Anglii z 55 szylingów za quarter w r. 1876 spadła do 32 sz. w końcu r. 1884 i dopiero znaczne ograniczenie importu amerykańskiego w ciągu ostatnich lat kilku zdołało cenę tę w roku zeszłym cokolwiek podnieść.

Francya do r. 1875 tylko w lata nieurodzajne importowała większe ilości zboża głównie z Rosyi, zazwyczaj zaś wywóz z niéj przewyższał mniéj więcéj wwóz, niekiedy nawet dość znacznie. Dopiero od r. 1876 i ten kraj stał się stale importującym, a Rosya na rynku jego widoczniéj jeszcze, niż na angielskim pobita została przez Stany Zjednoczone i Indye Wschodnie. Dowóz pszenicy do Francyi wynosił:

TABLICA IX. (*)

	Z Rosyi	Ze Stanów Zjednoczonych	Z Indyj Wschodnich
w r. 1878 centn. metr. . . .	4789392	5735538	—
„ 1879 „ „ . . .	4900000	13205436	13000
„ 1880 „ „ . . .	3300000	12439501	359764
„ 1881 „ „ . . .	1800000	6330307	1400000
„ 1882 „ „ . . .	—	3359476	2269716
„ 1883 „ „ . . .	—	3627305	3567712

Wróćmy teraz znowu do Ameryki i rozejrzyjmy się, które to mianowicie stany produkują głównie pszenicę na wywóz:

(*) Tablicę tę zestawiłem z pojedynczych cyfr, znalezionych w pracach: D-ra H. Paasche. „*Ueber die wachsende Konkurrenz Nord-Amerikas für die Produkte der mitteleuropäischen Landwirthschaft*“ w „*Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik*“ Conrada 1879, tom 33; Maryusza Morand „*La crise agricole*“, Lyon, 1885; J. Paul Fabre. „*Les blés de l'Inde anglaise*“ w *Revue-Gazette maritime et commerciale* N. 8 z r. 1884, oraz „Uebersichten d. W“. Neumanna-Spallarta za r. 1881/2.

TABLICA X. (*)

STANY	Terytoryum w kilometr. kwadratow.	Ludność w roku 1880	Ilość głów na 10 kilometr. kwadratow.	Zbiór pszenicy w r. 1880	Zbiór pszenicy w r. 1884	Zatrzymano na potrzebę miejsc. w r. 1884	Przeznaczono na wywóz za granice stanu w roku 1884	
				w tysiącach buszli				w proc. zbioru
Nowa Anglia.								
Maine	85570	648936	76	383	629	629	—	—
New Hampshire . .	24099	346991	144	204	171	171	–	—
Vermont	24772	332286	134	520	364	364	–	—
Massachussets . .	21535	1783085	828	15	19	19	—	—
Rhode Island . . .	3237	276531	85	—	—	—	—	—
Connecticut . . .	12924	622700	482	43	36	36	—	—
Stany środkowe.								
New York	127345	5082871	399	12931	12720	7383	5346	42
New Jersey . . .	20240	1131116	559	2473	2022	1516	505	25
Pennsylwania . . .	117103	4282891	366	22299	20820	12284	8536	41
Delaware	5309	146608	276	1369	1007	403	604	60
Stany południowe.								
Maryland	31623	934943	296	7485	8260	2148	6112	74
Virginia	109942	1512565	138	9322	7455	3131	4324	58
Carolina północna .	135322	1399750	103	3478	4650	3720	930	20
„ południowa	79173	995557	126	690	1410	1382	28	2
Georgia	154034	1542180	100	2582	3130	2916	219	7
Florida	151975	264493	17	—	—	—	—	—
Alabama	135322	1262505	94	946	1675	1591	84	5
Mississipi	121232	1131597	94	374	238	235	2	1
Louisiana	126180	939946	75	—	—	—	—	—
Texas	688343	1591749	23	3901	5561	4004	1557	28
Arkansas	139466	802525	58	1167	1885	1796	94	5
Tenessee	108905	1542359	142	9309	9320	4846	4474	48
Stany zachodnie.								
Virginia zachodnia .	64178	618457	97	4651	3318	2256	1062	32
Kentucky	104632	1648690	158	5347	13425	6310	7115	53
Ohio	106341	3198062	301	37792	41186	17760	23476	57
Michigan	152584	1636937	107	30705	29772	12802	16970	57
Indiana	941143	1978301	21	38341	33745	11816	21934	65
Illinois	146717	3077871	278	53767	32374	14892	17482	54
Wisconsin	145137	1315497	91	16464	20083	7632	12451	62
Minnesota	215907	780773	36	40752	41307	10740	30567	74
Jowa	145099	1624615	112	36098	31270	22514	8756	28
Missouri	179778	2168380	121	30688	27500	11275	16225	59
Kansas	212578	996096	47	19850	34990	15046	19944	57
Nebraska	199046	452402	23	10208	28324	12463	15862	56
Stany Oceanu spok.								
California	410135	864694	21	} 36500	44320	8864	35456	80
Oregon	248707	174768	7		15462	4175	11287	73
Terytorya.								
Nevada	286701	62266	2 1/5	—	104	83	26	20
Colorado	269154	194327	7 1/5	—	2348	986	1362	58
Arizona	292709	40440	1 2/5	—	275	234	41	15
Dakota	386153	135177	3 1/2	2800	22330	4466	17864	80
Idaho	219623	32610	1 1/2	—	1120	728	392	35
Montana	378331	39159	1	—	1372	823	549	40
New Mexico . . .	317469	119565	3 4/5	—	930	744	186	20
Utah	220063	143963	6 1/2	—	1675	988	687	41
Washington . . .	179169	75116	4 1/5	—	4118	1112	3066	73
Wyoming	253525	20789	2/5	—	34	21	13	38
Ogółem Stany Zjed.	7651710	50155783	66	498550	512763	—	—	—

(*) Pierwsze dwie rubryki tej tablicy zaczerpnąłem z „Annuaire de l'écon. pol." Maurycego Blocka z r. 1884. i na ich podstawie obliczyłem gęstość zaludnienia stanów. Rubrykę zbioru w r. 1880 wziąłem z R. Meyera „Ursachen der Amer. Konkurrenz." Wreszcie 4 ostatnie rubryki z „Report on the distribution and consumption of Corn and Wheat...." March, 1885.

Już pobieżny rzut oka na tablicę powyższą wskazuje nam, że dominujące znaczenie tak w produkcyi, jak w wywozie pszenicy amerykańskiéj mają stany „zachodnie,“ bezpośrednio zaś po nich idą 2 stany oceanu Spokojnego, Kalifornia i Oregon, oraz terytoryum Dakota. Dla lepszego jeszcze uzmysłowienia przewagi tych stanów podajemy poniżéj produkcyą i wywóz pszenicy w r. 1884 według grup stanów:

TABLICA XI.

STANY	Wyprodukowały	Zatrzymały na potrzebę miejscową	Przeznaczyły na wywóz
	buszli	buszli	buszli
Nowéj Anglii	1220000	1220000	—
Środkowe	36578000	21586000	14992000
Południowe	43583000	25759000	17825000
Zachodnie	337295000	145450000	191845000
Oceanu Spokojnego	59782000	13039000	46743000
Terytorya	34306000	10164000	24108000

Winniśmy dodać, że cyfry rubryki „zatrzymano na potrzebę miejscową“ nie zawsze odpowiadają rzeczywistéj konsumcyi miejscowéj, a mianowicie dla stanów środkowych i południowych są za nizkie. Produkcya pszenicy w tych stanach, za wyjątkiem może jednéj Pensylwanii, nie czyni wcale zadość potrzebie miejscowéj. Tém nie mniéj jednak część swego wytworu wysełają one za granicę, a niedobór na potrzeby własnéj ludności sprowadzają z innych stanów. Tak samo postępują niektóre ze stanów „zachodnich,“ leżące bliżéj głównych dróg zbytu zagranicznego, jak np. Wisconsin i Illinois. Właściwie więc wytwarzają pszenicę w nadmiarze i tym sposobem stanowią o jéj cenach tylko stany „zachodnie“ i oceanu Spokojnego. Do pierwszych doliczyć jeszcze należy terytoryum Dakota, które dziś już, jak to wnosić należy z nadzwyczajnego wzrostu jego produkcyi w ciągu ostatnich lat pięciu, dosięgło zapewne potrzebnéj liczby ludności, by zostało uznane za stan. Jak widzimy z tablicy X-téj stany „zachodnie“ pod względem gęstości zaludnienia stoją niżéj od stanów środkowych i Nowéj Anglii, gdzie usadowił się głównie przemysł, lecz często przewyższają już obecnie znacznie starsze od nich stany południowe. Główną przyczyną tego jest zapewne ten fakt, iż, jak się o tém wkrótce przekonamy, przeważa w nich własność drobna, gdy tymczasem w stanach południowych dominuje dotąd wielka.

Kalifornia i Oregon zaludnione są dotąd bardzo słabo. Pierwsza téż jest głównem siedliskiem wielkich ferm pszenicznych, owych

głośnych w Europie „Bonanza farms,“ które w stanach „zachodnich“ spotykają się stosunkowo rzadko, głównie w terytoryum Dakota w urodzajnéj dolinie rzeki Czerwonéj (*Red River of the North*).

TABLICA XII. (*)

	Przeciętna wielkość fermy	LICZBA FERM						
		wielkości do 10 akrów	od 10 do 20 akrów	od 20 do 50 akrów	od 50 do 100 akrów	od 100 do 500 akrów	od 500 do 1000 akrów	nad 1000 akrów
Virginia Zachodnia .	163	2861	3463	8488	14461	30301	2255	845
Kentucky	129	7000	13700	30600	40500	69400	3800	1100
Ohio.	99	11100	14100	49300	78200	92600	1300	200
Michigan	90	2805	4514	45029	55777	45391	408	84
Indiana	105	4800	8000	43400	64000	72100	1300	200
Illinois	124	4208	8299	46594	76080	116562	3249	649
Wisconsin	114	2614	3200	22718	44719	60296	666	109
Minnesota	145	640	952	8003	25530	56375	741	145
Jowa	134	2185	3343	23488	58519	95163	2298	364
Missouri	129	3582	8647	43736	58030	97359	3536	685
Kansas	155	1059	1658	9539	31078	93823	1169	235
Nebraska	157	460	708	3301	16652	41542	666	118
Kalifornia	462	1207	1430	3475	3969	20214	3108	2531
Oregon	—	185	207	679	1723	11791	1280	352

Podane powyższe cyfry ilości ferm rozmaitéj wielkości i przeciętnego ich obszaru w roku 1880 w stanach „zachodnich,“ oraz w Kalifornii i Oregonie uwidocznią nam najlepiéj różnicę, jaka panuje w podziale gruntów pomiędzy pierwszą z tych grup, a drugą. Kiedy przeciętna wielkość fermy w stanach „zachodnich“ wahała się pomiędzy 90 a 150 akrami, w Kalifornii wynosiła 462 akry. Kiedy liczba ferm wielkości od 50 do 100 i od 100 do 500 akrów, czyli liczba dostatnich posiadłości chłopskich jest w Kalifornii znacznie mniejsza, niż we wszystkich poszczególnych stanach „zachodnich,“ liczba ferm większych nad 1000 akrów w pierwszéj jeszcze znaczniéj przewyższa odpowiednie cyfry w ostatnich. Ostatecznie winniśmy tutaj skonstatować fakt ważny dla późniejszych naszych obliczeń, że w Kalifornii przeważają latifundia, w stanach „zachodnich“ zaś posiadłości chłopskie od 20 do 500 akrów, a głównie, jak to wskazują liczby przeciętne, od 100 do 150. Fermy téj wielkości w Ameryce odpowiadają europejskim posiadłościom chłopskim, gdyż właściciele ich uprawiają je sami, donajmując tylko w czasie siewu jednego robotni-

(*) Tablicę tę zestawiłem z cyfr rozrzuconych w rozmaitych miejscach w „Ursachen der Amer. Concurrenz“ R. Meyera. Dla stanów Kentucky, Ohio i Indiana znalazłem tylko cyfry dokładne do setek, dlatego na miejscu odrzuconych dziesiątek i jedności są w nich wszędzie zera.

ka na kilkanaście dni i w czasie żniwa kilkunastu robotników na 3 do 4 dni.

Wreszcie stany oceanu Spokojnego różnią się od „zachodnich“ nietylko pod względem podziału gruntów. Nie mniéj głębokie rożnice dzielą te dwa regiony tak pod względem kosztów produkcyi, jak kosztów transportu, ceny robocizny, dróg wywozu do Europy itp. W dalszych obliczeniach będziemy musieli ciągle rachować się z tą okolicznością.

Przystąpmy teraz do szczegółowego rozpatrzenia pojedynczych czynników, składających się na oznaczenie wysokości kosztów produkcyi pszenicy amerykańskiéj, a mianowicie: ceny ziemi, urodzajności gruntu, stopy procentowéj, opłacanéj przez rolników wierzycielom, ceny robocizny, kosztów kupna i naprawy maszyn itp.

Bardzo rozpowszechnione jest u nas mniemanie, jakoby cena ziemi w Ameryce była tak niska, że w porównaniu z cenami europejskiemi można jéj wcale nie brać w rachubę. Jest to gruby błąd, a źródło jego tkwi głównie w wiadomości o istnieniu w Stanach Zjednoczonych t. zw. prawa siedziby (*homestead act*), na zasadzie którego każdy bez wyjątku pełnoletni mieszkaniec kraju może objąć w prawne posiadane 160, lub — w pewnych warunkach — tylko 80 akrów ziemi rządowéj, t. j. przez żadną osobę prywatną nie zajętéj. W tym celu potrzebuje tylko zawiadomić o swojém życzeniu odpowiednią władzę i wnieść 18 dolarów wpisowego. Jeżeli zaś w przeciągu 6 miesięcy przestrzeń tę ogrodzi i pocznie ją uprawiać, to po pięciu latach pracy na niéj staje się jéj zupełnym właścicielem. Wobec takiéj łatwości nabywania gruntu zdawałoby się, że dopóki wszystka ziemia nie zostanie zajęta, cena jéj nie może pójść bardzo w górę, tymczasem faktem jest, że trzeba za nią w Ameryce płacić nieraz bardzo drogo. Skąd to pochodzi? Oto stąd, że nie wszystka ziemia w Stanach Zjednoczonych jest jednakowéj dobroci i niejednakowo łatwo daje się wziąć pod uprawę, *a wszystkie grunta, przedstawiające dogodniejsze warunki pod obydwoma temi względami, są już zajęte.* Wreszcie we wszystkich prawie stanach istnieje bardzo wiele ziemi zupełnie niezdatnéj pod pług, przedstawiającéj częścią niezmierzone bagna i trzęsawiska, częścią bezpłodny grunt kamienisty. Z pomiędzy rolniczych stanów „zachodnich“ jest np. w Michiganie takich bezpożytecznych gruntów 1,000,000 akrów, w Minnesocie 8 do 10 milionów, w Jowie 500,000, w terytoryum Washingtona 1,000,000 akrów itd.

Uczony krajoznawca amerykański, major Povel, dzieli cały obszar Stanów Zjednoczonych na dwie części: wilgotną i suchą, zaliczając do pierwszéj te ziemie, w których ilość spadających deszczów

wystarcza na potrzeby rolnictwa, do drugiéj zaś te, które dla uprawy rolnéj wymagają koniecznie sztucznego nawodnienia. Jeżeli przez środek stanów Texas i Kansas, oraz terytoryum Indyjskiego przeprowadzimy w myśli linią, to na wschód od niéj znajdzie się cała część wilgotna, na zachód—za wyjątkiem wąskiego pasa ziemi na brzegu oceanu Spokojnego—sucha. Otóż z téj ostatniéj, przy przyjętym dziś w Ameryce sposobie nawodniania. może, zdaniem majora Povela, zaledwie 3% jéj obszaru być wzięte pod uprawę rolną. Dotąd téż rozwija się tu głównie hodowla bydła na niezmierzonych pastwiskach.

Koszta pierwotnéj uprawy pustek są bardzo rozmaite, zależnie od rodzaju ziemi, jaki one przedstawiają. Wyborny znawca stosunków rolnych w Ameryce, Henryk Semler (1). który pracował sam przez lat kilkanaście w rozmaitych okolicach Stanów Zjednoczonych, już to jako rządca majątków, już jako samodzielny fermer, dzieli pustki na cztery rodzaje: las, zagajone polanki leśne, łąki i pustynie. Najdrożéj wypada, skutkiem trudności karczowania, doprowadzenie do stanu kultury gruntów pokrytych lasem, zwłaszcza iglastym, który właśnie panuje w stanach wziętych ostatniemi czasy pod uprawę, a mianowicie w Michiganie, Wisconsinie, Minnesocie, Kalifornii i Oregonie. Koszta te oblicza Semler na 60 dolarów za akr. Wydatki na oczyszczenie polanek leśnych wynoszą od 20 do 30 dolarów na akr. Uprawa „pustyń“, przez które rozumie autor ziemie bezdrzewne, skąpo porosłe trawą, istniejące w Kalifornii południowéj, Utah etc., oraz łąk, zajmujących wielkie przestrzenie w Nebrasce, Dakocie, Kansas, Arkansas i Texas, wymaga sztucznego nawodnienia, a więc kopania kanałów, niwelacyi gruntów, wiercenia studni artezyjskich, budowy wiatraków do podnoszenia wody i t. p. Wszelkie budowle przytém i opał w czasie surowych zim kosztują tutaj bardzo drogo z powodu zupełnego braku drzewa, które często sprowadzać trzeba z odległości setek mil. Wymagane prawem w Stanach Zjednoczonych ogrodzenie fermy parkanem przyczynia w takich okolicach ogromnych wydatków. Koszt uzdatnienia pod uprawę akra „pustyni“ podaje Semler średnio na 15 do 20 dolarów. Na akr łąki przypadają często jeszcze większe wydatki. Widzimy więc z tego, że opowiadania podróżników europejskich o niesłychanéj taniości ziemi i łatwości jéj uprawy w Ameryce są bardzo przesadzone i dowodzą zupełnéj nieznajomości rzeczy.

---

(1) „Die wahre Bedeutung und die wirklichen Ursachen der nord-amerikanischen Concurrenz in der landwirthschaftlichen Production.“ Wismar, 1881, str. 206 i następne.

A teraz postaramy się odpowiedzieć na pytanie, jaka jest rzeczywiście w Stanach Zjednoczonych przeciętna cena akra ziemi, zdatnéj pod uprawę pszenicy? Semler oznacza ją wraz z wartością budynków i inwentarza na 50 dolarów, czyli na 138 rs. za 1 morg polski (1). Cyfra ta jednakże, wobec podanych powyżéj kosztów uprawy pustek, oraz téj okoliczności, że tak mieszkalne, jak gospodarcze budowle na fermach amerykańskich są zazwyczaj bardzo skromne, wydaje mi się cokolwiek zbyt wysoką dla całego kraju. Jest ona jednak bezwątpienia odpowiednią, jeżeli nie za niską, dla Kalifornii, oraz tych starszych stanów „zachodnich," w których już wszystka ziemia zdatna do uprawy przeszła na własność prywatną. W Kalifornii skutkiem takiego właśnie stanu rzeczy akr ziemi zupełnie jeszcze nieuprawnéj sprzedaje się, według świadectwa Rudolfa Meyera, po 15 do 50, średnio po 35 dolarów, lecz w bliskości dróg żelaznych trzeba płacić po 40 do 50 dolarów, a za grunta najlepsze, zdatne do uprawy wina, nawet po 100 do 150 dolarów! Gdy więc do tych cyfr dodamy koszta pierwotnéj uprawy i postawienia jakich takich budynków, cyfra średnia 50 dolarów za akr okaże się raczéj za niską, niż za wysoką, ale należy dodać, że wysoką tę cenę gruntów kalifornijskich hojnie wynagradzają za to przymioty gleby i klimatu, pozwalające produkować taniéj.

Co do stanów „zachodnich" podaje Meyer, że w r. 1880 oceniano przeciętną wartość akra ziemi uprawnéj (*geklärten Bodens*): w Nebrasce na 8,93 dol., w Kansas na 11,82 dol., w Minnesocie na 14,45 dol., w Jowie na 27,36 dol., w Illinois na 33,03 dol., w Indianie na 30,46 dol., w Ohio na 47,53 dol. Widzimy z tego, że w miarę posuwania się ku zachodowi, gdzie już ziemi wolnéj pozostało nie wiele, lub wcale jéj niema, ceny wzrastają nadzwyczaj gwałtownie. Meyer nie wymienia źródła, z jakiego te cyfry pochodzą. Sądząc jednak z ich dokładności, należy przypuszczać, że wzięte są zapewne z szacunku urzędowego do podatków, a więc muszą być znacznie niższe, od rzeczywistych, gdyż sam Meyer mówiąc o wysokości podatków rolnych, zwraca na to uwagę, że przy ocenianiu wartości ferm ku temu celowi przyjmują się cyfry nadzwyczaj nizkie. Wreszcie, że przytoczone powyżéj ceny muszą być skromniejsze od rzeczywistych, dowodzą również faktyczne dane zaczerpnięte przez autora bezpośrednio z życia. Ilekolwiek razy zapytywał się on fermerów, po czemu by żądali za swą ziemię, gdyby im wypadło ją sprzedać, zawsze otrzymywał w odpowiedzi cyfry *znacznie* wyższe od podawanych przez niego przeciętnych. Tak np. z podróży swojéj po Kan-

(1) 1 akr = 0,724 morga polskiego, czyli 1 morg polski = 1,382 akra.

sas opowiada on, że pewien anglik, nazwiskiem Harrison, kupił od towarzystwa drogi żelaznéj 7000 akrów stepu (preryi) po 4,44 dolary i urządził na niéj kilkadziesiąt ferm po 160 akrów każda, które puszcza w dzierżawę polownikom, pobierając od nich trzecią część całego zbioru zboża. Zbudowanie domu i stajni, oraz wykopanie studni na każdéj fermie miało go kosztować przeciętnie tylko 420 dolarów; pierwsza orka 2 dolary, tak, że razem koszt kupna gruntu i urządzenia fermy ze 120 akrami ziemi uprawnéj miał wynosić 1340 dolarów, czyli po 8,38 dol. za akr. Pan Harrison odzywał się, że po 5 lub 10 latach dzierżawy chętnieby się zgodził odprzedać fermy swym dzierżawcom, lecz, jak mówi Meyer, „żądałby *naturalnie* po 25, *lub więcéj* dolarów za akr." Tymczasem autor za przeciętną cenę akra ziemi uprawnéj w Kansas podał tylko 11.82 dol, a w innéin miejscu (przy porównaniu z cenami kalifornijskiemi) obniża ją nawet do 7 dolarów, dodać zaś wypada, że fermy p. Harrisona wyróżniać się mają tylko lepszemi od zwykłych w Ameryce budynkami. „Lepszość“ ta jednak wydaje mi się bardzo podejrzaną wobec nadzwyczaj niskich kosztów budowy: 420 dol. za dom, stajnię i studnię, kiedy Semler zapewnia, że drzewo w Kansas jest bardzo drogie i że samo wykopanie studni na preryach wynosi średnio około 400 dolarów.

W urodzajnéj dolinie rzeki Czerwonéj, obejmującéj część Dakoty i Minnesoty, wszystka ziemia jest już rozkupiona przez spekulantów i nieuprawna kosztowała w r. 1881, według Meyera, po 10 do 15 dol. akr, uprawna zaś z lichemi budowlami po 40 do 50 dol. I ta cyfra jednak okazuje się znowu znacznie niższą od przytoczonéj ze stosunków faktycznych. Z okolicy téj opisuje autor gospodarstwo pewnego mennonity, który nabył w r. 1875-tym 385 akrów ziemi za 5000 dolarów, czyli po 13 dol. akr. Z obszaru tego tylko 46 akrów było uprawnych i budowle zupełnie nie do użycia. W r. 1881 proponowano właścicielowi, żeby odstąpił całą swą posiadłość i ofiarowano mu po 40 dolarów za akr, czyli 15400 dol. za całość, chociaż dopiero 182 akry były pod pługiem. Jeżeli więc od ofiarowanéj ogółem sumy odtrącimy za nieuprawne jeszcze 203 akry już nawet nie po 15, ale choćby po 20 dol. za akr, to i tak na cenę akra uprawnego wypadnie nam (15400—4060): 182 = 11340 : 182 = 62 dolary z górą, a ziemia ta nie należała widocznie do najurodzajniejszych w dolinie rzeki Czerwonéj, kiedy przy starannéj uprawie i zupełnéj swéj świeżości przynosiła plon zaledwie po 18 do 20 buszli pszenicy z akra. Dodajmy jeszcze, że podczas gdy Meyer za cenę przeciętną akra *ziemi uprawnéj* w Minnesocie w r. 1880 podał dol. 14,45, p. Bruwaert, konsul francuski w Chicago, pisze na początku roku 1884-go (w *Bulletin du Ministère de l'agriculture* N. 1 z tegoż roku), że w da-

léj na zachód leżącéj Dakocie płacono już w owym czasie po 16 do do 23 dol. za akr *ziemi surowéj* (1).

Sądzę, że na podstawie wszystkich powyższych danych za przeciętną cenę akra ziemi uprawnéj w stanach „zachodnich" nie można obecnie wziąć cyfry niższéj nad jakieś 30 do 40—średnio: *35 dolarów* (96 rs. za 1 morg polski). Tę téż cyfrę przyjmę w obliczeniu kosztów produkcyi pszenicy.

Trudniéj jeszcze, niż cenę ziemi, jest obliczyć wysokość kapitału obrotowego ferm amerykańskich. Semler przyjmuje ją na 2 dolary na akr, lecz nie rozbiera jéj wcale bliżéj i sam robi uwagę, że jest ona o wiele za niską. Trzeba się na to koniecznie zgodzić już wobec tego tylko, że cena ziarna używanego na zasiew prawie że dorównywa téj sumie. Chociażbyśmy nawet przypuścili, że przyjęta przez nas cena ziemi zawiera już w sobie wartość większych i trwalszych maszyn rolniczych i inwentarza żywego, to jeszcze w każdym razie do kapitału obrotowego wypadnie nam wliczyć koszt prędzéj zużywających się narzędzi, utrzymania inwentarza żywego, naprawy maszyn i budowli, płace robotników, wartość ziarna na zasiew i t. p. Ażeby nie wpaść w przesadę, ani w jednym, ani w drugim kierunku, przypuśćmy, że wszystkie te wydatki odpowiadają tylko *5 dolarom* (13,80 rs. na 1 morg polski), uwięzionym w produkcyi całorocznie.

Stopa procentu płaconego przez rolników amerykańskich jest wogóle dość wysoka i tém wyższa, im daléj na zachód się posuwamy. Podług Semlera, wynosi ona we wschodniéj części Stanów Zjedn. zazwyczaj 7%, w dolinie Mississipi 8 do 10%, w stanach oceanu Spokojnego 10 do 12½, lecz w miejscowościach bardziéj odległych od większych miast bywa znacznie wyższa. Meyer podaje tę samę wysokość. Ponieważ jednak w miarę wzrostu zaludnienia i napływu kapitałów wysokość pobieranego procentu zmniejsza się, przeto za średnią stopę odsetek od kapitału zakładowego i obrotowego przy obliczaniu kosztów produkcyi przyjmiemy, zgodnie z Semlerem, tylko 8%.

Pod względem urodzajności ziemi panuje w Stanach Zjednoczonych taka sama rozmaitość, jak i w Europie. Cała różnica polega na tém, że rozmaite te grunta daleko większe, niż w naszéj części świata, zajmują obszary. Dzięki temu na jednéj i téj saméj fermie ma się ziemię mniéj więcéj jednostajną, co znacznie ułatwia gospodarkę, pozwala przy robotach zastosować maszyny na wielką skalę i dopuszcza wiele innych uproszczeń i ułatwień, zmniejszających znacznie koszta produkcyi? W pierwszym rzędzie pomiędzy temi uproszczeniami należy postawić możność obsiewania jedném ziar-

---

(1) Cytowane w *La crise agricole* par Marius Morand. Lyon. 1885.

nem wielkich przestrzeni, nierzadko obejmujących po kilka, a nawet kilkanaście tysięcy akrów. To też po większéj części fermerowie amerykańscy zajmują się uprawą jednego wyłącznie produktu, wytwarzając innych zazwyczaj tylko tyle, ile potrzebują na własną konsumcyą, a często nawet nie robią i tego, uważając za korzystniejsze zaspakajanie domowych potrzeb przy pomocy zakupu u wytwórców specyalnych, tak, że naprzykład fermer, produkujący pszenicę, nie uprawia ani jednego zagona kartofli, żyta, kukurydzy i t. p., zakupując te produkty od innych, którzy znów oddają się jedynie wytwarzaniu np. kartofli, lub kukurydzy, nie produkując wcale, albo bardzo mało pszenicy, żyta etc. Naturalnie, że tak daleko doprowadzony podział pracy w rolnictwie jest możliwy tylko przy gospodarce czysto drapieżnéj, która wiecznie trwać nie może, bo wyniszczona ziemia upomni się w końcu o swoje prawa. Jak dotąd jednak taki system produkcyi okazywał się w Ameryce najkorzystniejszym, gdyż drożyzna i brak robotnika nie pozwalały na prowadzenie gospodarstwa racyonalnego. Gdy grunt zaczyna się wyczerpywać i plon zmniejszać widocznie, radzą sobie początkowo Amerykanie głębszą orką. Tak np. kiedy w Kalifornii jeszcze w końcu siódmego lat dziesiątka orano ogólnie zaledwie na trzy cale głęboko, już około r. 1880 musiano, według Semlera, w większości wypadków zapuszczać pług na 10 cali w ziemię. Z czasem, gdy już i ten środek nie przynosi skutku, uciekają się fermerowie do ugorowania i płodozmianu, co już znacznie powiększa koszta produkcyi.

Najurodzajniejsze ziemie w Stanach Zjednoczonych leżą na błotnistych brzegach rzek Sacramento i Ś-go Joachima w Kalifornii, oraz w dolnéj części biegu Mississipi. Przy pomyślnych okolicznościach wydawały one w pierwszych latach uprawy po 60 do 80 buszli pszenicy z akra, przeciętny zaś plon z nich w ciągu pierwszych lat 10-ciu podaje Semler na 40 buszli z akra (15,2 korcy z morga pol.). Przy nadzwyczaj niedbałéj uprawie, jaka się na tych ziemiach prowadzi, jest to plon bajecznie bogaty, lecz przestrzeń tych wyjątkowo urodzajnych gruntów, wzięta ogółem, jest w stosunku do całego obszaru ziemi uprawnéj w Stanach Zjednoczonych tak drobna, że na układanie się cen zboża amerykańskiego nie mogą one wywierać znacznego wpływu. Należy przytém jeszcze dodać, że ziemie te mogły zostać wzięte pod uprawę jedynie przy pomocy pobudowania kosztownych grobli, oraz że pomimo to dość często podlegają one powodziom, które nietylko niszczą plon, lecz uszkadzają zarazem tamy. Ponieważ zaś tak budowa, jak i reparacye grobli dokonywane są nie kosztem publicznym, lecz prywatnemi środkami właścicieli gruntów nadbrzeżnych, przeto znaczne i częste te wydatki zmniej-

szają bardzo dotkliwie osiągane z bogatego plonu dochody, czyli podnoszą koszta produkcyi.

Drugie miejsce pod względem urodzajności zajmują czarnoziemne brzegi innych rzek, po za wymienionemi wyżéj, oraz preryе; nadewszystko zaś dolina rzeki Czerwonéj. Ziemie te jednak dają już plon znacznie niższy, gdyż przeciętny zbiór 20 buszli z akra ($7\frac{1}{2}$ korcy z morga) w ciągu pierwszych 10-ciu lat uprawy, przy gospodarce drapieżnéj nosi na nich nazwę *dobrego*. Doświadczenie wykazało, że na wszystkich tych dziewiczych gruntach można przez 25 lat bez przerwy uprawiać pszenicę bez nawożenia pola, lecz że już po 10-ciu latach ilość, a więcéj jeszcze jakość plonu coraz niżéj spada—tak, że w ostatnich pięciu latach tylko przy szczególnie pomyślnych okolicznościach opłaca się zwieść zboże do stodoły.

O jednostajnych urodzajach na tak wielkim obszarze ziemi, jaki zajmują Stany Zjednoczone, nie może naturalnie być mowy. Gdy w jednych okolicach cieszą się zbiorem znacznie wyższym nad przeciętny, w innych często trafia się po prostu *głód*. Tak np. zdarzyło się w r. 1880 ogólnie bardzo urodzajnym, w Kansas, gdzie w roku tym żniwo tak zawiodło, że 20000 ludzi musiało się uciec do pomocy państwa, by uniknąć śmierci głodowéj. Takie wypadki jednakże, jak twierdzi Semler, starają w Ameryce wszelkiemi sposobami zachowywać w tajemnicy, ażeby nie zrażać immigrantów.

Jakkolwiek na starszych fermach, za wyłączeniem tych stosunkowo nielicznych, gdzie właściciele przeszli do racyonalnego gospodarstwa, plon się zmniejsza, to jednakże dzięki wzięciu pod uprawę nowych ziem w ciągu ostatnich lat piętnastu, za wyjątkiem paru nieurodzajnych, przeciętny zbiór pszenicy z akra w całych Stanach Zjednoczonych ogółem prawie stale się podnosił. Od roku 1871 do 1880 wynosił on kolejno buszli: 11,5—11,9—12,7—12,3—11—10,4—13,9—13,1—13,7—13,1. W roku 1881 spadł skutkiem nieurodzaju do 10,2 buszli z akra, lecz w 1883 podniósł się znowu do 13, a w 1884 według Maryusza Morand dosięgnąć miał nawet niebywałéj dotąd cyfry 15 buszli z akra. Licząc się z tym wzrostem, jakoteż ze względu na to, że na obniżenie ogólnéj przeciętnéj cyfry wpływają głównie uprawiający ziemię najniedbaléj skutkiem braku kapitału fermerowie najubożsi, zmuszeni bądź-co-bądź godzić się z cenami, ustanowionemi przez zamożniejszych, za średnią cyfrę zbioru pszenicy *z akra* przyjmiemy *16 buszli* (6 korcy z morga).

O wysokości podatków, płaconych przez fermerów amerykańskich, krążą nietylko w Europie, lecz nawet w saméj Ameryce najrozmaitsze mniemania. Kiedy jedni, jak np. znakomity teoretyk ekonomista, Lorenz von Stein, traktujący jednak sprawę kosztów pro-

dukcyi zboża amerykańskiego bardzo powierzchownie, twierdzą, iż podatki rolne w Stanach Zjednoczonych są nikłnąco małe (1) i nie biorą ich wcale w rachubę, inni, jak Semler, utrzymują, iż są one wyższe nawet, niż w wielu państwach Europy, a mianowicie między innemi w wysoko opodatkowanéj Saksonii. Błąd pierwszych pochodzi stąd, że biorą oni pod uwagę jedynie te podatki bezpośrednie, które pobiera centralny rząd państwowy, a są one rzeczywiście stosunkowo niskie, dzięki temu, że główne źródło dochodu kasy Związku stanowią właśnie podatki pośrednie — cło i akcyza. Główny jednak ciężar dla właścicieli rolnych w Stanach Zjednoczonych przedstawiają podatki, płacone na korzyść własnego stanu, okręgu (*county*), gminy miejskiéj (*Township*), oraz drogowe i szkolne. Wysokość wszystkich tych opłat i składek, razem wziętych, przenosi kilkakrotnie normę podatków ogólno-państwowych.

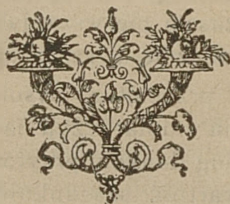
Błąd Semlera i innych pesymistów w tym względzie tkwi, zdaje się w tém, iż obliczywszy procentowo średnią wysokość wszystkich ciężarów, opłacanych bezpośrednio od *wartości szacunkowéj* ferm, stosują następnie znalezioną w ten sposób stopę do *wartości rzeczywistéj* ziemi, gdy tymczasem pierwsza, jak już wzmiankowaliśmy wyżéj, bywa zazwyczaj znacznie niższa od drugiéj.

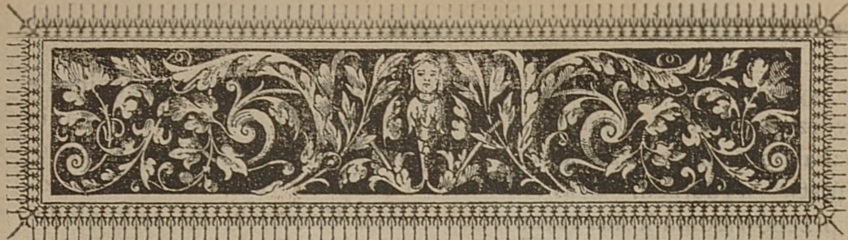
Semler oznaczył przeciętną wysokość podatków, opłacanych ogółem z akra ziemi, na 1 dolar, czyli na 2% od przyjętéj przez siebie wartości gruntu. Podług danych przytoczonych przez Meyera, wynosiła w r. 1880 cała wartość szacunkowa majątku Stanów Zjednoczonych 16,902,993,000 dolarów, wartość zaś rzeczywista oceniana była na 42 miliardy dolarów. Wszelkie podatki razem wzięte w całém państwie czyniły 673,450,000 dol., czyli 4% od wartości szacunkowéj, a 1,6% od rzeczywistéj. Same podatki miejscowe, pobierane na korzyść stanu, okręgu, gminy, szkoły i drogowe dosięgły w całém państwie ogółem sumy 312,750,000 dol., czyli 1,85% od wartości szacunkowéj i 0,74% od rzeczywistéj. Z uwagi, że podatki ogólno-państwowe, jak to powiedzieliśmy wyżéj, w części tylko pobierane są bezpośrednio z własności nieruchoméj, na podstawie cyfr powyższych za średnią normę opodatkowania nieruchomości wogóle moglibyśmy przyjąć 1% od wartości rzeczywistéj. Ponieważ jednakże własność miejska w Stanach Zjednoczonych opodatkowana jest daleko ciężéj aniżeli wiejska, przeto normę tę dla roli należy jeszcze obniżyć. Ze szczegółowych danych, przytoczonych przez Meyera z kilku zwiedzanych przez niego ferm w stanie Michigan i w dolinie rzeki Czer-

(1) Lorenz von Stein. *Die drei Fragen des Grundbesitzes und seiner Zukunft.* Stuttgart, 1881.

wonéj, wypada mu procent opodatkowania na 0,35% do 0,4%. Autor ten jednak patrzy na wszystko w Ameryce bardzo optymistycznie i przy obrachowywaniu powyższéj normy szacuje ziemię bardzo wysoko, gdy tymczasem przy obliczaniu kosztów produkcyi ziarna postępuje wprost przeciwnie. Przytém we wszystkich tych kilku gospodarstwach, które posłużyły mu za podstawę do obrachunku, tylko część ziemi była uprawna, a na nią wszakże spada podatek w całości, bo ona tylko przynosi dochód, a więc ona musi pokryć wszelkie wydatki. Uwzględniwszy wszystkie powyższe okoliczności, sądzę, że za średnią normę opodatkowania ziemi musimy przyjąć przynajmniéj 0,6%, co od przeciętnéj wartości akra 35 dolarów da 21 *centów.*

(*d. n.*) *Władysław Wścieklica.*





KSIĄDZ MAREK,

CUDOTWÓRCA I PROROK KONFEDERACYI BARSKIÉJ.

SZKIC HISTORYCZNY.

> Gdybym dziś go widział, szanowałbym go jako dobrego Polaka i gorliwego obywatela; jeżeli wówczas równie z drugimi czciłem w nim kandydata do kanonizacyi,—było winą czasów.
>
> *Wybicki.*

Legendowa w epizodach szczególnych konfederacya barska wydała bohatera, który w postaci swojéj ogniskuje treść pamiętnych szlachty polskiéj porywów i dokładny ówczesnych jéj usposobień stanowi wyraz. Przejęty aspiracyami działaczów z r. 1768 i czynny w ich pracy biorący udział, był ów bohater osobistością konkretną; tyle jednak fantazya i uczucia narodu narzuciły na niego tajemniczych osłon i barw cudownych, że już w oczach współczesnych stał się niemal legendą. Idealizowanie osobistości konkretnych lub nawet stwarzanie reprezentujących panujący kierunek mytów podczas uniesień gorętszych stanowi fakt zwykły; nie innego też procesu psychicznego szlachty polskiéj wytworem jest cudotwórca ksiądz Marek, jak greccy i rzymscy heroje, jak z doby nowszéj Arnold Winkelried, Joanna d'Arc itp. Postaci takie są krystalizacyą panujących w danéj chwili kierunków moralnych i rzetelny ducha czasu stanowią pomnik; wyczynienie zaś z fantastycznych akcesoryi konkretu i wyjaśnienie genezy bohatera do oświetlenia wieku, twórczości i charakteru narodu pożytecznym być powinno przyczynkiem.

Fundament legendy o księdzu Marku stanowi wyrażone w przytoczonych obficie faktach przeświadczenie narodu, że był cudotwórcą-prorokiem. Nie zdobyła się fantazya ojców z ośmnastego wieku na skończoną, kwiatami cudowności wonną o bohaterze opowieść;

nie wysilała się nad wcieleniem panujących wyobrażeń w organicznie stworzony pomysł poetyczny, lecz poprzestała na samém podaniu pozbawionych twórczéj kompozycyi, uszczkniętych z wiary w cudotwórstwo wydarzeń. Cykl ich otwiera przypisywana księdzu Markowi przepowiednia koliszczyzny i oblężenia Częstochowy za konfederacyi barskiéj; za przepowiednią zaś ową snuje się szereg cudów i proroctw.

Profecie pobożnego Marka karmelity, które *spiritu divino* zamiast kazania napisał, a potym za radą starszych, zaprzysiągłszy, *in publicum* wydał *tenoris sequentis.*

Dotąd jest berło polskie niekwitnące,
Dotąd nie będzie wstępne, władające;
Ale jak tylko na wstępnym zostanie,
Drgną strachem syzma, lutry i poganie.
Pierwsi dwaj swojéj krnąbrności przypłacą,
A drudzy prawo wraz z państwem utracą;
Kościół na skale stanie się wspaniały,
Dwój głowny kolos zamieni się w biały,
Natenczas, pielgrzym, wielkie swoje śluby
Złożę przy grobie, trybut sobie luby,
Niewolnik wolny ujdzie bez okupu,
Strzelec pozbędzie łakomego łupu,
Rosa naturę chłód w ciepło zamieni,
Kogut z chytrości jak wąż się wyleni,
Tak nasze runą znowu swoje wieki (?)
Wieść opowiada czas już niedaleki,
Ale ty Polska po czasu niewiele
Miecz krwie niewinnéj obficie wyleje;
Wiele niewinnych marnie zginie braci,
Wstyd poświęcony Bogu panna straci,
Kapłan z ofiarą przy ołtarzu lęże,
W toż licho mnicha z zakonnikiem sprzęże,
Cna góra, złotym otoczona kołem,
Niech ufa w Bogu, nisko bije czołem,
Bo, wiem, najbliższą będzie strasznéj burzy,
Dym ją zarównie z innemi okurzy.
Kościoły z ozdób swych zdarte zostaną.
Dni zgoła wszystkie płaczliwością staną;
Lecz się Najwyższy swéj krzywdy użali,
Na nich się samych to nieszczęście zwali.
Lecz czyń twojemu wczesne dzięki Bogu,
Bo on im przytrze wyniosłego rogu;
A ty jak Phoenix z popiołu powstaniesz
I cnéj Europy ozdobą się staniesz (1).

(1) Z księgi rękopiśmiennéj w posiadaniu adwokata L. Meyeta. Treść *Wieszczby*, pochodzącéj według jednych rękopisów z r. 1763, według innych z r. 1765, a przypominającéj *Profecie*, podaje Wojcicki (*Cmentarz powązkowski*, III, dodatków str. IV).

Obiecywał ksiądz Marek konfederacyi—powiada Kitowicz (1), pomyślny skutek i rzetelność przepowiedni swoich stwierdzał cudami; „na dowód... pioruny i grzmoty, jako niegdyś Samuel prorok, z nieba sprowadzał.“ Podczas oblężenia Baru, gdy puszkarz pierwszéj bateryi rosyjskiéj lont do zapału przyłożył, patrzący na to z wału ksiądz Marek krzyż zrobił w powietrzu i armata rozerwaną została od wystrzału na sztuki (2). Cudotwórstwo księdza i w Rosyanach budziło wrażenie. Gdy wziętego do niewoli kazali jenerałowie rosyjscy zabić,—uderzeni świętobliwością postawy karmelity żołnierze nie posłuchali rozkazów, lecz, do nóg mu padłszy, o błogosławieństwo prosili i proroctw słuchali (3). Działał cuda ksiądz Marek nietylko śród zdarzeń natury publicznéj, lecz i w życiu potoczném. Odgaduje treść rozmowy grzesznéj, prowadzonéj przez panienki na odległéj przechadzce; niemocą rąk dotyka mężczyzn, którzy powątpiewali o świątobliwości jego i wziąć go chcieli za przedmiot żartu; śród uczty wywołuje pioruny i grzmoty (4). Poczytywano téż karmelitę za świętego i nie wierzono w jego śmiertelność. Gdy panna Agata Ciecka oznajmiła ojcu o skonie księdza,—stary szlachcic, przeświadczony o nieśmiertelności cudotwórcy, w uniesieniu córkę strofował: „Bredzisz waść, moje dziecię, święci nie umierają,—ksiądz Marek nie mógł umrzéć“ (5).

Czas zacierał pamięć o szczegółach życia i rodowém nazwisku zakonnika, lecz do legendy coraz więcéj dorzucał kwiatów. Wzięła w opiekę księdza Marka poezya i wątek opowieści cudownéj dosnuła do końca.

* * *

Do literatury wprowadził cudotwórcę autor ogłoszonych w roku 1838 *Pamiątek JMPana Seweryna Soplicy* w dwóch krótkich opowiadaniach: „Ksiądz Marek“ i „Kazanie konfederackie“ przedstawił bohatera w świetle żywéj jeszcze tradycyi. „Co natrą (Kozacy pod Rzeszowem) na księdza, by go na spisy porwać, to spisy powietrze kolą mimo habitu, a ksiądz się tylko uśmiecha... Widząc, że lubo bezbronny, ani żelazo, ani ołów jemu nie szkodzi... dawaj próbować rękoma go porwać... Ale co który się przybliży, to jak go swoim krzyżem przeżegna, kozak na ziemię bęc, jak długi, a koń jego

(1) Pamiętniki do pan. Augusta III i pierwszych lat St. Aug. Poznań, 1840. II, str. 9 i 10.

(2) Rulhière. Histoire de l'anarchie de Pologne. Paris, 1807. III, 90.

(3) Rulhière *l. c.* III. 91. — (4) Wójcicki *l. c.* str. V. — (5) Przegląd poznański z r. 1856, t. XXII, str. 526.

w czwał, nie nazad, ale do naszych,—i tak kilkunastu położył, że każdy, lubo bez szwanku został, ale utracił konia.“ Mając po stoczonéj bitwie objawienie, że pułkownik w wojsku rosyjskiem, katolik, ranny śmiertelnie pragnie spowiedzi,—udaje się do obozu nieprzyjacielskiego i, po oddaniu choremu posługi, dostaje się, poznany, w ręce żołnierzy. W towarzystwie dwóch najdoświadczeńszych setników, pod eskortą 50 kozaków odesłany do Lwowa,—wjechał z całą tą strażą do obozu polskiego.

Ksiądz Marek Rzewuskiego nie ma w sobie potęgi cudotwórczéj, ani namaszczenia i surowéj powagi proroka. Cuda jego nie przerażają i nie wstrząsają nadzwyczajnością i siłą, lecz robią wrażenie niewinnego żartu lub zręcznie wykonanéj sztuki kuglarskiéj; nie mają właściwego celu, skoro po za odpowiednim nastrojem chwili i po za potrzebą dokonywane są jedynie w zamiarze wywołania podziwu. Ni stąd ni zowąd zaprasza siedzących przy obiedzie na ganek; wychyliwszy kielich, żegna nim chmurę i wywołuje błyskawice, grzmoty i siedm piorunów. „Aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosząc go, aby dał pokój, a wyznając, iż się mocno przelękli. Ksiądz Marek na to: „Nie bójcie się, moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze i, przeżegnawszy chmurę drewnianym krzyżem, co go z paciorkami nosił u boku wedle karmelitańskiego obyczaju, ona wnet się rozeszła i najpiękniejsza wróciła pogoda.“

Metodą działania cudów robi wrażenie kuglarza, w przemówieniach zaś zdradza facecyonistę i rubasznego gadułę. Zgromiwszy szorstkimi wyrazami obecnych panów, schodzi z ambony, nuci pieśni i znowu na kazalnicę powraca, by napominać i zapalać do miłości ojczyzny. Chociaż ksiądz Marek nie natchnionym Skargą, lecz dość nieokrzesanym był mnichem, pomimo tego „najdumniejszych panów i najburzliwszą szlachtę tak radą swoją shołdował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba gdzie go nie było, tam się jedność przerywała, a co dziwniejsza, że wszystkich w wytrwałości utrzymywał, bynajmniéj płonnych nadziei nie robiąc.“ Dowodem wpływu zniewolenie do spowiedzi wychowanego na wzorach francuskich deisty i budzenie szacunku w gromionych magnatach, którzy w pokorze całowali go w rękę. Dobrego mniemania o sobie nie taił: „Pożegnam was—mówił w kazaniu,—powrócę do klasztoru... a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą: tak! za sobą; bo samo patrzanie na wasze grzechy zmazało duszę moją... A więcéj nie powiem wam, bo nareszcie i duch boży znużył się w piersiach moich.“

Nasłuchał się Rzewuski o cudotwórcy-proroku podczas pobytu swego w konwikcie karmelitów berdyczowskich i przedstawił go zgodnie z tradycyą; Słowacki znowu w ogłoszonym w r. 1841 *Be-*

niowskim mniéj ku charakterystyce księdza Marka pierwiastku podaniowego, więcéj użył fantazyi. W kreacyi Słowackiego przeważa rycerz, z obojętnością pewną patrzący na śmierć przeciwników, z pobłażaniem na ekscesa konfederatów. Gdy umierał z ran jeden z najbardziéj zaciętych wrogów konfederacyi,—

Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył;
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami
A potém ręką odepchnął i zbroczył...
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palce i karty przewracał z pokorą
Wiedząc, że duszę tę—już diabli biorą.

Nie myśli nawoływać do zgody rąbiących się w sprawie błahéj: Sawy z Beniowskim

. . . . . Nie pójdę godzić:
Niechajże sobie trochę krwi utoczą;
To może nadto gorących ochłodzić,
Potém z rozwagą większą w ogleń skoczą...

Konfederatów bez ogródki gromi, takimi ich zarzucając listami:

Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z nami. W nawiasie: Niech was powystrzela
. . . . . . i diabeł, że się tak kłócicie
I zostawiacie Bar Moskali pastwą!
A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda boska i plugastwo.
Pan regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak ptastwo
Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel,
Cierpi, że buty dziś je obywatel.
Venit judicium! Nie odemnie sługi
Usłyszy wtenczas sąd, lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Tożsamo pan Rożański (1), co Fablusem
Jest w naszéj partyi, także i ten drugi
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi kłusem
I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci,—
Pisze to zgłębi żalu do Waszeci.

Zresztą, ten zawadyacki nieco zakonnik umie użyć w potrzebie reklamy i straszyć mocą nadludzką:

Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę
I na tém miejscu krwi popłynie rzeka
Gdzie stoję, a te góry palcem ruszę
I na... (wrogów)... pójdą!..

---

(1) Zapewne marszałek lubelski Rożewski.

Złamany na duchu, nie rozpacza przecież o sprawie i zachęca do czynu:

Patrz na mnie! jestem także zmordowany,
A kto wie, co tam w mojem sercu płacze?
A jednak wziąłem w ręce krzyż drewniany
I chodzę—tuląc do głębi rozpacze.
Wolałbym może już w grób, jak złamany
Dąb i bez liści, lecz mi serce skacze,
Kiedy na działo wstąpi moja noga,
A działo ogniem śpiewa—imię Boga,

Z kreacyą Słowackiego nie mogli się pogodzić znający księdza Marka z żywéj tradycyi lub téż z *Pamiątek JMPana Seweryna Soplicy*; raziło ich realistyczne traktowanie przedmiotu, gniewała rycerska w mnichu brawura. „Ksiądz Marek—pisali—mąż prawdziwie katolicki, zakonnik przepełniony miłością ojczyzny, osoba takim blaskiem w dziejach otoczona, jakże tu (w *Beniowskim*) nikczemną odgrywa rolę bandyty włoskiego lub hiszpańskiego!... Ten duch pobożny ale żołnierski, ten człowiek pół-mnich, a pół-kapłan regimentowy, podobny do owych plebanów wandejskich, mógłże np. patrzéć, jak się konfederat Sawa z Beniowskim bez najmniejszéj przyczyny dla nieporozumienia, które ksiądz Marek mógł jednem słowem wyjaśnić, pałaszami rąbali, bez wyrzeczenia, jednego słowa na ich pojednanie, ale owszem z najzimniejszą krwią sam do siebie mówić: niepójdę ich godzić! Byłże to ksiądz Marek, albo może raczéj jakiś Gasperoni, albo poprostu któryś z krwi łaknących rzeźników rewolucyi francuskiéj!“ (1).

Właściwie—zamiast wmawiania tendencyi, o któréj autor nie myślał—wypadałoby zarzucić Słowackiemu pobieżność charakterystyki, w całym poemacie rażącą; pogodzić się zresztą musieli przeciwnicy poety, gdy w r. 1843 ogłosił pod wpływem towianizmu skreślony trzyaktowy dramat p. t. *Ksiądz Marek*.

Gromi z kazalnicy ksiądz Marek panów za nielitość dla chłopstwa, za prywatę i obojętność na klęski narodu: „obrażony pan marszałek, szlachta cała tém urąganiem z magnatów, tą obelgą antenatów, zamyśla porzucić sprawę.“ Gdy zresztą, zwątpiwszy w możność utrzymania się w Barze, chce starszyzna konfederacka miasto opuścić,—ksiądz Marek usiłuje ją na stanowisku zatrzymać, oświadcza, że nikt w boju nie zginie. Dla obudzenia w zwątpiałych otuchy zapewnia w uniesieniu o władzy swojéj, równéj potędze proroków i świętych.

Więc się niedziw, że tak błyskam,
Jak Mojżesz duchem natchnięty,

---

(1) Przyjaciel ludu. Leszno, 1843, t. II, str. 235.

Żem jest jak ów Jan święty,
Widzący to, co ja widzę;
Bo zaprawdę jestem w lidze
Z duchami i ze świętymi!
A chociaż niski na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją
I kończą się gdzieś w bezkońcach,
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
Za słońcami w słońcu ducha.

Na zapytanie marszałka, kto ręczy, że żaden z konfederatów nie zginie?—odpowiada ksiądz Marek: „Pan“ i danym znakiem wywołuje grzmot działa. Pomimo tego starszyzna, z przypadkowego pęknięcia armaty niedobre wywodząc wróżby, miasto opuszcza, Marek zaś, przypasawszy szablę, ze szczupłą garstką szlachty postanawia się bronić. „Oto idę—mówi—do kościoła, sakramenta porwę w dłonie i pójdę i śród kul stanę.“ Przeświadczony, że ku obronie miasta „Bóg tylko potrzebny“ i że w walce nie straci nikogo, w ubiorze mszalnym, z monstrancyą staje na wałach. Miasteczko musiało się poddać, a ksiądz Marek, pod klasztornym murem ranny, z szablą w ręku wzięty został w niewolę. Siepacze, którym kazał Branicki ćwiczyć zakonnika rózgami,—zwrócili razy na siebie; konie, któremi miano go wywieść, pozabijały strażników. Po stu ludzi z armii Kreczetnikowa codziennie w Barze umiera, w końcu pełne zarazy szpitale stanęły w ogniu. Krocie żołdactwa dobijają się do lochu, w którym zamknięto księdza i „przed białym karmelitą we krwi i w czarnych kajdanach popadały na kolanach.“

Kto duch—

przemawia uwolniony z więzienia ksiądz Marek:

niech duchowi memu,
Jak księżyc złotemu,
Będzie blaskiem i ogonem;
Bo ja ojczyzny być muszę
Duchem stróżem i patronem
I wyżéj porywać dusze,
A żadnéj ziemią nieskalać,
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny.
A teraz zdjąć z téj mieściny,
Gdzie włada dżuma i trwoga,
Zarazę, jak sztandar siny
I z chorągwią tą odejść do Boga,
Do którego mnie boleść porywa.

Rozerwał motłoch habit zmarłego księdza i trupie całował ręce, a „jego duch i chwała przelana w polskie pałasze i serca.“

W duchu Słowackiego (1) przedstawił księdza Marka Mickiewicz w dramacie *Konfederaci barscy* i ks. Chołoniewski w opowiadaniu *Magnificat* (2). Mickiewicz charakterystykę zakonnika wkłada w usta lekarza rosyjskiego, który takie robi uwagi:

Mnich to szczególny: Egzaminowałem,
Znalazłem rękę prawą o dwa cale
Dłuższą od lewéj i mięsistszą: dowód,
Że szabla dobrze ręce tej znajoma.
Szabla to rękę tak hypertroficznie
U szlachty polskiéj wzmacnia i przedłuża.
Jest więc szlachcicem i żołnierzem starym.
Do tego blizny pewne ma na czole,
Które niecałkiem są seraficznemi:
Od cięcia szabli zdają się pochodzić
I widać na nich świeżość zagojenia.

„Nieseraficzny“ z powierzchowności, zawsze przecież używa ksiądz Marek opinii proroka, prowadzi życie ascety i surowości do tego posuwa stopnia, że gdy chciano wypić za jego zdrowie,—kubek odepchnął, a nawoływał do modłów. Różni się jednak od kreacyi Słowackiego zwątpieniem, jakie ujawnia z okazyi projektu Pułaskiego uderzenia na Kraków, chociaż w końcu na przedsiewzięcie przyzwala. W opowiadaniu ks. Chołoniewskiego niknie zupełnie rycerz, a występuje kaznodzieja-asceta. Mniema, że klęski konfederacyi barskiéj wynikły z upadku pobożności i wiary, — z jedném

---

(1) Śród pism pośmiertnych poety znalazł się urywek *Beniowskiego*, opiewający dalsze dzieje księdza Marka,—powrót do celi i tłómaczenie się przed zwierzchnością klasztorną. W urywku owym—z późniejszéj doby twórczości poety—pełen jest ksiądz Marek mesyanistycznego namaszczenia i, przeświadczony o roli swojéj w konfederacyi, błaga o pozwolenie opuszczenia klasztoru:

Ojcze przeorze! teraz ojczyzna kochana
Serce moje zabrała i z tego rubachy,
Któregoś ty znał, ojcze, apostół dziś boży,
A na śmierć przeznaczony, jak owca śnieżysta,
Na któréj pasterz kredą czerwoną położy
Krzyż śmiertelny. Więc nędza mię dzisiaj ojczysta
Na to wiedzie, że krzyż ten przyjąłem i krzyże
Piszę na sercach ludzi... A często je zliże
Matka u owcy białéj, gdy dziecko całuje
I nie wie, że zliżawszy od śmierci uwalnia;
Ale mój krzyż jest wieczny i nikt nie ratuje
Moich biednych rycerzy... i zacznie się szczwalnia...

(2) Pisma pośmiertne. Lipsk, 1851, t. II.

zawsze wobec rycerstwa staje wezwaniem: *in patientia vestra possidebitis animas vestras.* Wprowadzili księdza Marka do utworów powieściowych: Kaczkowski (*Anuncyata*), Bolesławita (*Tułacze*) i Suffczyński (*Rodzina konfederatów*); nie podejmując jednak dla odtworzenia postaci cudotwórcy szczególnych studyów historycznych, poprzestali na wyzyskanéj już przez Rzewuskiego tradycyi.

Przedstawiają poeci księdza Marka w rozmaitych sytuacyach i w różnych życia momentach. „Kazanie konfederackie“ wypowiedziane być miało w kościele bernardynów w Kalwaryi 4 listopada 1769 r., w cztery dni po zwycięstwie Kazimierza Pułaskiego pod Lanckoroną w obecności Karola Radziwiłła, Potockich (podczaszego lit. i wojewody kijowskiego), starosty ziołowskiego Paca, marszałka generalnego konfederacyi i chorążego lit. Rzewuskiego. Cuda działał, według autora *Pamiątek JMPana Seweryna Soplicy*, w obozie pod Jędrychowem w domu kasztelana sandeckiego Ankwicza i pod Rzeszowem, gdzie podczas boju zamiast szabli krzyż dzierżył. W *Beniowskim* zjawia się ksiądz Marek z Sawą w zamku jakiegoś z nad Ladawy starosty, gdzie zastaje wroga konfederacyi, regimentarza podolskiego Dzieduszyckiego. W dramacie Mickiewicza występuje jako siedmdziesięcioletni uwięziony w Krakowie przez Rosyan kapucyn, uwolniony za wpływem kobiet, połączył się w Karpatach z Choisi i Kazimierzem Pułaskim.

Nie wyjmując Rzewuskiego (1), w szczegółach pisarzy panuje— dozwolona zresztą w sztuce—dowolność, do któréj upoważniała i tajemniczość sytuacyi księdza Marka po wzięciu Baru. Podanie Kitowicza, że „prorok Marek“, schwytany od wrogów, „batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony, z oczu ludzkich zginął“, na sprostowanie czekało długo. Dotychczasowe materyały do konfederacyi barskiéj nie odsłaniają dostatecznie całego przebiegu życia księdza Marka, wystarczają przecież do zrozumienia roli, jaką odgrywał w roku 1768 i późniéj.

* * *

W klasztorze karmelitów bosych w Berdyczowie znalazł ksiądz Marek Jandołowicz (2) atmosferę, w któréj bujnie rozkwitała poboż-

---

(1) Radziwiłł w listopadzie 1769 r. w Kalwaryi być nie mógł, albowiem od lipca bawił w Cieszynie.

(2) Nazywali go pisarze: Obłoczyńskim, Sieleckim, to Odelgiewiczem. Jandołowicza wywiódł *Czas* krakowski, powtórzył go za nim *Przegląd poznański* z r. 1856 (t. XXII, str. 526), autor zaś *Zameczków podolskich* (wyd. 2, t. III, str. 190) prawdziwość nazwiska dokumentami poparł. Według artykułu *Przeglądu* przyjął Jandołowicz śluby zakonne w Horodyszczach; gdy jednak nikt dowodnie podania tego nie stwierdził, idziemy za tradycyą, która wskazuje w klasztorze berdyczowskim celę księdza Marka (Wójcicki *l. c.* str. VI).

ność, a jednocześnie i rycerski się budził animusz. Janusz Tyszkiewicz, wypełniając ślub, zrobiony w niewoli tatarskiéj, ufundował (około r. 1630) w Berdyczowie dla karmelitów klasztor i kościół i ofiarował do świątyni długo przechowywany w rodzinie wizerunek Bogarodzicy. Obraz zasłynął niebawem cudami i podobnie jak Częstochowa, Gidle, Skępe, Studzianna, Antokol, Żyrowice, Sokal, Poczajów, Święta Lipka, Podkamień, Kodeń i t. p. tysiące na odpusty okolicznych ściągał mieszkańców. Nagromadzona w świątyni wielka liczba kosztownych votów dla Tatarów i hajdamaków stanowiła przynętę, a zakonników zmuszała do przedsiębrania środków obronnych. Opasali też gmachy klasztorne murami i wałem, zatoczyli działa i utrzymywali pod rozkazami przeora zostający garnizon. Powstała w ten sposób na pograniczu cywilizacyi twierdza, o którą niejednokrotnie łamali się chciwi łupów najezdzcy. Podniosła się powaga Berdyczowa, gdy Benedykt XIV darował karmelitom zwłoki św. Teodora i część chorągwi św. Jerzego, a w r. 1756 dokonaną została koronacya cudownego obrazu.

W dobie koronacyi owéj był już ksiądz Marek przeorem annopolskim i około wynalezienia nowych w ruskiéj prowincyi fundacyi zakonu karmelitańskiego krzątał się żywo. Na instancyą jego, jako „plenipotenta od prowincyi swojéj“, aktem z 2 czerwca 1759 roku darował karmelitom miecznik w. kor. Lubomirski plac w Barze, pozwolił na nim wielebnemu ojcu Markowi i jego następcom „konwent zakładać, murować i cokolwiek *pro commoditate* tegoż tylko konwentu być może... edifikować.“ Aktem z 10 marca 1763 r. zaakceptował darowiznę brat zmarłego miecznika, Franciszek; zatwierdził ją też niebawem i August III (1). Zaledwie jednak przystąpił ksiądz Marek do dźwigania budowli, uniósł go wir wypadków politycznych i na szerszą rzucił widownię.

Drobny, z błękitnemi oczami ksiądz Marek rozwinął w sobie śród cudownéj atmosfery klasztoru berdyczowskiego egzaltacyą religijną, nie zatracił przecież i fantazyi rycerskiéj. „Nie miał miny surowego proroka, owszem, podług przysłowia ruskiego był cokolwiek hulaka“ (2). Pomimo tego dla pobożności wielkiéj pozyskał na Podolu opinią ulubieńca boskiego i — wrażliwy na nieszczęścia krajowe — umiał popularność swoję śród szlachty i gminu spożytkować w wypadkach r. 1768.

Już w jesieni 1767 r. zjeżdżali niezadowoleni z ówczesnego rzeczy porządku do Michałowic, wioski Rafała Dzierżka, położonéj pod

(1) Dr. Antoni J. Zameczki podolskie. Wyd. 2, III, 163—167.

(2) Wybicki. Pamiętniki. Poznań, 1840, t. I, str. 96.

Barem. Brał w naradach udział ksiądz Marek, wielki Dzierżka przyjaciel (1); na organizacyę ruchu musiał wywierać wpływ znaczny, skoro go konfederaci w samym zawiązku działań urzędownie za proroka swego uznali. „Ale jest Bóg w Jeruzalem, jest jeszcze i prorok, który wszystkie wróży pomyślności“ — opiewał akt konfederacyi „prawowiernych chrześcian katolickich rzymskich“, zawiązanéj w Barze 29 lutego (2). Zaopatrywał wchodzących do związku w relikwie, obrazki, piśmienne błogosławieństwa, które konfederaci przy szkaplerzu nosili na piersi, i zapał budził do czynu. Mianowanego konsyliarzem generalnym konfederacyi, Wybickiego, licznymi obdarzył krzyżami, powtarzając: *sit nomen Domini benedictum*, żeś z nami! Wierzono we wpływy zakonnika nadziemskie i szacunkiem otaczano go wielkim. Sam się też za sprzymierzonego uważał z niebem, — rozdawał naczelnym konfederacyi przywódcom piśmienne ordynanse przeciwko nieszczęściom. Marszałkowi Michałowi Krasińskiemu wystawił ordynans taki:

„W imię Jezus!

Pokój Chrystusów, miłość Jego, zdrowie doskonałe, straż aniołów świętych, zachowalność na wojnie, ocalenie w potyczkach, odkrycie w zdradach, dar Ducha świętego w komendach etc., etc., etc.: boskie tobie Michale, rycerstwu, podjazdom, wyprawom, objażczkom, potyczkom, batalionom etc., etc., etc., daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. Wszelkim zaś chorobom, zarazom, powietrzom, impetycyom, zdradom, natarczywościom, niebezpieczeństwom, nieprzyjacielskim odwagom etc. krwią Jezusową surowy ordynans daję: won, precz na ustęp, każę i przymuszam! a to na fundamencie przymierza między mną a obywatelami niebieskimi zawartego i zaprzysiężonego. Bądź zdrów. X. Marek, *mp*.“ (3).

Sprzymierzony z „obywatelami niebieskimi“ zasięgał od nich ksiądz Marek informacyi i o rezultatach porywu najlepsze budził nadzieje. Wyraził je w ekscentrycznym *Responsie do pewnego senatora*, mającym pod względem formy cechy proroctwa.

„W awanturze nie wikłaj się, bo w niebie już po dekrecie, w którym *integritas fidei*, *integritas libertatis et integritas granitierum etiam in avulsis* wygrana i od tronu Trójcy przenajświętszéj podpisana. Siedź cicho do czasu. Co mi z góry powiedziano: *Dabitur vox*, *fugiet nox*, *veniet lux et sic miserabitur Deus super regnum Reginae regni Poloniarum Mariae*, to z ciekawości niebieskich dekretów do-

---

(1) Dr. Antoni J. *l. c.* III, str. 179. — (2) Morawski. Materyały do konf. barskiéj. Lwów, 1851, str. 20. Wątpliwość, czy pod prorokiem owym rozumiano księdza Marka, usuwa Kitowicz (*l. c.* II, str. 9). — (3) Wojcicki *l. c.* III, str. IV.

niósłszy, które żadnym sposobem odmienione być nie mogą ku ocaleniu ojczyzny. Jednak będzie źle ku lepszemu, będę i ja tam, a wy bądźcie zdrowi“ (1).

Przeświadczenie, jakie ksiądz Marek posiadał o swoich stosunkach z niebem i ufność, jaką przepowiedniami swojemi w konfederatach budził, na heroiczny opór podczas oblężenia Baru wpływ wywarły stanowczy.

Małą mieścinę żydowską konfederaci za główne stanowisko obrawszy, opalisadowali ją albo raczéj dobrym obwiedli płotem. Gdy Wybicki zapytał, gdzie się znajduje twierdza, — wskazano mu na wzniesiony śród mieściny na kopcu dworeczek, obwiedziony rowem szerokim, zaopatrzony w mostek polski zwiedziony. „Naokół wyniesione brzegi i fosy, niby to szańce, czy chcesz nazwać mury, bodaj nie trzy lub cztery kosze składały całą sztukę inżynierską do obrony.“ Dla czego lichą mieścinę, zajmującą zdaniem strategików najniefortunniejszą pozycyą, obrano na stanowisko naczelne, kiedy brzegi Dniestru dostarczały niemało obronniejszych i dogodniejszych, odgadnąć trudno. Oprócz niekorzyści naturalnéj i mało użytéj sztuki, uniemożliwiała obronę i szczupłość załogi. Stary Pulaski wyszedł z 1500 ludzi dla dania pomocy rozbitemu pod Podhajcami Joachimowi Potockiemu; Kazimierz, zająwszy Berdyczów, bezskutecznie choć mężnie Kreczetnikowowi się stawiał, w Barze zaś niewięcéj nad 4000 bez wodza i zapasów wojennych pozostało rycerstwa. Na domiar złego zakradła się pomiędzy konfederatów niesubordynacya,— „zamieniła się osada na sejmik niesforny.“ Podstąpił pod miasteczko od strony Kamieńca Apraksyn, a z drugiéj strony Branicki. Podczas oblężenia niespodziewany spotkali opór i niemałe ponieśli straty. Trapili konfederaci nieprzyjaciela wycieczkami,— w jednéj dowodził przybrany w aparaty kościelne ksiądz Marek. W nocy z 20 na 21 czerwca, przypuściwszy z trzech stron szturm, wziął Apraksyn miasteczko i zamek. Zdobyto 50 dział, wzięto do niewoli 1200 ludzi, pomiędzy nimi i Marka, zapalającego z wałów do boju. Wybicki

---

(1) Rękopis zakladu narod. im. Ossolińskich, N. 1077, str. 12. W zmienionéj nieco formie p. t. *Wyjątek z listu Marka do przyjaciela* podaje ów *Respons Przyjaciel ludu* (z r. 1842, t. II, str. 309): „W awantury nie wdawaj się, bo w niebie już po dekrecie, w którym *integritas libertatis, integritas fidei et integritas granitierum in avulsis* wygrana, od Trójcy przenajświętszéj jest podpisana Siedź cicho do czasu. Co mi powiedziano z góry, piszę: *dabitur vox, fugiet nox, veniet lux et sic miserabitur super regnum Poloniarum Maria.* To ci z ciekawości dekretów niebieskich, które żadnym sposobem odmienione być nie mogą, oznajmuję ku ocaleniu ojczyzny i lepiéj ci będzie. Bądź zdrów.“ W trzeciej odmianie pod tyt. *Kopia listu jm. x. Marka do jw. Branickiego łowczego kor.*, w któréj wyrazy łacińskie zastąpiono polskimi, podaje *Respons* Morawski (*l. c.* str. 159).

obronę Baru uważa za szaleństwo; że zaś „plan téj operacyi militarnéj zdziałało zaślepienie w cudotwórstwie Marka“, odpowiedzialność przeto za klęskę zwala na niego.

Według Kitowicza, wziętego w niewolę Marka ocięto batami; według Rulhière'a, generałowie polecili go zabić, ale żołnierze nie posłuchali rozkazów i do nóg mu padli, proroctw świątobliwego zakonnika słuchając. Nie znajdujemy nigdzie potwierdzenia tych podań; naodwrót, fakta poważne wiarogodności ich przeczą stanowczo. Generałowie rosyjscy obchodzili się w początkach ruchu z wziętymi do niewoli konfederatami łaskawie,—berdyczowskich i barskich jeńców puszczano na słowo, że walczyć nadal nie będą. Nie uwolniono wprawdzie karmelity, lecz i nie znęcano się nad nim, skoro względem dalszych losów jego żądano instrukcyi Repnina. 30-go sierpnia 1768 r. w towarzystwie 337 aresztantów (dezerterów rosyjskich, hajdamaków i konfederatów) wysłany został z głównéj kwatery Kreczetnikowa z Tulczyna do Kijowa pod konwojem żołnierzy z pułku bieleckiego, strzeżony pilnie. Kazał Repnin trzymać Marka w więzieniu sekretném, ażeby z nikim widzieć się nie mógł; w sprawie dalszych losów zakonnika czekać miał generał-gubernator kijowski, Wojejkow, na specyalne rozkazy z Petersburga (1).

Mylną jest wersya, że zesłano Marka na Sybir; prawdopodobniejsza Kitowicza, że zamknięty został w jakimś klasztorze (2). Nikną ślady jego aż do roku 1776, w którym odwiedza Warszawę (3). Na wieść o pobycie cudotwórcy w stolicy, dobijały się o jego rady duchowne damy warszawskie, ubiegały się panny dworskie o strzępy habitu lub chustki do nosa. Znużony zgiełkiem wielkiego świata rychło ksiądz Marek miasto opuścił. Piastował wówczas godność przeora karmelitów w Barze, od roku zaś 1783 annopolskiego znowu i definitora prowincyi. Wiódł życie czynne i w nieustannym był ruchu. Przesiadywał w Czarniawce Wielkiéj u stolnikostwa Wróblewskich, pod Kamieńcem u starostwa olsztyńskich, w Łuce Kurowskich, w Białéj Krynicy Salnickich, w Zubowszczyźnie u Dubraw-

(1) Kreczetnikow. Dziennik wojennych działań. Poznań, Żupański, 1874, str. 152.

(2) Według Wojcickiego (*l. c.* III, str. VII) „po wydobyciu się z Baru był w obleżeniu Berdyczowa, zagrzewał do dzielnéj obrony i tu zawiązała się ścisła przyjaźń pomiędzy nim a młodym Kazimierzem Pułaskim“; dr. Antoni J. (*l. c.* III, str. 192) powtarza toż samo, dodając, że oblężenie owo miało miejsce w końcu października 1768 roku. Wiadomo, że Kazimierz Pułaski kapitulował 14 czerwca (Kreczetnikow *l. c*, str. 119), to jest o sześć dni wcześniéj od wzięcia Baru, wersya przeto o obecności księdza Marka w Berdyczowie podczas oblężenia okazuje się mylną.

(3) Wojcicki (*l. c.* str. IV) podaje z rękopisu Magiera (*Estetyka*) rok 1786; myśmy w tém samem źródle wyczytali 1776.

skiego, sędziego grodzkiego żytomierskiego, w Czepielówce, Wilsku, Zwiahlu, Zasławiu, Uszomirzu, Werhorodyńcach, Fakowcach, Woronówce, w Dłużku pod Morachwą, w Milatynie, Lisowszczyźnie, Maniowcach. Jeździ na kapitułę do Trębowli i Horodyszcz, z polecenia prowincyała wydobywa zaniedbane dla karmelitów w Uszomirzu fundusze, rozsyła piśmienne błogosławieństwa i ordynanse, święci obrazy i wino, zażegnywa nieszczęścia, pomaga w interesach, ratuje w „alteracyach". Formalnie rozrywany jest po dworach, nie może się zaprosinom opędzić. Pomagał mu w interesach najprzód ksiądz Antoni Marek, synowiec, po śmierci zaś jego zmarły w sierpniu 1783 wikary barski, Hulewicz.

Dzielny w konfederacyi barskiéj, do wzięcia udziału w ruchu Kościuszkowskim sił nie miał, chociaż błogosławił brygadę Kopcia, gdy przedzierając się z części zabranéj w r. 1793, stanęła w Uszomirzu. O drugiéj po północy skropił ją starzec święconą wodą, mówiąc: Idźcie w imię Boga i wynijdzijcie! „To krótkie — powiada Kopeć— wyrażenie cnotliwéj i pobożnéj osoby, jakby w wieszczym duchu ogłoszone, wiele umocniło żołnierza potwierdzeniem niejako wolą nieba naszego zamiaru" (1).

Kilka ostatnich lat życia spędził pobożny zakonnik w charakterze kapelana domowego pod Lubarem, we wsi Berezówce, w domu łowczego bydgoskiego, Tadeusza Cieleckiego. Pomimo późnego wieku ostre prowadził życie: sypiał na podłodze, pokrytéj słomą, poduszki używał z piasku, mało jadał, a nic prócz wody nie pijał. Zwyczajem ówczesnych zakonników zajmował się leczeniem, używając częściéj środków duchowych, niż ziółek i maści, z powodu czego budził niechęć w głównym doktorze lubarskim, Mönichu. Pragnął ksiądz Marek, aby ciało jego złożono w grobach karmelitów w Horodyszczach i życzeniom jego, wbrew staraniom konwentu berdyczowskiego, stało się zadość. Umarł w późnym wieku (2) pomiędzy rokiem 1801 a 1806, zczerniałe zwłoki zachowały się długo w całości. Lud okoliczny składał przy nich ofiarne świeczki i grosze, całował rękę zakonnika i odłamywał odrobiny spruchniałéj trumny (3).

* * *

Otoczenie, śród którego ksiądz Marek działał, znachodziło się w wysokim stopniu egzaltacyi religijnéj, wierzyło w opatrzną potęg nadprzyrodzonych opiekę i do wizyi zdradzało skłonność. Nie do-

(1) Dziennik Józefa Kopcia. Berlin 1863, str. 27.

(2) Podczas konfederacyi barskiéj miał według Rulhière'a (*l. c.* III, str. 14) lat 45.

(3) Przegląd poznański z r. 1856, t. XXII, str. 526.

puszczali sprzysiężeni do siebie lutrów, kalwinów i dyzunitów; ku obronie katolicyzmu pod pobożną stawali chorągwią z wyszytym na boku krzyżem, z hasłem: Jezus, Marya! Stary Pułaski sprawy wszystkie polecał „Bogu, opiece Maryi najświętszéj, królowéj polskiéj i świętych patronów, osobliwie św. Kazimierza, którego sobie wojsko za patrona i wodza obrało.“ Bujający nad konfederatami orzeł biały obwieszczał *auguria bona* i budził pociechę; dużo dawała do myślenia widziana od wszystkich na murach Berdyczowa „osoba białogłowy, ślicznie ustrojonéj. paskiem czarnym opasanéj“ (1). Na gruncie wierzeń w opatrzne wpływy świętych, w prognostyki i duchy cudotwórca-prorok wyrość mógł łatwo.

Do odegrania roli, przy odpowiednich warunkach otoczenia musiał karmelita posiadać i stosowne przymioty moralne. Cnotami towarzyskiemi, pobożnością i patryotyzmém mógłby jedynie zdobyć mniejsze lub większe uznanie; dla pozyskania opinii cudotwórcy musiał mieć jeszcze tę siłę, jaką wytwarza świadomość powołania i wiara w moc własną. Podobnie jak prorocy biblijni ksiądz Marek w posłannictwo swe wierzył i opinią, jaką zyskał w społeczeństwie, podzielał. Nie taił przecież stosunków swoich z obywatelami tamtego świata i niebieskie obwieszczał dekrety; plagom rozkazywał i do łaskawego obchodzenia się z ludźmi przymuszał je, pokrzykując w ordynansach: won, precz, na ustęp! Rzadko zapewnia skromnie, że „ile możności“ wstawiać się będzie za klientem do nieba; najczęściéj z całem przeświadczeniem o potędze swych wpływów obiecuje zdrowie i interesa przyjaciół utrzymywać przed Panem „potężnie.“ Gdy pisze: „niema dnia żebym nie pamiętał o was przed Bogiem...; o duszy matki waszéj nie turbujcie się, bo ta już stoi przed Bogiem i za was i za nas...; o obory swoje i woły skupione nie lękajcie się, Bóg zachowa — to mówię“, zdradza pewność siebie i wiarę w pomyślny skutek. Chociaż Kitowicz zapewnia, że „gdy z naturalnéj przyczyny zburzone powietrze piorunem wystrzelić miało, w tym punkcie mu ordynans swój do wystrzelenia dał i tym sposobem zaufanie swemu proroctwu zjednał“, — do posądzenia jednak księdza Marka o szalbierstwo nie ma zasady żadnéj. Przytoczony przez Kitowicza fakt współczesności pioruna z ordynansem jest bardzo prawdopodobny, nie ma jednak potrzeby wyszukiwania genezy jego i całéj działalności księdza Marka w kuglarstwie. Fakt owéj współczesności mógł się wydarzyć przypadkowo i spotęgować w zakonniku wiarę w zdolność czynienia cudów; źródłem jednak przeświadczenia o bezpośrednich stosunkach z niebem był ten stan psychiczny, który tylu w epo-

(1) Morawski *l. c.* str. 72, 149.

ce wiary wydał czarowników, wróżbitów i t. p. nieobłudnie działających maniaków.

Pomimo przeświadczenia o mocy swojéj, nie miał w sobie ksiądz Marek surowości proroków biblijnych i nie z samém przestawał niebem. Charakterystyczném jest, że osobom, które korzystały z jego protekcyi do Boga, „padał do nóg“, że był dla nich „najniższym sługą.“ Drobiazgami życiowemi własnemi i cudzemi zajmuje się z całym zapałem: równie go interesują woły pp. Wróblewskich, jak dźwiganie w Barze gmachów klasztornych lub półbeczek miodu, obiecany dla konwentu annopolskiego przez pana Sochę. Nieobcą mu była interesowność, lubo uprawiana z oględnością i delikatnością niezwykłą. Dla wydobycia obiecanego przez p. Sochę półbeczka miodu używa przyjaciół, przez których zapewnia, że modlić się będzie „o dobrą dolę dla tego pana“; przyrzeczone przez pp. Wróblewskich zboże przypomina za pośrednictwem synowca. W sposobie pisania zdradza temperament żywy: w szybkiem przerzucaniu się od jednéj materyi do drugiéj i w niedość wykończoném wyrażaniu myśli—niecierpliwość. Gdy przesyła p. Wróblewskiéj w prezencie garnuszki do mleka prawdziwe paryskie, w Barze robione, lub gdy w liście z Maniowiec wzywa bez wstrętu „stu dyabłów“ — ujawnia humor.

Ojcowie nasi, którzy u Pana Boga w niebiesiech dopatrzéć umieli cech własnych, taką tylko osobistość wynieść mogli w mniemaniu swojém na wyżyny cudotwórcy-proroka, która się odznaczała znamionami szlachcica. Ksiądz Marek posiadał właśnie zamaszystość szlachecką, którą tak trafnie pochwycił Rzewuski, łatwość towarzyską, bez której popularności u ojców nikt się nie dobił, imponującą wreszcie hojność, z jaką szafował swoimi wpływami. Z temperamentu, charakteru, wierzeń i patryotycznych zapałów ogniskował w sobie kiądz Marek znamiona i aspiracye ojców i dla tego przy odpowiednich warunkach powstał kult jego i cudowna o nim rozkwitła legenda.

Listy, błogosławieństwa i ordynanse księdza Marka. (1)

I.

Wielmozny Mosci Dobrodzieju.

W Podrosz Szczęsliwą, z dobytkiem Swoim, tak fortunie, jako y Osobie WWPana Dobrodzieja, Boskie zasyłam, y zasyłac nieprzestane, z Ołtarzowych Ofiar Błogo-

---

(1) NN. X, XVIII i XXVIII dostał Wojcicki od Szymona Konopackiego i ogłosił w *Cmentarzu Powązkowskim* (t. III, str. V i VI); N. XXIX jest przedrukiem z *Przeglądu*

sławienstwo y wszystkie dawnieysze, w podonychze podrużach ponawiam. Badz zdrow Panie moy. X. Marek mp.

Dt w Czepielowce. 19 Maj. 1777.

II.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

List Wielmoznych WacPanstwa Dobrodzieystwa zastał mie pod Kamieneem u JWielmoznych starostwa Olsztynskich. Bog widzi zem tak cięszko za trudniony iz czasu przysłania po mnie wyznaczyc nie mogę. Ale nim sam przybiegne do Was miłe Panstwo: to przed Bogiem potęznie: Zdrowie y interesa utrzymywac będe, przyrzekam. Badzcie mi zdrowi w Błogosławieństwie Boskim. X. Marek mp. (1).

Dt 23 Mar: 1779.

III.

Wielmozna Moscia Pani y Dobrodzieyko.

Interesa mi polecone, ile moznosci trzymac będę przed Bogiem: Sam w tych tygodniach nigdzie wyjechac niemogę, gdyz mi Xiądz wikary Marek młody umarł (Reszty brak).

IV.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Wina 4 butelki poswięciłem, piątą niepełną. Obraz Najsw. Maryi Panny z wszelkim Błogosławieństwem odsyłam. List Jego Mosci X. Kanonikowi oddałem. Podwody jeszcze nie nadeszły, być mogą dzis: Co doniosłszy, Boskie Wielmoznym Wacpaństwu Dobrodzieystwu zasyłam Błogosławieństwo y naynizszym piszę się sługą. Badzcie zdrowi. X. Marek mp.

X. Hulewicz wikary posyła Wielmozney Pani garnuszków do mleka pięc prawdziwych paryskich, nb. w Barze robionych.

14 Junii, 80, w Barze.

Do rąk Wielmoznych Państwa Dobrodzieystwa Wroblewskich w Czarniawce (2).

---

poznańskiego (z r. 1856, t. XXII, str. 526); N. XXX odpisaliśmy w zakładzie narod. im. Ossolińskich we Lwowie (autografów N. 2660); resztę w liczbie 25 podajemy z autografów, pochodzących od rodziny stolnika inowrocławskiego, Wróblewskiego, a udzielonych nam przez p. Andrzeja Świętochowskiego.

(1) U spodu inna skreśliła ręka: „Przewrócić proszę"; na drugiéj zaś stronie mieści się list następujący:

Ja przy wyznaniu powinnego Respektu WWPanstwu Dobrodzieystwu mam honor Ich mię szacowney polecić Łasce y tey przypomniec się z powodu tego ze dawno Stryi Moy Imci Xiądz Marek oswiadczał mi przysłanie zboza ruznego od WWPPDobr. ktorego teraz jak wielce w konwencie przy rozpoczęciu fabryki jestem potrzebny tak za odebraniem onego (a gdyby jeszcze bydz mogło y z omastą jakową) sam stryja mojego w Dom WWPPDobrodzieystwa zaraz po swiętach przywlezc swoiemi konmi obowiązuję się znając mię bydz z naynalezytszym Uszanowaniem. WWPaństwa Dobrodzieystwa Naygłębszym podnuzkiem X. Antt. Marek Karmelita.

Datt. z Baru d. 25 Martii 1779 Anno.

Adres (ręką starego Marka skreślony): Wielmozney Jey Mosci Pani A: Wroblewskiey Stolnikowej Dobrodzieyce w Czarniawce.

(2) Na kopercie pieczątka z czerwonego laku z literami: M i K.

V.

Wielmozne Państwo Dobrodzieystwo. moje.

Mocno przepraszam zem tak długo nie był u Was Dobrodzieystwo moje. a teraz z pod Krzemienca, musze jechać do Trębowli na Kapitułe naszą. lecz jak powrocę naypierwy do Was Panstwo moje pojadę po świętym Janie.

Interesa Wasze ile możności przed Bogiem, utrzymywałem, y teraz utrzymywac będę y Boskie zasyłam Błogosławienstwo.

Niech Was Bóg z Swiętemi swemi broni, strzeze, y zachowuje na zawsze.

Ludzi po waryowanych nietrzeba się lękac: wszak to nieprzechodząca choroba. ani zarazająca. tylko ześ Pani bojazliwa: to bydz zdaleka od nich. Wielmozney Jey Mosci Matuni Dobrodzieyce do nog upadam. Kochaney dziatwie Błogosławie. Przytym Wielmoznych WacPanstwa Dobrodzieystwa Nayniszczym zostaje sługą X: Marek mp.

Dt: 20 Maja 1781 z Białey Krynicy.

P. S. Imość Pani staroscina Salnicka umarła. w Białey Krynicy: samego tu, ile moznosci w alteracyach ratuje. y w tych dniach wyjadę do Trębowli. Umarła 10 Maja.

Wielmozney Jey Mosci Pani Wroblewskiey Stolnikowey Zytomirskiey Pani Dobrodzieyce w Czarniawce.

VI.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Przepraszam ze listu nie piszę, bom jeszcze nie w Barze, lecz w Łuce u Wielmoznych Panstwa Kurowskich. Kozaka z Baru dopiero jutro X. Hulewicz wyprawi do domu. ktory po drodze wszędzie był ze mno. aż do dzis.

Teraz do nog upadam: y Boskie Wielmoznym WacPańśtwu Dobrodzieystwu, Matuni Dobrodzieyce a Naymileyszey Dziatwie zasyłam. Badzcie zdrowi X. Marek mp.

Dt: 19 9bris 81 w Łuce.

VII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje,

List Panski zastał mnie u Wielmoznego Pana Dubrawskiego Sedziego Grodzkiego Zytomirskiego, u którego zostawuje mnie Oyciec Prowincyał dla interesu przyjęcia nowey fundacyi, od naszych dawniey zaniedbaney, w miasteczku Uszomirzu.

Interes Kozanki ku usmierzeniu, y ułatwieniu, mocno trzymac będę: Co to za macierz y corka w: cisnie się w Dom Wasz? tego nie zrozumiałem, ale Bóg przy ołtarzu zrozumi, y mam w Nim nadzieje. ze uchyli Was od kłopotu, zdrowie Wasze y naymileyszey dziatwy, ku uzdrawialnosci. Bogu policam, y policac nieprzestane.

Na kupno, y przedasz szczęśliwą, Boskie zasyłam Blogosławieństwo y straz Aniołow Swiętych upraszac będę.

Sam na Ukrainie wkrótce bydz nie mogę gdyz mnie Oycec Prowincyał zaprzogł w interesa lecz postaram się nie zadługo skonczyc. Co doniosłszy Wielmoznych Wac Panstwa Dobrodzieystwa Nayniszszym, y szczyrym a ustawicznym przed Bogiem piszę się, y zostaje sługą. X. Marek mp.

Dt. 31 10bra Ao-82 w Zubowszczyznie.

Wielmoznemu Jego Mosci Panu Wroblewskiemu Stolnikowi W: Panu y Dobrodziejowi w Czarniawce.

VIII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Sposobu niemam porządnie do Was napisac w dzien Zapustny ale koło interesow napasnych kochanego Michała zywo się przed Bogiem wezme, y o kondescensyi pamiętać będę 14 Marca. Częsci Waszey kupioney w Berezowce mocno Błogosławię. Zdrowie kochanego Pana, Jey Mosci. y naymileyszey dziatwy tak Warszawskiey, jako y w Domu będącey utrzymywac przyrzekam szczyrze. ja z Zubowszczyzny jade ku Wilskowi, a ztamtąt do Zytomirza pro 26 Mar: po dekret approbacyjny funduszu Uszomirskiego w Konsystorzu: Bądzcie, Bądzcie, Badzcie mi zdrowi. X. Marek mp.

Dt. 4-ta Mar:—83 w Zubowszczyznie.

Do rąk WW. PP. Wroblewskich Stolnikowstwa Dobrodzieystwa w Czarniawce Wielkiey.

IX.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Trafunkiem w Zwiachlu zastałem ludzi Kozanieckich, przez ktorych mam szczęscie upaść do nog Wielmoznych Wac Panstwa Dobrodzieystwa y doniesc o sobie, zimowałem na Podlisiu. Fundusz dawno dla nas uczyniony w Uszomirzu, y przez Naszych więcey dwunastu lat odstąpiony, tak ze tam z naszych ani zaizrzał, po smierci Xiędza tam zmarłego. Więc ja teraz dobyłem, y juz dekret approbacyjny w Konsystorzu Kijowskim odebrałem, sam tylko jeszcze tego funduszu, y Xięży doglądac czasami będę, Baru nie opusciwszy.

Teraz z Uszomirza jadę na Kapitułe do Horodyszcza, zabawie kilka czasow y w Zasławiu. potym muszę bydz w Barze y rozrzędzic klasztorem, dalszych obrotow swoich niewiem.

Wielmoznym WacPanstwu Dobrodzieystwu: Naymileyszcy dziatwie domowey: y Warszawskiey zdrowia, y uszczęsliwienia zyczę.

Czarniawce, Kozance, Bereżowce, z rosy Niebieskiey, y tłustosci ziemi, szczyrze Błogosławię: y co sie trafi handlow, do zbycia, y nabycia, z Ołtarzowych Ofiar Błogosławieństwo Boskie zasyłam.

Badzcie mi Naymileysze Panstwo zdrowi, weseli y szczęsliwi, kaze. X. Marek mp.

Dt w Zwiachlu na Świętą Troycę. Ao—83 (1).

X.

Wielmożne państwo, dobrodziejstwo moje najłaskawsze i szczególne!

Ręka Boska karząca nad zagranicznym Hersonem, was i waszych dóbr dostać (przez milosierdzie Bóstwa swego) nie zechce. Owszem obroni od powietrza ich. W Tetyowszczyźnie wiem dawniéj, że nieochronność ludzka przyniosła od tatarszczyzny w jeden tylko dom powietrze, ale ostrożność zamkowa zapobiegła temu, bo się to w rybnych i solnych kupcach stało. Na dobra wasze Kozankę i Berezówkę opatrzność świętą swoją Bóg wyleje, a wy zawsze badźcie mi uśmierzeni.

O obory swoje i woły skupione nie lękajcie się, Bóg zachowa; to mówię. Bez wielkiego zarobku na miejscu przedajcie i siana na miejscu dodajcie w pieniądzach do ruszenia się ich.

---

(1) Niewyraźna pieczątka herbowa z czerwonego laku. Adres (inną kreślony ręką): Wielmożnemu Imci Panu Wroblewskiemu Stolnikowi Inowroclawskiemu Panu y Dobrodziejowi w Czerniawce Wielkiey.

Donoszę też mój ucisk, że mi w Barze Xiądz Szymon Hulewicz umarł, ja teraz został jak mucha w ukropie, gdyż Annopol upadły ratować, Bar wspierać, Uszomirz dźwigać muszę; a najwięcéj mi chodzi, żebym nigdy przed Bogiem o was najmilsze państwo nie zapomniał.

Bądźcie mi zdrowi, szczęśliwi i ubłogosławieni z najmilszą dziatwą waszą i domem. Xiądz Marek przeor annopolski Definitor prowincyi etc, mp.

NB. Posyłam przeciwko powietrzu Ordynans do Czarniawki i blankiet do Kozanki, nie bójcie się.

Z Bochryna 6 Augusta 1783.

Wielmożnemu Jego Mości panu Wróblewskiemu Stolnikowi inowrocławskiemu panu dobrodziejowi w Czarniawce wielkiéj.

XI.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Ja muszę y musiałem tuteysze sąsięctwa Barskie objechać dla drew zimą na cegielnią. Kiedy zas będę w Werhorodyncach lub Fakowcach czasu niewiem koło Baru zas muszę jeszcze jakiey tydzien zabawic. Badzcie zdrowi. X: Marek mp.

2 do 10 bris. 1783.

XII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Zadnym sposobem niemogłem się teraz wypresic z Woronowicy ale w Poniedziałek odeszlo mie do Czarniawki a teraz do nog upadam y Boskie Wielmoznym Panstwu zasyłam na zawsze Błogosławieństwo. Badzcie mi zdrowi, y weseli. X. Marek mp.

Dt 21 Jan: — 84.

Przyrzekam ze ztąt nigdzie niedam się wziąc tylko do Czarniawki o odesłanie prosic będę.

XIII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Kopcami Czarniawki, głoweyki sobie nie zatrudniaycie, gdyz te ktoby chciał ruszyc, czterech scian kopce Dekretem Trybunalskim nakazane, musiałby rozrzucac a tak z wielkimi, y mocnymi ludzmi sprawę zacząc y wielkiey karze prawu, prawu podpaśc czego nie uczyni jak się rozumnych a prawnych ludzi poradzi, gdyz teraznieysze słuchi, z letkich, y z nieznających prawa szumią, y ucichną. Co donioszszy Boskie Wielmoznym Panstwu zasyłam Błogosławienstwo y wraz naymileyszey dziatwie Bądzcie zdrowi, szczęsliwi, y weseli X. Marek mp. (1).

Dt 3 tia 8 bris. — 85 w Werhorodyncach.

Wielmoznemu Jego Mosci Panu Wroblewskiemu Czesnikowi Kijowskiemu Panu, y Dobrodziejowi w Czarniawce Wielkiey.

---

(1) Na marginesie listu dopisek: „Wszelakosz ja przed Panem Bogiem ten interes, y inne ytrzymowac będę."

Na kartce, na której umieszczony adres, dopisek następujący:

N.B Pułbeczek miodu obiecany, od Wielmoznego Jego Mosci Pana Sochy do ktorego y list zostawiłem, wyprokurowac do siebie, y suplikuję za lepszą drogą przysłac do Werhorodyniec a ztąt ja odbierę do Annopola y modlic się będę o dobrą dolę dla tego Pana.

XIV.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Jako wszystkie interesa Wasze przed Bogiem trzymam, tak ile moznosci trzymac będę.

A naymileyszey Pannuni Waszey Corce, Boskie zasyłam Błogosławienstwo. Rozum Wasz, y przezornosc, wyda Ją: a Błogosławienstwo Boskie, ktore zasyłam niech będzie uszczęsliwieniem dla niey z Benedyktem, ktorego znacie, gdy zyczycie! Całym sercem Błogosławię Wielmoznym Wac Panstwu Dobrodzieystwu, dobrom, fortunie: dziatwie: Boskie zasyłam Błogosławienstwo.

Badzcie zdrowi y zawsze szczęsliwi. Wylizcie z biedy kaze: X. Marek mp.

Dt: 4 ta Mar: 1786.

Wielmoznemu Jego Mci Panu Wroblewskiemu Czesnikowi Kijowskiemu Panu Dobrodziejowi w Czarniawce Wielkiey.

XV.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Z naygłębszą submissyą adoruję godnosc Waszą za odesłanie P. Manualisty dziękuję, deklarowany łaski, jaka bydz moze, czekam obligacyą z całym Konwentem zabieram, interesom Waszym, Tekluninym, y wszystkiey, naymileyszey dziatwie y całemu domowi Boskie zasyłam Błogosławienstwa. Badzcie zdrowi, y we wstkim od Boga oszczęsliwieni zyczę X. Marek mp.

Dt: 5ta Mar: 1787. W Dłuzku pod Morachwą.

Wielmoznemu Jego Mosci Panu Wroblewskiemu Czesnikowi Kijowskiemu Panu, y Dobrodziejowi w Czarniawce Wielkiey.

XVI.

Wielmozna Moscia Dobrodzieyko.

Interessom Waszym ktore dobrze y ostroznie Wielmozny Mąz Twoy kieruje obecnie po Błogosławiłem. Wielmozney Pani Nowey konsolacyi a kochaney Cureczk winszuję, y Błogosławie. Wielmozney Jey Mosci Matce Waszey serdecznie dluszszego zycia zyczę, y zdrowia, y Nayniszszym piszę się sługo X: Marek mp.

XVII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Interes wsi Kozanki, bynaymniey Wielmoznych Panstwa nie moze ukrzywdzic, ani poddanstwa, ani inwentarza podanego Jego Mosci Panu possesorowi od Was danego: na ktorego chocby sto diabłow, a nie jeden kaduk wypadł: gdyz kto kaduka wzioł y do dobr zastawnych, lub arędownych wiechał, musi zaieznik, in termino wypłacenia summy, uczynic kalkulacyą, y pretensię, tak zniszczenia gospodarstwa jako, y poddanych zapłacic. Inne interessa w liscie wyrazone przyjmuje pod wszystkie Msze Swięte y Modlitwy.

Bądzcie zdrowi Wielmozne Panstwo y Dobrodzieystwo z Naymileyszą Matką y dziatwo. X. Marek.

Wielmozney Jey Mosci Pani Annie Wroblewskiey Stolnikowey Pani Dobrodzieyce w Czarniawce (1).

---

(1) Na kopercie dopisek ręki Marka: Dt 20 10bris w Maniowcach.

XVIII.

Wielmożne Panstwo i Dobrodziejstwo moje.

Niemam czasu listu pisać, ale najmilejszej matuni waszej, wam, Anusi, Stefusiowi, dzieciom i wszystkim w domu zostającym błogosławię. Bądźcie zdrowi. Xiądz Marek mp.

XIX.

Wielmozne Panstwo, a Nayosobliwsze Dobrodzieystwo moje.

Jako naypokorniey suplikuję wybaczyc mi, ze dotąt nie byłem w Czarniawce. ale coz? kiedy teraznieysze zakręty w naszey Prowincyi, utrzymują mnie. Lecz ja: obecny, lub nieobecny w Domu Waszym, zawsze za Wami, dziatwo, domem, y fortuną Waszą: stoje przed Bogiem. O naymileyszey duszy Matki Waszey nie turbujcie się: bo ta juz stoi przed Bogiem: za Was: y za nas. Badzcie zdrowi, y szczęsliwi, z dziatwą kochaną Waszą. X. Marek mp.

XX.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

Interes w Kozance, y Czarniawce, strazy oddałem Aniołow Swiętych, aby Bog wszechmogący, nie dopuscił zguby. Sam dzis jadę do Uszomirza, a po jutrze do Annopola, gdzie będziem mieli Definitoryum. dnia 4 tego Czerwca. Od Annopola nie oddalę się chyba gdzie o mile lnb dwie, więc zyczyłbym przysłac Kozaka, zebym z nim nieodstępnie, az do Was jechał. Wam naymilsze Panstwo, Dzieciom, Domowi, y interesom: Boskie zasyłam Błogosławienstwo. Badzcie zdrowi X: Marek mp.

Dt 23 Maja w Lisowszczyznie.

Wielmoznym Panstwu Wroblewskim Czesnikowstwu Kijowskim memu dobrodzieystwu w Czarniawce Wielkiey.

XXI.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo moje.

1 mo Sam się exkuzuję, zem był całe lato ciężskimi interesami tak Prowincyi jak y domowymi przycisniony zem nie mogł jechac do Czarniawki. Mieycie mie Wielmozne Panstwo za wy exkuzawonego.

2 do Interes J. W. Kasztelania, juz nieraz ku uspokojeniu Was Bogu oddawałem, nawet y ztąt zaczynał, zeby Jego Bog opatrywał: by y Was miał zkąt uspokoic.

3 tio Wołow skupowanie, niech się dopełnia. ale nie w zgon swoy, tylko szukac na mieyscu kupca.

4 to Naymileyszego Xawercia winszuję. Wam: y wszystkim dzieciom Błogosławienstwo Boskie zasyłam.

Wielmozny Jego Mosc Pan Gruszczynski az mi dziwno, ze na krew swoją, tak niecierpliwy, widząc, y wiedząc, swoje bespieczenstwo. Niech Go Bog oswieca y folg ku Wam doda.

Co wyraziwszy Wielmoznych WacPanstwa Dobrodzieystwa do nog upadam

X: Marek mp.

Donoszę koniki Wasze zdrowe, kozak dobrze odziany.

Teraz jadę w Zytomirski powiat, niedługo zabawię, a uspokoiwszy potrochu interesa do Czarniawki przyjadę y co będę mógł zabawię.

O Kozance: niema dnia zebym nie pamiętał przed Bogiem, będzie ona w domu Waszym wolna etc:

Dt. Wielmoznym Ich Mosc Panstwu Wroblewskim Stolnikowstwu Dobrodzieystwu w Czarniawce.

XXII.

Wielmozne Panstwo Czesnikowstwo Kijowscy Dobrodzieystwo moje.

Przy upadnieniu do stop Waszych donoszę iz poroznych mieyscach kozak. szukał mnie y podobno znowu wroci się do Annopola, y ten respons moy do Wielmoznych Panstwa zastanie, y odwiezie. Nie turbuycie się Naymileysze Panstwo. Wielmozny Panie Dobrodzieju, zdrowie Twoje, y gospodarowanie, albo urzędnictwa czyn: mocy Bozey oddałem y oddaję.

Podruzy Wielmozney Jey Mosci, do Warszawy, po naymileyszą dziatwę y powrotowi, z niemi zdrowymi, Błogosławię.

Badzcie mi zdrowi, weseli y zawsze szczęsliwi. X. Marek mp. (1).

Dt. 23 Jul. w Milatynie.

XXIII.

Wielmozne Panstwo Dobrodzieystwo.

Ja z Podlisa pewracając byłem u Waszey Familii do Wielmoznych zas Wac Panstwa Dobrodzieystwa w tych czasach jechac nie mogę gdyz w domu mam wiele do czynienia, y około fabryki staralność muszę czynic.

Boskie Wam zasyłam Błogosławienstwo. Badzcie zdrowi X. Marek mp.

XXIV.

Wielmozne Panstwo nayosobliwsze Dobrodzieystwo moje.

Z nayglębszą submissyą moją, dziękuję za wszystkie mi dobrodzieystwa swiatczone y dozgonną obligacyą przed Bogiem zabieram. przytym Boskie Wam: y naymiley dziatwie zasyłam, y zasyłac nie przestanę.

Badzcie zdrowi, szczęsliwi, y zawsze weseli. X Marek mp. (2).

Do Rąk Wielmoznych Ich Mosciow, Panstwa Wroblewskich Stolnikow stwa Inowrocławskich Dobrodzieystwa w Czarniawce Wielkiey.

XXV.

W Imię Jezus.

Pokoy Chrystusow, Miłosc Jego, zdrowie doskonałe, straz Aniołów Swiętych y Boskie Tobie Anno, Męzowi Stefanowi dzieciom Onufremu, y Tekli, w długoletnie zycie daję, y dawac nieprzestanę z Ołtarzowych Ofiar, Błogosławieństwo.

Badzcie zdrowi X. Marek mp.

Annie

XXVI.

W imię Jezus.

Pokoy Chrystusow, Miłosc Jego, zdrowie doskonale, straz Aniołow Swiętych, uszczęsliwienie potomstwa, Boskie Wam Stefanowi, y Annie, Handlom, Fortunie, Domowi, Domownikom, Rolom . . . . . (3) daję y dawac nieprzestanę z Ołtarzowych Ofiar Błogosławienstwo. X. Marek mp.

XXVII.

Anioleczku a naymileysza Dziecino Dobrodzieyko.

Juz na wsiadaniu w dalszą drogę zastał mie list WPani Dobrodzieyki, więc listownie Boskie WPani, Męzowi y dziatwie zasyłam Błogosławienstwo.

Bądzcie zdrowi X. Marek mp.

Będę ja u Was pod Krzemiencem ale nie zaraz.

---

(1) Na drugiéj, zniszczonéj kartce tegoż listu, pozostały urywki z dopisku: „Czarniawkę, Kozan .. mnie wiadomych... ustawicznie Bogu... kiedyś..." — (2) Na końcu listu dopisek inną ręką: „Ja z żoną moją y dziatwą przy zasłaniu winney attencyi naszey całuję stopy Pańskie. J. K. Grocholski." — (3) Wyraz zatarty.

XXVIII.

W imię Jezus.

Pokoj Chrystusów, miłość Jego, zdrowie doskonale, straż Aniołów Świętych i Boskie wam Tomaszowi i Bogumile, potomstwu, domowi, domownikom, polom, rolom, stajniom, oborom, gumnom, pasiekom etc. daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. Xiądz Marek mp.

Wszelkim zaś chorobom, defektom, boleściom, nudnościom, alteracyom, zarazom, powietrzom, upadkom, przypadkom, szkodom, szkodliwościom, nieprawościom etc etc krwią Jezusową surowy ordynans daję: won! precz! na ustęp każę i przymuszam! Xiądz Marek mp. (1).

XXIX.

W imię Jezus.

Pokój Chrystusów, Miłość Jego, zdrowie doskonale, straż Aniołów Świętych i Boskie wam, Tadeuszowi, Lukrecyi (2), najmilszej dziatwy, całemu domowi, dobrom, polom, pasiekom, stajniom, stadom, oborom etc daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. X. Marek mp.

XXX.

W imię Jezus.

Pokoj Chrystusów, miłość jego, zdrowie doskonałe, straz aniolów swiętych i Boskie Tobie Wojciechowi, Agnieszce, potomstwu. ... (3), domowi, domownikom, polom rolom, pasiekom, gumnom, stajniom, stadom, oborom etc etc daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. Wszelkim zaś chorobom, defektom, ciężkościom, zarazom, piorunom, gradom, powietrzom, upadkom, przypadkom, szkodom szkodliwościom, mgłościom, opressyom etc etc krwią Chrystusową surowy ordynans daję: won, precz, na ustęp każę i przymuszam. X. Marek mp.

---

(1) Błogosławieństwo to z ordynansem dane było Bogumile i Tomaszowi Peretiatkowiczom, wojskim krzemienieckim. — (2) Łowczemu bydgoskiemu Cieleckiemu i jego żonie. — (3) Wyraz nieczytelny.

Władysław Smoleński.





SPRAWY EKONOMICZNE.

Kredyt państwowy i emisye w r. z.—Stan cukrownictwa w Królestwie i na Rusi. — Podatek od koni i pojazdów. — Piwowarstwo i miodosytnictwo na ziemiach polskich.—Inspekcye fabryczne.—Udział w przemyśle małoletnich i kobiet. — Praca nocna na fabrykach.—Kredyt rolniczy.—Bank dworzański. Banki wiejskie. — Ukaz z dnia 8 stycznia r. z. — Pożyczki na zastaw zboża i frachtów kolejowych.— Prawodawstwo kolejowe. — Stowarzyszenia ekonomiczne. — Ruch założycielski w r. z. w Królestwie i na Rusi. — Ustawa menniczna. — Zakończenie.

Działalność prawodawcza w kierunku *kredytu państwowego* nie była ożywioną w roku zeszłym, nie dlatego żeby finanse państwowe były w tak świetnym stanie, iżby nie potrzebowały nadzwyczajnych emisyi, ale głównie z przyczyny trwałego obniżenia się waluty rosyjskiéj. Owszem spór o granicę afgańską, demonstracyjna polityka gabinetu angielskiego, oraz krwawe zapasy na półwyspie bałkańskim zmuszały skarb państwa do nadzwyczajnych wydatków, które niewątpliwie przyjdzie pokryć środkami nadzwyczajnemi. Jak wiadomo, dług skarbowy Bankowi państwa za bilety czasowo podczas kampanii wschodniéj emitowane spłacany jest rocznemi ratami po 50 mil. rubli. Otóż na pokrycie raty 1884 r. skarb państwa przekazał Bankowi w roku zeszłym 25 mil. w 5% rencie wieczystéj w walucie kredytowéj i 20 mil. rub. w 5% rencie metalicznéj. Co się tyczy raty 1885 r., to w d. 31 grudnia r. z. skarb przelał do Banku państwa 36 mil. rub. w 5% wieczystéj rencie złotéj, któréj realizacya winna dać sumę dostateczną na spłatę 50 mil. rubli kredytowych.

Wiadomo czytelnikom, że w każdym niemal kraju oprócz długu państwowego skonsolidowanego i nieskonsolidowanego istnieje jeszcze szczególna forma długu bieżącego (*dette flottante*), który właściwie jest długiem skarbu — niejako długiem z bieżącego budżetu

wypływającym. Wydatki państwa zwykle nierównolegle z wpływami skarbowemi następują, są epoki w których skarb musi więcéj wydawać niż ma w swoich kasach, zatém rodzi się potrzeba chwilowego zaliczenia na rachunek spodziewanych wpływów. Jest-to więc pożyczka niejako nie państwa, ale skarbu państwowego, czasowa, którą wyobrażają zwykle bony i bilety skarbowe—krótkoterminowe (*bons de trésor*, *sieryi*). W Rosyi ten rodzaj długu nazywa się „biletami skarbu państwa“, albo po prostu seryami, mającemi ośmioletni obieg i przynoszącemi 4,32% dochodu rocznie. Biletów tych znajduje się w obiegu 72 serye po 3 mil. rub każda, czyli na sumę 216 mil. rub. Jest-to papier ulubiony w Cesarstwie i nadzwyczaj rozpowszechniony, zwłaszcza pomiędzy kupcami rosyjskimi, gdyż on w zupełności a nierównie korzystniéj zastępuje lokacyą gotowizny w instytucyach kredytowych. Z téj-to przyczyny, oraz z powodu uprzywilejowania seryi, gdyż przy opłacie podatków przyjmowane są przez kasy skarbowe po cenie nominalnéj, uważamy, że odsetki 4,32% płacone od seryi są zbyt wysokie i bezwarunkowo winny być obniżone przynajmniéj do 3,60%, czyli do jednéj kopiejki dziennéj, a otrzymaną stąd oszczędnością 72 kop., czyli ogółem 1,555,200 rubli rocznie możnaby i same serye w ciągu 50 lat umorzyć.

W roku zeszłym emitowano serye i w nowéj formie. I tak ukazem z dnia 15-go stycznia r. z. wypuszczono dwie serye (CCLXXXV i CCLXXXVI) na sumę 6 mil. rub. z terminem czteroletnim w biletach 100-rublowych bez kuponów, z odsetkami składanemi w stosunku 4,32% płatnemi w chwili umorzenia seryi, t. j. po upływie czterech lat. W d. 15 czerwca r. z. emitowano cztery dalsze serye na 12 mil. rubli, mianowicie seryę CCLXXXVII w biletach po 100 rubli bez kuponów, serye CCLXXXVIII i CCLXXXIX po 100 rubli z kuponami i seryą CCLXC w dawnéj formie, to jest w biletach 50 rubli z kuponami,— razem więc w roku zeszłym emitowano sześć seryi na sumę 18 mil. rubli.

Serye jednak odnośnie do skarbu państwa utraciły już cechę długu bieżącego krótkoterminowego, a w rzeczywistości zamieniły się w dług stały i za taki zresztą uważa go ministeryum skarbu, które od kilku lat wprowadziło nową formę długu bieżącego. Są to *krótkoterminowe zobowiązania* (kratkosrocznyja obiazatielstwa) *skarbu państwa*, emitowane zwykle z terminem półrocznym i przynoszące dochód w stosunku 4% rocznie. W roku zeszłym wypuszczono dwie serye (razrjada) XIII i XIV po 25 mil. rub. każda, w obligacyach po 500, 1000 i 5000 rubli, umarzalnych po upływie sześciu miesięcy.

Na mocy § 10 ustawy Banku włościańskiego ziemskiego, minister skarbu mocen jest „zezwalać na emisyą“ 5½% świadectw Banku

włościańskiego ziem. na sumę 5 mil. rubli" rocznie, ponieważ jednak w roku zeszłym operacye téj instytucyi silnie się rozwinęły, więc rada państwa w d. 1 czerwca r. z. zezwoliła na dodatkową emisyą tych świadectw w sumie 10 mil. rubli. Papier ten oparty na ziemi kupionéj przez włościan z gwarancyą państwa, emitowany jest w sztukach po 100, 500 i 1000 rubli umarzalnych w ciągu $24\frac{1}{2}$ i $34\frac{1}{2}$ lat, przedstawia zatém lokacyą pewną i korzystną, kurs bowiem tych świadectw obecnie wynosi $102^{5}/_{8}$ rubli.

Z powyższego widzimy, że działalność skarbu państwa w roku zeszłym w kierunku emisyjnym była nader ograniczoną, lecz powtarzamy, ta skromność pochodziła głównie z powodu trwałego upadku kursu waluty rosyjskiéj. A że on nie był pocieszającym ani dla państwa, ani téż dla świata przemysłowo-handlowego, przekonywa następująca tabela. I tak płacono na giełdzie warszawskiéj w roku zeszłym:

Rok 1885	za 100 marek (30 rub.)	za 1 funt sterling. (6,30 r.)	za 100 franków (25 rub.)	za 100 florenów (60 rub.)	za korzec pszenicy	za korzec żyta
	rubli i kopiejek					
w dniu 2 stycznia. . . .	47.22½	9.55	38.20	78.35	—	4.87½
„ 3 lutego	46.50	9.45	37.67½	77.15	6.75	5.20
„ 2 marca	46.80	9.52	37.90	77.25	6.60	4.95
„ 2 kwietnia . . .	48.92½	9.76	38.75	79 -	—	5.10
„ 1 maja.	51.50	10.45	41.65	83.—	7.50	5 35
„ 1 czerwca . . .	48.45	9.85	39.25	79.50	7.25	5 05
„ 1 lipca	49.25	9.97	39.85	80.65	7.50	5.10
„ 1 sierpnia . : .	49.82½	10.11	40.30	81.68	8.50	5.25
„ 1 września . . .	49.30	10.01	39 90	80.90	6.60	5.05
„ 1 października . .	50.45	10.23	40.70	81.55	6.60	5.—
„ 2 listopada . . .	49.95	10.13	40.32½	81.35	6.50	4.50
„ 2 grudnia. . . .	50.22	10.15	40.60	81.10	—	4.20
„ 31 grudnia	50.25	10.14	40.60	81.30	6.22½	—

W tymże samym czasie kurs główniejszych papierów polskich na giełdzie warszawskiéj był następujący:

Rok 1885	LISTY ZASTAWNE ziemskie I ser.	ziemskie V ser.	warszawsk. I ser.	warszawsk. IV ser.	miasta Łodzi I ser.	Listy likwidacyjne	Obligi kanalizacyjne
	rubli i kopiejek						
w dniu 2 stycznia . . .	97.50	—	94.60	91.85	85.—	87.50	91.—
„ 3 lutego . . .	100.—	95.90	95.50	92.60	87.75	88 50	91.—
„ 2 marca . . .	100.—	96.75	95.50	93.30	88.25	87.25	92.15
„ 2 kwietnia. . .	99.65	96.75	95.50	93 65	87.50	89.—	92.15
„ 1 maja . . .	100.—	96.25	95.25	93.30	89.—	89.—	91.75
„ 1 czerwca . . .	99.85	96.35	95.50	93.30	89.—	89.40	92.—
„ 1 lipca	98.50	95.60	95.30	92.—	89.—	89.70	—
„ 1 sierpnia . . .	98.35	94.30	95.50	92.—	88.75	89.50	—
„ 1 września . .	98.25	94.15	95.50	92.45	89.—	—	—
„ 1 października .	97.75	93.70	95 25	92.—	89.—	89.40	90.70
„ 2 listopada . .	97.15	93.75	95.25	91.70	89.—	89.40	—
„ 2 grudnia . . .	97.60	93.60	95.—	91.50	89.75	89.30	89.75
„ 31 grudnia . . .	97.90	94.10	95.—	92 —	90.—	89 25	89.75

Nic nie zwiastuje, aby i w roku bieżącym kursa waluty rosyjskiéj znacznie się poprawiły, owszem, spodziewane emisye tak na rzecz skarbu państwa jak i gwarantowane przez rząd (listy zast. banku dworzańskiego i t. p.) mogą nie być bez wpływu na wartość rubla, tém więcéj, że budżet państwowy na r. b. wykazuje stosunkowo znaczny deficyt.

Jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu ściśle z rolnictwem związanych jest *cukrownictwo*, istniejące w 24 guberniach Cesarstwa i Królestwa Polskiego. W kampanii 1884/5 r. było czynnych 246 cukrowni i rafineryi, z których 209 systemu dyfuzyjnego i 37 prasowych, przerabiających buraki z 297,756 dziesięcin zebrane w ilości 32,636,403 berkowców, przy średnim urodzaju 109 berkowców z dziesięciny. Z téj ilości wyprodukowano:

rafinady	3,966,507	pudów
mączki cukrowéj białéj . .	18,037,863	„
cukru żółtego	160,038	„
patoki	17,513	„
razem .	22,181,921	pudów.

Oto są ogólne dane o stanie cukrownictwa, — z nich przypada:

I. Na Królestwo Polskie.

	cukr. i rafiner.		pod burakami dziesięcin		zebrano buraków 10-pudowych berkowców	Średnio z dziesięciny berkowców
	prass.	dyfuz.	przy fabryk.	u plantatorów		
w gub. warszawskiéj. . .	—	19	497	26,348	2,791,750	104
„ kaliskiéj	—	5	169	5,188	538,000	100
„ płockiéj	—	3	—	3,555	421.825	119
„ lubelskiej	1	4	28	2,826	344,550	121
„ radomskiéj . . .	—	3	63	2,595	268,000	101
„ kieleckiéj	—	2	30	1,880	194,250	102
„ łomżyńskiéj . . .	—	2	135	653	162,165	205
„ piotrkowskiéj . .	—	2	11	2,366	147,000	62
„ siedleckiéj . . .	—	1	4	1,510	135,000	90
razem .	1	41	934	46,921	5,002.540	104

II. Na Ruś.

	prass.	dyfuz.	przy fabryk.	u plantatorów	zebrano buraków	Średnio
w gub. kijowskiéj. . . .	3	64	38,811	48,017	10,504.127	121
„ podolskiéj. . . .	1	50	22,763	40,109	7,000,000	111
„ wołyńskiéj . . .	—	11	7,351	7,465	1,514,254	102
razem .	4	125	68,925	95,591	19,018,381	115

zatém w Królestwie Polskiém było czynnych cukrowni w kampanii 1884/5 r. 17%, na Rusi 52%, czyli razem 69% ogólnéj ilości cukrowni i rafineryi w państwie. Co się tyczy wytwórczości, to w tymże czasie wyprodukowano i zważono (przez organa akcyzne):

	w Król. Polsk.	na Rusi	razem
rafinady	2,358,074 pud.	1,505,262 pud.	3,863.336 pud.
mączki cukrowéj.	1,479.291 „	11,819,035 „	13,298,326 „
cukru żółtego . .	95.168 „	62,517 „	157,685 „
patoki.	583 „	16,742 „	17,325 „
ogółem .	3,933,116 pud.	13,403,556 pud.	17,336,672 pud.

czyli rafinady w Królestwie Polskiém wyprodukowano 60%, a na Rusi 37%, oraz mączki cukrowéj w kongresówce 8%, a na Rusi 65% ogólnéj wytwórczości w państwie. Dane powyższe wskazują, że cukrownictwo zajmuje istotnie wydatne miejsce w przemyśle, a jako ściśle związane z rolnictwem zasługuje też i na szczególniejszą opiekę. I tę opiekę cukrownictwo rzeczywiście posiada, będąc prawdziwym benjaminkiem obecnego zarządu ministeryum skarbu; szczególniéj rok zeszły był obfitym w środki prawodawcze zmierzające do utrzymania w stanie kwitnącym téj gałęzi przemysłu. Przesilenie cukrowe spowodowało kilka przyczyn, pomiędzy któremi spekulacya na zwyżkę

cen zajmuje wybitne miejsce. Spekulacya podniosła cenę mączki do 7½ rub. za pud, a polityka celna gorliwie wspierała w tym razie grę cukrową, bo obłożenie cłem w wysokości 2 rub. 20 kop. zł. od puda równa się wprost zakazowi przywozu rafinady z zagranicy. W takich okolicznościach cukrownie dawały olbrzymie dywidendy, które z kolei sprowadziły nadprodukcyą tém znaczniejszą, że w 1884 roku zebrano buraków o 7,640,912 berkowców więcéj niż w peryodzie poprzednim. Ceny w porównaniu z epoką gorączki cukrowéj spadły niemal o połowę i dla akcyonaryuszy po latach tłustych nastąpiły chude. Lecz przemysłowcy i akcyonaryusze przywykli otrzymywać po 15, 20, 30%, a nawet często i daleko więcéj od włożonych kapitałów, dziś dywidendę w ilości np. 5% uważali za ironię losu, podjęli alarm i zabiegi o pomoc państwową, zapomniawszy o niedawno pobranych olbrzymich dywidendach, które nietylko dały odpowiedni dochód, ale i nieraz w całości spłaciły włożone kapitały. Ministeryum skarbu uwzględniło starania cukrowników, my przeciwko temu nicbyśmy mieć nie mogli, gdyby i inne gałęzie przemysłu, a głównie rolnictwo równą cieszyły się opieką; lecz niektóre fakta przeczą o równomierném rozdziale „faworów państwowych“ jak powiada pan Waldeck-Rousseau.

W celu ułatwienia wywozu cukru za granicę, decyzyą komitetu ministrów z d. 24 lipca r. z. postanowiono: *a*) oprócz dotychczasowego zwrotu akcyzy (w ilości 65 kop. od puda) wydawać wywozowcowi *premię* po rublu od puda cukru wywiezionego za granicę do d. 13 stycznia r. b., a na rynki azyatyckie do d. 13 lipca r. b.; *b*) suma premii będzie zwrócona przez *fabrykantów* przy opłacie akcyzy, sposobem stosunkowego rozdziału do ogólnéj ilości cukru wyprodukowanego w kampanii 1885/6 i 1886/7 r.; *c*) rafinada winna zawierać przynajmniéj 99,5% cukru; *d*) ogólna suma premii ogranicza się do 2 mil. rubli.

Przywileje powyższe nader korzystnie wpłynęły na zwiększenie wywozu cukru za granicę, a że mimo to ceny się nie podniosły, więc komitet ministrów w dalszym ciągu d. 21-go listopada r. z. postanowił premią w wysokości rubla wydawać tylko od cukru wywiezionego do dnia 13 listopada r. z., od téj zaś daty po 13 maja 1886 r. premią obliczać po 80 kop. od puda, bez ograniczenia ilości wywozu, lecz z warunkiem rozłożenia téj premii na cukier wyprodukowany w ciągu czterech kampanii, począwszy od 1885/6 r. Nareszcie d. 23 grudnia r. z. kantory i oddziały Banku państwa upoważnione zostały do udzielania pożyczek na zastaw cukru w wysokości 60% taksy i maximum po 2½ rubla od puda mączki, a 3½ rub. od puda rafinady, oraz minimum pożyczki w ilości 5,000 rubli.

Wypłata premii nie jest nowością w Rosyi, jeszcze w 1876 roku dozwolono zwracać akcyzę od cukru wywożonego za granicę. Nazywało się to wtedy tylko zwrotem akcyzy, lecz ponieważ zwracano ją w ilości 80 kop. od puda, a akcyza w rzeczywistości wynosiła tylko 20—25 kop., to reszta była właściwie premią. W innych państwach, również w celu poparcia téj gałęzi przemysłu skarb wydaje premią, np. w Austro-Węgrzech po 19 kop., w Niemczech 30 kop. od mączki i 40 kop. od puda rafinady, a w Belgii 49 kop. od puda — i to premią bezzwrotną; to też powtarzamy, że i my nie mielibyśmy nic przeciw tak szczodréj zachęcie ze strony państwa, gdybyśmy widzieli, że i inne gałęzie, a głównie rolnictwo równą się cieszy opieką. Wspieranie bowiem jednéj tylko gałęzi przemysłu może łatwo sprowadzić przeniesienie kapitałów z przedsięwzięć mniéj zyskownych, a więcéj koniecznych (np. rolnictwa) i spowodować przesilenie tego właśnie działu pracy ekonomicznéj, którym tak troskliwie ministeryum skarbu się zaopiekowało.

W rzędzie podatków ustanowionych dla specyalnych miejscowości zaznaczamy:

1) Rada państwa d. 26 maja r. z. dozwoliła zarządowi *m. Żytomierza* pobierać na korzyść miasta od każdego konia po 5 rubli i od pojazdu po 6 rubli rocznie.

2) Taż władza d. 9 czerwca r. z. zezwoliła zarządowi *m. Kowna* pobierać na rzecz kasy miejskiéj podatek od konia po 5 rubli i od pojazdu po cztery ruble rocznie.

Podatki tego rodzaju istnieją już w wielu miastach Cesarstwa i często stanowią znaczną pozycyą dochodów miejskich, pożądaném byłoby aby i nasze miasta wyjednały zezwolenie pobierania opłaty od koni i pojazdów, w zasadzie sprawiedliwéj, chociażby w celu poprawy a może i samego zabrukowania ulic.

Działalność prawodawcza w roku zeszłym dotknęła i ważną gałęź przemysłu — *piwowarstwo*, zanim jednak ją przedstawimy, choć w kilku słowach poznajomimy czytelników z obecnym stanem piwowarstwa u nas, oraz z *miodosytnictwem*, jak objaśnimy poniżéj, już tylko z tradycyi zachowującém to miano, dziś nieodpowiednie. Nadmieniamy przytém, że wszelkie dane liczbowe przytaczane gdziekolwiek w obecnéj naszéj pracy są czerpane z najnowszych źródeł urzędowych, albo téż dopełniane własnemi obliczeniami, lecz i w tym razie na ścisłéj podstawie danych urzędowych.

Jeżeli o stanie piwowarstwa sądzić z liczby czynnych browarów, to gałęź ta przedstawiałaby się w upadku, gdyż ogólna liczba browarów wynosząca w 1876 roku 2145, zmniejszyła się w 1884 r. do

1592, czyli o 26%. Wprawdzie w ostatnich latach zmalała i ogólna wytwórczość browarów, lecz fakt ten jest chwilowém i naturalném następstwem zastoju w przemyśle i handlu, zmniejszenia zarobków przez ludność fabryczną i miejską, która jest głównym spożywcą piwa. Zmniejszenie liczby browarów także nie może być oznaką upadku piwowarstwa, ale winno być uważane jako skutek zamknięcia małych browarów wiejskich wywarzających piwo niższych gatunków, i z przyczyn technicznych, nie mogących wytrzymać współzawodnictwa z potężnemi przemysłowo-handlowemi zakładami, jakiemi są np. browary warszawskie. Piwowarstwo kwitnie przedewszystkiém w prowincyach polskich, guberniach nadbałtyckich, oraz wielkich miastach Cesarstwa, zwłaszcza w tych, gdzie w większéj liczbie przebywają cudzoziemcy. Rosyanin pije piwo nader rzadko, bo ulubionym narodowym dla niego napojem jest „oczyszczennaja“ i wogóle „chliebnoje wino“, które przenosi nad wszelkie inne krajowe i „niemieckie“ (1) trunki. Z ogólnéj liczby czynnych w 1884 r. 1592 browarów i 596 miodosytni, od których pobrano akcyzy i patentowego 5,224,642 ruble, przypada:

I. **Na Królestwo Polskie.**

	browarów	miodosytni	pobrano akcyzy i patentow. z piwa	z miodu
w gub. warszawskiéj . . .	51	13	554,994	979
„ piotrkowskiéj . .	49	16	154,184	523
„ lubelskiéj	42	10	94,942	258
„ radomskiéj . . .	29	4	71,680	150
„ płockiéj	25	5	62,936	111
„ siedleckiéj . . .	57	5	54,938	146
„ łomżyńskiéj . . .	32	11	47,948	227
„ kaliskiéj	21	19	44,583	370
„ suwalskiéj . . .	41	4	35,112	76
„ kieleckiéj	18	4	34,247	236
razem .	372	91	1,155,564	3,076

II. **Na Litwę i Ruś.**

	browarów	miodosytni	z piwa	z miodu
w gub. wileńskiéj	61	5	162,217	161
„ kowieńskiéj . . .	99	10	136,112	237
„ grodzieńskiéj . . .	80	25	130,815	1,224
„ witebskiéj	31	1	81,466	10
„ mińskiéj	52	7	37,188	263
„ mohylewskiéj . .	17	—	25,479	—
„ kijowskiéj	26	23	91,410	1,343
„ wołyńskiéj . . .	65	8	66,912	651
„ podolskiéj	23	7	31,111	225
razem .	454	86	762,710	4,114

(1) Objaśniamy czytelnikom, że „Korennoj rassijskij człowiek“ każdego cudzoziemca nazywa „niemcem“, bez względu czy on istotnie niemiec, francuz, włoch, anglik, grek i t. p.

Co się tyczy wytwórczości browarów, to niema ścisłych danych urzędowych, gdyż akcyza pobieraną jest nie od ilości piwa, ale od objętości kadzi zacierowych i liczby samych zacierów, ponieważ jednak na mocy dawniejszych obliczeń urzędowych wiadomo, że wiadro piwa obciążone jest średnio akcyzą po 16,7 kop. więc przypuszczalna wytwórczość browarów wynosiła w 1884 r.

w Królestwie Polskim	6,804,901	wiader czyli	0,92	w. na mieszkańca
na Litwie i Rusi . . .	4,481,353	„	0,30	„

Co do miodosytni, to wytwórczość ich nader małoznaczna. Ta gałąź przemysłu niegdyś w Polsce w tak kwitnącym stanie będąca, dziś jest w zupełnym upadku, raz z powodu wycieśniania przez tańszy trunek piwo, a może głównie dlatego, o czém czytelnicy zapewne nie wiedzą, że podług sprawozdań zarządów akcyznych dzisiejszy „*miód*“ wyrabiają miodosytnie *prawie wyłącznie z cukru*, *patoki* z przymieszką materyałów pachnących, a ów miodek tak skrzętnie zbierany przez pszczółki jest zwykle *mytem*, a nader rzadko materyałem używanym do fabrykacyi trunku naszych ojców. Owszem podług relacyi zarządu akcyzy, właściciele miodosytni twierdzą, że nawet napój sycony z miodu jest szkodliwym dla zdrowia.

W 1883 roku pod prezydencyą p. Jermołowa, dyrektora departamentu dochodów niestałych obradowała komisya z przedstawicieli akcyzy i rzeczoznawców w celu częściowéj zmiany przepisów o piwowarstwie, a głównie wynalezienia racyonalnych sposobów zwiększenia dochodu skarbowego z téj gałęzi przemysłu. Rezultatem badań było postanowienie Rady państwa z d. 27 stycznia r. z. aby 1°) objętość kadzi zacierowéj w browarach w miastach wynosiła minimum 100 wiader, a w innych miejscowościach przynajmniéj 35 wiader; 2°) piwo i porter były wywarzane tylko z materyałów zbożowych, drożdży i chmielu; 3°) aby fabrykant zawiadamiał nadzór akcyzy, o czasie rozpoczęcia i ukończenia główniejszych robót w browarze; 4°) w browarach, zacierających najwyżéj dwa razy dziennie, roboty winny się rozpoczynać najwcześniéj o 5 rano i kończyć najpóźniéj o 9 wieczorem; 5°) w każdym browarze winien się znajdować odpowiedzialny piwowar; 6°) w czasie zaprzestania robót w browarze, lub miodosytni, wszelkie aparaty i naczynia winny być opieczętowane; 7°) akcyza od piwa wywożonego zagranicę będzie zwracaną w stosunku istotnego obłożenia każdego wiadra; 8°) przedającym piwo wzbrania się dolewać wody lub innych materyałów, choćby zdrowiu nieszkodliwych, jak również mieszać piwo z rozmaitych browarów; 9°) składy piwa i miodu mogą być otwierane oddzielnie od innych handli trunków; 10°) piwowarom dozwala się przedawać piwo bez oddzielnego patentu z wozów i łódek, w ilości najmniéj

trzech wiader lub 60 butelek, jak również odstawiać do domów zamówione piwo; 11°) w jadłodajniach i handlach trunków dozwala się przedawać piwo dla konsumcyi na miejscu tylko w takich naczyniach, na których kreską (czertoju) oznaczona będzie objętość cząstki wiadra; 12°) za naruszenie przepisów akcyznych piwowar podlega karom przewidzianym dla gorzelnictwa; 13°) patentowe z browarów pobierane będzie w Warszawie w ilości 150 rubli z doliczeniem po $1\frac{1}{2}$ r. za każde wiadro objętości kadzi zacierowéj po nad 100 wiader,—w innych zaś miejscowościach po 50 rubli, jeżeli kadź ma objętość 100 wiader, i 20 rubli przy objętości 35 wiader, z doliczeniem w obu razach po 50 kop. za każde wiadro wyżéj normy.

Przepisy powyższe mają głównie na celu zwiększenie akcyzy od piwa, lubo jednocześnie znacznie ułatwiając zbyt, nie pozostaną bezwarunkowo bez wpływu na zwiększenie produkcyi. Żałować tylko należy, że piwowarstwo nader szybko traci charakter przemysłu gospodarczo-wiejskiego, stając się coraz wybitniéj przemysłem handlowo-miejskim. Również byłoby pożądaném powstrzymanie upadku browarów wiejskich wytwarzających piwo tak zwane zwyczajne, tanie i dostępne dla włościan i w ogóle ludności niezamożnéj, gdyż większe rozpowszechnienie piwa bezwątpienia wpłynęłoby na zmniejszenie użycia alkoholu.

Do końca XVIII wieku *małoletni i kobiety* mały miały udział w przemyśle fabrycznym. Dopiero wynalezienie machin ułatwiających pracę fizyczną spowodowało większy udział nie tylko kobiet dostatecznie rozwiniętych, ale i niedorostków, zwłaszcza na fabrykach przerabiających materyały włókniste. Fabrykanci posiłkowali się chętnie tym elementem jako znacznie tańszym, doszło do tego, że na wielu fabrykach zajmowano pracą dzieci ośmio, a nawet i sześcioletnie i to nietylko we dnie, ale i w nocy. Rzecz naturalna, nieszczęśliwe ofiary nie mogły się dostatecznie rozwinąć fizycznie a o wykształceniu umysłowém w tym stanie rzeczy, mowy być nie mogło. Bezustannie wzrastał stosunek nieletnich na fabrykach jako następstwo chciwości pracodawców, bynajmniéj nietroszczących się o los tych niewolników XIX wieku. Młode dziewczęta niedostatecznie rozwinięte, pracując razem z mężczyznami łatwo przywykały do sposobu życia nieodpowiedniego ich płci i wiekowi. Pijaństwo, nierząd i syfilis pomiędzy małoletniemi na wielu fabrykach stały się objawem chronicznym. Taki stan rzeczy musiał nareszcie zwrócić uwagę właściwych organów, zniewalając prawodawstwo do przedsięwzięcia odpowiednich środków.

W Anglii, téj klasycznéj ziemi przemysłu fabrycznego, najpierw zwrócono uwagę na pracę kobiet i niedorostków. Już w 1802 r. pra-

wo ograniczyło pracę małoletnich na fabrykach przerabiających wełnę i bawełnę; następnie uregulowano udział nieletnich i kobiet w innych gałęziach przemysłu. Inne państwa poszły za przykładem Wielkiéj Brytanii, lubo znacznie późniéj. W Rosyi jeszcze w 1859 r. utworzono przy ministerium skarbu komisyą dla przejrzenia ustawy fabrycznéj i rzemieślniczéj, która po pięciu latach ukończyła pracę, wydając pięciotomowe dzieło p. t. „Trudy komisyi uczreždiennoj dla pieresmotra ustawow fabrycznago i remieslennago, 1864.“ Studya te zawierają wiele ciekawych danych, nie przyniosły jednak żadnego rezultatu, boć komisye powstają najczęściéj pod wpływem chwili. Okoliczności lub nowe prądy zmuszają często organa państwowe do przedsięwzięcia reform, ale reformy zwłaszcza w sferze ekonomicznéj muszą być poprzedzone gruntowném przestudyowaniem zjawisk powodujących potrzebę ulepszeń. Organa państwowe zwykle zaskoczone okolicznościami okazują się nie dosyć kompetentnemi, tworzą się zatém specyalne komisye z wysokiém uposażeniem i całym sztabem kancelaryjnym. Studya trwają lata, a często i dziesiątki lat, okoliczności się zmieniają, chwilowa gorączka słabnie i w rezultacie komisye, wygotowawszy grube folianty studyów w danéj materyi, przechodzą w stan spoczynku, a zebrane cenne nieraz materyały i projekta składają się do akt, w oczekiwaniu „lepszych czasów.“ Taki jest los większości komisyi, a w téj liczbie i komisyi wyżéj zacytowanéj, z tą jednak różnicą, że prace jéj przez wydrukowanie ujrzały światło dzienne.

Dopiero 13 czerwca 1882 r. prawo uregulowało pracę małoletnich na fabrykach przez 1⁰) niedozwolenie udziału w pracy na fabrykach dzieci, nie mających 12 lat, 2⁰) ograniczenie pracy do 8 godzin dziennie małoletnich od 12—15 lat, 3⁰) wzbronienie dzieciom nie mającym lat 15 zajmowania się na fabrykach w porze nocnéj, to jest pomiędzy godziną 9 wieczorem i 5 rano. Ze względu na wielką liczbę małoletnich pracujących na fabrykach prawodawca dozwolił do d. 13 maja 1886 r. pracować dzieciom od 10—12 lat, ale tylko we dnie i nieletnim od 12—15 lat i w nocy, lecz w obu razach tylko tym, którzy w chwili wydania prawa zajęci byli na fabrykach. W rozwinięciu powyższych przepisów minister skarbu wydał w d. 6 maja 1884 r. rozporządzenie wyjaśniające prawo o małoletnich. Pan minister objaśnił, że po dzień 13 maja r. b. małoletni od 10—12 lat mogą być zajęci we dnie na przędzalniach i tkalniach, hutach szklannych, fabrykach luster, tapet, papierniach, oraz fabrykach tabacznych, z wyłączeniem tych wszystkich robót, spełnianie których bezwarunkowo jest wzbronione małoletnim do lat 15. Daléj rozporządzenie dozwala podrostkom od 12—15 lat pracować w nocy niedłu-

żéj czterech godzin na przędzalniach, tkalniach i hutach szklannych. Nakoniec przepisy wzbraniają małoletnim do lat 15 pracować w 36 gałęziach przemysłu całkowicie, lub też w niektórych poszczególnych robotach jak np. w blicharniach, trzepalniach, czesalniach, fabrykach przerabiających szmaty i odpadki włókniste, w garbarniach, fabrykach mączki kostnéj, wojłoku, farb cynkowych, ołowianych, w piekarniach, drukarniach w nocy itp.

W dalszym ciągu Rada państwa 17 czerwca 1884 r. wydała postanowienie o karach za naruszenie przepisów o pracy małoletnich, na mocy którego 1° właściciele lub zarządzający fabrykami rękodzielniami i warsztatami rzemieślniczemi podlegają karze aresztu na przeciąg czasu najwyżéj miesięczny, lub pieniężnéj do 100 rubli, 2° też same osoby karane będą grzywnami do 100 rubli za niedanie małoletnim możności uczęszczania do szkół ludowych jednoklasowych, 3° jeżeli zawiadujący fabryką, rękodzielnią lub warsztatem rzemieślniczym dowiedzie, że naruszenie przepisów nastąpiło bez jego wiedzy przez inną osobę, to powyższym karom podlegnie ta osoba.

Prawodawstwo fabryczne zagroziwszy karami za naruszenie przepisów, określiło zarazem sposób nauczania małoletnich pracujących na fabrykach i rękodzielniach. Rada państwa w d. 24 czerwca 1884 r. postanowiła, aby małoletni nie mający świadectw z ukończonych nauk w jednoklasowéj szkole ludowéj, lub innéj odpowiedniéj uczęszczali do szkół otwieranych przy fabrykach, albo też do pobliskich ludowych. Szkoły przy fabrykach zakładać mogą swoim kosztem właściciele zakładów przemysłowych, przy czém plan nauk, zakres i sposób uczęszczania określa bliżéj inspektor fabryczny w porozumieniu z dyrektorem szkół ludowych. W razie odmowy otwarcia szkoły przy zakładach przemysłowych, inspekcya fabryczna winna przedsięwziąć odpowiednie środki, aby małoletni mogli uczęszczać do pobliskich szkół ludowych, lub też postarać się u ziemstw, miast, gmin, parafii itd. aby podobne zakłady naukowe urządzone zostały.

Celem bliższego nadzoru nad pracą małoletnich, na fabrykach i rękodzielniach, ustanowiono *inspekcyą fabryczną* złożoną z głównego inspektora, oraz dziesięciu inspektorów okręgowych i tyluż pomocników. Całe zatém państwo podzielono na dziesięć okręgów fabrycznych, z których jeden obejmuje Królestwo Polskie z siedzibą inspektora w Warszawie i pomocnika w Łodzi, drugi wileński dla gubernii litewskich białoruskich i kurlandzkiéj z miejscem zamieszkaniu inspektora w Wilnie i pomocnika w Grodnie, trzeci dla gub. kijowskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj i chersońskiéj z siedzibą inspek-

tora w Kijowie, a pomocnika w Kamieńcu Podolskim itd. Nadzór inspekcyi nie rozciąga się na warsztaty rzemieślnicze i drobnego przemysłu, na zakłady rządowe, oraz na prywatne zakłady górnicze, mające oddzielną inspekcyą. Co się tyczy przedsiębierstw opłacających akcyzę (cukrowni, gorzelni itp.), to nadzór nad pracą małoletnich w tych zakładach należy do organów akcyznych. Przedstawiciele inspekcyi fabrycznéj obowiązani są o ile możności jak najczęściéj zwiedzać zakłady fabryczne w swoim okręgu, jak również pomieszczenia dla robotników, i pilnować ścisłego wypełnienia przepisów o pracy małoletnich. Po ukończeniu roku inspektorzy okręgowi składają głównemu inspektorowi roczne sprawozdania ze swoich czynności i spostrzeżeń, które następnie mają być podawane do wiadomości publicznéj.

Opinią organów rządowych o szkodliwości pracy w porze nocnéj dla kobiet i małoletnich podzielili przedstawiciele przemysłu okręgu petersburskiego, domagając się wzbronienia fabrykom zajmowania w nocy téj kategoryi robotników. Fabrykanci petersburscy kierowali się tu nietylko humanitarnemi względami, ale i czysto kupieckiemi, chcąc tym środkiem zmniejszyć wytwórczość i oswobodzić rynki od nadprodukcyi przemysłowéj. Zakaz pracowania w nocy kobietom i podrostkom równa się bowiem dla wielu gałęzi przemysłu zamknięciu fabryk w porze nocnéj. Szczególniéj w środkowéj Rosyi procent kobiet i małoletnich na fabrykach jest bardzo znaczny, i tak na przędzalniach wynosi około 45%, tkalniach 63%, a w fabrykach tabacznych dochodzi nawet 82%. Dla bliższego rozpatrzenia podania przemysłowców petersburskich ustanowiono specyalną komisyą, do któréj powołano także i fabrykantów z gubernii moskiewskiéj i włodzimierskiéj, jako najważniejszych w przemyśle bawełnianym i wełnianym, najwięcéj zatrudniającym robotników powyższych kategoryi. Rezultatem badań było postanowienie Rady państwa z 15 czerwca 1885 r., mocą którego z dniem 13 października r. z. wzbroniono pracować w porze nocnéj kobietom i podrostkom do lat 17 na fabrykach przerabiających materyały włókniste tj. w przemyśle bawełnianym, lnianym i wełnianym, z możnością dalszego rozszerzenia tego ograniczenia na inne gałęzie przemysłu, po wzajemném porozumieniu się ministrów skarbu i spraw wewnętrznych.

Podobne przepisy istnieją już w innych państwach np. w Anglii kobiety pod względem pracy na fabrykach zrównano z małoletnimi, w Szwajcaryi nocna praca dla kobiet bezwarunkowo wzbroniona, we Francyi prawodawstwo ogranicza nocną robotę tylko dla niepełnoletnich dziewcząt, w Niemczech upoważniono Radę związkową do wydawania odpowiednich rozporządzeń itp. Tak humani-

tarne przepisy w zastosowaniu do przemysłu w Cesarstwie osiągnęły w pierwszych chwilach skutki zupełnie nieoczekiwane, a to z téj przyczyny. Bardzo znaczny procent, jeżeli nie większość robotników fabrycznych w Cesarstwie, nie są to z krwi i kości robotnicy fabryczni, wyłącznie i stale przemysłem zajęci, oraz przenoszący uzdolnienie i nabyte wiadomości z ojca na syna, ale są to okoliczni, a nawet i z dalszych stron włościanie szukający zarobku w zimie. Ten peryodyczny napływ sił roboczych powoduje obniżkę zarobków podczas zimy, które w niektórych okręgach fabrycznych zeszły do minimum zabezpieczającego zaledwie od głodnéj śmierci. W skutek nowego prawa o pracy nocnéj, fabrykanci zatrudniający wiele podrostków i kobiet zmuszeni zostali do ograniczenia wytwórczości i zamknięcia fabryk w nocy, co miało ten rezultat, że robotnicy mogli teraz przez mniejszą liczbę godzin pracować. Okoliczność ta spowodowała panikę pomiędzy robotnikami, którzy też zwłaszcza w gubernii włodzimierskiéj tłumnie zaprzestawali roboty, a nawet w niektórych miejscowościach dopuszczali się wykroczeń, które siłą potrzeba było poskramiać. Bądź co bądź, prawodawstwo fabryczne ostatnich trzech lat zawiera wybitne cechy humanitarności i jakkolwiek w pierwszych chwilach wywołuje tu i owdzie niezadowolenie, to jednakże w zupełności zasługuje na uznanie, a czasowe niezadowolenie z ułożeniem się stosunków fabrycznych niewątpliwie zniknie ustępując miejsca zobopólnéj korzyści tak dla przemysłu jak i dla pracowników.

Kredyt rolniczy zawsze był zależnym od stanu rolnictwa, położenia większéj własności ziemskiéj w daném państwie, jak również i od stosunku pomiędzy rentą otrzymywaną z ziemi a wysokością obciążenia. Stałe zachowywanie równowagi pomiędzy rozchodem i dochodem otrzymywanym z danego szmatu gleby jest nader trudném, trudniejszém niż w każdéj innéj gałęzi pracy ekonomicznéj, gdyż ziemia jest powiększéj części własnością osobistą niezawsze dowolnie dzielić się dającą. Gdy więc np. fabryki na kapitale akcyjnym oparte łatwo mogą zmieniać właścicieli i być rozdrabniane za pomocą prostéj przedaży akcyi lub udziałów, to podział ziemi pomiędzy spadkobiercami najczęściéj dokonywa się przez zaciągnięcie długu hipotecznego na spłatę działów, zwykle na odsetki wyższe od otrzymywanéj renty. Zatém obciążenie ziemi nad możność pokrycia dochodem jest najczęściéj początkiem niedoli rolnika, tém cięższéj im częściéj dołączają się do niéj wypadki losowe, jak nieurodzaj, gradobicie, wylewy itp. lub też nadprodukcya rolnicza stron żyzniejszych, taniéj wytwarzać mogących. Kryzys rolniczy dotyka obecnie całą niemal Europę, ale najciężéj te państwa, których wielka rozle-

głość i rozmaitość gleby przy trudnéj komunikacyi niepozwala równomiernie rozłożyć płodów przyrody pomiędzy poszczególne prowincye. Stąd też np. w Rosyi spotykamy w niektórych stronach nadzwyczajny upadek cen zboża i zupełny brak zbytu, nawet po cenach niżéj kosztu, gdy jednocześnie na drugim krańcu tego państwa ludność mrze niemal z głodu, z powodu nieurodzaju i fizycznéj prawie niemożności dowozu ze stron dalszych. Jeżeli do tego dodamy brak w Cesarstwie kadastru i hipoteki, to nic dziwnego, że pomimo kilkunastu instytucyi kredytu ziemskiego, kredyt rolniczy jest nader drogim, a sami ziemianie znajdują się często w położeniu bez wyjścia.

Położenie własności ziemskiéj na Litwie i Rusi jest jeszcze trudniejszém, bo tu prócz czynników ekonomicznych, warunki polityczne ważną odgrywają rolę, zwłaszcza od chwili oswobodzenia włościan. Słowem w całém państwie rosyjskiém nad stosunkami rolniczemi zapanowała ciężka—duszna atmosfera i środki prawodawcze mające na celu ulżenie niedoli stały się koniecznością. Pierwszym aktem było utworzenie *Banku włościańskiego ziemskiego*, którego sześć oddziałów operuje na całém terytoryum Litwy i Rusi z wyjątkiem gub. mińskiéj i witebskiéj. W ubiegłym roku otworzono oddział grodzieński i zreformowano kowieński na kowieńsko-wileński z siedzibą w Wilnie. Następnie postanowiono powołać do życia państwową instytucyą kredytową ziemską dla większéj własności. Podług pierwotnego projektu ministeryum skarbu miał to być bank państwowy ziemski, udzielać mający pożyczki właścicielom ziemskim bez różnicy stanu i pochodzenia. Projektu tego w ostatniéj jednak chwili nie uwzględniono i jakby dla stwierdzenia przysłowia, że nic w naturze nie ginie w tymże dniu, w którym podpisano zlikwidowanie Banku polskiego (15 czerwca r. z.) narodził się „*Państwowy bank dworzański ziemski*,“ którego działalność na mocy późniejszéj interpretacyi nie ma się rozciągać na ziemię, własnością osób pochodzenia polskiego będącą. Główniejsze urządzenia téj instytucyi są następujące:

art. 1. Państwowy bank dworzański ziemski ustanawia się celem udzielania pożyczek długoterminowych dworzanom—właścicielom ziemskim na zastaw ich własności ziemskiéj.

art. 2. Operacye banku dworzańskiego obejmować będą Rosyą europejską, za wyłączeniem Finlandyi, gub. Królestwa Polskiego i nadbaltyckich.

art. 25. W razie przejścia zastawionego w banku majątku na osobę stanu niedworzańskiego (za wyłączeniem prawnych spadkobierców) nowonabywca obowiązany będzie wnieść całkowity dług banku w ciągu najdaléj pięciu lat, w przeciwnym razie wierzytelność

bankowa pokryta będzie sumą otrzymaną ze sprzedaży majątku na publicznéj licytacyi.

art. 39. Celem udzielania pożyczek wypuszczane będą papiery procentowe pod nazwą listów zastawnych państwowego banku dworzańskiego ziemskiego.

art. 47. Od pożyczek otrzymanych z banku dłużnicy płacić będą za każde sześć miesięcy: 1⁰) $2\frac{1}{2}\%$ na spłatę odsetek, 2⁰) na umorzenie pożyczki udzielonéj na 48 lat $^1/_4\%$, a na 36 lat $\frac{1}{2}\%$, 3⁰) na koszta administracyi oraz utworzenie funduszu rezerwowego $^1/_8\%$. Prócz tego dłużnik płaci jednorazowo przy zaciąganiu pożyczki $^1/_4\%$. Wszystkie wyżéj wymieniane opłaty obliczane będą od nominalnéj sumy pożyczki.

Z powyższego widzimy, że kredyt mający się udzielać dworzanom będzie nader tani, zwłaszcza w obec niedawnego ogłoszenia banku dworzańskiego, że kurs listów zastawnych przy udzielaniu pożyczek ustanowiony został obecnie na 98. Podobnie jak bank włościański, bank dworzański operować będzie za pośrednictwem oddziałów, z których jeden otwarto w Kijowie dla gubernii wołyńskiéj, kijowskiéj i podolskiéj. Szacunek urzędowy ziemi ustanowiono następujący:

w gub.	wołyńskiéj po	10— 85	rubli za dziesięcinę
„	podolskiéj	40— 90	„
„	kijowskiéj	15—100	„

O ile działalność banku dworzańskiego będzie pożądaną dla dworzan, o tyle przy nieopatrznym lub stronniczym kierunku może stać się niebezpieczną dla ogółu opodatkowanych. Bank dworzański posiada zbyt wielkie przywileje, zakres jego czynności zbyt rozległy i jednocześnie zbyt kastowy, aby nie mógł wzbudzać nieufności w innych stanach, nieufności spowodowanéj głównie obawą, aby operacye banku dworzańskiego nie obciążyły kieszeni *ogółu* opodatkowanych. Miejmy nadzieję, że złowrogie przewidywania nie ziszczą się, tém większą nadzieję że do przewodniczenia bankowi dworzańskiemu powołany został p. Eugieniusz Kartawcow, znany i uznany kierownik tak doniosłéj instytucyi—banku włościańskiego.—Co do kredytu dla małéj własności ziemskiéj tj. kmiecéj, ważnym nader aktem jest cyrkularz ministra spraw wewnętrznych z d. 21 stycznia r. z. do gubernatorów wraz 1⁰ z *normalną ustawą banków wiejskich*; 2⁰ instrukcyą zawierającą przepisy na jakich banki wiejskie mogą być otwierane. Urządzenia powyższe są bardzo doniosłe, szkoda tylko że ci, dla których wydane zostały, są mało oświeceni, aby podjąć mogli inicyatywę wprowadzenia ich w życie, a z drugiéj strony żałować trzeba, że prasa, a zwłaszcza organy dla ludu przeznaczone, nie po-

śpieszyły z odpowiedniém szczegółowém rozjaśnieniem istotnego znaczenia banków wiejskich dla ludności włościańskiéj. Na mocy instrukcyi ministeryalnéj banki wiejskie mogą być zakładane przez jedną lub więcéj gmin z funduszów gminnych lub prywatnych, ofiarowanych bądź drogą darowizny, lub téż czasowéj pożyczki.

Podług art. 1. Banki wiejskie mają za cel danie możności włościanom gromad, które bank założyły otrzymywać: *a*) pożyczki dla zaspokojenia niezbędnych potrzeb w gospodarstwie i *b*) dochód od złożonych w banku oszczędności.

art. 2. Kapitał zakładowy banku wiejskiego nie może być mniejszym od 300 rubli.

Bliższy nadzór nad bankami wiejskiemi należy do powiatowych urzędów do spraw włościańskich i gubernatorów, główny zaśześrodkowuje się w ministerium spraw wewnętrznych.

Nadzwyczaj wielką doniosłość dla stosunków rolnych na Litwie i Rusi ma ukaz imienny do rządzącego senatu z d. (27 grudnia 1884) 8 stycznia 1885,—z téj przyczyny podajemy go tu w całkowitéj osnowie.

„Rozkazami w Bogu spoczywającego Rodzica Naszego położono fundament zwiększenia w kraju zachodnim liczby rosyjskich właścicieli ziemskich. Obecnie w celu trwałego urzeczywistnienia tych rozporządzeń i usunięcia przeszkód tamujących pomyślny rozwój i trwałego zaprowadzenia rosyjskiéj własności ziemskiéj w pomienionym kraju, uznaliśmy za dobre jako potwierdzenie i dopełnienie istniejących urządzeń wydać osobne przepisy, których projekt rozpatrzony przez komitet ministrów odpowiada naszym zamiarom. Wskutek tego zatwierdzając pomienione przepisy i komunikując je rządzącemu senatowi, rozkazujemy ogłosić takowe i wprowadzić w wykonanie w dziewięciu guberniach zachodnich porządkiem ustanowionym. Rządzący senat w wykonaniu tego nie zaniedba wydać odpowiednie rozporządzenia.“

Treść przepisów powyżéj wzmiankowanych jest następująca:

1⁰ w zachodnich guberniach (na Litwie i Rusi) wzbroniono zastawiania majątków ziemskich i wchodzących w ich skład przynależytości (ugodij) położonych na zewnątrz miast i miasteczek, u tych osób, którym na mocy ukazu z d. 22 grudnia 1865 r. wzbroniono nabywać własność ziemską;

2⁰ akty zastawnicze (zakładnyja krieposti) zdziałane przed wydaniem niniejszych przepisów na imię osób, którym wzbroniono nabywać ziemię, zachowują moc do upływu terminu, lecz w każdym razie nie dłużéj nad dziesięć lat od daty powyższego ukazu (tj. do 8 stycznia 1895 r.).

3⁰ Kompanie i towarzystwa akcyjne mogą na przyszłość nabywać na Litwie i Rusi własność ziemską maximum 200 dziesięcin.

6⁰ W razie urządzenia fabryki na ziemi oddanéj w dzierżawę osobie podpadającéj pod ukaz z d. 22 grudnia 1865 r. w ciągu pierwszych dwunastu lat od daty zastawu, termin upływu dzierżawy może być odroczony do lat 30.

7⁰ Wszelkie umowy zdziałane w celu naruszenia ukazów z d. 22 lipca 1864 i 22 grudnia 1865 r. oraz obecnych przepisów uważane będą za niebyłe.

8⁰ Osoby korzystające przy kupnie majętności na Litwie i Rusi z ulg wskazanych postanowieniem z d. 17 marca 1864 r. które zawarły umowy przeciwne niniejszym przepisom, obowiązane są w ciągu roku porozumieć się ze stroną interesowaną w celu rozwiązania tych umów, w przeciwnym razie majątki ich będą oddane Zarządowi Opieki do czasu ukończenia rachunku pomiędzy stronami.

9⁰ Majątki nabyte na zasadzie przepisów z d. 4 sierpnia 1865 r. i przedane, zastawione, lub oddane w dzierżawę wbrew niniejszym przepisom będą odebrane na rzecz skarbu.

10⁰ Każda ze stron uczestniczących w zawarciu aktu przeciwnego ukazom z d. 22 lipca 1864 r. 22 grudnia 1865 i obecnym przepisom może wszczynać akcyą o rozwiązanie tego aktu.

11⁰ Również dozwala się władzom gubernialnym wytaczać akcyą z urzędu w celu rozwiązania powyższych umów.

12⁰ Jeżeli umowy wymienione w § 10 były zdziałane przed notaryuszem, to gubernator za pośrednictwem prokuratora zawiadamia właściwy sąd okręgowy w celu pociągnięcia notaryusza do odpowiedzialności sądowéj.

Co do handlu zbożowego p. minister skarbu w d. 23 października r. z. zatwierdził przepisy o udzielaniu *pożyczek na zastaw zboża* w ziarnie, przez *kantory* Banku państwa. Przepisy te jednak są tak uciążliwe i drobiazgowe, że nic dziwnego, iż pomimo zastoju w handlu zbożowym zrobiły zupełne fiasco. Prawdopodobnie przepisy te w krótkim czasie będą zmienione, jak również i zatwierdzony projekt ministerium skarbu, aby kantorom i oddziałom Banku państwa dozwolono wydawanie *pożyczek na zastaw kwitów*, wydawanych przez drogi żelazne na przyjęte na skład zboże. Jeżeli ten projekt będzie miał mniéj cech kancelaryzmu, a więcéj uwzględniać będzie potrzeby handlu i rolnictwa, to istotnie może oddać nieocenione usługi, zwłaszcza w obecném przesileniu rolniczém. Zresztą podobne pożyczki udziela od roku zeszłego Towarzystwo kolei południowo-zachodnich w porozumieniu z Bankiem przemysłowym w Kijowie, na zboże wywiezione do Odessy, Królewca i Gdańska. Pożyczki udzie-

lają zawiadowcy stacyi z sum kolejowych na rachunek Banku przemysłowego, na podstawie przepisów wydanych przez tenże Bank i w wysokości odpowiedniéj do cen zboża na rynkach wyżéj wymienionych.

Prawodawstwo kolejowe tworzyło się w Rosyi stopniowo, w miarę rozszerzania sieci kolejowéj. Zwykle po zawiązaniu towarzystwa w celu budowy i wyzysku koncesyonowanéj drogi żelaznéj, rząd wydawał ustawę nadawczą lub zasadniczą dla téjże drogi, w któréj zwykle określano prawa i obowiązki akcyonaryuszy względem rządu i publiczności. Ustawy te jakkolwiek w wielu punktach jednozgodne, różniły się między sobą jednak znacznie, już-to z powodu różnych epok powstania, już z przyczyny różnic geograficznych i ekonomicznych przestrzeni, przez które przebiegały drogi żelazne. Nader ważna część prawodawstwa dotycząca wzajemnych stosunków kolei pomiędzy sobą w przedmiocie przewozu podróżnych, towarów i bezpośredniéj komunikacyi, wyrobiona została praktyką lub téż opierała się na cyrkularzach i rozporządzeniach ministeryum komunikacyi. Najsłabszym punktem w gospodarce kolejowéj było pozostawienie zarządom dróg żelaznych zbyt wielkiéj swobody w przedmiocie ustanawiania i zmian taryf, która wywołała wojny taryfowe pomiędzy kolejami, bardzo kosztowne dla skarbu (z tytułu gwarancyi), a często zgubne dla miejscowego przemysłu i rolnictwą. Po kilkuletnich studyach władz państwowych i specyalnych komisyi, w roku zeszłym nareszcie sankcyonowano przepisy ogólne obowiązujące tak publiczność jak i zarządy wszelkich kolei żelaznych. Przyznajemy, że przepisy te nie odpowiedziały oczekiwaniom, lecz w każdym razie są nader ważnym krokiem w celu uporządkowania i ujednostajnienia prawodawstwa kolejowego. Miejmy nadzieję że organa powołane do życia nowemi przepisami braki uzupełnią i błędy usuną.

Rada państwa na posiedzeniu w d. 24 czerwca r. z. zatwierdziła ostatecznie: *a*) postanowienie o Radzie do sprawaw kolejowych i *b*) ogólną ustawę rosyjskich dróg żelaznych.

Radę do spraw kolejowych ustanowiono przy ministerium komunikacyi dla rozpatrzenia i w pewnych razach wydawania rozporządzeń dotyczących budowy, wyzysku i gospodarstwa dróg żelaznych w Cesarstwie. Rada powyższa pod prezydencyą ministra komunikacyi składa się z jego towarzysza, dyrektora departamentu dróg żelaznych, prezesa czasowego zarządu państwowych kolei, dwóch innych członków ministerium komunikacyi, oraz członków z łona ministeriów: finansów, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, dóbr państwa, wojny i kontroli państwa, po jednym z każdéj z tych władz, jak

również dwóch przedstawicieli prywatnych dróg żelanych, dwóch reprezentantów handlu i rękodzieł i dwóch przedstawicieli przemysłu rolniczego i górniczego.

Rozpatrzeniu Rady podlegają: projekta nowych praw dotyczących budowy, wyzysku i gospodarstwa kolei zanim te projekta zostaną wniesione do Rady państwa; wnioski o uzupełnieniu, zmianie i uchyleniu obowiązujących praw, dotyczących przedmiotów powyżéj wymienionych, zanim one zostaną przedstawione do zatwierdzenia; przepisy i instrukcye wydawane w drodze administracyjnéj w rozwinięciu obowiązujących urządzeń; taryfy i taksy kolejowe; przedmioty i sprawy należące do kompetencyi Rady na zasadzie ogólnéj ustawy dróg żelaznych; wszelkie wogóle kwestye odnoszące się do budowy, wyzysku i gospodarstwa kolejowego, rozpatrzenie których w Radzie za pożyteczne będzie uznane przez ministra komunikacyi, lub innych naczelników głównych zarządów.

Ogólna ustawa rosyjskich dróg żelaznych zawiera 187 paragrafów dotyczących przepisów ogólnych, o przewozie podróżnych i ich bagaży, o przewozie towarów, o odpowiedzialności dróg żelaznych za przewóz, o odpowiedzialności sądowéj, o przedawnieniu, o sposobie otrzymania zasądzonych sum od dróg żelaznych, przepisy dla publiczności, i o nadzorze policyjnym na kolejach.

Podług téj ustawy przewóz podróżnych, bagażu, poczty i towarów jest obowiązkiem każdéj kolei otwartéj dla ruchu pasażerów i towarów. Kolej żelazna ma jednak prawo odmówienia przewozu podróżnych bagaży i towarów, gdy pasażer lub wysyłający towar nie zechce się zastosować do przepisów niniejszéj ustawy, gdy ruch kolejowy wstrzymany będzie z rozporządzenia rządu, wypadków nadzwyczajnych lub siły wyższéj, w razie braku miejsca wolnego, jeżeli podróżny znajduje się w stanie nietrzeźwym, odzieży nieprzyzwoitéj, lub też w takim stanie, który może być niebezpiecznym dla innych podróżnych, w razie przepełnienia składów i miejsc przeznaczonych dla towarów itp.

Droga żelazna odpowiada za szkody i ubytki wynikłe przy spełnianiu czynności przez jéj agentów. Obowiązaną ona jest przyjąć każdy przywieziony na stacyą towar dozwolony do przewozu, chociażby on nie mógł być wysłanym w dniu dostawy. Wysyłający towar odpowiada za prawdziwość deklaracyi i żądanych objaśnień. Drogi żelazne nie mają prawa robić ustępstw z obowiązującéj taryfy, pod warunkiem przewozu przez jedną osobę w oznaczonym terminie pewnéj ilości towarów (refakcya) lub też uprzywilejowywać w jakibądź sposób wysyłających towary jednych przed drugimi. Odprawiający ma prawo wysyłki towaru z żądaniem zapłaty od odbior-

cy przy wydawaniu towaru, za co kolej otrzymuje komisowe ustanowione decyzyą rady kolejowéj. Towary, nieodebrane w ciągu dni 30 od czasu dostawy na miejsce odbioru, uważane będą za nieprzyjęte; po upływie tego terminu zawiadamia się wysyłającego i trzykrotnie ogłasza w dziennikach miejscowych i gubernialnych. Jeżeli zaś po upływie trzech miesięcy od czasu ostatniéj publikacyi nie zgłosi się odbiorca lub wysyłający, to nieodebrany towar przedany będzie na publicznym przetargu.

Droga żelazna obowiązaną jest wynagrodzić każdego poszkodowanego wskutek śmierci, lub uszkodzenia na zdrowiu spowodowanych eksploatacyą drogi. Wynagrodzenie to następuje na zasadzie art. 683 praw cywilnych (Zbiór praw T. X, część I). W razie utraty lub uszkodzenia bagażu, droga żelazna obowiązana jest zapłacić, jeżeli wartość nie była oznaczoną, podróżnemu I klasy po 3 ruble. II kl. po 2 rub. i III kl. po rublu za każdy funt bagażu. Wynagrodzenie za utratę lub uszkodzenie towarów oblicza się po cenach handlowych tychże.

Droga żelazna łącznie z wszelkiemi jéj przynależytościami stanowi niepodzielne mienie nieruchome, z téj przyczyny poszukiwanie sum zasądzonych nie może być skierowane ani do kapitałów kolei, ani téż do jakiejkolwiek innéj części mienia drogi żelaznéj. Jeżeli w ciągu trzech miesięcy od daty doręczenia nakazu zasądzona suma nie będzie zapłaconą, to powód może prosić właściwy sąd, o uznanie towarzystwa eksploatującego daną drogę żelazną za dłużnika niewypłacalnego. Uznanie towarzystwa drogi żelaznéj za dłużnika niewypłacalnego powoduje natychmiastowe objęcie tejże drogi w zarząd skarbowy, oraz likwidacyą jéj czynności.

Bez względu na położenie geograficzne, Królestwo Polskie, Ruś i Litwa, pod względem *rozwoju stowarzyszeń ekonomicznych* przedstawiają się jako rozległa pustynia, po któréj, czytelniku, długą i męczącą przyjdzie ci odbyć podróż zanim się dostaniesz do jakiéj oazy z żywszym ruchem ekonomicznym w tym kierunku. Zachód i wschód, północ i południe daleko już nas po za sobą pozostawiły, a pod względem stowarzyszeń kredytowych ludowych, to ironicznie nazywaną Belgią północy dawno już prześcignął nawet.... azyatycki obwód Akmoliński. Kto temu winien? Przedewszystkiém my sami, nasza niezaradność, brak inicyatywy, wytrwałości i umiejętności wzięcia się do rzeczy. Dlatego téż przyznajemy wielką doniosłość wnioskom postawionym w Tow. pop. przemysłu i handlu: 1) o podjęcie starań o rozszerzeniu działalności Banku włościańskiego ziemskiego na Królestwo Polskie i 2) o utworzenie komitetu ludowych instytu-

cyi kredytowych. którego głównym zadaniem byłoby dopomaganie ludziom dobréj woli w powoływaniu do życia instytucyi kredytowych i wogóle stowarzyszeń ekonomicznych. Rok ubiegły daje jednak wskazówkę. że i na drodze stowarzyszeń żywszy ruch u nas budzić się poczyna, i tak sankcyonowano w roku zeszłym przez władzę prawodawczą:

a) *w Królestwie Polskiém.*

1) decyzyą ministra skarbu d. 7 lipca r. z. zatwierdzono ustawę *Towarzystwa Kredytowego miasta Lublina*;

2) podobnąż decyzyą z d. 26 lipca r. z. zatwierdzono ustawę *Towarzystwa kredytowego miasta Kalisza*;

3) postanowieniem ministra finansów z d. 23 lipca r. z. zatwierdzono ustawę *Kasy pożyczkowéj przemysłowców kieleckich*, -- łącznie więc otrzymaliśmy trzy stowarzyszenia kredytowe. Żywszy ruch był w dziale stowarzyszeń przemysłowych, i tak:

4) decyzyą komitetu ministrów z d. 1 maja r. z. dozwolono domowi handlowemu pod firmą „Hielle i Dietrich“ utworzyć „*Towarzystwo akcyjne zakładów Żyrardowskich Hielle i Dietricha*“ z kapitałem zakładowym 9 milionów rubli, rozdzielonym na 600 akcyi po 15.000 rubli i siedzibą zarządu w osadzie Żyrardowie.

5) postanowieniem komitetu ministrów z d. 3-go lipca r. z. dozwolono Ryszardowi, Gustawowi, Emilowi, Eugeniuszowi i Cezarowi Geyerom, oraz Juliuszowi Knollowi utworzyć „*Towarzystwo akcyjne zakładów bawełnianych Louis Geyera*“. z kapitałem zakładowym 1,500,000 rubli, rozdzielonym na 1,500 akcyi po 1,000 rubli i siedzibą zarządu w Łodzi.

6) postanowieniem komitetu ministrów z d. 27 sierpnia r. z. zezwolono: Leonowi Starczewskiemu, dr. Aleksandrowi Kosińskiemu, dr. Karolowi Benniemu, Michałowi Górskiemu i Piotrowi Samborskiemu utworzyć „*Towarzystwo mineralnych wód i hydroterapii w Nałęczowie*“, z kapitałem zakładowym 200,000 rubli, rozdzielonym na 400 akcyi po 500 rubli i siedzibą zarządu w Warszawie.

7) postanowieniem komitetu ministrów z d. 3-go lipca r. z. dozwolono: Ignacemu Bersteinowi, Janowi i Matiasowi Bersonom, Zofii Braunstein. Paulinie Bauman i Maurycemu Rosensztokowi utworzyć „*Towarzystwo akcyjne cukrowni i rafineryi Michałów*“, z kapitałem zakładowym 600.000 rubli, rozdzielonym na 1.200 akcyi po 500 rubli i siedzibą zarządu w Warszawie.

b) *na Litwie i Rusi.*

1) decyzyą ministra finansów z d. 9 lutego r. z. zatwierdzono ustawę *Towarzystwa kredytowego m. Kijowa.*

2) postanowieniem komitetu ministrów z d. 8 maja r. z. dozwolono Wilhelmowi i Michałowi Richertom, Fryderykowi Michelsonowi i Fiedorowi Hanemanowi utworzyć towarzystwo akcyjne pod firmą *„Bawarya kijowska“*, z kapitałem zakładowym 500,000 rubli, rozdzielonym na 2,000 akcyi po 250 rubli i siedzibą zarządu w Kijowie. W zakres towarzystwa wchodzą browar z miodosytnią i młyn wodny, znajdujące się w Kijowie.

2) decyzyą ministra finansów z d. 13 kwietnia r. z. zatwierdzono ustawę *„Lombardu kijowskiego prywatnego“*, z kapitałem zakładowym 500,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcyi po 500 rubli. Założycielami lombardu są: Andrzéj Gorczakow i Mikołaj Blumental. Cel towarzystwa: przyjmowanie do przechowania lub na zastaw wszelkich ruchomości i towarów z wyjątkiem papierów publicznych.

4) postanowieniem komitetu ministrów dozwolono towarzystwu dziciatkowskiéj fabryki przyjąć nazwę *„Dziciatkowskiego towarzystwa fabryk papierniczych“*, oraz powiększyć kapitał zakładowy o 500,000 rubli przez emisyą 100 udziałów po 5000 rubli.

5) postanowieniem komitetu ministrów dozwolono *„Towarzystwa cukrowni i rafineryi w Macharzyńcach“* powiększyć kapitał zakładowy o 150,000 rubli przez emisyą 150 udziałów po 1,000 rubli z tém, aby realizacya tych udziałów nastąpiła z kapitału zarezerwowanego z dywidendy lat poprzednich.

Jak wiadomo kompetencya sądów zagranicznych uznawaną jest w Rosyi o tyle, o ile jest opartą na specyalnych umowach, zatém towarzystwa akcyjne i inne stowarzyszenia handlowe w państwach, z któremi nie zawarto specyalnych umów, nie mogą w rosyjskich sądach wytaczać akcyi na podstawie wyroków zagranicznych. Dotąd pomiędzy Rosyą z jednéj, a Francyą, Belgią, Włochami i Austro-Węgrami z drugiéj strony istnieją *konwencye o wzajemném przyznawaniu praw bezimiennych towarzystw akcyjnych*, obecnie zaś podobną umowę zawarto i z Niemcami. W d. 30 lipca r. z. rosyjski minister spraw zagranicznych i poseł niemiecki w Petersburgu podpisali konwencyą pomiędzy Rosyą a Niemcami, na mocy któréj towarzystwa akcyjne bezimienne i inne stowarzyszenia handlowe, przemysłowe i finansowe, mające domicilium w jedném z tych państw, utworzone na mocy obowiązujących tamże przepisów, będą uznawane przez drugie państwo jako prawnie istniejące i mające prawo do opieki sądowéj.

Obowiązująca w Rosyi do ostatnich czasów *ustawa mennicza* zatwierdzoną była jeszcze w 1850 r., od téj pory zaszły tak wielkie zmiany, że większość jéj przepisów nie była już w praktyce stosowaną. Ustawa ta składała się z sześciu działów: *a*) o zarządzie men-

nicznym, *b*) o systemie monetarnym, *c*) o monecie, *d*) o dodatkowéj wytwórczości mennicy, *e*) o obiegu monety i *f*) o prawodawstwie w sprawach o naruszenie przepisów o monecie. Wskutek rozkazu, aby na monecie złotéj i srebrnéj zamiast herbu państwa znajdowało się wyobrażenie panującego. ministeryum skarbu zniewolone zostało do przejrzenia ustawy mennicznéj, zwłaszcza pierwszych dwóch jéj działów.

Zwrócono przedewszystkiém uwagę na niedogodności pochodzące z próby obecnéj monety złotéj i srebrnéj, dotąd bowiem stosowano próbę do podziału funta na 96 części, gdy tymczasem w większości państw cywilizowanych przyjęto system dziesiętny, którego się tamże trzymano przy tranzakcyach nawet z monetą rosyjską. Półimperyały mają próbę $^{88}/_{96}$, co w ułamku dziesiętnym równa się 916,666.... Nie mówiąc już o trudnościach technicznych przy stosowaniu ułamku ciągłego, wspomnimy, że w większości państw, mianowicie: w związku łacińskim, Niemczech, Austryi (8 i 4 złr.), Szwecyi, Danii, Holandyi, Japonii, Stanach Zjednoczonych i większości amerykańskich rzeczpospolitych przyjęto zawartość w monecie czystego złota w ilości $^{900}/_{1000}$, czyli mniejszą od rosyjskiéj. Srebrna moneta bita jest w Rosyi $83^{43}/_{96}$ próby, czyli w systemie dziesiętnym 868,055.... co również z wielu względów jest niedogodném. Obecnie więc dla ułatwienia obliczeń i ujednostajnienia monety rosyjskiéj z monetą większości państw świata cywilizowanego postanowiono, aby tak moneta złota, jak i srebrna bitą była w przyszłości $^{900}/_{1000}$ próby.

Zmiana przepisów dotyczących systemu monetarnego w Rosyi była ostatnim aktem prawodawczym roku zeszłego, mającym ogólniejsze i doniosłe znaczenie. Zdaniem rady państwa z d. 29 grudnia r. z. zmieniono art. 1—162 i 168—173 włącznie ustawy mennicznéj, a między innemi wyraźnie określono, że prawo bicia, wypuszczania w obieg i przerabiania monety, jest prawem koronném. Jednostką monetarną w państwie jest rubel srebrny, podzielony na 100 kopiejek i zawierający 4 zołotniki i 21 doli czystego srebra Dziesięciorublowa moneta złota (imperyał) zawiera w sobie 2 zołotniki i 69,38 doli, a pięciorublowa (półimperyał) 1 zołotnik i 34,68 doli czystego złota. Moneta złota zawiera w sobie 900 części czystego złota i 100 części miedzi, zatém w jednym funcie złota (ligatury) winno się znajdować 63 półimperyały, 2 ruble i $35^{65}/_{121}$ kop.

Srebrna moneta bitą będzie w rublach, półrublach i czwartakach również z mięszaniny zawierającéj 900 części czystego srebra i 100 części miedzi, zatém w jednym funcie srebra (ligatury) winno się znajdować 20 rubli i 48 kop. Bilon srebrny bity będzie w sztukach po 20, 15, 10 i 5 kop. z mieszaniny zawierającéj 500 części czy-

stego srebra i 500 części miedzi, więc z puda srebra téj próby otrzyma się 910 rubli i $22^{6}/_{27}$ kop.

Moneta miedziana bitą będzie w sztukach po 5. 3, 2, 1, ½ i ¼ kop. w ilości 50 rubli z jednego puda miedzi.

Rzeczywista waga monety złotéj i srebrnéj będzie następująca:

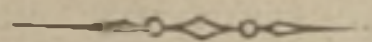
imperyała .	2 zołot.	2,4	doli	z dopuszczeniem	różnicy	0,4	doli
półimperyała	1 „	49,2	„	„	„	0,3	„
rubla . . .	4 „	66	„	„	„	1,4	„
półrubla . .	2 „	33	„	„	„	1,2	„
czwartaka .	1 „	16,5	„	„	„	0,6	„
20 kop.		81	„	„	„	3	„
15 „		60,75	„	„	„	2,5	„
10 „		40,5	„	„	„	2	„
5 „		20,25	„	„	„	1,5	„

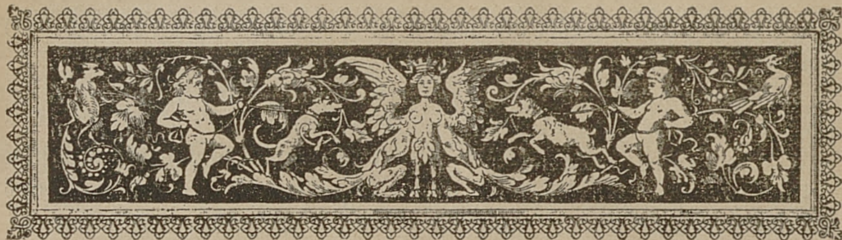
Różnica powyżéj wykazana może być tak wyżéj, jak i niżéj wagi ustanowionéj dla każdego rodzaju monety złotéj i srebrnéj. Kasy skarbowe przyjmować będą monetę srebrną i miedzianą tylko wtedy, gdy na niéj można rozpoznać stempel, gdy nie będzie oberżniętą i wogóle nieuszkodzoną umyślnie. Co się tyczy monety złotéj dawniejszego stempla (t. j. bitéj do 1885 r. włącznie), to minimalna waga dla półimperyałów ustanawia się na 1 zoł. 50 doli, a dla dukatów rosyjskich 87 doli. W razie mniejszéj wagi moneta złota przyjmową będzie przez kasy skarbowe nie inaczéj, jak z dopłatą po 3½ kop. metal. za każdą brakującą dolę.

Oto jest całkowity obraz prawodawstwa roku zeszłego, dotyczącego finansów, rolnictwa, przemysłu i handlu, słowem, całego gospodarstwa ekonomicznego państwa. Czytelnik może osądzić, jak ono było istotnie rozległém, różnorodném, a zawsze doniosłém dla stosunków ekonomicznych. Większość nowych urządzeń szczególniejszego jest znaczenia dla naszego kraju i wogóle dla ludności polskiéj. Prawda, że w roku zeszłym ponieśliśmy ciężkie, nader ciężkie i niepowetowane straty, lecz mamy nadzieję, że reszta urządzeń prawodawczych, choć w części zabliźni otwarte rany. W każdym razie ubiegły rok 1885 zajmie wybitne, jeżeli nienajwybitniejsze miejsce w dziejach ekonomiki bieżącego stulecia... .

Dnia 11 lutego 1866 r.

Leon Iwanicki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Z dziedziny teratologii. O sztucznem wywoływaniu potworów o sercu podwójnem, przez Stanisława Waryńskiego.

Stanisław Waryński dał się już poznać naukowemu światu; rezultaty jego samodzielnych badań nad prawidłowym i sztucznym rozwojem zarodka ogłoszone zostały drukiem w „Recueil Zoologique" i w oddzielnych odbitkach. Ciąg dalszy zatém stanowi najnowsza młodego uczonego praca, przedstawiona fakultetowi medycznemu w Genewie w celu otrzymania doktorskiego stopnia. Praca ta obudziła wśród uczonych genewskich prawdziwe zajęcie i dla zdolności autora uznanie wielkie. Nie obojętném też zapewne będzie dla polskiéj publiczności zapoznać się z nią choćby za pomocą pobieżnego streszczenia.

Przez długi czas embryologia zajmowała się jedynie badaniem okresów rozwoju zarodka, zadowalając się szczegółowém opisaniem jego ogólnego kształtu, budowy ciała lub pojedyńczych organów; potrzeba jednakże sprowadzenia poszczególnych faktów do całości, podporządkowania ich w prawo ogólne, wyzwoliła embryologią z ciasnych ram nauki czysto opisowéj. Cóż bowiem może bardziéj uderzać nasz umysł jak stałość i regularność z jaką pewien osobnik przebiega zawsze jedne i też same okresy rozwoju i zatrzymuje się na pewnéj ostatecznéj formie, stałéj dla danego gatunku.

Chcąc odpowiedzieć na pytanie, jaka siła wywołuje lub warunkuje stałość okresów przejściowych zarodka, odrzucić musimy przestarzałe pojęcia o stworzeniu gotowych typów, jako też i nowszą cokolwiek teoryą o zarodku całkowicie ukształtowanym, który się jedynie rozwinąć potrzebuje; staniemy wtedy wobec dwóch najnowszych teoryi biologicznych, opartych na stałéj podstawie znajomości przyrody.

Pierwsza z nich, teorya o pochodzeniu gatunków przyznaje, iż okresy rozwojowe zarodka odpowiadają stopniowym przejściom od gatunków niższych do wyższych w kierunku postępowym.

Teorya ta nie jest w sprzeczności z teoryą drugą, mechaniczną, którą objaśnimy poniżéj; opierając się jednakże na gruncie metafizycznym odwołuje się do przyczyn pierwotnych, które nie podlegają naszemu badaniu.

Według teoryi mechanicznéj rozwój zarodka zostaje pod wpływem praw fizycznych, których niezmienność pociąga za sobą jednostajność tak okresów przejściowych jako téż i ostatecznéj formy zwierzęcia. Ze zmianą zatém działających na rozwój praw fizycznych nastąpi zboczenie od zwykłego prawidłowego typu i w rezultacie powstaje zniekształcenie, potworność.

Twórcą téj ostatniéj teoryi jest His; rozwinięciu jéj i sprawdzeniu drogą doświadczalną poświęca St. Waryński swoje samodzielne badania.

Wszystkie zmiany w organach zarodka powstają wskutek działania jednych organów na drugie z powodu nierównego ich wzrastania. Odróżniać należy nierówność wzrastania w przestrzeni i w czasie, widzimy zatém różnice szybkości wzrostu *in plus* lub *in minus* dla jednego punktu zarodka w stosunku do innych punktów, które z nim porównywamy. To nierówne zatém rozłożenie szybkości wzrastania zarodka sprowadza przewagę rozwoju jednego organu nad drugim w danym okresie, jako téż warunkuje różnice ostateczne w formie otrzymywanych typów.

Szybkość wzrostu zmniejsza się z czasem dla wszystkich organów i nareszcie wstrzymuje się zupełnie. Zmniejszanie to jednakże nie jest jednakowe dla wszystkich organów: im wzrost dla danego organu jest prędszy, tém wcześniéj się zatrzymuje i *vice versa.* Rozmaite tkanki posiadają zatém różną szybkość wzrastania; własność ta stanowi drugi wyraz prawa Hisa, mianowicie: różnicę wzrastania w czasie.

Posiadamy zatém całkowitą teoryą; czy możemy sprawdzić ją drogą doświadczalną?

Jeżeli pierwszą przyczyną zmian powstających w błonie zarodkowéj jest nierówny rozkład szybkości wzrastania i jeżeli dana szybkość zależy od siły odżywczéj, możliwém jest, zmieniając czynność odżywiania pewnéj części zarodka, zmienić jego ostateczną postać w tym stopniu, w jakim część ulegająca zmianie na ogólną formę wpłynąć miała. W razie przeciwnym, to jest, gdyby zmiana w odżywianiu zarodka a tém samém i w szybkości wzrastania danéj części

ciałka nie wpłynęła na zmianę jego ogólnego kształtu, doświadczenie stanowiłoby dowód przeciwko teoryi mechanicznéj.

Wychodząc z tego punktu, St. Waryński przystępuje do badań, które mają potwierdzić lub obalić wspomnianą teoryą.

Ażeby łatwiéj pojąć zmiany, jakim ulega zarodek pod wpływem sztucznie działających przyczyn mechanicznych, St. Waryński opisuje zarodek kurczęcia prawidłowy pomiędzy 3 a 4 dniem wylęgania, w tym czasie właśnie, gdy główna krzywizna ciała silnie się zaznacza.

Przy końcu trzeciego i na początku czwartego dnia zarodek kurczęcia ulega bardzo ważnym zmianom położenia. Przed czwartym dniem powierzchnią brzuszną ciałą spoczywa on na żółtku, zwróciwszy powierzchnię grzbietową ku skorupie. Na początku czwartego dnia zarodek obraca się wzdłuż długiéj osi ciała w ten sposób, iż kładzie się na żółtku lewym bokiem. Zmianie téj w położeniu towarzyszą inne modyfikacye, mianowicie: znaczny wzrost żyły pępkokrezkowéj lewéj (*omphalomésentérique gauche*), a zanik pępkokrezkowéj prawéj (*veine omphalomésarrhaïque droite*), w tymże czasie zaznaczają się dwa zgięcia ciała, przednie i tylne, jako téż zgięcie się w łuk struny grzbietowéj, znane pod nazwą głównéj krzywizny ciała.

Zmiany te spotykane w prawidłowym rozwoju zarodka znajdują wyjaśnienie w teoryi mechanicznéj, ponieważ nierówna szybkość wzrostu w tym czasie właśnie najsilniéj się zaznacza.

Zgięciu się głowy odpowiada szybki wzrost przedniego pęcherzyka mózgowego, który rozwijając się, pochyla się jakby w skutek własnego ciężaru ku piersiom zarodka i ustępuje miejsca pęcherzykowi średniemu nie przedstawiającemu w tym czasie żadnych szczególnych zmian dotyczących wzrostu.

Mamy zatém dwa zjawiska wyrażone we wspomnianém prawie Hisa: po pierwsze, zmianę kształtu wypływającą z powiększenia się szybkości wzrostu różnych części zarodka, powtóre, wpływ tych części jednéj na drugą.

Ponieważ przednia część mózgu najbardziéj się do doświadczeń nadaje, można zatém, zatrzymując sztucznie jéj wzrost, sprowadzić zmiany w ogólnéj budowie zarodka.

W tym celu St. Waryński bierze jajka kury w 4-m dniu wylęgania.

Wyciąwszy okienko w skorupie jajka i zwróciwszy ku sobie cienki jego koniec, widzimy delikatne kontury zarodka, przedstawiającego się pod postacią strzępka. Najważniejszą rzeczą jest dojrzéć kontury przedniéj części mózgu. Rozróżniać części potrafimy tylko

po nabyciu pewnéj wprawy i przy odpowiedniém oświetleniu,ześrodkowując za pomocą dużéj soczewki promienie światła na punkt badany.

Ażeby spowodować zatrzymanie się rozwoju przedniéj części mózgu, należy działać na nią mechanicznie, nacisnąć skalpelem, którego ostrze i koniec zostały umyślnie stępione. Wielkość powierzchni, na którą wywieramy ciśnienie, wpływa na powodzenie doświadczenia; siła i długość trwania ciśnienia powinny być również dokładnie wymierzone. Liczne próby wykazały, że niedostateczne ciśnienie nie sprowadza żadnych zmian, a zbyt silne lub za długo trwające—może zupełnie wstrzymać dalszy rozwój zarodka i być przyczyną jego śmierci.

Pośpiech w wykonaniu samego doświadczenia, zamknięcie hermetyczne okienka wykrojonego w skorupie zapewniają powodzenie doświadczenia. Otrzymany rezultat był następujący: zarodek rozwijał się daléj, objętość jego nie ustępowała objętości normalnéj. Obrót naokoło długiéj osi ciała wykonywał się prawidłowo i zarodek spoczywał na lewym boku; część głowowa jednakże uległa wielkim zmianom. Przednia część mózgu wstrzymana przez ciśnienie w rozwoju równała się pęcherzykowi średniemu, zgięcie głowowe miejsca nie miało. Obie części mózgu znajdowały się w téjże saméj płaszczyznie, ale odchyliły się od kierunku osi podłużnéj ciała w skutek nadmiernego wypuklenia grzbietu.

Na zasadzie powyższego doświadczenia wyprowadzić można wniosek, że dostateczném jest wstrzymać rozwój przedniéj części mózgu, aby przeszkodzić zgięciu głowowemu, co dowodzi, że zgodnie z teoryą mechaniczną zgięcie następuje zwykle pod wpływem większéj szybkości wzrostu przedniego pęcherzyka mózgowego względnie do innych części mózgu.

Jednocześnie z wstrzymaniem rozwoju przedniej części mózgu nastąpił niezwykle szybki wzrost części grzbietowéj i w skutek tego nadmierne skrzywienie osi ciała. W ciągu calego szeregu doświadczeń można było sprawdzić, iż zawsze wstrzymaniu rozwoju pewnéj danéj części zarodka towarzyszyła nadmierna szybkość wzrastania innéj części zarodka.

Dlaczego jednakże wstrzymanie rozwoju przedniéj części mózgu powoduje nadmierne wypuklenie części grzbietowéj? Doświadczenie wskazuje. że skrzywienie to następuje w skutek przyśpieszonego wzrostu odpowiedniéj części ciała zarodka. Co do saméj nierówności wzrastania, zależną ona być musi od siły odżywczéj, niejednostajnie rozłożonéj w różnych częściach materyału twórczego i wyraża się przez czynność komórek, zostającą w prostym do odżywiania sto-

sunku. Rozumie się, pierwotna przyczyna niejednakowéj czynności różnych grup komórek usuwa się z pod naszego badania, ponieważ można jedynie wykazać różnice w sile odżywienia i tych różnic bezpośrednie rezultaty, których wyrazem będą zmiany kształtu zarodka.

Mechaniczne prawo rozwoju znajduje zatém potwierdzenie w samym sposobie, w jaki powstają formy prawidłowe.

Przy pojawianiu się form zniekształconych odróżniać zawsze należy: po pierwsze, przyczynę powodującą zboczenie i po drugie, skutek téj przyczyny, wyrażony w potworności, powstającéj z sumy zmian zaszłych w całości zarodka.

Wstrzymanie rozwoju pewnéj części ciała zarodka może być jedynym rezultatem działającéj przyczyny, naprzykład: można otrzymać podwójność serca przy braku wszelkich innych anatomicznych zboczeń.

Potwory o sercu podwójném otrzymywał St. Waryński przez sztuczne ciśnienie wywierane w wyżéj opisany sposób. Ponieważ jednak ciśnieniu ulega zawsze pewna, stosunkowo dość znaczna powierzchnia, dlatego też przyczyny działające komplikują się i otrzymane zboczenia są po większéj części złożone.

Uczeni *Panum* i *Dareste* sztucznie otrzymywali potwory, w których podwójność serca łączyła się prawie zawsze z innemi zboczeniami. Zwykle też różnorodne zboczenia w budowie zarodka sprowadzały jego śmierć przedwczesną. Można jednakże sztucznie otrzymać serce podwójne bez innych anatomicznych nieprawidłowości zarodka; w takim razie dalszy jego rozwój postępować będzie zwykłym biegiem.

Pomiędzy 24 a 36 godziną wylęgania zarodek, rozwijający się prawidłowo, rośnie wzdłuż bardzo szybko, przedstawiając 3 do 4 kręgów pierwotnych; właśnie w tym okresie serce w pierwszych swoich zawiązkach przebiega najważniejsze zmiany w rozwoju. Widzimy wtedy na dwóch brzeżnych fałdach „jamki sercowéj“ dwa zgrubienia, otoczone przez dwie odnogi boczne, położone symetrycznie po obu stronach przewodu pokarmowego, przedstawiającego się w tym czasie pod postacią rozwartéj rynienki. W miarę tego, jak przewód pokarmowy przemienia się w kanał zamknięty, dwie rurki sercowe zbliżają się i tworzą jeden pojedyńczy organ. Połączenie to następuje za pośrednictwem warstwy mięśniowéj tworzącéj się z komórek średniego listka zarodkowego.

W zarodku, będącym w 36 godzinie wylęgania i posiadającym dziesięć kręgów pierwotnych, połączenie rurek sercowych jest już zupełne.

Chcąc sztucznie wstrzymać rozwój serca, bierze St. Waryński zarodek pomiędzy 24 a 36 godziną wylęgania. Chwila ta jest najodpowiedniejszą, ponieważ pojedyncze części już są widoczne i ułatwiają umiejscowienie mechanicznego działania, to jest ciśnienia wzdłuż długiéj osi ciała. Jeżeli przy sztucznem wylęganiu jajek, w skutek wysokiéj temperatury przyrządu ogrzewającego, dwie pierwotne rurki sercowe już się połączyły, wtedy doświadczenie się udać nie może. Jeżeli wszystkie warunki były zachowane, po paru dniach dalszego wylęgania jajek widzimy rezultaty następujące: otrzymujemy rozwinięte należycie potwory kurczęcia o sercu podwójném; potworność polega jedynie na tém, że pierwotne rurki sercowe nie mogły się połączyć, w skutek wstrzymanego rozwoju téj części, w któréj właśnie połączenie miało nastąpić. Serca zostają rozdzielone i rozwijają się niezależnie jedno od drugiego; przedstawiają się one pod postacią dwu rurek zgiętych, których wklęsłość jest zwrócona na zewnątrz. Następnie każde z dwu serc kurczy się i grubieje jednocześnie, bruzdy dzielące je na części stają się wyraźniejsze i pozwalają odróżnić przedsionek i komórkę. Istnienie podwójnego serca nie wpływa na całokształt zarodka, ani na opóźnienie jego rozwoju.

Wychodząc z zasady, że wszystkie potworności, otrzymane sztucznym sposobem, powstają w skutek wywieranego umyślnie ciśnienia i wstrzymanego przez to rozwoju, St. Waryński sądzi, że główną przyczyną potworności kurczęcia spotykanych w naturze, jest ciśnienie skorupki na żółtko.

Za hypotezą tą przemawiają doświadczenia, polegające na oziębianiu jajek w różnych okresach rozwoju.

St. Waryński pierwszy stawia pytanie: jakie zmiany zachodzą w jajku podczas oziębiania go.

Faktem jest, że obniżenie temperatury sprowadza zniekształcenie, sprzyja zatém powstawaniu potworów. Wycinamy okienko w skorupie jajka i wystawiamy je na działanie nizkiéj temperatury. Stopniowo w miarę oziębiania jajka żółtko coraz bardziéj się zbliża do okienka wykrojonego w skorupie. Pokrywająca żółtko warstwa białka staje się coraz cieńszą, nareszcie niknie zupełnie i żółtko wypływa ku powierzchni, czasem zbliża się do okienka w ten sposób, że wystaje poza skorupkę.

Po zamknięciu skorupki i ogrzaniu jajka żółtko powraca na swe dawne miejsce.

Oziębienie jajka, sprowadzając wypływanie żółtka ku powierzchni, staje się powodem ucisku materyi zarodkowéj (blastemu), zajmującéj wierzchołek żółtka, o skorupkę jajka.

Ponieważ kierunek ułożenia zarodka na żółtku bywa rozmaity, przeto skorupka wywiera ciśnienie na różne jego części; wstrzymanie rozwoju dotyka też różnych organów, w skutek czego przy jedném i tém samém oziębianiu jajka otrzymać możemy najróżnorodniejsze potworności. Pozytywne rezultaty sumiennych badań St. Waryńskiego potwierdzają w zupełności mechaniczną teoryą rozwoju, wyrażoną w prawie Hisa, i stanowią znakomity przyczynek do postępu nowéj nauki, traktującéj o prawach powstawania potworów, teratogenii, która jest dopełnieniem nauki czysto opisowéj, teratologii.

Pamiętnik fizyjograficzny. Tom V. Warszawa, 8⁰, 1885. Dział I str. 113; II str. 76; III str. 233; IV str. 74; V str. 111, i 24 tablic rysunków litograficznych.

Smutna ale niestety na niezbitych cyfrach oparta przedmowa do IV tomu tego wydawnictwa nie rokowała mu wcale świetnéj przyszłości, ba nawet mało było nadziei czy przedwczesny zgon na u nas tak panującą chorobę *„obojętność ogółu“*, nie pozbawi nauki naszéj znowu tego nader pożytecznego a tak dzielnie rozwijającego się wydawnictwa. Tém też miléj musieliśmy przyjąć pojawienie się piątego tomu, który formą i treścią nie tylko że wyrównał poprzednim, ale nawet w wielu względach znacznie je wyprzedził. Wydania jednak piątego tomu nie należy przypisywać jakiemuś przesileniu opinii publicznéj, zwiększenia ofiarności ogółu. Warunki się zupełnie nie zmieniły, ofiarność tylko pojedynczych jednostek się zwiększyła. Garstka ludzi poświęcająca osobiste interesa dla dobra ogółu zwalczyła wszelkie przeciwności, aby wnosząc znowu imponujący tom tego wydawnictwa, nie dać upaść tak użytecznemu dla kraju przedsięwzięciu. Czy długo jeszcze podobny stan potrwa, trudno przewidzieć. Rozpatrzmy się tymczasem bliżéj w tomie piątym, najlepiéj bowiem powie nam treść tegoż, czém on jest dla kraju i jak wielkie przynosi korzyści.

Dział I. Meteorologia i Hydrografia obejmuje oprócz licznego wykazu cyfr, wyniku nie tyle mozolnych ile wytrwałych badań meteorologicznych, bardzo interesującą pracę krytyczną p. Apol. Pietkiewicza *„Studyjum nad dziełem akademika p. Wilda: O temperaturze powietrza w cesarstwie Rosyjskiém“* (str. 50—102). Bystre i nader trafne uwagi naszego uczonego, wykazujące błędy lub też rozszerzające znacznie daléj horyzont zapatrywań p. Wilda, są jedną z tych coraz częściéj w nauce pojawiających się prac, które stosując wyniki długoletnich badań meteorologicznych, starają się już tłómaczyć codzienne otaczające nas zjawiska. Z każdym dniem coraz bardziéj

nagromadzający się materyał meteorologiczny, zbierany tak starannie nie tylko w Europie ale i na całéj kuli ziemskiéj, gdzie tylko stopa cywilizowanego człowieka zdobyła sobie punkt oparcia, daje dziś już wiele świetnych wyników, które wywierają dodatni wpływ na rozwój rolnictwa, przemysłu i handlu. Smutno pomyśléć, że przed założeniem „Pamiętnika fizyjograficznego“ kraj nasz na tym szeroko meteorologicznemi stacyami zasianém polu jaśniejąc zagadkową białością, niczém nie przyczyniał się do téj zbiorowéj pracy. Dziś już nie potrzebujemy wstydzić się przed zagranicą, a to dzięki gorliwości garstki ludzi. Tom obecny wzbogacili w tym kierunku spostrzeżeniami meteorologicznemi pp. J. Kowalczyk z Warszawy, J. Jędrzejewicz z Płońska, niewymieniony badacz z Lublina, oraz p. H. Cybulski spostrzeżeniami fitofenologicznemi z Warszawy. Oby ich ta długoletnia i wytrwała praca znalazła jak najwięcéj dla dobra naszego kraju naśladowców.

Dział II. Geologia z chemią. Mała co do objętości, doniosła jest swymi wynikami praca p. D-ra Jana Trejdosiewicza *„Kilka słów o budowie gieologicznéj i pokładach węgla brunatnego najbliższéj okolicy Krzemieńca“* (z 1-ną tabl.). Autor badając pokłady węgla brunatnego w okolicach Krzemieńca, którego wychodnie zauważył w Kuliczówce, w Podwysokiem i w Żołobach, obliczył tegoż przypuszczalną objętość na 220 milionów korcy, co licząc za korzec węgla po 10 kop., przedstawia ni mniéj ni więcéj jak wartość około 22 milionów rubli. P. Trejdosiewicz zwracając uwagę ogółu na te rodzinne zasoby, pokazał jedno ze źródeł dobrobytu, którego wyzyskanie powinno być zdaniem ludzi praktycznych. Rozprawa p. A. Michalskiego (*„Formacya jurajska w Polsce“* z 1 tabl.), który z polecenia komitetu geologicznego przedsięwziął poszukiwania w okolicy Częstochowy, Wielunia, Przedborza, obejmuje oprócz umiejętnie poprzedzonych badań nad tą formacyą u nas, także i rozszerzenie spostrzeżeń na kraje ościenne, przez co zyskał autor tak ważną w tego rodzaju pracach większą jasność zapatrywań i pewność na szerszych już podstawach postawionych wniosków. *„Nowe przyczynki do geognozyi Polski“* przez J. B. Puscha, przełożone z rękopismów pozostałych po autorze przez p. Bronisława Rejchmana, są dalszym ciągiem badań, które od czasu założenia „Pamiętnika fizyograficznego“ służą do wzbogacenia tegoż części geologicznéj. Rozprawka D-ra Józefa Siemiradzkiego *„Otwór świdrowy w Wildze nad Wisłą“*, jest jednym z tych drobnych materyałów, których zbieranie jest właśnie głównym celem „Pamiętnika“, a których doniosłość w obec licznych podobnych zapisków niezawodnie oceni przyszłość. Pan Br. Znatowicz w rozprawce swéj *„Rozbiory chemiczne wody

wiślanéj przez różnych badaczy wykonane", zestawiając dwanaście rozbiorów wody wiślanéj, czerpanéj w różnych czasach, podał materyał, którego zastosowanie tak umiejętne jak i praktyczne może być wszechstronne.

Dział III. Botanika i Zoologia. Niezmordowany na polu fizyografii kraju p. Kazimierz Łapczyński, którego cenne zapiski nagromadzając się z każdym rokiem, dają nam już dziś tak świetny obraz przez tegoż zbadanych okolic, podał w tomie tym „*Trzy notaty*", z których pierwsza, obejmująca „*Wycieczkę na Podole*" jest nietylko doskonałym wykazem tutejszego bogactwa roślinnego, lecz także w krótkich rysach trafnie scharakteryzowanym obrazem fizyognomii kraju oraz rolniczéj jego produkcyjności. „*Rośliny nadkubańskie*" są przedmiotem drugiéj notatki p. Łapczyńskiego, który przeniosłszy swe badanie w okolice Kaukazu, skorzystał z zebranych przez pannę Wandę Pławińską roślin, aby i w tych odległych okolicach dorzucić grudkę wiedzy do téj tak przez siebie umiłowanéj nauki. Notatka trzecia zawierająca „*Słów kilka o Bialskiéj puszczy*" jest lekkim odchyleniem zasłony pokrywającéj jeszcze po dziś dzień tamtejsze bogactwo flory — zachętą dla wszystkich tych, których szczęśliwy przypadek w tamte okolice rzuci. Z obudwu sprawozdań p. Karola Drymmera przedewszystkiém muszę podnieść pierwsze: „*Spis roślin zebranych w 1884 roku w powiecie Kutnoskim, w okolicach Żychlina, Kutna, Krośniewic i Orłowa*" (z mapą), dające nam obszerny wykaz roślin jawnokwiatowych z tamtejszych miejscowości. Pracę tę tém wyżéj cenić należy, ponieważ przez nią zdołał wreszcie autor uzupełnić tę dla nas pod względem naukowym tak nieprzyjemną pustkę, okolicy przedtém florystycznie zupełnie nietkniętéj. Rzecz druga, obejmująca „*Spis roślin zebranych na paru ekskursyach w r. 1880 i 1881 w okolicy Hanuszyszek*" jest podobnym do pierwszego materyałem, niedorównywującym mu jednak pod względem bogactwa. Praca p. Wł. Majchrowskiego „*Sprawozdanie z wycieczki botanicznéj do powiatu Ciechanowskiego i Mławskiego w czasie letnich wakacyi w r. 1884*" (z mapą), wyjaśnia znowu jednę z tych najczarniejszych plam, na znanéj polskim florystom, mapce p. Łapczyńskiego. Tu i owdzie rozrzucone po spisie roślin litery *P. D.* są dla nas dowodem tego cichego acz gorącego zamiłowania badań nad roślinnością naszego kraju, jakie obecnie coraz częściéj spotykamy u naszych pań. Piękny bowiem zielnik własnego zbioru panien Drewnowskich ze wsi Grzybowa dozwolił uzupełnić autorowi swój opis roślin formami wiosennemi, które dla przyjezdnych badaczy najczęściéj są nieprzystępne. Rozprawa p. A. Ejsmonda „*Sprawozdanie z wycieczki botanicznéj, odbytéj w Opoczyńskie w lecie*

1884 r.“ (z mapą), wyczerpujące prawie swój temat, jest bardzo interesującym nabytkiem dla naszéj florystyki, prócz bowiem bogatego opisu roślin dodaje jeszcze autor jako nader korzystne uzupełnienie całości krótką charakterystykę zbadanéj okolicy. Prace p. Maryi Hempel „*Spis roślin jawnokwiatowych dziko rosnących w Słupi nadbrzeżnéj*“, oraz „*Spis rzadszych roślin jawnokwiatowych rosnących w Teresinie*“, odznaczające się nie tylko nader wielkim bogactwem zebranych roślin. ale podające także dla naszéj flory rośliny zupełnie nowe, są jéj tak świetnym pierwszym występem na tém polu, iż mimowolnie nasuwa nam się myśl, ile zyskać może nasz kraj i nauka, jeżeli i nadal równie gorąco zajmie się ta pani tym przedmiotem. „*Wiadomość o śluzowcach znalezionych w latach 1878—83*“ tak bardzo już dla naszéj flory zasłużonéj pani Maryi Twardowskiéj, jest pierwszą pracą w tym kierunku jaka się dotychczas w „Pamiętniku“ pojawiła. Śluzowce jak wszystkie najniższe organizmy wymagają, już do ich zbierania i badania więcéj przygotowawczych studyów, niż inne rośliny, przez co téż w ogóle zajęcie się niemi nie tylko u nas ale i w całéj Europie jeszcze jest w dosyć niskim stopniu. „*Dodatek do spisu roślin znalezionych w okolicach Szemetowszczyzny na Litwie*“ pióra tejże saméj autorki, jest uzupełnieniem spisu wydanego w IV tomie „Pamiętnika.“

Z prac zoologicznych muszę przedewszystkiém podnieść rozprawę Dr. Henryka Dziedzickiego. „*Przyczynek do fauny owadów dwuskrzydłych*“ (z 6 tablicami), obejmującą wykaz dwóch nowych, przez autora nazwanych rodzajów i 26 nowych gatunków, z których kilka poświęcił autor naszym uczonym ks. Grzegorzkowi, Radoszkowskiemu, Wańkowiczowi i Wrześniowskiemu. Nader dokładne łacińskie i wyczerpujące polskie opisy obok wybornych licznych rysunków stworzyły całość, która nie tylko wzbogaciła znajomość rzeczy fauny krajowéj ale stała się także dla nauki w ogóle cennym nabytkiem. Te same uwagi odnieść mogę i do rozprawy p. Zygmunta Fiszera „*Materyały do fauny krajowych skorupiaków liścionogich*“ (z 5 tab.), który opisał i ilustrował 4 nowe gatunki krajowych skorupiaków. Jedynym zarzutem, jaki mogę autorowi zrobić, jest brak przynajmniéj krótkich dyagnoz łacińskich, które przy opisie nowych form uważam za nieodzowne. Rzecz p. Fryderyka Osterloffa „*O chrząszczach krajowych*“ jest dalszym ciągiem tego olbrzymiego wykazu, który zacząwszy od drugiego, ciągnie się przez wszystkie tomy „Pamiętnika.“ Praca p. A. Wałeckiego „*Materyały do zoografii krajowéj. Micromammalia, drobne zwierzątka ssące*“ jest jedną z tych nader pouczających rozpraw, tego tak wielce dla naszéj

fauny zasłużonego badacza, które oprócz samego wyliczenia naszych drobnych ssaków, przez dodanie krótkich ale trafnych ich opisów dozwalają i ludziom mniéj fachowym robić daléj spostrzeżenia w tym kierunku. Równie interesującą jest notatka tegoż autora „*Żubr* i *bóbr*“, widzimy z niéj bowiem, iż niestety zwierzęta te rzeczywiście zagrożone są zagładą. Żubr żyje obecnie tylko w dwóch miejscowościach na świecie w Puszczy Białowiejskiéj na Litwie i na Kaukazie w Abchazyi. W r. 1815 było wedle urzędowych wykazów u nas tylko około 300 sztuk żubrów, do roku 1857 wskutek troskliwéj opieki ilość ich wzrosła do cyfry 1898 głów, obecnie jednak znacznie się znowu zmniejszyła, tak że w roku 1871 było tylko 528 sztuk a obecnie podobno tylko 500. Z czego widać, że przy zaniedbaniu opieki nadejść mogą groźne dla żubrów czasy. Osuszenie błot poleskich nie rokuje wcale miłéj przyszłości tam mocno zagnieżdżonym bobrom; czy one utrzymają się na tém już jedyném tylko europejskiém stanowisku jest rzeczą wielce niepewną. Dzisiejszy stan ich jednak jest jeszcze bardzo dobry, w samych bowiem dobrach Słuckich mamy przeszło jeszcze 500 sztuk.

O pracach *Działu IV Antropologicznego*, będzie mowa osobno niżéj.

Dział V Miscellanea. Prawdziwą ozdobą tego dodatku jest wyczerpująca rozprawa ks. Władysława Massalskiego „*Szkic klimatu i jawnokwiatowéj flory Druskienik*“ (z mapą). Oprócz nader licznych dat metereologicznych oraz bardzo obszernego spisu roślin, podał jeszcze autor studyum porównawcze nad klimatem tamtejszéj okolicy i nader trafną charakterystykę roślinności. Pod wieloma względami wyczerpująca ta praca jako skończona całość może prawdziwie służyć za wzór robot tego rodzaju. Praca p. W. Nałkowskiego „*Jeziora Lepelskie w systemie Berezyńskim*“ (z mapą) obejmuje oprócz pomiarów tego jeziora jeszcze i dokładny opis tegoż. Starannie wykonana mapka jest uzupełnieniem tego nader systematycznie i starannie przeprowadzonego badania. P. Józef Rostafiński, który obecnie zajmuje się naszą przeszłością botaniczną przedstawił w tym kierunku „*Spis roślin znalezionych przez prof. St. Cyrynę Dogiela z uczniami szkoły Wojewódzkiéj Sejneńskiéj w okolicach Sejn, od r. 1827—1830*“. Obszerny ten spis, przepełniony, wieloma na owe czasy nowymi dla Królestwa gatunkami, jest nie tylko cennym dodatkiem do florystyki krajowéj, lecz także prawdziwém acz późném uznaniem działalności prof. Dogiela. „*Spis paproci krajowych*“ Dr. Fr. Kamieńskiego oprócz kilku nowych stanowisk dla dawniéj już znanych paproci, nie przynosi nic nowego dla flory krajowéj.

Tyle o saméj treści tego tomu. Bogactwo materyału zmusiłoby mnie wprawdzie znacznie obszerniéj niektóre z prac jeszcze omówić, podnieść zasługę bardziéj niż to zdołałem; nie robię jednak tego, wiem bowiem, że znajdzie się wielu czytelników, którzy zainteresowani poznaniem własnego kraju, będą się starali sami bliżéj rozejrzéć w tém interesującém wydawnictwie. Pominąwszy już bowiem przyrodników lub wszystkich tych, którzy nauki te tylko z zamiłowania pielęgnują, tak rolnik jak i przemysłowiec znajdzie tam rozsiane dla siebie wiadomości, które mogą znaleść praktyczne zastosowanie. Poznanie fizyografii kraju jest najważniejszą podwaliną dobrobytu. Tam bowiem gdzie klimatolog, geolog i botanik idą ręka w rękę dla poznania składu i urodzajności ziemi, stanu i zmienności powietrza, plenności zwierząt lub roślin, już-to szkodliwych, już to użytecznych, tam tylko szukać należy tych nieocenionych wyników, dających normalne, niczém niewzruszone, bo naturalne podstawy dobrobytu krajowego. Na wydawnictwo więc „Pamiętnika fizyjogr.“ należy patrzéć i z praktycznéj strony, bo i cel, jaki sobie wydawcy postawili, jest przedewszystkiém przez gruntowne poznanie kraju podniesienie jego dobrobytu. Że i czysta umiejętność przez to skorzysta, samo się przez się rozumie.

Wydawnictwo „Pamiętnika fizyogr.“ podjęła u nas garstka ludzi dobréj woli, którzy najzupełniéj bezinteresownie, ba nawet z wielkiém poświęceniem nieraz, gromadzą tam bogaty materyał, walcząc ustawicznie z deficytem, a co gorsza z obojętnością ogółu. Smutne by mi wypadło oddać świadectwo własnemu krajowi, gdybym w tym razie musiał powoływać się na obcych i ich przykładem pobudzać do większéj ofiarności. Sądzę więc, że przyczyna téj obojętności, z jaką „Pamiętnik“ przyjęły nasze kola wykształcone, leży raczéj w zapomnieniu lub w prostéj niewiadomości o jego istnieniu, niż w tak przykrém a dla nas bardzo upokarzającém niezrozumieniu jego celów lub w braku dobréj woli. Pomińmy jednak stronę praktyczną, oprócz niéj bowiem jest jeszcze inna, która powinna nas już zmusić do poparcia tego wydawnictwa, a tą jest po prostu ambicya narodowa. Fizyografia ma jeszcze szersze znaczenie, pole jéj nie kończy się po za granicami kraju — jest-to bowiem umiejętność międzynarodowa, któréj wysokie cele, jedynie na drodze ogólnego współdziałania mogą być dopięte. W całéj Europie oddawna nie ma kraiku, nie ma prowincyi, gdzieby tego rodzaju materyałów na większą lub mniejszą skalę nie zbierano. Przed laty téż pięciu, gdy nauka ta nie znajdowała uwzględnienia nad brzegami Wisły i Prosny, większa część problemów naukowych rozbijała się o brak materyałów fizyograficznych z Królestwa. Rumieniliśmy się za własne braki, nie mając

ochoty ich naprawić. Czy obojętność ogółu i nadal ma wyróżniać kraj nasz piętném nieuctwa? Mamy dziś „Pamiętnik fizyjogr.“, wydawnictwo tak umiejętnie prowadzone, że i w piśmiennictwach zagranicznych zwróciłoby na się uwagę. Szczupłe grono ludzi dobréj woli uczyniło zadość ambicyi narodowéj, — czy nie byłby już czas wielki zrozumiéć i ocenić to ich poświęcenie i pomódz tam, gdzie pomoc jest wyraźnym obowiązkiem. Smutno bardzo byłoby, gdyby tylko 150 osób znalazło się pomiędzy nami, któreby zrozumiały wysoki cel tego wydawnictwa, a niestety dotychczas taką jest tylko cyfra osób, które wniosły przedpłatę na tom V „Pamiętnika fizyjograficznego“ (1).

Wiedeń, w lutym. *Dr. Ign. Szyszyłowicz.*

Dział IV „Pamiętnika fizyjogr.“ poświęcono Antropologii. Pierwsze tu w kolei miejsce zajmuje króciutka notatka o *Urnie twarzowéj z Sokołowa*, podana przez p. J a n a Z a w i s z ę (z 1 tabl.). Znaleziono ją przy oraniu, w grobie z płyt kamiennych, w Sokołowie, ku południowi od Brześcia-Kujawskiego, przy staréj drodze do Łęczycy. Ponieważ ani p. Zawisza, ani nikt inny cmentarzyska tego nie badał, a znalezienie urny twarzowéj w granicach Królestwa jest pierwszym tego rodzaju odkryciem, przeto wszelkie hipotezy w tym razie uważać można za przedwczesne. — Pan T y m o t e u s z Ł u n i e w s k i opisał *Starożytne żarna w Polsce*, to jest bryły kamienne, mające po jednéj stronie owalno-kuliste zagłębienie. Mamy tu podane wymiary 32 żarn znalezionych w pow. Mazowieckim, Łomżyńskim, Pułtuskim, Węgrowskim i Sokołowskim, a znajdujących się w zbiorach pp. Glogiera, Jamiołkowskiego, Łuniewskiego i Przyborowskiego. — Dr. J. L. K o z ł o w s k i zebrał *Ludowe nazwy niektórych roślin z Prus Królewskich*, rzecz interesująca dla naszych florystów i językoznawców. — Stały współpracownik „Pamięt. fizyjogr.“ p. J a n K a r ł o w i c z dostarczył do tomu V-go poważną rozmiarami rzecz *O imionach własnych polskich miejsc i ludzi*. Prace p. Karłowicza odznaczają się zawsze sumiennością, istotném znawstwem rzeczy i trafnością spostrzeżeń. Stosuje się to w zupełności i do obecnéj rozprawy. Nie mogąc jéj tu ani rozbierać ani streszczać, poprzestaniemy na kilku luźnych uwagach. Wśród materyałów, podających nazwy miejscowe, pominięto „Tabellę miast, wsi i osad Król. Pols.“ z r. 1827, „Opisanie historyczno-statystyczne Wielkiego Księztwa Poznańskiego“ (Platera), wyd. Bobrowicza z r. 1846, oraz „Opis

(1) Prenumeratę w ilości rsr. 5 a z przesyłką rsr. 5 kop. 50 można nadsyłać pod adresem: Wydawnictwa Pam. Fiz. Warszawa, Podwale 2.

powiatu Radomskiego przez ks. Franciszka Siarczyńskiego", wyd. Tym. Lipińskiego 1847 r. — gdzie są zebrane nazwy, jak się zdaje, wszystkich miejscowości w odnośnych terytoryach; wreszcie „Rzeki i jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrograficznéj dawnéj Słowiańszczyzny przez W. K" (Warsz. 1883). Sądzę, że Bochnia i Leszczyc nie mają nic wspólnego z osnową *Bol*, pierwszą raczéj by zbliżyć można z wyrazem *bochen*, drugi zaś jest dowodnie synonimem nazwy *Laski*, *Laska*. Wywód nazwy Pieskowéj Skały od imienia ludzkiego Piesko daje się poprzéć tém, że zamek ten posiadali Szafrańcy, używający przeważnie imienia Piotr. Dzisiejsza nazwa Inowrocław jest późném przekręceniem pierwotnéj Juny Włodsław. Oleśnica nie pochodzi od Aleksandra lecz od olchy, olszy, jak Brzeźnica, Dębnica, Wierzbica, Sośnica. Nazwisko Odachowski może zamiast zbliżać z imieniem Adam, wypadało uznać za pochodzące od Ołdakowski lub od wsi Odęchów. Mińsk, Mieńsk, jest zapewne utworzony z nazwy rzeki (Mienia wpada do Swidru, Mień w Dobrzyńskiem). Jeśli Domarad jest pochodzenia niemieckiego, gdzież będziemy szukać kolebki dla Domasława i Domamira. Wątpić wolno, aby imię Giedko było zdrobniałem od Gedeon. Gród wielkopolski Gdecz, Giedcz, widocznie wziął nazwę od imienia Giedki (jak Sądcz od Sądka), Gallus wymienia go między czterma głównemi najludniejszemi grodami Chrobrego, nie mógł więc być świeżéj fundacyi, a pochodząc z czasów pogańskich, nie mógł też miéć chrześcianina swym założycielem. Do imienia Konrad odnieść należy nazwę wsi Kondrajec, dawniéj Kondradziec. Wbrew wywodowi autora, dajemy pierwszeństwo imieniowi Bezdziad znanemu z aktów, przed Bezdziękiem, którego ani razu nie spotkaliśmy; brak śladów brzmienia nosowego ma tu pewną siłę dowodową; inaczéj, formy: Biezdziedza i Przezdziatka trudno byłoby sobie objaśnić. Przy imieniu Teodor dodać można formy Cedro, Czadro i pochodne od nich. Imię Tomisław jest, według mego zdania, zesłowiańszczoną postacią Tomasza, jak Janisław—Jana, Benisław—Benedykta. Imię Skorogost jest prawdopodobnie mylnie odczytane Starogost lub Szarogost. Formy Ziemiomysł, Ziemirad, Ziemowit, w książkach naszych stale powtarzane, należałoby podobno wykreślić z szeregu imion słowiańskich, jako arcywątpliwe, a natomiast wprowadzić formy prawdziwe Siemisław, Siemirad, Siemowit. Od osnowy *ziem* mamy tylko jedno imię udowodnione, Ziemięta, i pochodną od niego nazwę Ziemięcin; osnowę *siem* poprzéć można imionami Siemian, Siemak, oraz licznemi nazwami miejscowości. Siemiaszko, zdrobniale imię księcia mazowieckiego, nie może przecież pochodzić od Ziemowita. Przy sposobności zaznaczamy, że imię innego księcia mazowieckiego, Wańko, ucho-

dzące za zdrobniałe od Wacław. jest rzeczą niemożliwą: imię to znajdujemy raz w formie Wancko, w téj bezwątpienia postaci znalazł je i Długosz, a odczytawszy z niemiecka Wanko, wprowadził na mylną drogę twórcę Wańka. — W końcu nie możemy zamilczyć tego, że w rozprawie, dotyczącéj nazw miejscowości polskich, obok lingwisty Miklosicza, winno się było znaleść nazwisko jednego z naszych historyków: mówię tu o prof. Tadeuszu Wojciechowskim, autorze „Chrobacyi.“ *St. Ł.*

= Ogłoszone dotychczas „Rozprawy i sprawozdania wydziału filologicznego Akademii Umiejętności“ w Krakowie w 10-ciu tomach zawierają wiele bardzo ważnych i niezbędnych dla każdego badacza języka polskiego rozpraw naukowych. Godném jest zaznaczenia, że wydawnictwo to, ze wszech miar dla filologii polskiéj pożądane, coraz szerzéj i pomyślniéj się rozwija. Obecnie, wskutek nagromadzenia się prac drukują się tomy XI i XII jednocześnie, a niektóre z rozpraw i monografii tam pomieszczonych ukazały się już w osobnych odbitkach. Do takich należą: obszerna praca dyalektologiczna p. *Jana Bystronia* „O mowie polskiéj w dorźeczu Stonawki i Łucyny w księstwie Cieszyńskim“ (w Krakowie, 1885, str. 110, odbicie z XII tomu Rozpraw wydz. fil. Ak. Um.). W pracy téj mamy przedstawione właściwości mowy ludu polskiego tak zwanych *Lachów*, zamieszkujących niegórzysty pas księstwa Cieszyńskiego nad rzekami Stonawką i Łucyną. Po dokładném, systematyczném ugrupowaniu właściwości téj mowy i opatrzeniu ich pouczającemi objaśnieniami, dołącza autor kilka wzorów języka w prozie i pieśni, nieco przysłów i zagadek ludowych; w końcu słownik (85—108) wyrazów miejscowych. Rzecz wykonana umiejętnie, podług metody naukowéj, którą autor zawdzięcza swemu profesorowi dr. L. Malinowskiemu. Jemu też, jako „wdzięczny uczeń“ pracę swą poświęca.— *Dr. Jan Hanusz*, docent uniwersytetu wiedeńskiego, ogłasza rzecz „O książce do nabożeństwa króla Zygmunta I, w rękopisie monachijskim.“ (Odbitka z t. XI Rozpraw wydz. filolog. Akad. Um. str. 103, w 8-ce). Rękopis książki, będącéj przedmiotem niniejszego studyum, nosi tytuł *Szczyt duszny* i jest tłumaczeniem łacińskiego „Clypeus spiritualis“ (którego innym przekładem jest także stary druk krakowski p. t. „Tarcza duchowna“, Ungler 1533?), a nie ma nic wspólnego z broszurą teologiczno-polemiczną Grzegorza z Żarnowca p. t. Clypeus albo Tarcz duchowna i t. d. Sam rękopis książki króla Zygmunta I znajduje się w bibliotece uniwersyteckiéj w Monachium. Skopiowanie tego rękopisu w celu ogłoszenia go w całości było celem podróży d-ra Jana

Hanusza w r. 1882, do Monachium odbytéj. Gdy jednak okazało się to na miejscu niemożliwém, wskutek odmowy naczelnego bibliotekarza prof. P. Roth'a, dr. Hanusz, korzystając tylko z pozwolenia obejrzenia rękopisu i robienia pewnych z niego wyciągów, ograniczył się na wynotowaniu tego wszystkiego, co w treści rękopisu znalazł ważnego dla historyi języka polskiego, i na podstawie tych wynotowań podaje: w 1-éj części swéj pracy treść wewnętrzną zabytku monachijskiego w porównaniu z innemi podobnemi przekładami; w części zaś 2-éj przedstawia właściwości staropolszczyzny w tym zabytku przechowanéj, a noszącéj wiele znamion języka z wieku XV-go. Przymiot gruntownéj znajomości rzeczy, charakteryzujący poprzednie prace językowe autora, jest wybitném znamieniem i tego nowego przyczynku do badań nad historyą polszczyzny.

Ad. Ant. K.

= W grudniu z. r. miał w Wrocławiu na posiedzeniu *Towarzystwa starożytności szląskich* profesor dr. Crampe bardzo zajmujący wykład o *zabytkach archeologicznych, w żalnikach kaukaskich znajdowanych*, z czego dla ważności przedmiotu podajemy co następuje. Prelegent podniósł na wstępie ważność Kaukazu jako siedliska kultury w zamierzchłéj, przedhistorycznéj przeszłości i przyznał, że bardzo skąpemi są dotąd wiadomości odnośne, gdyż mało stosunkowo badaczy uczyniło krainy Kaukazu przedmiotem ścisłych badań archeologicznych. Pierwszym i niezawodnie najgłówniejszym i najzasłużeńszym pracownikiem na polu odkryć starożytniczych w téj krainie jest— zdaniem prelegenta, Fryderyk Bayern z siedmiogrodzkiego Hermanstadtu. Z Tyflisu podejmował on zrazu ekskursye przyrodnicze i zupełnie przypadkowo poczynione odkrycia niektórych starożytności wprowadziły go na tory poszukiwań archeologicznych. Zorganizował on tam nieliczne grono osób w towarzystwo, rozbudziwszy poprzednio w nich interes do starożytności tamecznych; osoby te dostarczały środków do szukania i odsłaniania z ziemi zabytków. Bayern systematyzował i gromadził troskliwie znalezione okazy, a następnie (1881) z muzeum kaukaskiém takowe połączył. Już w r. 1872 ogłosił on częściowo wynik usiłowań swoich na Kaukazie w berlińskiéj „*Zeitschrift für Ethnologie*“. potém w „*Mittheilungen der Anthropologischen Gesellschaft in Wien*“ (1874) i znowu w wyżéj wymienioném piśmie berlińskiém (1878). W r. 1881 bawili w Tyflisie, z powodu zebranego tamże kongresu antropologicznego, panowie Virchow z Berlina i Chantre z Lyonu. Obaj skupowali i zbierali gorliwie starożytności miejscowe, a następnie obszerne o nich podawali referaty i uwagi w osobnych drukach. Ze współdziałaniem Virchowa wydał Bayern 1885 r. główne sprawozdanie, tyczące się grobów i za-

bytków kaukaskich („Gräber und Schatzfunde in Kaukazien“). Prelegent wrocławski wziął sobie za zadanie, tylko o jednėm z czterech najważniejszych żalisk kaukaskich podać szczegóły, mianowicie o tak zwanėm *obozowisku Redkina*. Znajduje się ono w wyższéj dolinie Akstafy, pobocznéj rzeki Kury, 6 wiorst na północ od miasteczka Delirhan. Nazwę swą zawdzięcza wspomniony żal szefowi komisyi drożnéj, pułkownikowi Redkinowi, który tutaj, nad głównym traktem do sąsiedniéj Armenii obóz swój rozbił. Tu więc rozpoczął p. Bayern (1879) poszukiwania archeologiczne. Przedhistoryczne groby tutejsze leżą rzędami, a są trojakie co do rozmiarów: dla mężczyzn, niewiast i dla dzieci. Każdy grób składa się z 9 grubych płyt kamiennych, z których dwie leżą wierzchem. Odpowiednio do wielkości grobów są rzeczone płyty 2—5 stóp szerokie, a 3—8 stóp długie i stanowią skrzynie. Jednym z wąskich boków, zwykle ku południo-wschodowi położonym, wsuwano trupa do grobu, otwór kamieniami potém zakładając. Każdy skielet spoczywa na środku przestrzeni wewnętrznéj, oparty plecami o pewną ilość naczyń glinianych, niegdyś płynem napełnionych, gdyżby w innym razie przez nacisk opartego nieboszczyka musiały się naczynia owe powywracać. Prócz tego znajduje się w każdym grobie udo bydlęce, często głowa barania lub kozia i rozszczepione drewko. Broń leży po lewéj stronie pochowanego. Z 86 grobów tylko 22 było nietkniętych; wszystkie inne złupione. W bliskości grobów zawsze się znachodzi popiół, kości i skorupy gliniane, z czego można wnioskować, że się i tu przy chowaniu zmarłych odbywały stypy pogrzebowe. Ludzie tu grzebani byli typu dolichokefalnego (długogłowego) o harmonijnym składzie członków, średniego wzrostu i dość dobréj tuszy, jeżeli wolno tak sądzić z jedynego pasa, jaki znaleziono. Ze szczątków zwierzęcych znaleziono rodzaj buławy z rogu jeleniego, resztki skorupiaków i małżowin (konch); z utworów roślinnych: resztki chleba, odciski podbiału (Tussilago), tkanki z roślinnego włókna, drzewo i bursztyn. Z powodu znajdowania bursztynu chciano się dopatrzyć pewnéj styczności pogrzebanych tu mieszkańców doliny nadakstafijskiéj z morzem Bałtyckiém. Bayern twierdzi wprawdzie, że się bursztyn, lecz w małych kawałkach tylko na Kaukazie i nad morzem Czarném znachodzi; uderzały więc większe, miano je przecież za masę kalofoniową. Virchow jednak dowiódł, że 6 większych kawałków rzeczywiście są bursztynem i że się od bursztynu nadbaltyckiego nie różnią. Okoliczność więc ta otwiera powyższemu przypuszczeniu dalszą drogę. Z kamieni znaleziono *obsydyan*, a raczéj wyrobione zeń ostrza do strzał (8 sztuk) i coś podobnego do skrobaczek, nadto znaleziono dużo tego minerału w odpadkach; dalej paciorki *karniolo-*

we, w jednym jedynym grobie aż 5000. Karniole znachodzą się zresztą tylko w grobach z czasów Karolingów i w bizuteryach arabskich. A nareszcie znaleziono piłę z felzytu i jakąś felzytową dźwignię (?). Często znachodzą się w kaukaskich grobach przedhistorycznych naczynia gliniane. Materyał, z którego je wyrabiano, znajduje się zwykle w bliskości. Naczynia te, ciemnéj pospolicie barwy, słabo są wypalone, z połyskiem zewnętrznym, z jednostajnemi ozdobami i równego rodzaju i stylu. Jedno lub dwukolorowe *szkiełka* w kształcie pereł, słupeczków, tabliczek i obrączek zachodzą w tamtejszych grobach bardzo licznie. Dotąd znaleziono w żalu na obozozowisku Redkińskiém okazów karniolowych 1536, szklanych 1072. W bardzo wielu razach natrafiono na przedmioty z *bronzu*, a mianowicie znaleziono 3 puginały z tego metalu, 75 rozmaitych obrączek, łańcuch z medalionem, najszyjniki z licznemi wiszącemi u nich ozdóbkami i 3 *żelazne* groty od dzid. Najwięcéj zainteresowały archeologów przedmioty z *antymonu*. Zrazu miano je za ołowiane; dopiero Virchow, któremu zabytki te nie wyglądały na to, poprosił chemika Salkowskiego, aby je naukowo zbadał, co okazało, że rzeczywiście mylnie uchodził tam antymon za ołów. Odkrycie to nie małéj jest wagi, ponieważ ani Grecy, ni Rzymianie kruszcu tego nie znali, a tylko w grobach obozowiska Redkińskiego antymon się znalazł. Z kruszcu tego wyrobione przedmioty są paciorki walcowate słupeczki, tabliczki i naszyjniki. Zkąd przedhistoryczni mieszkańcy Kaukazu antymon mieli, dojść dotąd nie było można. Bayern twierdzi, że kruszcu tego na Kaukazie, nie ma; inni przeciwnego są zdania. W muzeum wrocławskiém starożytności szląskich poddano próbie chemicznéj wszystkie tamtejsze okazy archeologiczne, które za ołowiane dotąd uważano, i pokazało się, że jedna tylko sztuka była z cynku, wszystkie inne z ołowiu. A więc antymonowych zabytków wcale tam nie ma. Trzy rzeczy charakteryzują wykopaliska z obozu Redkińskiego: 1) że pomiędzy niemi znajduje się dużo wyrobów z antymonu; 2) że również tam dużo przedmiotów z bronzu i ze szkła i 3) że absolutnie niema tak zwanych *fibul*. Bardzo wiele kaukaskich zabytków starożytności ma wspólne cechy z okazami archeologicznemi, w ziemi nadodrzańskiéj znalezionemi; widać to mianowicie w dziale pierścieni i obrączek bronzowych. Stwierdzono to przez porównywanie ilustrowanych wyobrażeń wykopalisk kaukaskich z okazami szląskiemi. O rasie pogrzebanych ludzi na żalach, przez Bayerna badanych, nic na razie pewnego powiedzieć nie można. Liczne zabytki resztek naszych zwierząt domowych, w grobach tamtejszych się mieszczące, pozwalają wnosić, że ludzie owi hodowaniem bydła się trudnili i że już konie, owce, kozy i nierogaciznę posiadali; za to

psa i kota nie ma ani śladu. Po wykładzie prelegenta wywiązała się żywa dysputa, podczas której zwracano uwagę na podobieństwo przedhistorycznych grobów kaukaskich do grobów znajdujących się w Prusach. *J.*

Replika E. Swieżawskiego panu Wł. Smoleńskiemu

na jego krytykę „Rozmów o dawnych dziejach."

Nieprzeczę, że książka moja niejest wolną od błędów, ale i krytyka pana S. takąż niejest. Starając się być najzwięźlejszym, zreasumuję tylko to, co uwagom sz. krytyka odejmuje cechę zupełnego spokoju i bezstronności, istotnie sędziowskiéj.

1° Czemu sz. krytyk tak hojny w wytykaniu błędów, usterek, itd. teł cywilizacyjnych, nie powiadomił autora i czytelnika, czy jest toż samo w opowieści dziejów politycznych, wojennych..... Milczenie jeszcze tu niczego nie dowodzi, i jeżeli jedni będą obie części pracy uważać za równo złe, drudzy mogą inaczéj sądzić. Należało być wymowniejszym, zupełniejszym, *choćby w naganie.*

2° Zarzucając mi *chaos* w układzie. sz. krytyk powinien był koniecznie sam go unikać: *a*) stawiając w krytyce rzeczy różnoczesne tak, jakby do siebie u mnie należały (str. 558—August III, Ciołek za Jagiełły) lub czytając książkę w dziwnym nieładzie np. pyt. 522, pyt. 166, str. 231, 218, 230; pyt. 447, 354, 356, str. 400, 399, 278, 235; i 135, 153, 332. Tak czytając, jak wskazują cytaty, z początku i końca książkę, można splątać się samemu w zdaniu o niéj. *b*) Stawiając mi wręcz przeciwne żądania i zarzuty tak, że mimo najlepszéj chęci niemogę im zadośćuczynić, pan Smoleński udawadnia. że i w jego krytycznych postulatach istnieje chaos jakiś, mogący źle świadczyć o... bezstronności jego. Tak np. oświadcza, że „gotówbym dyplomatami popierać istnienie człowieka", co wskazuje we mnie nałóg zbytecznych cytat, jednak może usprawiedliwiony w rozprawach specyalnych. Zaraz poniżéj w „Rozmowach," w podręczniku, uważa za błędne, że „nie cytuję źródeł," co byłoby znowu stanowczo błędem (1). *c*) Sz. krytyk z omyłek druku wyciąga wniosek, że skoro fakty sprawdzone podaję mylnie, to trudno wierzyć „nieumotywowanym poprawkom." Pomijając kwestyę motywowania, (jak źródła niemożebną w podręczniku), zaznaczam trzeci dowód chaosu w po-

---

(1) *Ściśle mówiąc,* np. w pyt. 356 cytowani są, Marcin Bielski, Górnicki, Rej i in. jako *źródła* do zwyczajów XVI w., co milcząco protestować miało przeciw opinii Czarnockiego et tutti quanti dowodzących, że łacina i katolicyzm zatarły pogańskość i słowiańskość u nas i że wiek XVI odwrócił się do literatury ludowéj tyłem.

jęciach sz. krytyka, polegający na mięszaniu eraty drukarskiéj z dowodami naukowemi.

Może pan S. nie znać rozprawki ks. Wł. Siarkowskiego (*Ognisko domowe* 1876 N. 13—19) w któréj postawiono hypotezę konia Swantowitowego w dziejach Szczodrego, lub niezgadzać się na jéj wywody, przyjęte przezemnie; co do liberum veto w XIV w. wolno panu S. nie znać lub nie wierzyć opinii Szajnochy lub Szujskiego w tym względzie; ale wówczas nie godzi się téj swojéj umyślnéj lub istotnéj nieświadomości co do źródeł autora. mieszać z omyłką np. grubą, co do paktu 1374, zwanego błędnie przezemnie (str. 192) korczyńskim *nb.* w pytaniu 234, a w *pyt. 235 na téj saméj stronie* z *mylną datą 1371 koszyckim*—Sz. krytyk téj szczególności ani zauważyć chciał, ani podał czytelnikowi jego recenzyi, jako materyału do uniewinniających mnie może z takich omyłek uwag. W żadnym zaś razie panu S. nikt nie przyzna, żeby omyłka w rzeczy znanéj, *eo ipso* przesądzała naturę rzeczy nieznanéj. Budzić podejrzenie powinno, zmusza co najwięcéj do sprawdzenia i krytyk to czynić powinien a rezultat gotowy podać czytelnikowi. Będzie za to chaosem na punkcie pojmowania roli krytyka rzucać oskarżenia, właściwe i czytelnikowi niefachowemu, a świadczące tylko o granicach czy wiedzy czy ochoty krytyka do sprawdzań. Taki wniosek byłby tém możliwszy, że o Ciołku zrobił za mną cytat, a nie widzi, że „osłem“ *Rozmów* jest myłką zam. orłem, a w p. 93 nie domyślił się Gallusa, spolszczonego..... *d*) Pan S. cytuje to strony, to pyt. przez co dwoją się moje złe pytania (p. 447).

3° Szanowny recenzent chcąc wykazać, że moja książka nic nie jest wartą, nie podał nic na jéj korzyść, choćby z usiłowań wyrażonych przez system odsyłaczy (pytań do siebie) i wskazań kierunków w rządach pojedynczych króli i w epokach. Za to był łaskaw, obok błędów znalezionych w méj książce, włożyć na mój karb *własne pomyłki*. Dam tego przykłady bijące.

„Dopełniają chaotyczności (jak mówi pan S.) częste powtarzania się: o Modrzewskim jedno i to samo pisze autor dwa razy (p. 345, 361), podobnież o języku w XVI w. (p. 339, 377),... kształceniu się kobiet (p. 354, 359) itp.“ Przyznaję co do rzeźbiarzy powtórzenie się, ale o Modrzewskim p. 345 donosi, że „podaje wzory do kościoła narodowego opartego na elekcyi, a p. 361 podaje, że M. „prócz reform kościelnych podał wnioski co do zrobienia ulg włościanom.“ Co do języka, p. 339 mówi, z przeproszeniem uważnego krytyka, o *łacinie*, p. 377 o *polskim*; co do kobiet p. 354 zawiera opinie ludzi o ich emancypacyi, p. 359 o szkołach więc i o szkole dla kobiet mówi.

Tu widoczna jest powierzchowność lektury w krytyku, któréj jeszcze lepszy dowód daje w zarzucie, że mieszam sprawy szkolne

z palestrą (p. 360—362), gdzie jest mowa jak najwyraźniéj o *mecenasach* tj. opiekunach literatury i młodzieży, ale *nie* o adwokatach, *jak pan S. domyślił się*, nie czytając odpowiedzi i nawet pytania 362, W pyt. 522 cursive jest drukowano „*autorki*“ (tj. kobiety) i jest ich więcéj, jeden zaś *cudzoziemiec* i jeden chłop (dla charakterystyki ruchu); pan S. czyta „autorów“. Gdybym był złośliwym, powiedziałbym za panem S. *ab uno, disce omnes*; jak te zarzuty, tak i inne.

4° Niestety, charakter innych łamań tekstu i myśli moich jest gorszy.

a) Pan S. zarzuca mi pohop „chorobliwy“ do uogólniania, na zasadzie niedostatecznéj ilości faktów niesprawdzonych. By otrzymać dowody téj mojéj wady, pan S. *niezawiadomiwszy* o tém swego czytelnika, z moich tekstów *wyrywa* pojedyncze zdania i fakty, i mówi tak o nich, jakby były jedynemi. Np. w pyt. 447, (str. 315) jest podanych faktów 12—13, pan S. cytuje *jeden*, jako „moją“ ilustracyę stosunków małżeńskich za Wazów. P. 354 zawiera faktów tyleż, może i więcéj; pan S. podaje *jeden*, jakby był jedyny. Pytań charakteryzujących działalność wszechstronną Kazimierza W. jest w Rozmowach 24 (208—231), pan S. cytuje *jedno*, (218) przydatne dla *jego* wniosku; z 14 pytań wszechstronnych o Batorym (386—399), pan S. wyrywa *jedno* (389 nie 289), dobre do *jego* tezy. Z pyt. 448 pan S. *opuszcza* tekst mój, cytujący dobre objawy, a chwyta Warszyckiego i Zielińskiego, jakby jedynych (cytowano pyt. 448 i str. 315 w *dwu* postaciach, jakby z dwu różnych pytań). Zarzuca mi osobistą nienawiść do Chrobrego, za nazywanie go Magnus Wielisław, a nie przeczytał końca pyt. 94 (str. 52), gdzie jest tego usprawiedliwienie jako rys epoki (por. Piekosiński, Mosbach). (Niech by to był dowód *mego* chaosu, ale i *sposobu* czytania pana S.).

b) Pan S. zamiast dowieść, że ja fałszuję źródła, lub ich nie znam, zwraca się do czytelnika, jakby do kompetentnego sędziego, znającego już źródła i moje ich sfałszowanie, co i miesza charakter jego krytyka z rolą czytelnika i przesądza wyrok, bez dowodów, o czém czytelnik, złudzony rolą pana S. jako krytyka, i jego frazeologią, zupełnie nie wie. P. 447 np. o Warszyckim, wzięło ten fakt z *Cudzoziemców* Liskego. Bijanie prokuratorów p. 354 z *Herbów* Paprockiego. P. 71 o Bolesławie I ma fakty z Dytmara, Nestora, Chronicon silesopolonum, powagę Lelewela, Małeckiego. Krytyk najprzód powinien *dowieść*, że zna źródła autora, że są złe lub dobre, że ich źle lub dobrze użył autor, więc że *ma prawo* być sędzią. Pan S. cytuje szczegóły *sobie* nieznane, i to mu wystarcza do negowania ich, ale o swéj nieświadomości nic nie mówi czytelnikowi. Jak poprzednio rwał tekst,

i to ukrywał, tak teraz ułamkową swą wiedzę ukrywa, mnie tego sztucznego dowodu czyniąc ofiarą.

c) „Chorobliwa“ a tajna niechęć pana S. do książki, objawia się w umniejszaniu sztucznėm zasługi lub żądaniu rzeczy niemożebnych od autora, czego jednak *nie wie czytelnik*. Widać to np. w fakcie wyrwania przez p. S „z całėj odpowiedzi (356) rzeczy o talerzach, przyczém nie chciano dopatrzéć się rzeczy widocznėj, że obcieranie talerza odnosi się do czystości talerza i małéj ich ilości (por. 3 ludzi najwięcéj za Kazimierza W. do jednėj miski) a obmywania rąk do braku widelców, a następnie, że 3 sposoby obcierania w jednėj sferze społecznėj nie mogą być praktykowane, więc i *eo ipso* muszą być odpowiednie różnice w obcieraniu i myciu rąk. Zarzuca mi pan S. tajenie czegóś lepszego o Ciołku („str. 166“) jakby nie wiedział, że Prohazka zwie go „karyerowiczem“ w specyalnėj biografii. Wspomina pan S. („chwali się“), że wprowadziłem do dziejów wiadomości „o sztuce“ a zataja takim zwrotem przed czytelnikiem recenzyi, że *i co innego* podałem na tak wielką skalę, co mimowoli w *naganie szyku* 12 pytań cywilizacyjnych za Jagiełłów ujawnił. W sztuce zresztą robi zarzut „niczego nie uczy fakt istnienia w XIV w. kapeli królewskiéj“ a zataja, że podałem nazwy kompozytorów, muzyków, instrumentów rodzaj, wizyty muzyków obcych; brak wprawdzie charakteru owoczesnėj muzyki europejskiéj i samych nut, ale znów pierwsze wymagałoby nowych objaśnień (zarzut *chaos*) a co do drugiego... dawałem, co było w źródłach. Więcėj stworzyć nie mogłem nad to, co znalazłem.

Stosownie do wymagań Sz. Redakcyi, starając się być najtreściwszym w odpowiedzi, muszę na zakończenie wyrazić pewność, że mogłem grubo się mylić, w ocenie faktów, układzie (nawet w faktach) ale że i pan S. nie spełnił w całėj rozciągłości swego zadania jako bezstronny krytyk. Jeśli jedne strony méj pracy drażniły jego uczucie, trzeba było czytać drugie (str. 6—9), aby nabrać właściwego poglądu na dążność autora, i nie stawiać mu stronnych zarzutów, pod wpływem *zapewne* tego tylko uczucia rozdrażnienia. Jako pedagog zresztą, znać był powinien Przegląd Pedagogiczny z 1885 r. i w nim mój pogląd na pracę ogółu i bohaterów wyrażony. Toby mu dużo mylnych twierdzeń oszczędziło.

E. Sulimczyk Świeżawski.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rozwój uczuć w XIX wieku u nas i gdzieindziéj.—Miękkość temperamentu. Narodowość i estetyka. — Piosnka p. Kochańskiéj i takt p. Mierzwińskiego. Istota melomanii warszawskiéj. — Konserwatywna krytyka wobec obrazu Munkaczego. — Trzy szczeble uczuć. — Uprzejmość dla cudzoziemców i żądza pochwał. — Japonia nam imponuje!

Nieprzyjaciele zewnętrzni przez niechęć, a wewnętrzni pesymiści przez zbytek może uczucia zarzucają nam nieraz, żeśmy w ciągu XIX wieku nic się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. To nieprawda. Owszem, świadczyło by o wiele korzystniéj o harcie narodowym i o zmyśle politycznym, gdybyśmy o różnych względach i okolicznościach pamiętali lepiéj, niż pamiętamy, a wobec niektórych rzeczy, pojętych już niestety i przyswojonych, okazali nieprzezwyciężoną tępość umysłową i moralną, Po za tém, gdy się Europa cała odradzała duchowo i myśmy posunęli się naprzód. Dowodzi tego chociażby ta okoliczność, że Poznań przepędził ostatni karnawał jak poważne dni pokuty, a salony grodzieńskie w 1793 roku wyglądały jak scena Małego Teatru w finale Gasparone.

Rozwój nasz jednak moralny, ani co do siły, ani co do kierunku nie jest takim, jakiego się można było spodziewać, jaki by wyprorokował człowiek, stojący na zewnątrz, cudzoziemiec dajmy na to, gdyby się oparł na logice jedynie i na najgłośniejszych faktach. W tym czasie budzi się w Europie całéj poczucie odrębności i godności narodowéj, patryotyzm odradza się, nabiera niewidzianego przedtém blasku i zaczyna odgrywać w życiu społeczeństw pierwszorzędną rolę. Kwestya narodowa, nieznana niemal dotąd, zajmuje w polityce świata stanowisko naczelne, staje się tłem pracy ludów, hasłem zarówno mężów stanu jak i demagogów, wywołuje krwawe wojny, stwarza państwa. Natura ani historya nie okaleczyły tak duszy naszéj, abyśmy miłować nie byli zdolni przeszłości i przyszłości, języka, praw, obyczajów, nadziei; owszem dzieje dowiodły niejednokrotnie, że zarówno jak inne narody czuć umiemy żywo, co nam do-

lega i pożądać gorąco zmiany. A więc zdawałoby się, że uczucia podniecane wciąż napaściami chociażby ks. Bismarcka, rozżarzane krzywdą, jak w Prusach, rozrosną się szybko i potężnie, tłumiąc inne potrzeby i pragnienia ducha, staną się drażliwe, czujne na najlżejszą obrazę, wrzeć będą jak para, zamknięta w wulkanie. Lękać by się nawet należało, że, podsycani wciąż w jednym kierunku, żyjąc jednym jak gdyby nerwem, stracić możemy miarę, wpaść w szowinizm, poświęcać istotę za pozór.

Gdzietam! Nietylko niema obawy co do przekroczenia granicy, ale do granicy téj jest tak daleko, jak gdybyśmy byli jedynym narodem na ziemi, któremu fantazya może tylko stwarzać niebezpieczeństwa, lub jak gdybyśmy byli zupełnie obojętni dla spuścizny, dla obowiązków przekazanych przez przeszłość, dla ideałów! Każdy z nas potrafi w każdéj chwili deklamować na cześć piękności języka, słyszanego na kolanach matki, potrafi uwielbiać cudne dźwięki, zaklęte w rymy przez Adama i Juliusza; a słowa te są tak obce sercu, że imiona ludzi, co odważyli się umiéć tylko po polsku, gdy ich proszono o odpowiedzi w innym języku, zostały zapisane do kronik i przekazane pamięci potomności. Źle się dzieje, gdy spełnienie obowiązku musi być uważane za zasługę nadzwyczajną. Dogmatem obowiązującym w życiu stało się ustępstwo; upór, nawet miłość własna. jak gdyby zniknęły zupełnie z charakteru naszego. Wszelka nowa fantazya napotyka tyle oporności, co drąg stróża warszawskiego w topniejącym śniegu; i znowu przez parę lat dziesiątków we wspomnieniach jaśnieje jedno tylko nazwisko Nostitz-Jackowskiego. Grzeczność gospodarzy tak się w nas rozwinęła, że jesteśmy uprzejmi nawet względem tych, których za gości uważać wcale nie możemy.

Takt nasz i rozsądek powinny wejść w przysłowie, nietylko sami nie puścimy się na bezdroża, ale jak tylko jaki patryota włoski, francuski, niemiecki, uniesiony zapałem, powié cokolwiek zuchwalsze słowo, lub popełni krok ryzykowniejszy, warszawscy publicyści i reporterzy pojąć nie mogą takiego szowinizmu, ruszają litościwie ramionami i drwią. A Brandes jakby przez ironią powiada, że uczuciom narodu polskiego brak balastu, który narody germańskie posiadają we wrodzonéj flegmatyczności, a romańskie w logice rozumującego rozsądku. Widocznie uczucia już same bez balastu taki niski lot mają.

Wspomnienia 1870 i 71 roku nie pozwoliły w Paryżu słyszéć nawet o tém, ażeby Wagner ukazał się w Operze. Saint-Saënsowi na każdym kroku czuć dawano w Niemczech, że wiedzą o jego nieprzychylności dla rasy i muzyki germańskiéj. A jednak nie można powiedziéć, że oba te przodujące światu narody są niezdrowe, że nie mają poczucia artystycznego, że nie umieją cenić i miłować sztuki. U nas

znaleźli by się melomani zdolni do entuzyazmu dla wszystkich po kolei śpiewaczek i fortepianistów berlińskich, chociażby ci koncerty przedtém dawali na korzyść wywłaszczenia poznańczyków. Nie mamy najmniejszego zamiaru powstawać przeciw uczęszczaniu na koncerty, rozumiemy doskonale i uznajemy znaczenie potężne, olbrzymi i dodatni wpływ sztuk pięknych na rozwój narodów, smuciłoby nas, gdyby wystawy obrazów i sale koncertowe stały pustkami, ale przecieć po nad uczuciami estetycznemi powinny stać inne, ważniejsze. Jeżeli z podatków powszechnych otrzymują subsydya teatry, opery, z których korzysta tylko cząstka narodu, to robi się to nie w celu dostarczenia przyjemności wybrańcom, lecz dla tego, że wrażenia estetyczne udoskonalają, robią ludzi wrażliwszymi, zdolniejszymi do uczuć i życia społecznego. Nie można więc dla pierwszych obrażać ostatnich. Tymczasem przyjeżdża pani, która na całym świecie zwie się Sembrich, a nas chce głaskać i wabić mianem Kochańskiéj. Zanim głos jéj rozległ się w sali koncertowéj, już pomiędzy reporterami niepokój, a patentowane melomanki drżą z niecierpliwości. Nareszcie nadeszła chwila oczekiwana, *diva* treluje, publiczność zachowała tyle przytomności, że prosi o polską piosenkę, pani Kochańska śpiewa „Ich liebe dich.“ Kilku odważniejszych wobec tego zaczyna sykać, doborowa publiczność nie wié, co ją ma zdumiewać bardziéj: głos śpiewaczki, czy zuchwałość profanów? Rzęsiste oklaski stłumiły nieliczne sykania! Taka Patti nauczyła się dla Moskwy i Petersburga „Sołowija“, czyż więc nie my sami winni jesteśmy, że nas lekceważą? Proszę sobie wyobrazić, coby zrobili Francuzi, gdyby im w Paryżu kobieta, mieniąca się Francuską, zaśpiewała po niemiecku! A przecie Prusacy zabrali Francuzom tylko prowincye, mówiące po niemiecku i nie zaprzysięgają wytępienia.

Mierzwiński, którego zdolności śpiewackie podniesiono mocno w Warszawie, gdyż ma *rz* w nazwisku i nosi takie imię, jak wielu sławnych królów polskich, śpieszy obecnością swoją w Berlinie uświetnić uroczystość dworską i w ten sposób zrywa wszelką solidarność, wspólność z nami w chwili tak pełnéj grozy jak obecna i jużciż chyba obraża nasze uczucia; czy chociaż jeden z tych wymownych piewców, co tak obrazowo sławili siłę, koloryt i t. d. głosu tenora, zdobył się na ostre potępienie nieobywatelskości i posłał nad Spreę groźbę: nie przyjeżdżaj więcéj, bo spotka cię u nas powszechne oburzenie. Gotowi jesteśmy się zgodzić nawet, a przynajmniéj uważać za możliwą obronę zasady, że nie należy plątać polityki ze sztuką. Ale uczucie łamać powinno zimne rozumowanie, gdy zostało zadraśnięte, jeżeli tylko żyje silne i zdrowe: możność tłumienia uczuć narodowych w jakiejkolwiekbądź chwili i dla jakichkolwiekbądź względów jest fatalném zjawiskiem. Wielki Diderot mówi: „tylko

uczucia, uczucia potężne mogą wznieść duszę do rzeczy wielkich; bez nich niema nic wzniosłego, ani w obyczajach, ani w dziełach: sztuki piękne wracają do dzieciństwa, a cnota staje się drobiazgową.“ Chyba, że wielkiemi uczuciami u nas są zamiłowanie do dźwięków skrzypiec panny Tua i uwielbienia dla trelów pani Sembrich-Kochańskiéj. Gdyby to jeszcze tak było! Naturalnie większość sprawozdawców dziennikarskich idzie na koncert z poczucia obowiązku, zupełnie tak samo, jak biegnie na dziesiątą ulicę, gdy do czujnego ucha ich doleci odgłos jakiejś bójki. Uniesienia poważnéj cyfry melomanów a szczególniéj melomanek i miny ich na koncertach przypominają nieraz malca z niższéj klasy, gdy popisuje się przed starszymi kolegami rozmiłowaniem w paleniu papierosów, albo nieboraka, co dostawszy spadek lub posag, uważa sobie za obowiązek raczyć się ostrygami, które mu przez gardło przejść nie chcą. Zapał dla wszystkich pokolei gwiazd i gwiazdek zagranicznych, nieliczący się z ich blaskiem, zawsze jednaki, nosi na sobie tyle cech naiwności, parafiańszczyzny, że nie można go traktować jako wyniku uczuć artystycznych. Noblesse oblige. Stanowisko społeczne, szczególniéj jeżeli je się świeżo zajęło, wymaga znawstwa i miłowania sztuk. Państwo X, Y, Z nie mogą nie słyszéć Lassale'a, chociaż o wiele by woleli inaczéj przepędzić wieczór. Tam tylko, gdzie zachwycanie się wynika z obowiązku, istniéć może obojętność dla donioślejszych względów. Jakże można zdecydować się na wstanie i wyjście z teatru wobec niemieckiéj piosenki Kochańskiéj, gdy ktoś gotów pomówić o prostaczą naturę, nieumiejącą czuć, nieumiejącą doznawać *wyższych* roskoszy. Można być przekonanym, że w ów wieczór w sali redutowéj było tylu ludzi istotnie wrażliwych na piękno melodyi, ilu sykało, i tylu profanów, nudzących się przez próżność, ilu było klaskających.

Rzecz naturalna, że rozpisujemy się tak szeroko, nie dla tego żebyśmy wygwizdaniu p. Kochańskiéj, lub banicyi Mierzwińskiego nadawali jakieś ważne znaczenie społeczne. Nie, sam fakt jest bagatelny. Wolimy nawet, że ktoś siedzi na koncercie, na którym może nie powinien się znajdować, niż by czas ten przepędzić miał w resursie przy karcianym stoliku, chociażby wtedy wymyślał na wszystkich nieprzyjaciół, poczynając od Bismarcka. Chodzi zaś nam o to, że te objawy zdradzają przytępienie uczuć, które jeżeli u nas zanikną, to staniemy się zbyteczni na świecie. Człowiek, gdy zostaje pod wpływem muzyki, jest bardziéj wrażliwy na wszystkie dotknięcia, niż w innéj chwili. W duszy tłoczą się wtedy uczucia najdroższe, najserdeczniejsze. Jest się skłonniejszym niż kiedykolwiek do pójścia za popędem wrażeń. Jeżeli więc wtedy obrażone uczucia milczały, kiedy danie im folgi nie pociągało za sobą innego przykre-

go skutku, jak niedosłuchanie do końca kilkunastu trelów, to bardzo można wątpić, czy przemówią w innéj chwili, wobec niebezpieczeństwa utraty względów czyichś naprzykład. Czyż pomimo całéj drobnostkowości zajścia, nie nasuwa ono podejrzenia, że uczucia poważniejsze chyba nie istnieją ani w melomanach, co klaskali, ani w kierownikach opinii, co całą sprawę potraktowali, jak dziurę w mostku?

Mylił by się jednak, ktoby sądził, że ci kierownicy opinii i sama opinia nie mają nic świętszego i ważniejszego nad sztukę. O, nie. Towarzystwo zachęty sztuk pięknych wystawiło obraz Munkaczego „Chystus przed Piłatem". Wśród powodzi płócien, mających za cel wywołanie wrażenia przez jaskrawość, poważne traktowanie tematu i sztuki saméj, wyższe zalety techniczne, rozumne pojęcie zadania powinno było podziałać na miłośników piękna przynajmniéj tak jak buziak panny Tua, lub biegłość palców pani Menter-Popper. Tymczasem recenzenci organów najbardziéj łatwych do egzaltacyi postawili sobie pytanie, czy twarz Chrystusa posiada dosyć boskości, czy nie jest zanadto realistyczną, a chodziło wcale nie o kierunek w sztuce, lecz podejrzywano bluźnierstwo. Na szczęście dla Munkaczego, choć krytyka warszawska dopatrzyła winy, znalazła jednak łaskawie okoliczności łagodzące. Można być jednak pewnym, że gdyby świeckie traktowanie rzeczy posunięte zostało na obrazie jeszcze nieco daléj, gdyby Chrystus miał naprz. minę tego gorliwca z tłumu, co wzniósł ręce do góry, to pomimo, iż ten sposób przedstawienia nadałby obrazowi bardzo ciekawy psychicznie, choć niezgodny może z tytułem charakter, zgroza i oburzenie dzienników, byłyby nie puściły publiczności do sali wystawy, a nawet może nie pozwoliłyby tam wejść samemu obrazowi. Zestawiając to wszystko, okazuje się, że najdrażliwsze u nas i uznane za najważniejsze są uczucia religijno-chrześciańskie, późniéj idą estetyczne i nareszcie narodowe, jeżeli naturalnie nie zapomnieliśmy w téj chwili o jakich szczeblach, dzielących dwa ostatnie rodzaje.

Ale nie na tém kończą się ciekawe strony zjawiska. Taż sama część prasy, która głośną reklamą wywojowała powodzenie trupie mejningeńskiéj, domagała się niejednokrotnie od postępowców, ażeby wobec potrzeb kraju poświęcali swoje przekonania filozoficzno-religijne na rzecz panującego wyznania. Wobec tego zdawać by się mogło, że i dla nich uczucia narodowe mają doniosłość pierwszorzędną, a wszystkie inne są im podporządkowane. Tymczasem ulokowanie ich aż w trzecim szeregu zbija to przypuszczenie. Teraz nie wiadomo już o co komu chodzi, gdzie są szczere przekonania, a gdzie pozory. O, smutne to!

Potrąciwszy raz o potulność naszych uczuć narodowych pominąć nie mogę innego szeregu zjawisk z tego samego gatunku. Je-

dnocześnie z zimnemi deklamacyami na temat piękności języka macierzystego i przywiązania doń, można słyszéć u nas gorące obrony legend o moralnéj wyższości naszéj nad różnemi narodami zachodu. Szczególniéj poczciwość i rodzina polska cieszą się dobrą opinią. Naturalnie twierdzenia te mają tęż samą wartość, co przeświadczenie niższych warstw ludności, iż Chrystus, Matka Boska i apostołowie mówili po polsku. Ale jeżeli niema już w nas tyle dumy narodowéj i poczucia godności, ażeby jaki taki chociaż zachować takt wobec cudzoziemców, to niechby przynajmniéj przekonanie o wyższości pod jednym względem nad innymi ludźmi osłabiło kompromitujące zabiegi o względy zagranicy. W téj chwili celem starań inteligencyi stołecznéj jest dogodzenie Brandesowi, zaskarbienie jego łask i pokazanie najlepszych stron naszego życia. Wypadek zdarzył, że Brandes jest człowiekiem wyższéj wartości, że możemy się od niego nauczyć czegoś, a okazany szacunek nie okrywa nas śmiesznością. Ale to zdarzył jedynie wypadek, gdyż podejmowaliśmy tak samo Tissota w Zakopanem, reporterów wiedeńskich i berlińskich we wrześniu 1884 roku, a podobno raz redaktorzy warszawscy wyprawili nawet ucztę redaktorowi polakożerczego *National-Zeitung*; miało się to odbyć zupełnie prywatnie, ale poznańskie dzienniki zdradziły tajemnicę przed światem, „Prawda“ wyśmiała ostro winowajców, a nikt nie zaprzeczył. Przypuszczamy, że Brandesa niekoniecznie budować musi nasza zbytnia uprzejmość i skromność, i pewnie nie podniesie sądu jego o nas, gdy go kiedy otwarcie i publicznie wypowie. Bodaj więc, czy, kaptując zbyt gorliwie względy Duńczyka, nie mijamy się z celem. Pochodzi to stąd, że o zdanie, o rozgłos zagranicą dbamy zawiele, dbamy więcéj aniżeli o to, ażebyśmy na uznanie zasługiwali. I przyjemnie i pożytecznie jest, jeżeli świat cywilizowany może i potrzebuje korzystać z naszego umysłowego dorobku, ale główny zysk przypada w udziale tym, którzy biorą. Tymczasem, ileśmy gotowi poświęcić, aby uzyskać pochwałę... Niegdyś chciano za nasze pieniądze tłómaczyć na język niemiecki powieści Kraszewskiego, późniéj myślano o obdarzeniu w ten sposób Anglików przekładem Mickiewicza i t. d. Gdy cudzoziemiec raczy się poznać z literaturą, historyą, lub zbiorami naszymi, uważamy to sobie za zaszczyt wielki.

Świeżo zdarzył się wypadek bardzo zabawnie charakteryzujący tę naszą słabość. Przyjechał do Warszawy dr. Ogata, Japończyk. Zdawało się, że Japonia jeszcze nam imponować nie może, że za nauczenie się od nas czegoś powinniśmy być doktorowi z Jeddo tyle tylko wdzięczni, co Pasteur warszawiakowi za dowiedzenie się od niego, jak ratować dotkniętych wścieklizną. Tymczasem nie. Miejscowy lekarz namawiał dra Ogatę do zwiedzenia tutejszych klinik

i szpitali, turysta odmówił, zmartwiony tém „Wiek“ pociesza siebie i czytelników, że odmowa stanowczą nie jest, gdyż wschodni medyk przyrzekł w powrotnéj drodze, na jesieni, zatrzymać się kilka dni w Warszawie. Ciekawą jest rzeczą, czy gdyby p. Rogoziński przywiózł z sobą jakiego ambasadora z Afryki, czy byśmy się korzyli przed nimi kaptowali go, czy nie? *Ludwik Straszewicz.*

BIBLIOTEKA MICKIEWICZA.

Trzydzieści lat upłynęło od śmierci Mickiewicza, a grosz zbierany do grosza urósł już w sumę krociową i czas już niedaleki, kiedy złoto zebrane ofiarnością narodu przetopi się w śpiż, mający wieki świadczyć o uwielbieniu dla wieszcza.

Czyśmy już atoli spełnili przez to wszystkie obowiązki, uiścili się z całego długu wdzięczności w obec tego, przy którego Homeryckim stole pokolenia całe karmi ducha i serc karmi będą szukały?

Narodowe Muzeum w Krakowie otrzymało już od Wład. Mickiewicza, który w Adamie czci ojca i wieszcza zarazem, dar wspaniały, a mianowicie te wszystkie zabytki po Mickiewiczu, które się znajdowały w ręku jego syna. Nie wątpimy, że z czasem wzrośnie ten zawiązek we wspaniałe i cenne Muzeum Mickiewicza, gdzie spoczną wszystkie pamiątki po nieśmiertelnym wieszczu rozrzucone dziś po kraju. Mybyśmy jednak poszli o krok daléj i z tém Muzeum pragnęlibyśmy widzieć połączony jeszcze dział inny, nieodłącznie należący do pierwszego, a nim — Biblioteka Adama Mickiewicza.

Każdy, kto się tylko bliżéj zajmował badaniem dzieł wieszcza i jego życia, nie zaprzeczy bezwątpienia, że niezmierne napotykał trudności w gromadzeniu potrzebnych mu źródeł. Nie chcąc się dłużéj rozpisywać nad tém, wspomniemy tylko, że we Lwowie chlubiącym się kilku bibliotekami nie można w żadnéj z nich znaleść wszystkich wydań dzieł poety — objaw smutny zaprawdę. A cóż dopiero mówić o zagranicznych dziennikach rosyjskich, francuskich i innych, o drobnych broszurach odnoszących się pośrednio lub bezpośrednio do Adama, a tak ważnych dla biografa? Mickiewicz spędził tylko lata pierwszéj młodości w ojczyźnie, reszta życia upłynęła mu po za granicami Litwy ukochanéj, po części w służbie u obcych, którzy choćby z tego względu zajmują się osobistością polskiego geniusza, a wiadomo przecież, jak żywo zajmował on się w pewnym okresie życia polityką europejską, jak żywy brał w niéj udział. Poznanie téj właśnie epoki w życiu poety przedstawia dla badaczów w kraju żyjących niepokonane trudności: dzienników francuskich lub włoskich z piątego i szóstego dziesiątka naszego stulecia nie masz w bibliotekach polskich.

Pokolenie współczesne wieszczowi starzeje się, wymiera. Ludzi znających go osobiście, będących z nim w bliższéj lub dalszéj styczności przerzadzają się szeregi, a z nimi zstępuje do grobu tradycya, najwiarogodniejsza, bo z pierwszego płynąca źródła. Póki czas zatém

należy przystąpić do spełnienia obowiązku i zebrać wszystkie, choćby najdrobniejsze szczegóły o wieszczu, przechowywane w ustném podaniu, znane mniejszym lub większym kołom, lecz nieznane ogółowi. Wezwać przeto potrzeba publicznie wszystkich, mających jakiekolwiek wspomnienia o wieszczu drukiem dotąd nieogłoszone. aby je spisali tak, jak każdego stać na to i przesłali do onéj Biblioteki Mickiewicza, któréj myśl rzucamy tą drogą.

Pragnęlibyśmy, aby w Krakowie przy narodowém Muzeum lub też we Lwowie przy zakładzie im. Ossolińskich powstała biblioteka poświęcona wyłącznie autorowi Pana Tadeusza, a obejmująca trzy główne działy.

Pierwsze miejsce zająć winny zapewne w tym zbiorze wydania dzieł poety i to wydania wszystkie, tak zbiorowe, jakoteż pojedynczych utworów i rozmaite przekłady tychże. Pożądaną byłoby rzeczą, gdyby i rękopisy znajdujące się często w rękach niepowołanych ustrzedz można od zagłady, zgromadzając je ile możności. lecz rzecz ta byłaby nader trudną do wykonania, bo wiele z nich znajduje się w publicznych zbiorach, wiele w posiadaniu ludzi prywatnych, którzy za żadną cenę nie rozstaliby się z świętemi pamiątkami. Wierne odpisy atoli możnaby pozyskać bez trudu.

Dział drugi w Bibliotece Mickiewicza zajęłyby wszystkie dzieła, artykuły, wiersze i inne utwory nim samym się zajmujące, daléj dzieła kreślące obraz stosunków współczesnych poecie, wśród których on żył i działał, a wreszcie rzadsze dzieła pisarzów ojczystych i obcych, którzy jakikolwiek wpływ wywarli na jego wykształcenie lub twórczość.

W trzecim oddziele, niemniéj ważnym jak dwa poprzednie, mieściłyby się niewydane dotąd wspomnienia o wieszczu, choćby najdrobniejsze, i rozbiory dzieł jego zalegające w rękopisach, bez względu na wartość skrzętnie gromadzone.

Wiadomo naprzykład, że przedwcześnie w roku zeszłym zmarły w Paryżu krytyk i literat Adam Rzążewski (Aër) lat kilka poświęcił pracowitemu zbieraniu szczegółów tyczących się dzieł wieszcza i jego życia, że chwalebnym wiedziony pietyzmem najmniejszą zapisywał drobnostkę. a tak zebrał istną encyklopedyę Mickiewiczowską. Z pracy téj zaledwie okruchy okazały się w druku, a jakiż los spotka rękopis cały, zawierający, o ile sądzić można po ogłoszonych wyjątkach, źródła wielkiéj wartości? Obecnie spoczywa on w Paryżu, lecz kto wié, czy nie zatraci się tam na wieki, a praca kilkoletnia. cenna i potrzebna pójdzie na marne. Gdyby zaś istniała biblioteka, o któréj mowa, rękopis dostałby się zapewne do jéj zbiorów. O zgromadzeniu wszystkich dzienników zagranicznych a współczesnych Mickiewiczowi i marzyćby nie można, część ich zaledwie zebraćby się udało, lecz o ważniejsze odpisy postaraćby się można z łatwością, wszak nie ma zakątka na ziemi, gdzieby nie było Polaka, któryby choć listkiem drobnym nie chciał się przyczynić do wieńca chwały Adama.

Czy jednak myśl założenia podobnéj biblioteki dałaby się urzeczywistnić, czy stworzenie instytucyi takiéj możliwe? Bez wahania odpowiadamy—tak. Przedewszystkiém funduszów zrazu nie potrzeba żadnych. Chodzi głównie o przyjęcie w zasadzie podanéj tu myśli,

a następnie o rozszerzenie jéj w najrozleglejszych kołach, w takim zaś razie pewni jesteśmy, że naród, choćby tak jak nasz ubogi, że naród, który zebrał przeszło 100,000 złr. na pomnik dla wieszcza, pośpieszy chętnie z ofiarą mniejszą niż ofiara grosza, z ofiarą książek. W iluż to domach marnieją nieraz najcenniejsze dzieła, ile skarbów prawdziwych w książkach rozlicznych leży bez użytku dla tego, że sprzedać je nie zawsze jest sposobność, a nie ma często nikogo, ktoby zachęcił do złożenia ich zakładowi publicznemu w ofierze. Wierzymy też, że wydawcy i autorowie polscy z chęcią przodowaliby w szlachetném spełnieniu obowiązku narodowego i że każdy z chęcią przesłałby do Biblioteki Mickiewicza dzieło wydane przez siebie, jako objaw hołdu i wdzięczności. Wszak tyle zakładów istnieje u nas ofiarnością publiczną, samo nawet Muzeum narodowe w Krakowie zawiązek swój i dalsze istnienie zawdzięcza po większéj części szlachetności naszych artystów, czyżby więc przypuszczać można, że w sprawie, któréj głównym celem hołd dla największego geniusza narodu, publiczność polska pozostanie obojętną, zwłaszcza gdy nie z grosza, o który u nas tak ciężko, lecz z książek żądanoby ofiary,

Zarząd biblioteki téj nie wymagałby też osobnéj władzy, bo jak wspomnieliśmy wyżéj, wcielić ją możnaby do jednego z istniejących zakładów narodowych we Lwowie lub Krakowie, a one z pewnością nie usunęłyby się przed niewielkim trudem zarządzania instytucyą zwolna się rozwijającą i wzrastającą zrazu tylko darami. Z czasem zaś, gdyby się znalazł fundusz potrzebny, a znając ofiarność i szczodrość polskich magnatów, wątpićby o tém nie należało, możnaby przystąpić do sporządzania odpisów z bibliotek zagranicznych i do kupowania dzieł brakujących, nigdy jednak nie wzrosłaby zapewne biblioteka do takich rozmiarów, aby aż wymagała osobnego zarządu.

Powołanie do życia podobnego zakładu jest—powtarzamy z naciskiem — obowiązkiem naszego pokolenia: za lat niewiele zapóźno już być może i spotkać mógłby nas ciężki zarzut następców naszych, że nie uczciliśmy godnie męża, którego dzieła są arką przymierza między przeszłemi a przyszłemi laty....

Myśl naszą polecamy przeto gorąco rozwadze myślącego ogółu, a przedewszystkiém opiece dziennikarstwa polskiego. Nie jest ona, jak to wykazaliśmy powyżéj, mrzonką nie do urzeczywistnienia, nie jest i bez praktycznego celu. Celem jéj oprócz złożenia hołdu wieszczowi i okazania, iż umiemy czcić narodowe wielkości, jest ułatwienie biografom wieszcza wyzyskania materyałów niedostępnych dotychczas dla wielu lub mało znanych. Wówczas zaś znajdzie się bezwątpienia mąż, który umiejętném piórem zdoła odkryć przed narodem tajniki myśli i uczuć największego z wieszczów naszych, który w idealnych rysach odtworzy wiernie nieśmiertelną jego postac, a pomnik taki winien zaprawdę prędzéj pośród nas stanąć niż pomnik spiżowy.

F. K.

OD REDAKCYI.

Dr. Łuk. w Jas. Odpowiedź Sz. Pana redakcya otrzymała.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Marca 1886 r.

---

1. **Sprawozdanie** Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém za rok 1885. Warsz., 1886. 4-to. str. 52.
2. **Stanowisko rodziny Tremandraceae** w systemie naturalnym.. Przez *Dra Ignacego Szyszyłowicza* (odbitka z XIV tomu Rozpr. i Spraw. Wydz. matem. przyr. Ademii Umiejęt. Kraków. 1886. 8-o, str. 6.
3. **Historya filozofii od Talesa do Comte'a** przez Jerzego Henryka Lewes'a. Wolny przekład z 5-go angielskiego wydania *Adolfa Dygasińskiego*. Zeszyt 5 (od str. 385 do 480). Warszawa. Antoni Lesman, S. Petersburg Henryk Gliński. 1886. 8-o.
4. **Rocznik statystyki przemysłu i handlu krajowego** wydany przez Krajowe biuro statystyczne (oddział statystyki przemysłu i handlu). Pod redakcyą *Dra Tadeusza Rutowskiego*. Rocznik drugi. Zeszyt I. (Wywóz bydła z Galicyi i znaczeniu targowicy wiedenskiej dla kraju). Lwów 1885, 4-o. str. 44. Zeszyt II. (Cukrownictwo i krochmalarstwo) str. 60. Zeszyt III. (Przemysł gorzelany w Galicyi. Część I) str. LXVI i 83.
5. **O badaniach gieologicznych**, dokonanych w gubernii Kieleckiéj i Radomskiéj w ciągu lata roku 1880 przez *Wincentego Kosińskiego*, zawiadowcę kopalń galmanu w okręgu górniczym zachodnim. Z rękopisu pozostałego po autorze zebrał i podał *Dr. Jan Trejdosiewicz* prof. Uniw. Warsz. (odbitka z „Pamiętn. fizyogr. t. IV) Warsz. 1884. str. 14.
6. **Kilka słów o budowie gieologicznej** i pokładach węgla brunatnego najbliższéj okolicy Krzemieńca przez *Dra Jana Trejdosiewicza* prof. Uniw. Warsz. (odbitka z Pam. fizyogr. t. V) str. 5 i mapa.
7. **Oddział Warszawski** Towarzystwa popierania przemysłu i handlu sekcya II. Sprawozdania meteorologiczne za miesiąc styczeń 1886 r. folio. str. 14.
8. **Sprawozdanie** o kwestyonaryuszu przemysłowo-rolnym, przeprowadzonym przez Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, opracowane przez Członka Tow. *Franciszka Olszewskiego*. Warsz. 1886. 4-o, str. 92.
9. **Przegląd odpowiedzi na kwestyonaryusz rolniczy** nadesłanych do Oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu przez Członka Towarzystwa *Dra Tadeusza Kowalskiego*. Warsz. 1886, 4-o, str. 8.
10. **Tiliaceae generum monographia.** Lipowate. Monografija rodzajów. Przez *Dra Ign. Szyszyłowicza*. Z czterema tablicami litografowanemi. Kraków, 1886. 8-o, str. 99.
11. **Bezwyznaniowość, jej przyczyny i skutki.** Kilka myśli zestawił *W. M. Dębicki*. Wydanie drugie. Warsz. nakł. Księgarni Katolickiéj Wojciecha Cythurusa, 1886, 8-o, str. 23 i nlb. kart 2. C. kop. 30.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Марта 1886.